

Aldis Brian

Malaczański gobelin



calibre 0.9.27

BRIAN W. ALDISS

MALACJAŃSKI GOBELIN

Przekład: Agnieszka Jacewicz

KSIĘGA PIERWSZA

Miejscy Szarlatani

Dym sączył się przez wysokie okno rozpraszając światło.

Do zwykłych zapachów Starego Mostu dołączył nowy. Wśród aromatów świeżo

ściętego drzewa, przypraw, gotowania, rynsztoków i kadzidła maga Throat Darka stojącego na skrzyżowaniu dróg, unosiła się woń dymu z palonego drewna. Może to sprzedawca trocin znowu podpalił swój ładunek.

Podszedłem do okna i wyjrzałem na ulicę. Panował na niej większy ruch niż zwykle o tej porze dnia. Znikli już gongformerzy z wózkami, ale Ulica Drewnianych Rzeźb tętniła porannym życiem. Jej stali bywalcy, tragarze, żebracy i wszelkiego rodzaju wałkonie, zależnie od humoru albo utrudniali przejście, albo ustępowali z drogi sześciu krzepkim przybyszom z Dalekiego Wschodu. Towarzyszili im jaszczurzy chłopcy przytrzymując baldachimy nad owiniętymi w turbany głowami swych panów - miało to dodawać

przybyszom powagi, bo letnie słońce świeciło jeszcze zbyt słabo.

Dym unosił się z kopczyków śmieci zamiecionych przez sprzedawcę popiołu, który z zapalem palił uliczne rupiecie. Wciągnąłem woń w nozdrza i cofnąłem się do izby.

Przypuszczałem, że przybysze ze wschodu zeszli z pokładu triremy, która niedawno zawinęła do portu. Z mansardy, między dachami domów, widziałem jej zwinięte żagle przy brzegu Satsumy, zaledwie kilka alei od mego domu.

Naciągnąłem niebieskie, sięgające za kostkę buty ze skóry bagniaków - parę czarnych zastawiłem i jeszcze jakiś czas musiały zostać w lombardzie - po czym wyszedłem przywitać dzień.

Na skrzypiących schodach natknąłem się na mego przyjaciela, de Lambanta, który właśnie wspinał się do mnie na górę. Szedł z pochyloną głową, jakby wytrwale liczył stopnie.

Wymieniliśmy pozdrowienia.

- Jadłeś już, Perianie?

- Od kilku godzin nie robię nic innego - odparłem, schodząc razem z przyjacielem na dół. - Prawdziwa uczta u Truny, pasztet z gołębi to tylko jedna z atrakcji.

- Jadłeś już, Perianie?

- Jeszcze nie, skoro nie wierzysz w pasztet z gołębi. Ary?

- Idąc tutaj, znalazłem bułkę na ladzie u piekarza.

- Do portu zawinął okręt. Może w drodze do Kemperera tam zajrzemy?

- Jeśli sądzisz, że coś nam to da. Mój horoskop nie wróży mi dziś pomyślności. Są w nim wprawdzie kobiety, ale nie z samego rana, jak sam widzisz. Saturn staje mi na przeszkodzie, a wszystkie trzewia u wróżbity jakby zmówiły się przeciwko mnie.

- Mnie nie stać nawet na zwykłe poświęcenie amuletu przez Throat Darka.

- To wspaniałe, że nie musimy się przejmować pieniędzmi.

Dobre humory nie opuszczały nas w drodze. Kaftan mego przyjaciela miał kolor

niezbyt ekscytującej, według mnie, zieleni. Za bardzo przypominał kostium sceniczny. Mimo to Guy de Lambant wyglądał dość przystojnie. Miał ciemne, bystre oczy i brwi równie ostre, jak jego język. Krępa budowa nie przeszkadzała mu chodzić dumnie, jeśli tylko o tym pamiętał. Świetnie radził sobie jako aktor, nie da się zaprzeczyć, ale brakowało mu mojego zapału. Posiadał wszystkie cechy niezbędne u przyjaciela: był zabawny i leniwy, próżny, sprośny i zawsze gotowy na wszelkie wariactwa. Świetnie się bawiliśmy w swojej kompanii, co poświadczyć mogło wiele panien w Malacji.

- Może Kemperer da nam coś przekąsić na śniadanie, nawet jeśli nie ma dla nas pracy

- powiedziałem.

- To zależy w jakim jest humorze - odparł de Lambant. - A to z kolei zależy od La Singli i od tego, czy ostatnio była miła.

Nie odpowiedziałem na jego uwagę. W sprawach dotyczących żony Kemperera

dzieliła nas niegroźna zazdrość. Pozzi Kemperer należał do wielkich impresariów, najlepszych w Malacji. De Lambant i ja pracowaliśmy w jego kompanii przez prawie dwa lata, a obecny brak zajęcia nie był dla nas niczym nowym.

Na nabrzeżu uwijał się rój marynarzy. Przeważnie pracowali półnaczy i bosy,

przeciągając liny, wciągając ładunki i przenosząc skrzynie. Opróżniano ładownie triremy.

Liczni gapie chętnie wyjaśnili nam, że okręt przyплыł rzeką Toi od strony Sześciu Lagun, żeglując z zachodnim wiatrem. Optymiści sądzili, że przewoził rzeźby, pesymiści, że niósł

zarazę.

Kiedy przybyliśmy na miejsce, celnicy w trójrożnych nakryciach głowy właśnie

opuszczali pokład. Szukali zakazanych towarów - zwłaszcza nowości, których pojawienie się mogło zakłócić spokojną egzystencję Malacji. Pochwalałem ich misję, ale nie mogłem nie zauważyć, że wyglądali na biedną, przeżartą przez mole zbieraninę. Nawet czapki i uniformy nie zdołały tego ukryć. Jeden kulał, drugi był na wpół ślepy, a trzeci, sądząc po wyglądzie, był kulawy, ślepy, a do tego jeszcze pijany.

Razem z Guyem już w dzieciństwie oglądaliśmy takie sceny. Okręty ze Wschodu były znacznie ciekawsze od tych z Zachodu, ponieważ często przewoziły egzotyczne zwierzęta i czarne niewolnice. Już miałem się odwrócić i pójść za radą burczącego brzucha, gdy zauważyłem dziwnego starca podskakującego na pokładzie triremy.

Jego ciało wyglądało tak, jakby zszyto je z różnych kawałków. Po chwili nieznajomy odwrócił się i zszedł po trapie, niosąc pod pachą skrzynkę. Był przygarbiony i posiwiwały.

Sądząc po stroju, przybywał z daleka - ale nie należał do marynarskiej braci. Wydawało mi się, że widziałem go kiedyś w Malacji. Mimo upału miał na sobie zniszczone futro. Moją uwagę przykuła mieszana zachwyty i niepewności malująca się na otoczonym bokobrodami obliczu. Spróbowałem wywołać na twarz podobną minę. Mężczyzna szybko zagłębił się w uliczki Starego Mostu i zniknął nam z oczu. Miasto pełne było dziwaków.

Wzdłuż Satsumy ustawił się rząd powozów. De Lambant i ja właśnie zamierzaliśmy opuścić port, kiedy wezwano nas do jednego z nich. Drzwi karety otworzyły się i ujrzałem w nich moją siostrę Katarinę. Uśmiechnęła się miło na powitanie.

Uściskaliśmy się serdecznie. Jej powóz był jednym z najbardziej zniszczonych. Farba, którą namalowano na drzwiach znak Manteganów odłaziła płatami. Siostra poprzez małżeństwo weszła do rodu, który popadł w ruinę. Mimo to sama wyglądała jak zwykle schludnie. Długie, czarne włosy związała surowo z tyłu głowy, odsłaniając miękki owal twarzy.

- Widzę, że obaj spędzacie dzień beczynnym - powiedziała.

- Po części wynika to z naszej natury, a po części to tylko pozór - przyznał de Lambant. - Nasze mózgi działają sprawnie... przynajmniej mój. Za twego biednego brata nie ręczę.

- Mój żołądek działa sprawnie. Co cię tu sprowadza Katarino?

Uśmiechnęła się odrobinę smutno i spojrzała na bruk.

- Także brak zajęcia, bo tak to można nazwać. Przyjechałam zobaczyć się z kapitanem okrętu i sprawdzić czy Volpato czegoś nie przysłał, ale nie ma żadnych listów do mnie.

Volpato, mąż Katariny, częściej przebywał poza domem niż w nim, a gdy był obecny, zwykle zamykał się u siebie. De Lambant i ja mruknęliśmy pocieszająco.

- Wkrótce przybędzie jeszcze jeden okręt - powiedziałem.

- Mój astrolog zawiódł mnie złą przepowiednią. Idę więc do katedry pomodlić się.

Pójdziecie ze mną?

- Kochana siostrzyczko, tego ranka naszym Stwórcą jest Kemperer. To on nas kreuje lub unicestwia. Zostań więc naszą Minerwą. Wkrótce odwiedzę cię na zamku.

Powiedziałem to lekkim tonem, próbując ją podnieść na duchu.

Odwróciła się w moją stronę i spojrzała na mnie z troską.

- Tylko nie zapomnij o tej obietnicy. Wczoraj wieczorem odwiedziłam ojca i rozegrałam z nim partię szachów.

- Dziwne, że ma czas na szachy zakopany w swych woluminach! *Dyskurs o konwergencjach - a może kongruencjach albo dywergencjach?* - nigdy nie mogę spamiętać - *między religią wielką, religią naturalną, mitraizmem a nozdrzami biskupa!*

- Nie naśmiewaj się z ojca, Perianie - powiedziała cicho Katarina, na powrót wdrapując się do powozu. - Jego praca jest ważna.

Sugestywnie wyciągnąłem ramiona w bok i przechyliłem głowę na znak skruchy i rezygnacji.

- Przecież kocham staruszkę i wiem, że jego praca jest ważna. Mam tylko dość jego kazań - powiedziałem na pożegnanie.

Razem z de Lambantem ruszyliśmy wzdłuż nabrzeża w stronę Bucintoro.

- Twoja siostra w gołębio-szarej sukni, choć poważna, wygląda ponętnie... Muszę jakiegoś pięknego wieczoru odwiedzić ją w zamkowej samotni, skoro ty tak bardzo się wzbranasz przed wizytami u niej. Podobnie zresztą jak jej mąż.

- Trzymaj swe sprośne myśli z dala od niej. Porzucając rozmowę o mojej siostrze, zaczęliśmy mówić o siostrze de Lambanta, Smaranie, której dzień zaślubin, wyznaczony przez sprzyjający układ konstelacji, wypadł za pięć tygodni. Myśl o trzech dniach rodzinnych uroczystości radowała nas także dlatego, że dwa łączące się rody de Lambantów i Orinich zatrudniły kompanię Kemperera, aby drugiego dnia zabawiła gości. Przynajmniej wtedy powinniśmy mieć pracę.

- Przedstawimy im taką komedię, że nigdy jej nie zapomną. Jestem nawet gotowy ponownie spaść ze schodów, jeśli ma ich to bardziej rozśmieszyć.

Szturchnął mnie w żebra.

- Módl się, abyśmy co zjedli przed tą datą, bo już widzę, jak stąpamy po deskach sceny w Świecie Cieni. Jesteśmy na rynku - rozdzielmy się!

Rynek sprzedawców owoców znajdował się na skraju dzielnicy Stary Most. O tak

wczesnej porze tłoczyli się tam kupujący, rozbrzmiewał gwar kłótni, plotek i bzyczenie os wielkich jak kciuki. De Lambant i ja szybko przemknęliśmy między straganami, odbijając się od klientów, okręcając wokół słupów, aby po chwili ze śmiechem przywitać się na drugim końcu z zapasem brzoskwiń i moreli.

- Oto i zapłata za dzień pracy - stwierdził de Lambant, gdy zajęliśmy się

przeżuwaniami. - Po co się przejmować Kempererem? On i tak nic dla nas nie ma. Lepiej chodźmy do Truny się napić. Pewnie Portinari też tam będzie.

- Och, zobaczmy się najpierw ze staruchem. Pokażmy mu, jak wychudliśmy z tęsknoty za rolami.

Przyjaciel uderzył mnie w pierś.

- Ja za nimi nie tęsknię. Mów za siebie.

- Na pewno nie zamierzam mówić za tego, kto sam mówić nie potrafi. Zupełnie nie rozumiem, jak kobiety znoszą twoje obrzydliwe sztuczki.

Na rogu ulicy, przy schodach wiodących do lichwiarza, stał pradawny mag zwany

Wszechludem. Wszechlud sterczał przy tych schodach zawsze, gdy omeny wróżyły dobrze, a było tak od moich pierwszych wycieczek na rynek, kiedy przynoszono mnie tu jeszcze na barana. Oblicze starca przypominało pysk kozła przywiązanego obok do palika. Mag miał

równie żółte oczy i kudłatą brodę, co zwierzę. Na żelaznym ołtarzu płonął suszony wąż.

Substancja, którą go posypano rozsiewała wokół charakterystyczny zapach religii naturalnej, który mój kapłan, Mandaro, zwykł pogardliwie nazywać „malacjańskim smrodem”.

W cieniu krużganka domu lichwiarza stał przygarbiony mężczyzna w futrzanym

nakryciu i radził się Wszechluda. Coś w jego sylwetce albo w sposobie, w jaki trzymał pod pachą skrzynkę, zwróciło moją uwagę. Wyglądał tak, jakby chciał stąd czmychnąć szybciej, niż mogły go unieść nogi. Zawsze uważnie obserwuję ludzi szukając gestów do

naśladowania, więc od razu rozpoznałem w nim mężczyznę, który zszedł z pokładu triremy.

Wokół stało wiele osób czekając na poradę Wszechluda. Kiedy mijaliśmy

zgromadzenie, mag wrzucił coś w gorący popiół na ołtarzu. W mgnieniu oka trysnął z niego jasnożółty ogień. Patrząc na płomień, poczułem na sobie bursztynowe spojrzenie Wszechluda.

Podniósł rękę i kiwnął na mnie palcem, czerwonym i poskręcany niczym kawałek trzewi.

Szturchnąłem de Lambanta.

- Wzywa ciebie.

Odpowiedział mi mocniejszym szturchnięciem.

- O ciebie mu chodzi, młody bohaterze. Wyjdź naprzeciw swemu przeznaczeniu!

Kiedy zbliżyłem się do ołtarza, jego gryzące wonie podrażniły mi gardło tak bardzo, że zakaszlałem. Ledwo dosłyszałem słowa, które Wszechlud skierował do mnie.

- Jeśli zdołasz stać spokojnie, możesz działać skutecznie.

- Dziękuję, panie - powiedziałem i zawróciłem do de Lambanta, który pośpiesznie się oddalał. Nie miałem denara na zapłatę, a w Malacji takie porady miały wielką wartość.

- Guy, jak myślisz, co to znaczy, jeśli w ogóle coś znaczy? „Jeśli zdołasz stać spokojnie, możesz działać skutecznie”? To pewnie ostrzeżenie przed zmianami. Och, jak ja nienawidzę naszych dwóch religii.

De Lambant wbił zęby w brzoskwinię, nie przejmując się tym, że słodki sok spływa mu po brodzie.

- To typowe dla mizoneizmu naszego wieku, mój drogi de Chiolo - odparł po chwili siląc się na uczony ton - jedno z zagrożeń życia w czasach oligarchii, jak sądzę... Ty buraku, przecież dobrze wiesz, o czym mówił ten stary kozioł. Jest lepszym krytykiem teatralnym, niż można przypuszczać. Pewnie ma nadzieję, że dzięki jego radzie wyleczysz się ze zwyczaju skakania po scenie i skupiania uwagi wszystkich na sobie.

Już mieliśmy się zacząć szamotać, gdy ktoś chwycił mnie za rękaw. Odwróciłem się, spodziewając się złodzieja. Przede mną stał stary mężczyzna w futrze i ze skrzynką pod pachą. Sapał z wysiłku, szeroko otwierając usta, dzięki czemu mogłem się dobrze przyjrzeć jego połamanym trzonowcom. Na twarzy starca malował się niepokój, podkreślony wyrazem niebieskich oczu. Tęczówki takiej barwy rzadko widywano w Malacji.

- Wybaczcie mi śmiałość, szanowni dżentelmeni. Domyślam się, że mam do czynienia z Perianem de Chiolo, czy tak?

Mówił z dziwnym akcentem. Przytaknąłem sadząc, że podobał mu się któryś z moich występów.

- Nie jestem, młodzieńcze, wielkim znawcą teatru, ale tak się składa, że napisałem sztukę, którą...

- Skoro tak, panie, jakiegokolwiek nosisz imię, nie potrafię ci pomóc. Jestem aktorem, a nie impresario, więc...

- Wybacz mi, nie miałem zamiaru prosić cię o przysługę, lecz zaproponować ci ją. - Z

godnością otulił się futrzaną kurtką, przyciskając do siebie skrzynię, jakby gest ten dodawał

mu pewności. - Nazywam się, młodzieńcze, Otto Bengtsohn. Nie pochodzę z Malacji, lecz z Tolkhormu na północy, skąd wiele lat temu wygnały mnie przeciwności, jakie dotyczą biednych i czynią ich życie przekleństwem. Wierzę, że tylko biedak pomóc może biedakowi.

Dlatego, jeśliś wolny, chciałbym ci zaproponować pracę.

- Pracę? Jaką pracę?

Twarcz mężczyzny przybrała niezwykle poważny wyraz; nagle stał się innym człowiekiem. Przyjrzał mi się tak, jakby się zastanawiał, czy nie popełnił błędu.

- Taką, jaką się zajmujesz, oczywiście. Rolę. - Jego wargi zacisnęły się jak zasznurowane. - Jeśli jesteś wolny, proponuję ci pracę przy mym zahnoskopie.

Spoglądając z góry na rozmówcę nie po raz pierwszy poprzysiągłem sobie nigdy się nie zestarzeć.

- Stary Bengtsohnie z Tolkhormu, czy masz rolę także dla mego dobrego przyjaciela, Guya de Lambanta, który jest niemal równie sławny, młody, biedny i utalentowany co ja?

- Czy biedak pomaga tylko jednemu biedakowi, czy może pomóc także dwóm? -

dorzucił de Lambant.

Starzec zwrócił się do niego.

- W moim skromnym przedsięwzięciu pozwolić sobie mogę tylko na jednego.

Wszechlud oraz mój osobisty astrolog wskazali, iż powinien nim być Mistrz Perian de Chiolo. Tak głoszą przepowiednie.

Spytałem, czym był ów jego zahnoskop.

- Czy to teatr?

- Nie mam teatru, Mistrzu. - Zniżył głos do dyskretnego szeptu. Przytrzymując się jednego z moich guzików, wsunął się między de Lambanta i mnie. - Nie chcę rozmawiać o tym na ulicy. Mam wrogów, a Państwo ma oczy. Przyjdź do mej skromnej kwatery, a sam zobaczysz, co ci proponuję. Teraz powiedzieć mogę jedynie, że chodzi o coś więcej niż o chwilę popularności. Zatrzymałem się niedaleko stąd, po drugiej stronie St Marco, w podwórku z wejściem od Ulicy Wystaw, pod Znakiem Ciemnego Oka. Przyjdź i zobacz.

Usłuchaj przepowiedni.

Pozłacana berlinka przejechała zbyt blisko nas. Dzięki niej zdołałem się odsunąć nie tracąc guzika.

- Wracaj sobie do swego ciemnego oka na swój ciemny podwórzec, czcigodny

przyjacielu. My mamy swoje sprawy, którym daleko do ciebie i twoich gwiazd.

Znieruchomiał, mocno ściskając skrzynkę pod pachą i ponownie sznurując usta. Jego twarz straciła wyraz. Nie znać było na niej ani rozczarowania, ani złości. Tylko niepokojące spojrzenie mówiło mi, że zapisał mnie w odpowiedniej kolumnie skrupulatnych rachunków, jakie prowadził w myślach. Nie zwracał uwagi na mijających go ludzi spieszących w jedną i w drugą stronę.

- Powinieneś najpierw sprawdzić, co ci oferuje. Nigdy nie trać szansy na zadatek, de Chirolo - powiedział de Lambant, kiedy ruszyliśmy przed siebie. - Ma dość zniszczony strój, ale mógłby być bogatym skąpcem. Może wyjechał z Tolkhormu z całym skarbem miasta.

- „Mam wrogów, a państwo ma oczy...” - odparłem naśladowując północny akcent starca.

- Pewnie należy do Postępowców, albo do innej równie mrocznej grupy. Znam się na ludzkich charakterach, Guy. Wierz mi, ten dziwak nie miał do zaoferowania nic prócz swego szaleństwa.

- Może masz rację.

- Nie pamiętam, abyś kiedykolwiek się ze mną zgodził.

Wypluł pestkę brzoskwini do rynsztoka.

- Ja też się znam na ludziach i wiem, że Pozzi Kemperer nie ma dla nas nic prócz czubka buta z jeleniej skóry i poczęstuje nas nim, jeśli dziś rano pokażemy mu nasze gęby.

Nie zmieniłem zamiarów, chcę się wybrać do Truny. Portinari pewnie tam już siedzi, jeśli nie wpadł w łapy ojca. I Caylus też, jeśli nie zdeptały go byki. Łączy mnie z Caylusem coraz większa przyjaźń. Chodź ze mną.

- Zgodziłeś się pójść do Kemperera. Skrzywił się pogardliwie.

- Lecz teraz się nie zgadzam. Wiem, że chcesz tylko zobaczyć jego małą żonkę.

Podobasz się jej bardziej niż ja. Krótkowzroczna ladacznica. No cóż, pewnie się spotkamy wieczorem u Truny.

- Skąd ta nagła sympatia do Caylusa? - Caylus Nortolini był młodym szlachcicem z licznymi bliźniami po cięciach mieczem i ze sporą liczbą dziewczek na koncie; jego pogardliwy sposób bycia nie wszystkim przypadł do gustu.

De Lambant uklonił się pokornie i wyciągnął przed siebie łapę, jakby prosił o jałmużnę.

- Caylus zawsze jest przy groszu i nie skąpi go innym. Lubi imponować, a mnie

zaimponować łatwo... - Łapa zmieniła się w szpon, a głos zmienił barwę. - Zauważyłem, że jego siostra, Bedalara, jest niezwykle piękna i hojna. Spotkałem ją z Caylusem w Arenie. Jej pojawienie się rozpało moje serce i nie tylko.

Z tymi słowy ruszył w swoją stronę siląc się na chód, który w zamiarze miał wyglądać nieskromnie.

Gdy znikł między kolumnami Pałacu Gości, zawróciłem ku dzielnicy Fragrant, gdzie mieszkał nasz czcigodny impresario. Właśnie tutaj, przez stulecia rozkwitu Bizancjum, z okrętów wpływających do końca Kanału Vamonal przenoszono ich aromatyczne ładunki do wysokich magazynów. Teraz handel przygasł, a wiele magazynów zamieniono na domy mieszkalne. Na ulicy panował spokój. Dwóch lotnych przemknęło mi nad głową grając na fletach.

W powietrzu, niczym wspomnienie, unosiła się słaba woń kardamonu i goździków.

Stanąłem przed bramą prowadzącą na dziedziniec domu Pozziiego Kemperera. Zawsze miałem trudności z dostaniem się do środka. Musiałem wyminąć warczące psy, połamane powozy i fragmenty posągów. W niemal stale zacienionej klatce siedział Albert, smutny człekokształtny leniwiec dawno temu przywieziony z Nowego Świata. Zanim został skazany na cienistą egzystencję, był ulubieńcem domowników, aż do dnia, gdy zaskoczył nagiego Pozziiego w ramionach podobnej Junonie primadonny i w niepohamowanej zwierzęcej zazdrości zatopił zęby w pośladku pana. Teraz musiał jadać z psami. Na zawsze pożegnał się z okruciami z pańskiego stołu. Kemperer nie potrafił przebaczać. A jego pośladki nie goiły się szybko.

Nie mogłem wybrać lepszej pory na odwiedzin. Na nakrytym do śniadania stole

wciąż jeszcze parowała kawa. Krzesła odsunięto, a Kemperer wraz z żoną próbowali fragment jakiejś sceny za kurtyną w przeciwległym krańcu sali. Przez chwilę stałem w półmroku, patrząc na kontury ich postaci ostro nakreślone słońcem wpadającym przez wysokie okna - przejrzystość światła dorównywała wspaniałości głosu La Singli.

Byli tak zajęci sobą, że żadne z nich mnie nie zauważyło. Ona znajdowała się w innym świecie, on nie spuszczał z niej wzroku. Idąc ku nim zabrałem ze stołu cienkie plastry sera i wędzonej szynki, ozdobnie zwinięte na wzorzystych talerzach i wcisnąłem je w jeszcze ciepły rogalik pochwycony z gniazda wiklinowego koszyka, w którym spoczywał. Na wszelki wypadek wcisnąłem przekąskę za koszulę.

La Singla podniosła głos. Wyglądała w każdym calu jak królowa. Była królową.

Kemperer dyrygował nią trzymając w dłoni książkę. Jego chudość i gwałtowne ruchy przypisywałem zbytnej nerwowości, ale przy żonie zyskiwał taki wdzięk i lekkość, że nigdy nie wiedziałem, które z nich inspirowało drugie.

Z królewskich ust La Singli płynęły głośne słowa pogardy. Jeszcze nie włożyła

dziennego stroju. Na stopach miała lekkie pantofle, a złote włosy, niedbale związane białą wstążką, miękko otaczały kontur jej szyi. Choć figurę miała pełną i urzekającą, kryło się w niej coś z

przysadziści pokoleń malacjańskich wieśniaków, wśród których zakwitła (według jednej z plotek na temat jej pochodzenia). Jednocześnie emanowała majestatem. W

odgrywanej scenie krzyczała do umierającego kochanka na polu bitwy, która rozegrała się w zamierzchłych czasach.

- „Nie obawiaj się, Padraiku, pomszczę twe stracone życie! Nie wrogowie, lecz po stokroć gorsi przyjaciele przyczynili się do twojej zguby. To nie wojna, to zdrada. Zniszczę ją, wyrwę z korzeniami - bo czyż nie pochodzę z wielkiego rodu wojowników, generałów, admirałów, wielkich książąt? Moi przodkowie zamieszkiwali kamienne miasta Sasqui-Halai i z nich wyruszyli, aby unicestwić owe na wpół człowiecze armie Shainu i Thraistu, które przed milionem lat...”

- Nie, mój grzybku. „Przed *milionem* lat...”

- Właśnie tak powiedziałam. „Przed milionem *lat*, z...”

- Nie, nie, moja kochana, proszę, posłuchaj: „przed *mi-lionem* lat...” Akcentując to inaczej, zakłócasz rytm. - Odsłonił żółte zęby w półuśmiechu, w którym wilcza zachłanność mieszała się z pokorną prośbą.

- „Przed *milionem* lat, z prehistorycznych dżungli wypełzły. Wzywam armie mej nienawiści...”

Zauważyła mnie przy kurtynie i na powrót stała się La Singla. Przemiana ta nastąpiła nagle. Jej twarz rozszerzyła się w szczerym, dobrodusznym uśmiechu. Maria, La Singla, była mniej więcej w moim wieku. Miała ładne zęby, cudne oczy i brwi, ale najbardziej uwielbiałem jej piękną naturę. Kemperer, rozwścieczony tym, że mu przerwano, warknął na mnie.

- Jak śmiesz wkładać się do pańskiego domu, ty szczeniaku? Jak śmiesz wchodzić bez zapowiedzi? Dlaczego moja prywatność stale zakłócana jest przez gburów, krewnych i miernych aktorzyńców? Natychmiast wzywam jednego z moich ludzi...

- Kochany Pozziku - gwałtownie zaprotestowała La Singla.

- Lepiej ugryź się w język ty rozpustnico, zanim nie każę i ciebie obić kijami! -

Nastrój Kemperera zawsze zmieniał się gwałtownie. Dlatego wszyscy baliśmy się go, a za plecami przedrzeźnialiśmy.

- Jak mogłem się oprzeć dźwiękom tej boskiej tragedii o Padraiku i Hedzie? -

spytałem starając się załagodzić sytuację.

- Dziś nie ma dla ciebie pracy i dobrze o tym wiesz. Wpadasz tu...

- Ja nie wpadam. Mylisz mnie mistrzu z Gersaintem.

- Wkradasz się tu...

- Maestro, pozwól mi jeszcze posłuchać tragedii o Padraiku. Nigdy nie mam jej dość.

- Za to ja mam dość ciebie. Moja droga Maria ma wyrecytować poemat przed

turniejem podczas Świąta Buglewinga, ot co. Próbuję nią pokierować, poprowadzić, jak lis wabiący kury. Staram się uszlachetnić jej nierówną dykcję.

- Nigdy nie śmiałabym stanąć na scenie bez twojej nauki, mój kochany mężu - pisnęła żona lisa, podchodząc do niego tak blisko, że mogła spojrzeć ponad jego osypanym łupieżem ramieniem na mnie.

Udobruchany połaskotał ją pod brodą.

- No dobrze już, muszę teraz przypudrować perukę i udać się na turniejową arenę, aby sprawdzić, czy dobrze ustawili naszą łożę. Samemu trzeba o wszystko zadbać, bo inaczej nic nie jest takie, jak powinno... Atencja wobec szczegółów świadczy o geniuszu człowieka...

Prawdziwy artysta nigdy nie gardzi pragmatyzmem... Rzeczywistość jest gliną fantazji...

„Przed milionem lat, z prehistorycznych dżungli wypęzły...” Śmiała kwestia, jeśli się ją odpowiednio przedstawi.

Mamrocząc w dobrze znany mi sposób, Kemperer miotał się po pokoju

przygotowując się do wyjścia. Asystowali mu w tym La Singla i służący. Skorzystałem ze sposobności, wyjąłem swój prowiant i ugryzłem kęs.

Kemperer włożył perukę i pozwolił, aby służący pomógł mu wbić się w kaftan.

Spojrzał na mnie podejrzliwie.

- Chyba rozumiesz, co powiedziałem, de Chirolo? Zagrasz Albrizziego na ceremonii zaślubin de Lambantówny z Orinirn. To tyle. W Bizancjum nie dzieje się najlepiej, zrękwini jest mało, nie ma więc sensu, abyś sterczał pod moimi drzwiami licząc na łaskę.

- W takim razie zostanę i pomogę La Singli ćwiczyć rolę Hedy - powiedziałem

podnosząc otwartą książkę z sofy.

Wściekł się i wyrwał mi wolumin.

- Nie będziesz jej w niczym ćwiczył. Wystarczy, że okażesz jej nienaganny szacunek.

Wy, młodzi głupcy, macie się za chwatów i zakłóacie spokój mojej drogiej żonie! Pójdiesz ze mną. Nie zostawię cię samopas w moim domu.

Zatrzymałem się w pół kroku.

- Z przyjemnością będę ci towarzyszył, maestro. Moja reputacja zyska na tym, jeśli mnie z tobą zobaczą. Mam nadzieję, że nie wątpisz w czystość mego szacunku dla La Singli, wspaniałej aktorki naszej ery.

Udobruchany, ale nie na tyle, żeby przestać mamrotać, chwycił mnie za ramię, zanim zdążyłem złożyć wytworny, pożegnalny ukłon jego żonie i ruszył przez dziedziniec patrząc prosto przed siebie. Nie obejrzał się nawet na Alberta, który na widok pana wydal z siebie żaloszny terkot.

Kiedy wyszliśmy na ulicę i brama zamknęła się za nami, spytałem go, dokąd idzie.

- A dokąd ty zmierzasz, de Chirolo? - Kemperer miał podejrzliwą naturę.

Z nadzieją wskazałem na północ, w kierunku St Braggart, myśląc, że on uda się na południe do Areny, gdzie podczas świąt odbywały się turnieje.

- Ja idę w przeciwną stronę - stwierdził - więc muszę się pozbyć twego towarzystwa.

Co za strata, oj, oj! Zapamiętaj sobie, że przed rolą Albrizziego nie masz na co liczyć. Jeśli będzie inaczej, poślę po ciebie. Nie wążaj się tu. I nie myśl, że mnie ta beczyność odpowiada bardziej niż tobie. Latem wielkie rody wyjeżdżają z miasta. Poza tym, gdzieś niedaleko Malacji maszeruje przeklęta osmańska armia, a to zawsze wróży źle teatrowi.

Wszystko wróży źle teatrowi.

- Z niecierpliwością czekam na ponowne spotkanie - powiedziałem.

Ukloniliśmy się sobie.

Stał bez ruchu, z założonymi rękami, nie odrywając stóp od ziemi. Patrzył jak

odchodzę i skręcam za róg ulicy. Od niechcienia obejrzałem się za siebie. Wciąż mnie obserwował. Drwiąco pomachał mi na pożegnanie, odprawiając mnie ruchem kościstego nadgarstka. Za rogiem ulicy skryłem się za kolumnami pierwszej bramy, na jaką się natknąłem i tam zaczekałem, wyglądając od czasu do czasu, aby sprawdzić, co się dzieje. Tak jak przypuszczałem, po chwili za rogiem pojawił się Kemperer. Z chytrą miną, uważnie rozejrzał się wokół. Kiedy się upewnił, że odszedłem, wymamrotał coś pod nosem i zawrócił.

Zaczekałem, aż się oddali i ruszyłem z powrotem pod jego bramę. Zadzwoiłem i

wkrótce wpuszczono mnie do słonecznej La Singli.

Zanim wróciłem, na przejrzystą nocną koszulę narzuciła niebieski, luźny peniuar z jedwabiu, ale wcale nie wyglądała na bardziej ubraną. Włosy opadały jej na ramiona mieniąc się złotem. Przy każdym ruchu powiewały wstążki.

Siedziała przy stole, delikatnie podnosząc filiżankę z kawą do warg.

- Pamiętaj, że muszę ci okazać nienaganny szacunek - powiedziałem.

- Mam nadzieję, że nie tylko - wymruczała spoglądając na biały obrus na stole i w pełni demonstrując długość rzęs.

Skoczyłem ku niej, ukląknąłem obok krzesła i ucałowałem jej dłoń. Dała znak, abym wstał. Przycisnąłem ją do siebie. Dopiero po chwili poczułem, jakie spustoszenie jej obfite piersi spowodowały w moich zapasach szynki, sera i chleba.

- A niech to, moja tunika! - krzyknąłem wyciągając resztki jedzenia zza pazuchy.

La Singla roześmiała się najpiękniejszym i najdoskonalej wyćwiczonym śmiechem, jaki słyszałem.

- Musisz zdjąć koszulę, drogi Perry. Pójdź za mną do buduaru.

- Widzisz, jak wygłodzony bywa biedny aktor. Zdarza mu się kraść jedzenie ze stołu kobiety, którą podziwia najbardziej na świecie! - powiedziałem ze śmiechem, kiedy wbiegliśmy do pachnącego pokoju. - W mojej tunice znajdziesz szynkę, a pomyśl tylko, co może się kryć w bryczesach...

- Cokolwiek tam jest, na pewno mnie nie zaskoczy. - Na dowód prawdziwości swych słów zaczęła szarpać koronkowe wiązanie na plecach, które podtrzymywało jej strój.

Po chwili z dwojga staliśmy się jednością. Z zachwytem turlaliśmy się po sofie. Jej pocałunki były gorące i zachłanne, jej ciało cudownie jędrne. W jej mały księżycowy staw-jak nazywali to miejsce ludzie ze wschodu - trafiłem swą barką, aż wody uniosły się i wystąpiły z brzegów z siłą sztormu, której nie sposób pojąć zmysłami. Po chwili, niczym skończenie szczęśliwi rozbitkowie, legliśmy obok siebie w łożu. Spojrzałem na jej bujnie porośniętą wyspę.

- „... z gorącej prehistorycznej dżungli wytrysnęły...”

- przekręciłem cytat.

Zaczęła mnie całować miękko, aż moja barka ponownie podniosła żagiel. Kiedy

przyciągnąłem ją do siebie, powoli pokiwała na mnie palcem w niemym upomnieniu.

- Sekretem szczęścia jest niedosyt. Ani bogacze, ani rewolucjoniści nie uznają tej tak prostej prawdy. Nacieszyliśmy się już sobą i wiemy, że przyszłość obiecuje więcej. Nie możemy ufać, iż mój mąż pozostanie z dala od domu tak długo. Jest szaleńczo zazdrosny, biedaczyna, i uważa mnie za idealną wszetecznicę.

- Jesteś idealna - stwierdziłem sięgając pysznych wzgórków jej piersi, ale ona już się podnosiła i narzucała suknię.

- Idealna, być może, ale nie wszetecznicą. Prawdą jest Perianie - choć pewnie nigdy tego nie zrozumiesz, ponieważ kierują tobą tylko żądze - że jestem o wiele bardziej uczuciowa niż rozwiązała.

- Jesteś cudowna.

Kiedy się ubraliśmy, poczęstowała mnie sokiem z melona i wspaniałym plastrem quitainy.

- Znasz niejakiego Bengtsohna? - spytałem jedząc.

- Starca o niebieskich oczach, cudzoziemca, który twierdzi, że wszędzie ma wrogów.

Pochodzi z Tolkhormu i napisał sztukę.

Zaniepokoiła się.

- Pozzi zatrudnił go do malowania dekoracji. Był dobrym pracownikiem, ale chyba należy do Postępowców.

- Zaproponował mi pracę przy swoim zahnoskopie. Co to takiego ten zahnoskop?

- Za dużo mówisz! Błagam cię, kończ jedzenie i pozwól, że cię wypuszczę bocznymi drzwiami, zanim Pozzi wróci i wpadnie w taki szał zazdrości, że przez całe tygodnie nie da nam spokoju.

- Chciałem z tobą porozmawiać...

- Wiem, czego chciałeś.

Poczęstowałem się jeszcze kurzą nóżką i posłusznie wyszedłem. Nie widziałem wad w pięknej La Singli i zawsze pragnąłem spełniać jej prośby. Interesowały ją głównie łoża i sztuka. Być może właśnie dlatego miała tak łagodne usposobienie. Uważałem nasz układ za najzupełniej sprawiedliwy. Kemperer powinien płacić podatek w naturze za tak cenną własność.

Na zewnątrz radość opuściła mnie niemal zupełnie, pozostawiając warstwę tak cienką, jak me odzienie. Miałem mniej niż nic. Ojciec mnie nie wspierał. Z pomocy siostry nie zamierzałem korzystać. Mogłem wprawdzie iść do tawerny, ale bez jednego denara przy duszy trudno oczekiwać, że przyjaciele przywitają cię z otwartą kiesą. Większość z nich była w podobnym położeniu, prócz Caylusa oczywiście.

Z braku lepszej rozrywki chodziłem za różnymi mieszkańcami, obserwując ich kroki i miny. Tak dotarłem do placu St Marco. Zwykle stragany stały już na miejscu i jak co rano przewijał się między nimi tłum wieśniaków i towarzyszących im kobiet. Konie i muły stały przywiązane po cienistej stronie Ulicy Wzniesienia.

Na skraju wielkiego placu, tłocząc się pod kolumnadą Domu Starych Obyczajów,

znajdowały się budy dla szukających rozrywki starszych i dzieci. Tam można było obejrzeć dwugłowe cielęta, pradawne dioramy, ruszające się ludzkie szkielety, wschodnich żonglerów, żywe zwierzęta sprzed lat, zaklinaczy węży z Bagdadu, wróżbitów, marionetki, jaskrawe pokazy

magicznych latarni i wyczyny nie większych od psów kudłatych kłaczy.

W dzieciństwie, razem z siostrą uwielbialiśmy te zaczarowane kramy. Najbardziej lubiliśmy magiczne teatrzyki z panoramami rozbitych statków, obrazkami z życia szlachetnie urodzonych i wspaniałymi krajobrazami. Wciąż tu były, takie same jak dawniej.

Nie był to zwykły dzień. Od niepamiętnych czasów, w pierwszy czwartek każdego

miesiąca zbierała się Malacjańska Rada Najwyższa. Nie żebym się zaraz przejmował

sprawami siwogłowych, ale starszych to interesowało. Przepychając się przez tłum słyszałem, jak mówili o Radzie.

Biskup Gondale IX publicznie pobłogosławił Radę. Obrady odbywały się za

zamkniętymi drzwiami. Ich rezultatów nigdy nie ogłaszano. Można się było jedynie domyślać, co zaszło, obserwując, kto znika w przepastnych lochach Fetter. Taki nieszczęśnik trafiał tam w sprawne ręce kata i zostawał publicznie stracony między dwoma posagami desporckich slobbergobów z brązu, przy katedrze na placu St Marco, albo w dość zniekształconej formie pojawiał się w różnych dzielnicach miasta, a czasem znajdowano go z twarzą napoczętą przez szczupaki w wirach rzeki Toi. Jeśli Rada uznawała za słuszne pozbyć się ich, oznaczało to, że byli wichrzycielami. Cieszyłem się, że wszystko się tak sprawnie odbywa, ku powszechnemu zadowoleniu obywateli. Od niepamiętnych czasów Najwyższa Rada miała obowiązek chronić Malację przed zmianami.

Poczułem, że mam w ustach włos. Wyciągnąłem go spomiędzy zębów. Był złoty i

kręcony. Najwyższa Rada mogła sobie utopić wszystkich obywateli w kanale, bylebym tylko mógł się znaleźć bliżej La Singli i paść się na jej wzgórku.

Straganiarze byli niezwykle dyskretni. Dobrze wiedzieli, że pokój w Malacji

pomagała utrzymać sieć informatorów, ale od kilku dowiedziałem się, że Rada obradowała właśnie nad sprawą balonu wodorowego Hoytoli, zastanawiając się, czy można go

zatwierdzić. Nikt nie pojmował zasad działania tej nowatorskiej maszyny, ale sama nazwa

„balon wodorowy Hoytoli” nadawała urządzeniu magiczną aurę i moc, przynajmniej w tawernach. Na rezultaty musieliśmy jeszcze poczekać; do Rady należała ostateczna decyzja w sprawach wszelkich nowości.

- Według mnie, powinni pozwolić balonowi latać. Wtedy moglibyśmy się stać równi lotnym - powiedział jeden z kupców, blady mężczyzna z niebieskawymi policzkami, i miną równie niewinną, co nieżywe gęsi w jego koszu.

- Najbardziej interesujące rzeczy dzieją się na ziemi - odparłem. - Bohaterowie, mężowie, heretycy niech zostawią powietrze słońcu i duchom.

Nic nie wiedziałem o Hoytoli. Wysyłanie w górę małych baloników napełnionych

gorącym powietrzem, od wieków należało do ulubionych rozrywek malacjańskich dzieci.

Pamiętałem nudne wywody ojca, który kiedyś tłumaczył mi, że wielka flota takich baloników powiązanych ze sobą mogłaby przenieść całą armię i zaskoczyć osmańskiego wroga.

Opublikował nawet pamflet na ten temat. Potem jednak odwiedził go kapitan Milicji dając do zrozumienia, że nie powinien się dłużej zajmować bieżącymi problemami.

Wystarczyło, że istnieli lotni, którzy niewiele się różnili od zwykłych ludzi, poza tym, że mieli skrzydła. Mówili tym samym językiem, podobnie jak my zawierali małżeństwa i umierali na zarazę. Trzech z nich przeleciało nad rynkiem i wylądowało na szczycie zegarowej wieży; w typowym dla tych tradycyjnych malacjańskich strażników schronieniu.

Kilku właścicieli straganów wołało za mną, gdy ich mijałem. Pewnie oglądali moje występy organizowane to tu, to tam, i podobała im się moja gra. Jaka szkoda, że u szczytu aktorskich możliwości nie miałem szansy występować przed tymi, którzy je doceniali.

Kiedy tak mamrotałem do siebie w złości, nagle usłyszałem:

- Ależ mistrzu de Chirolo, wyglądasz, jakbyś dźwigał na swych barkach cały ciężar starego, drewnianego świata!

Dostrzegłem podkradającą się do mnie chudą postać Pstrokatego Pete'a, zwanego tak, ponieważ wśród siwizny na jego głowie zachowało się kilka kępek czarnych włosów. Należał

do lalkarzy, na których mówiono fantoccini. Za nim stała duża rama w pasy, z zaciągniętymi aksamitnymi kurtynami.

- Nic mnie nie trapi, Pete. Po prostu ćwiczyłem w myślach rolę, tak jak twoje kukły odgrywają swoje partie w skrzyni. A tobie świat nie dokucza?

Nie powinienem był zadawać tego pytania. Pete szeroko rozwarł ręce w rozpaczliwym geście i uniósł czarno-białe brwi, oskarżycielsko spoglądając w niebo.

- Sam widzisz na co mi przyszło. Grywam na ulicach przed łobuzami i obdartusami, ja, którego kiedyś zapraszano do najwspanialszych domów w całym kraju. Moje tańczące figurki zawsze miały widzów. I mój mały Turek, który chodził po linie i ucinał głowę księżniczce. Damom się to bardzo podobało. Wszystkie lalki rzeźbione z różanego drzewa miały ruchome oczy i usta. Najlepsze fantoccini w całym państwie.

- Pamiętam tego Turka. Czy coś się zmieniło?

- Moda. Gusta. Takiej zmianie Najwyższa Rada nie mogła zapobiec, tak jak nie

potrafią zapobiegać temu, że noc się zmienia w dzień. Za ledwie przed rokiem miałem sługę do

noszenia ramy. Dobry był z niego człowiek. Teraz sam muszę to wszędzie dźwigać.

- Tak, kiedyś były lepsze czasy.

- Mieliśmy sporo roboty dzięki uroczym soirees. Teraz to już przeszłość. Nie raz miałem honor występować przed młodym księciem w pałacu Renardów i przed

zagranicznymi emisariuszami w Błękitnej Sali pałacu Biskupa Elekta - bardzo stosownie, bez nieobyčajnych scen, choć wszystkim podobała się Egzekucja i prosili o bis. Płacono mi w dziesięciu różnych walutach. Ale teraz popyt spada. Będę musiał udać się tam, gdzie wciąż docenia się sztukę fantoccini.

- Do Bizancjum?

- Nie, Bizancjum to teraz zakurzona dziura. Powiadają, że ulice brukuje się tam kośćmi dawnych mistrzów fantoccini, no a do tego u bram jak zawsze stoją Turcy Osmańscy.

Udam się do Tuscadii lub do odległej Igary, gdzie podobno wciąż mają złoto i styl oraz entuzjazm. Jedź ze mną. Może się okazać, że to idealne miejsce dla aktorów bez pracy.

- Jestem zajęty, Pete. Dopiero co odwiedziłem Kemperera - a wiesz, jak on potrafi człowieka wymęczyć - a teraz zmierzam do Mistrza Bengtsohna, który pilnie mnie potrzebuje.

Pstrokaty Pete opuścił jedną z brwi o kilka centymetrów i odpowiednio zniżył głos.

- Na twoim miejscu, Mistrzu Perianie, trzymałbym się z dala od Ottona Bengtsohna.

Pewnie wiesz, że to wichrzyciel.

Wyraz jego twarzy rozśmieszył mnie.

- Przysięgam, że jestem niewinny!

- Nikt z nas nie jest niewinny, jeśli ktoś nas za winnych uważa. Biedacy powinni być wdzięczni za to, co im dają bogaci, zamiast ich wykorzystywać i spiskować.

- Twierdzisz, że Bengtsohn...

- Ja przecież nic nie mówię. - Rozglądając się wokół podniósł głos, tak jakby miał

nadzieję, że cały tętniący życiem rynek go usłyszy. - Twierdzę jedynie, że my, biedacy wiele zawdzięczamy bogaczom tego kraju. Oni by sobie bez nas poradzieli, ale my bez nich nie, prawda?

Temat ten wprawiał Pete'a i otaczających nas ludzi w zakłopotanie. Ruszyłem dalej myśląc, że może jednak powinienem odwiedzić Bengtsohna.

Idąc boczną alejką ku Ulicy Wystaw, przypominałem sobie, że Pstrokaty Pete

występował kiedyś, dawno temu, w domu mego ojca. Matka jeszcze wtedy żyła, a moja siostra Katarina i ja byliśmy małymi dziećmi.

Przedstawienie nas oczarowało. Gdy magiczna rama została złożona i schowana, mój ojciec wstał.

- Oto widzieliście, jak działa Tradycja. Podobało wam się, ponieważ mistrz fantoccini trzymał się form komedii powstałych wiele pokoleń wstecz. W ten sam sposób szczęście nas wszystkich, którzy żyjemy w naszym niewielkim utopijnym państwie Malacja, zależy od zachowania praw, które założyciele ustanowili dawno, dawno temu.

Przeszedłem przez błotnistą boczną drogę, przy której wyrosło kilka jarmarcznych straganów. Im dalej od placu St Marco, a bliżej Ciemnego Oka, tym biedniej wyglądały. Przy wejściu na podwórzec stała Tawerna Skórzasty Kieł krztusząc się wieśniakami o czerwonych twarzach, z których każdy pił wydając z siebie inny odgłos, inną z tego czerpiąc radość i różne strojąc miny. Wokół nich uwijały się dziwki, żony, osły i dzieci, którym na harmonii przygrywał muzykant. Jego towarzyszka chodziła w tłumie z kapeluszem, prowadząc na smyczy małego kurczowęża o czerwonej łusce, który podskakiwał za nią na tylnych nogach jak tańczący pies.

Obok tawerny stały stragany ze świeżymi śledziami. Wsadziłem poły kurty pod pachy, aby się precyzyjnie przesuwać przez tłum. Pod murem kilku pijaków na przemian sikało i rzygało.

Wystające poza parter piętra i okapy budynków zaciemniały dziedziniec. Kierując się w jego głąb, napotkałem Ottona Bengtsohna, który właśnie mył ręce przy pompie, nadal ubrany w zniszczone futro.

Miał blade, nieowłosione ramiona naznaczone sznurkami żył; brzydkie, ale zdolne do pracy. Ochlapał twarz, po czym wytarł dłonie w poły kurtki i odwrócił się, aby mi się przyjrzeć. Za nim, w drzwiach, stało dwóch młodzików, którzy także uważnie mnie obejrzel.

- Widzę, że zmieniłeś zdanie! I po co było tamto przedstawienie? No cóż, przywilej młodości.

- Przypadkiem właśnie tędy przechodziłem. Skinął głową.

- Wszecclud się nie mylił. - Starzec stał patrząc na mnie i przesuwając dłońmi w górę i w dół po wierzchu kurtki. W końcu nie wytrzymałem.

- Co to takiego ten zahnoskop?

- Interesy później, mój młody przyjacielu. Najpierw muszę coś przekąsić, jeśli nie masz nic przeciwko temu. Właśnie się wybierałem do Skórzastego Kła, może do mnie dołączysz?

- Z przyjemnością. - Przynajmniej miałem jakąś korzyść ze spotkania starucha. -

Trochę mi burczy w brzuchu.

- Nawet biedni muszą jeść. My, którym pisane jest zmienić świat, musimy się

odżywiać... Pewnie sądzisz, że nie powinniśmy myśleć o zmienianiu Malacji, prawda?

Jeszcze się przekonamy... - Uśmiechnął się chytrze. Wskazał na prazwierza o skórzastych zębach widniejącego na znaku nad tawerną. Przedstawiono go z rozpostartymi skrzydłami. -

Żeby tu jeść, trzeba mieć szczęki jak ten stwór. No i jak, de Chirollo, wstąpimy do tego biednego przybytku?

Wepchnęliśmy się do tawerny.

Bengtsohna znano tu i szanowano. Już po chwili brudna dziewczka postawiła przed

nami zupę, chleb, kulki z mięsa i ostrej papryki oraz dzban. Zabraliśmy się za jedzenie, nie zważając na napierający na nas tłum. Jadłem z apetytem.

Po chwili z westchnieniem napełniłem kufel.

- Dobrze dla odmiany mieć w południe pełny żołądek - powiedziałem i zachnąłem się.

- Dlaczego mówię „dla odmiany”? Wszyscy dziś gadają o odmianach i zmianach - to pewnie przez zebranie Rady.

- Gadają, owszem, ale z gadania nic nie wynika, podobnie jak z morskiej piany.

Malacja nigdy się nie zmienia. Nie zmieniła się przez tysiące lat i nigdy do tego nie dopuści.

Nawet rozmowy o zmianach się nie zmieniają.

- A ten... zahnoskop, to nie zmiana?

Puścił widelec, machnął rękami i syknął na znak, bym zamilkł. Pochylając się ku mnie pokręcił głową i opryskał mi twarz na wpeł przezutym mięsem.

- Nie zapominaj, że choć rozmowy o zmianach są właściwe i na miejscu, każdy kto śmie je wprowadzać **W NASZYM DROGIM, STARYM, NIEZMIENNYM MIEŚCIE** -

podniósł głos dla efektu, jednocześnie macając stół w poszukiwaniu widelca - może skończyć w nurcie Toi z gardłem pociętym na paski...

Przez chwilę jedliśmy w milczeniu. Starzec przerwał je.

- Zajmuję się sztuką i tylko ona mnie interesuje - powiedział tonem sugerującym, że to co chce powiedzieć może szczególnie interesować podsłuchiwaczy. - Na szczęście sztuka cieszy się ogromnym zainteresowaniem naszego drogiego miasta, podobnie jak religia.

Sztuka jest bezpieczna. Na świecie nie ma lepszego miejsca na zgłębianie jej arkanów, choć tam, w niebiosach wiedzą, że niewielka z tego korzyść. Ale nie śmiem narzekać. Nie wiem tylko, jak mam przetrwać następną zimę z taką chciwą żoną... No dalej, wytrzym miskę skórką od chleba i chodźmy do warsztatu. Praca jest najważniejsza jeśli sprawiedliwie za nią płacą.

Ponownie przeszliśmy przez podwórzec do pracowni - ciemnego i brudnego

pomieszczenia, zagraconego różnego rodzaju przedmiotami. Bengtsohn zatoczył ręką krąg, wskazując swoich uczniów na ławach. Niektórzy przeżuwali kawałki chleba.

- Tłoczno u was.

- To nie moje. Nie do mnie należy pracownia. Mogą mnie stąd wyrzucić choćby jutro i to ze śladami po butach zwierchnika. Jesteśmy w wielkim zakładzie, największym w Malacji. Warsztaty te i fabryki szkła sąsiadują z wielką galerią wystaw. Pewnie tam byłeś.

Mówię o galerii Andrusa Hoytoli.

- Tego od „wodorowego balonu Hoytoli”.

- To nie ma nic do rzeczy. Mieszkam tu już wiele lat, odkąd z rodziną przybyłem z Tolkhormu. Wierz mi, zdarzają się mistrzowie gorsi niż Hoytola. Poznaj Bonihatcha. On także jest tu obcy. To dobry człowiek. - Starzec wskazał jednego z pomocników, stojącego nieopodal w samej tylko koszuli.

Bonihatch był w moim wieku, ciemny, mały i żyłasty, z nieporządnymi bokobrodami.

Skinął głową, podejrzliwie przyglądając się memu odzieniu, ale nie odezwał się do mnie.

- Rekrut? - spytał Bengtsohna.

- Zobaczymy - odparł starzec.

Po tej tajemniczej wymianie zdań, Bengtsohn w asyście opryskliwego Bonihatcha

pokazał mi część swoich prac. Małe pomieszczenie wydzielone z głównego warsztatu mieściło mnóstwo slajdów poukładanych na półkach według kategorii. Starzec wybrał kilka na chybił trafił, abym mógł je obejrzeć w migotliwym świetle lampy naftowej. Wiele z nich było dziełem Bengtsohna. Należał do artystów tworzących dzieła surowe, lecz efektowne.

Niektóre z ręcznie malowanych przezroczystych płytek wyglądały naprawdę ładnie, zwłaszcza te przedstawiające naturę. Kolory i perspektywa dalekie były od ideału, ale całość robiła wrażenie. Był tam widok arktycznego krajobrazu, z odzianym w futro mężczyzną jadącym saniami po lodzie. Sanie ciągnął renifer, a całą scenę oświetlało niebo pełne północnych ogni odbijających się w lodowcu.

Kiedy trzymałem płytkę pod światło, starzec dostrzegł coś w mojej twarzy.

- Podoba ci się, prawda? - powiedział. - W młodości dotarłem do lodowej krainy za Północnymi Górami. Tak tam właśnie jest. Zupełnie inny świat.

- Ładne.

- Wiesz jak malujemy te przezrocza? Wskazałem stosy szklanych płytek piętrzące się wokół i długi

stół, przy którym pracowali pomocnicy maczając pędzle w słojach z farbami.

- Jedyną tajemnicą produkcji jest twój geniusz, Mistrzu.

Pokręcił głową.

- Sądzisz, że rozumiesz proces, ale nie rozumiesz systemu, na którym się on opiera.

Weź na przykład nasze regiony. Zawsze cieszą się popularnością. Podróżni z odległych stron sporządzają szkice bajecznych miejsc, które odwiedzili. Potem wracają do domu, do Bizancjum, szwedzkiego Kijowa, Tolkhormu, Tuscadii lub w inne słynne miejsca, gdzie ich szkice zamieniane są w ryciny i sprzedawane jako ilustracje w księgach lub oddzielnie. Nasza fabryka potem kupuje takie książki i artyści zmieniają ryciny w przezrocza. Różnica polega na tym, że przezrocza żyją, ponieważ światło uzupełnia obrazy. Rozumiesz?

- Rozumiem. Ja także z dumą nazywam siebie artystą, choć w pracy skupiam się

głównie na ruchu, nie na grze światła.

- Światło jest wszystkim.

Poprowadził mnie zagraconym przejściem, w którym po obu stronach stały arkusze blachy. Znaleźliśmy się w innym warsztacie. Tutaj, wśród smrodu i dymu, mężczyźni w fartuchach tworzyli magiczne latarnie, jeden z produktów warsztatów Hoytoli. Niektóre były tanie i pośledniego gatunku, inne wyglądały jak dzieła mistrza, z wysokimi i wąskimi kominami oraz mahoniowymi elementami osadzonymi w mosiądzu.

W końcu Bengtsohn poprowadził mnie z powrotem do malarni. Tam przez chwilę się przyglądaliśmy jak młoda, najwyżej piętnastoletnia, dziewczyna kopiowała rycinę na szkło.

- Widok jest przenoszony na przezrocze - wyjaśnił starzec. - Być może jest piękny, ale nie jest precyzyjny. Jak moglibyśmy dokładniej przenieść widok na szkło? Otóż opracowałem idealnie skuteczny sposób - Zniżył głos, aby dziewczyna, która ani na moment nie podniosła wzroku znad szklanej płytki, nie mogła słyszeć tego, co mówił. - Nowa metoda wymaga użycia zahnoskopu.

- To rewolucyjne urządzenie - po raz pierwszy odezwał się Bonihatch.

Zaciskając dłoń wokół mięśni mego ramienia, Bengtsohn pociągnął mnie do kolejnego pomieszczenia, bardzo ciasnego, z oknem obramowanym ciężką kotarą. W jednym jego krańcu znajdował się wspornik przypominający pulpity do nut. Nad nim świeciła się lampa, a obok stała napełniona wodą kula. Pośrodku pokoju dostrzegłem coś, co przypominało niezdarne tureckie działo. Zbudowano je niemal w całości z mahoniu łączzonego bogato grawerowanym mosiądzem. Przednia część składała się z pięciu sześciennych fragmentów, z których każdy był mniejszy od poprzedniego i zwężał się ku wylotowi. Całość wspierała się na solidnej podstawie zakończonej czterema mosiężnymi kołami.

- Czy to działo? - spytałem.

- To urządzenie ma wprawdzie niszczącą siłę, ale niszczy ona tylko ludzki

samozachwył. To po prostu mój zahnoskop. Nazwałem go tak na cześć niemieckiego mnicha, który wymyślił projekt.

Postukał w wylot urządzenia.

- Tutaj znajduje się soczewka, która skupia promienie światła. Oto i cały sekret!

Specjalna, duża soczewka, jakich malacjańscy rzemieślnicy nie wytwarzają. Dopiero dziś rano przypląnęła statkiem i właśnie ją zamontowałem. Miałem ją przy sobie, gdy Wszechlud wezwał cię do siebie.

Postukał w inną część.

- Tu jest lustro. To także część tajemnicy! A teraz pokażę, jak to działa.

Wziął z półki kolorowy widok krajobrazu i umieścił go na pulpicie. Podkręcił knot lampy i odpowiednio ustawił kulę z wodą między stojakiem a lampą, tak by światło skupiało się na widoku. Potem zasłonił okno kotarą. Pomieszczenie oświetlała teraz jedynie lampa naftowa. Bengtsohn wskazał mi krzesło obok urządzenia.

Czułem się tak, jakbym siedział przy stole, którego blat wykonano ze szkła. I oto zobaczyłem na szkle idealnie odwzorowany widok krajobrazu, wyraźny i równie kolorowy, co oryginał!

- Piękne, Mistrzu! Macie tu wspaniałą magiczną latarnię.

- To narzędzie, nie zabawka. Umieszczamy szkło przezroczy przed projektorem i

potem ustawiamy tę oto tubę - która dostosowuje ogniskową soczewek - tak długo, aż otrzymamy dokładny rozmiar obrazka, jaki ma się znaleźć na przezroczu. Wymiary oryginalnej ryciny nie mają znaczenia. Potem możemy skopiować widok z wielką

dokładnością.

Klasnąłem w ręce.

- Jesteś nie tylko artystą! Jesteś aktorem! Tak jak ja sprawiasz, że mierny materiał

nabiera życia, potęgujesz go i nadajesz mu żywe barwy, aby zachwycić widzów... Ale po co ja jestem wam potrzebny? Nie potrafię przecież malować.

Wysunął dolną wargę i spojrzał na mnie mrużąc oczy.

- Ludzie dzielą się na dwa rodzaje. Na zbyt chytrych i zbyt głupich, by im ufać. Nie umiem ocenić, do której grupy ty należysz.

- Mnie można ufać. Wszyscy ufają Perianowi de Chirolo. Wystarczy zapytać

Kemperera, dla którego niegdyś pracowałeś. On zna mnie bardzo dobrze. Jego żona także może o mnie powiedzieć dobre słowo.

Zignorował moją uwagę. Patrzył przed siebie, zastygły w pozie, jaką przybierałem grając Ślepego Kedgorea.

- Potrzebuję młodego mężczyzny o dość otwartym umyśle... Im człowiek bardziej

posuwa się w latach, tym trudniej mu pojąć niektóre rzeczy... - Odwrócił się do mnie. -

Dobrze więc, zaufam ci, młodzieńcze, ale ostrzegam cię, że tego, co ode mnie usłyszysz, nie możesz wyjawiać nikomu, ani najlepszemu druhowi, ani nawet najmilszej twemu sercu dziewczynie. Chodź, przejdziemy się galerią wystaw. Tam ci opowiem o moim wynalazku i zamiarach...

Odsunął zasłony, przyciemnił lampę i poprowadził mnie z powrotem do pracowni.

Tam wspięliśmy się po stopniach do drzwi. Za nimi znaleźliśmy się w innym świecie, w którym nie znano nieporządku. Wkroczyliśmy do elegancko urządzonej galerii. Wzdłuż jej ścian, na łatwo dostępnych regałach umieszczono tysiące szklanych przezrocz. Można je było wypożyczać za różne kwoty, w zależności od jakości i tematu. Znajdowały się tam długie serie z dwudziestu lub trzydziestu płytek, obrazami opowiadające o pradawnych herosach, oraz doskonale przedstawienia napaści i katastrof, które cieszyły się największą popularnością. W galerii przechadzali się elegancko ubrani ludzie przyglądając się przezroczom. Bengtsohn zniżył głos.

- Choć miejsce to śmierdzi przywilejami, zachowuje zarazem, część tradycji kultury Malacji, podobnie jak muzeum hrabiego Renardo. Andrus Hoytola wykorzystuje tanią siłę roboczą, wszystkim o tym wiadomo. Jest wrogiem klasowym, jeśli w ogóle można o takich mówić w Malacji, a mimo to jest nie tylko kupcem, jest też artystą i wizjonerem. Co się jednak tyczy mego wynalazku...

Bengtsohna otaczała dziwna aura tajemniczości, która nie odpowiadała mojej szczerzej naturze. Poprowadził mnie w róg sali obiecując, że objaśni mi sprawy wciąż niezrozumiałe dla ogółu.

- Światłym alchemikom już od dawna wiadomo, że istnieją pewne sole, które są czułe na światło i tolerują je, bądź go nie znoszą, dlatego niektórzy sądzą, iż pochodzą one ze słońca lub z księżyca. Opracowałem proces, w którym odpowiednia mieszanka jodku srebra przenosi na szklaną płytkę obraz tego, co zostanie umieszczone przed zahnoskopem. W

drugim procesie, wykorzystując olejek lawendowy i podgrzaną rtęć utrwała się obraz na szkle. To jest jak malowanie bez użycia rąk, mój drogi de Chirolo...

Uśmiech odmładzał go o wiele lat.

- Dlaczego akurat mnie powierzasz swój sekret? Pokręcił głową.

- Sekret nie jest mój, lecz Natury. Dostępny jest wszystkim, którzy chcą go poznać.

Nie pojmujesz tyranii państwa, w którym żyjemy.

- Kocham miasto, w którym się urodziłem.

- Nie mogę tego krytykować, ja, który pochodzę z obcej ziemi. Niemniej jednak wiem, że postęp naukowy, jaki ci opisałem jest tłamszony... Odmawia się nam sprawiedliwości - i piękna.

Chwycił jedną z płytek z wystawy i zmusił mnie, bym spojrzał na nią pod światło.

Przedstawiała wybuch wulkanu. Patrzyłem przez plujący krater, z którego spływały strumienie lawy znacząc ośnieżone zbocza - i ujrzałem jedną z najpiękniejszych twarzy, jakie dane mi było kiedykolwiek oglądać, z pięknie zarysowanym nosem, parą ciemnozłotych oczu i ustami rozchylającymi się w olśniewającym uśmiechu - choć nie do mnie skierowanym - i delikatną kaskadę niesfornych loków, kruczoczarnych, związanych z tyłu niebieską wstążką.

Twarz ta zmaterializowała się przede mną zza wulkanicznego wybuchu. Po chwili

odwróciła się profilem, po czym przeszła w fazę całkowitego zaćmienia, pozostawiając w polu widzenia tylko tył głowy i wstążki. Ale nawet ten widok wydał mi się ekscytujący.

Nigdy dotąd nie widziałem profilu tak cudownego i tak niezwykle oryginalnego, z fizjonomią zdominowaną przez szlachetny nos, który nie wydawał mi się za duży nawet o jeden cudowny milimetr.

Nieznacznie obniżając płytkę z Wezuwiuszem, przyjrzałem się ciału, na którym tkwiła tak bajeczna głowa. Ocenić je mogłem tylko od tyłu. Widziałem wąską talię, hojne biodra i pośladki, którym piękno żadnych śnieżnych zboczy wulkanu dorównać nie mogło. Czarującą postać otulała długa, szeleszcząca suknia z brzoskwiniowego jedwabiu, z trenem ciągnącym się po podłodze. Me zmysły estetyczne, pobudzone proporcjami twarzy, ustąpiły pożądaniu.

Postanowiłem, że muszę za wszelką cenę zbliżyć się do tej piękności.

Tymczasem Bengtsohn nadal ciągnął swój dziwaczny wywód, błędnie pojmując powód mego zachwyty.

-... ten piękny widok nie powstał dzięki pracy ludzkich rąk...

- Cieszę się, że nie tylko ja tak sądzę.

- Ekscytujący efekt połączenia ognia i śniegu...

- O tak, niezwykle połączenie...

- Owszem, ale imitacja imitacji...

- Nie, w to nie uwierzę! Wreszcie mam przed sobą rzecz prawdziwą.

- Pochlebiasz mi, choć zahnoskop rzeczywiście utrwałać może rzeczy prawdziwe,

inspirację czerpiąc wprost z życia, a nie ze sztuki...

Odłożyłem przezrocze. Zjawisko właśnie opuszczało galerię. Mogłem już nigdy jej nie zobaczyć, tracąc szansę na poznanie pełni szczęścia.

- Proszę o wybaczenie, Maestro. Ja także wolę życie od sztuki. Dlatego muszę się zająć swoimi sprawami.

Widząc, że zamierzam odejść, chwycił mnie za rękę.

- Proszę, wysłuchaj mnie, młodzieńcze. Proponuję ci pracę i pieniądze. Wszechlud nie mógł się mylić. Przecież nie masz zajęcia ani grosza przy duszy. Chcę wypróbować nowe możliwości zahnoskopu. Chcę merkuryzować - tak nazywam ten proces - chcę merkuryzować na przezroczach całą historię, której bohaterami będą prawdziwi aktorzy, a nie malowane obrazki. Odniesiemy wspaniałą sukces. Wywołamy rewolucję, a ty odegrasz w niej ważną rolę. Wróć teraz ze mną do warsztatu, gdzie będę ci mógł wszystko dokładnie objaśnić.

- Właśnie widziałem przyjaciółkę - kim jest ta światła istota w drugim krańcu galerii?

Jego głos zabrzmiał ostrzej.

- To Armida Hoytola, córka właściciela galerii, trudna, niestała dziewczyna. Jest pasożytem, wrogiem naszej klasy. Nie marnuj na nią czasu.

- Serdecznie dziękuję za posiłek, ale nie mogę dla was pracować. Wszechlud spojrzał

w niewłaściwą konstelację. Czeka mnie inna robota, bardziej odpowiednia...

Skłoniłem się przed nim i odszedłem. Zastygł w bezruchu, krzyżując ręce na futrzanej kurtce i robiąc zabawną minę.

Para drzwi w odległym końcu galerii prowadziła do kafejki. Moja cudna istota właśnie wchodziła tam w towarzystwie przyjaciółki. Nigdzie w pobliżu nie dostrzegłem ich opiekunek. Przyjaciółka wyglądała na rówieśnicę - Armidy? - Armidy! Także była panną wyjątkowej urody - pulchna, o kasztanowych lokach. W zwykły dzień bez wątplenia zwróciłaby moją uwagę; miała tylko jedną wadę - towarzyszyła boskiej Armidzie. Razem tworzyły piękną parę, ale ja widziałem tylko jedną z dziewcząt.

Przystanąłem w drzwiach zastanawiając się, czy powinienem wyglądać chmurnie, czy wesoło. Ubogi strój kazał mi wybrać drugą możliwość.

Obie panny właśnie siadały przy stoliku. Gdy Armida zajęła miejsce, nasze oczy się spotkały. Przez salę popłynął strumień zwierzęcego magnetyzmu. Kierując się impulsem i nie uwalniając jej wzroku, podszedłem do stolika i chwyciłem jedno z wolnych krzeseł.

- Drogie panny - powiedziałem, choć zwracałem się tylko do jednej - oblicza wasze zdradzają tak ogromną ludzką życzliwość, że pozwoliłem sobie dołączyć do was nieproszony i narzucić wam me towarzystwo. Rozpaczliwie potrzebuję porady, a ponieważ jesteśmy sobie zupełnie obcy, możecie bezstronnie radzić mi w chwili, gdy całe me życie znajduje się o krok od klęski.

Sposób ich bycia ochłodził znacznie, gdy zacząłem mówić. Wymieniły spojrzenia, a ja dostrzegłem, że towarzyszka o kasztanowych włosach także była nie lada piękną, choć nie dorównywała smukłości i elegancji Armidy. Jej pulchność miała za to niezaprzeczalny urok. Nie wiem, co sobie przekazały wzrokiem; wiem jedynie, że kiedy ponownie spojrzały w moją stronę, lód nieco stopniał.

- Może pana kryzys pozwoli panu wypić z nami czekoladę - zaproponowała Armida.

Jej głos brzmiał jak lekka melodia.

Wdzięczny za zaproszenie, usiadłem.

- Tylko pięć minut... Potem pilne sprawy wzywają mnie w inne miejsce. Podobała się pannom wystawa?

- Jest nam dość dobrze znana - odparła Armida lekceważąco machając dłonią. - Jaki to kryzys panu grozi? Zaciekawileś nas bardzo, co, jak przypuszczam, było twym zamiarem.

- Wszyscy w życiu doświadczamy kryzysów. - Wiedziałem, że to im nie wystarczy. -

Otóż mój ojciec - powiedziałem próbując naprędce coś wymyślić - jest człowiekiem niezwykle surowym. Zmusza mnie, abym postanowił o mojej przyszłej karierze. Do końca tygodnia muszę mu dać odpowiedź czy przyłączę się do Armii, czy do Kapłanów Wielkiej Religii.

- Jestem pewna, że twe serce jest dość czyste dla Kościoła. - Armida uśmiechnęła się tak ciepło, że na jej uśmiechu mógłbym ugotować jajko. - A czy ma w sobie dość odwagi potrzebnej w Armii?

- Mój dylemat polega na tym, że jako dobry syn, pragnę zadowolić ojca, ale chcę zostać kimś więcej niż tylko zwykłym mnichem albo grenadierem.

Dwie zgrabne główki przechyliły się na bok, wywołując zupełny zamęt w mojej głowie. Obie panny przyglądały mi się uważnie.

- Dlaczego nie zostanie pan aktorem? - odezwała się kasztanowowłosa. - Kariera bardzo urozmaicona i dostarcza innym wielu przyjemności.

Moje nadzieje wzrosły tak gwałtownie, że sięgnąłem po jej dłoń spoczywającą na stole i chwyciłem ją.

- Jakże się cieszę, że panna mi to doradza!

- Okropność, tylko nie aktorem! - wtrąciła się Armida. - Aktorzy są biedni, a

odgrywane przez nich historie takie nudne... To najniższa forma zwierzęcego życia! Bez możliwości rozwoju. - Skutek słów, które padły z tak pięknych warg był natychmiastowy.

Moja krew natychmiast znacznie się ochłodziła. Niemal zamarzła. Na szczęście Armida uratowała sytuację pochylając się ku mnie dodając szeptem - Ostatnio Bedalara zadurzyła się w aktorze - a jest przystojny, to gwarantuję - dlatego sądzi, że męskość nie jest nic warta, jeśli co wieczór o siódmej nie staje w blasku świateł sceny.

Bedalara pokazała przyjaciółce ładny język.

- Po prostu mi zazdrościsz!

Armida odpowiedziała jej tym samym, wystawiając jeszcze ładniejszy język. Przez cały wieczór mogłem się przyglądać takiej rywalizacji, wyobrażając sobie, jak serdecznie moje usta przyjęłyby tak zwinny, mały języczek. Obraz ten zupełnie zaprzątnął moje zmysły.

Dopiero po chwili uświadomiłem sobie, że już wcześniej tego dnia słyszałem imię Bedalara.

Wprawdzie poufała mina Armidy udobruchała mnie, ale rozmowa przybrała

chłodniejszy ton. Panny raz po raz zerkwały na siebie, a ja przyglądałem im się markotnie.

Na szczęście przyniesiono czekoladę w srebrnym dzbanku i wszyscy troje zajęliśmy się pić.

Bedalara pierwsza odstawiła filiżankę i oznajmiła, że musi iść.

- Wszyscy wiemy, z kim się zamierzasz spotkać, więc nie udawaj skrepowanej -

powiedziała Armida. Po odejściu przyjaciółki, zwróciła się do mnie. - Ten jej nowo odkryty aktor nie ma pracy, więc mogą się sobą cieszyć, gdy tylko przyzwoitka Bedalary zniknie z pola widzenia. Mój towarzysz, który jest ważną postacią - jego imienia niestety nie mogę wyjawiać

- dziś, podobnie jak w wiele innych dni, zajęty jest obowiązkami,.

Uznałem jej słowa za nieuprzejme.

- Być może panna sobie życzy, abym ją opuścił...

- Może pan iść lub zostać, jak pan chce. Nie prosiłam, by się pan przysiadł.

Uznałem, że nie ma sensu okazywać urazy.

- Postąpiłem tak z własnej woli, to prawda; lecz teraz nie potrafię nieprzymuszony odejść. Czar panny jest tak wielki, że nie zniechęciłby mnie nawet tuzin ważnych dżentelmenów, pijanych lub trzeźwych. Wydawało mi się, iż ten argument poskutkuje.

Lekko wyduła wargi w półśmiechu.

- Śmiesznie bym wyglądała na ulicy, gdyby pan biegł za moim powozem. A pan wyglądałby jeszcze mniej roztropnie podążając za mną niczym pies.

- Mam zasadę. Nigdy nie biegam za powozami. Może raczej się przejdziemy.

Wyberzmy się do Parku Trundles i sprawdźmy, ilu przechodniów będzie się z nas śmiało.

Wstałem i podałem jej ramię. Podniosła się - cóż za gracia kryła się w tym ruchu! La Singla nie zrobiłaby tego lepiej.

- A ja mam zapłacić za czekoladę, którą pili wszyscy? - spytała z powagą.

- Czyż miejsce to nie należy do pani ojca? Obraziłaby pani tych ludzi oferując im zapłatę.

- Wie pan kim jestem... Mnie wiele kręgów społeczeństwa Malacji nie jest znanych, dlatego nie wiem z kim mam do czynienia.

Przedstawiłem się jej. Zauważyłem, że imię moje było jej obce, choć zważywszy jej niechęć wobec aktorów, nie należało się temu dziwić.

Ponownie podałem jej ramię. Oparła na nim cztery palce w rękawiczce.

- Może mnie pan odprowadzić do powozu - zezwoliła.

- Idziemy na spacer po parku.

- Zuchwałość pozwala panu sądzić, że na to przystanę. Absolutnie nie mogę pozwolić, by mnie z panem widziano.

Staliśmy patrząc na siebie. Z bliska wyglądała zachwycająco. Jej twarzy nie brakowało urody, lecz wokół ust czaiła się tęsknota kontrastująca z manierą wyższości.

- Czy mógłbym się z panną zobaczyć jutro, w okolicznościach przez pannę wybranych?

Poprawiła włosy i wplecione w nie wstążki, po czym włożyła kapelusz przyniesiony przez kelnera. Jej wargi ułożyły się w uśmiech.

- Przecież jutro już zajmą pana bitwy lub modły, nieprawdaż?

- Ani miecze, ani święte śluby nic dla mnie nie znaczą przy pani. Jest pani taka piękna, Armido, nigdy nie widziałem nikogo tak pięknego.

- Nie brak panu śmiałości, ale niekoniecznie uważam to za wadę. Niestety, jutro czeka mnie pewne zadanie - naturalnie nie żadna praca - dlatego nie będę miała dla pana czasu.

Ruszyliśmy ku drzwiom. Lokaj otworzył je przed nami i uklonił się nisko, kryjąc błysk zazdrości w oczach. Wyszliśmy na ulicę skąpaną w świetle dnia, niemal pustą w południowej porze sjeisty, w której zastygała cała Malacja.

- O jakie zadanie chodzi?

Ledwo dostrzegalnie zmarszczyła doskonałe brwi.

- To nie pańska sprawa. Tak się składa, że muszę wypełnić wolę rodziców, którzy sądzą, iż nie mają dość moich portretów. Kochani. Dlatego mam pozwać szalonemu cudzoziemcowi, który u nas pracuje, niejakiemu Ottonowi Bengtsohnowi. Podobno jest szczególnego rodzaju artystą.

Choć ociągałem się jak mogłem, byliśmy już przy jej powozie. W słońcu świecił

niczym wypolerowana korona. Wspaniała klacz czekała między drzewcami zaprzęgu.

Upudrowany woźnica otworzył przed Armidą drzwiczki. Uniosła brzoskwiniowe spódnice, aby wejść po stopniach i odjechać.

- Musimy się tu rozstać. Miło mi było pana poznać.

- Jestem pewien, że się jeszcze spotkamy. Uśmiechnęła się.

Drzwi trzasnęły i woźnica wspiał się na tył powozu. Rozległ się świst bata. Armidą pomachała dłonią. Ruszyli. „Jeśli zdołasz stać spokojnie, możesz działać skutecznie”, nie, nie tej chwili dotyczyły słowa wieszczka.

Gdy się odwróciłem, galerię zamykano już na czas sjeisty i zaciągano story. Powoli odszedłem.

To niemożliwe, bym się zakochał.

Wędrując ulicami, w myślach studiowałem naszą krótką rozmowę. Byłem za biedny

dla Armidy Hoytoli. A jednak zwróciła na mnie uwagę. Przypuszczałem, że Bedalara, to siostra Caylusa Nortoliniego, o której wspomniał de Lambant. Skoro Bedalara spotykała się z aktorem poniżej swego stanu, być może jej przyjaciółka także mogła się skłonić ku tej modzie. W mej wyobraźni pojawił się nieproszony obraz mego ślubu z Armidą. Ujrzałem, jak swobodnie wchodzę do społeczności, o której wiedziałem, że mi się spodoba...

Wizja uleciała, a ja zostałem ze wspomnieniem tego, co powiedziała o pozowaniu Bengtsohnowi. Oto moja szansa!

Natychmiast zawróciłem i skręciłem z szerokiej Ulicy Wystaw w wąskie alejki,

którymi kluczyłem, aż ponownie stanąłem w półmroku podwórca domu Ciemnego Oka.

W najciemniejszym zakątku stała grupa mężczyzn w dziwnych odzieniach.

Dostrzegłem tam również kobiety w różnym wieku. Kiedy wszedłem na dziedziniec wszyscy z niepokojem odwrócili się ku mnie. Jeden z mężczyzn, dzierżąc gruby kij, wystąpił naprzód; był to Bonihatch, pomocnik, którego wcześniej poznałem.

- Czego chcesz?

- Muszę porozmawiać z Bengtsohnem.

- Jesteśmy zajęci. Teraz mamy zebranie, nie widzisz? Zmykaj stąd, tak jak zrobiłeś to wcześniej.

Za uczniem pojawił się Bengtsohn.

- Jest pora sjęsty i rozmawiamy o wyścigach gołębi, de Chirolo - powiedział łagodnie.

- Czego ode mnie oczekujesz? Opuściłeś mnie dość niespodziewanie.

Ukloniłem się mu.

- Najmocniej przepraszam za nieuprzejmość. Miałem do spełnienia misję.

- Tak to wyglądało.

- Jestem zainteresowany pracą, jaką mi zaoferowałeś. Zechciej wyjaśnić, czego dokładnie ode mnie wymagasz.

- Przyjdź tu dziś wieczorem. Wtedy z tobą porozmawiam. Teraz jestem zajęty.

Spojrzałem na Bonihatcha, który stał nieopodal nie opuszczając kija.

- Być może do wieczora zostanę mnichem, ale zrobię wszystko co w mojej mocy, by się tutaj stawić.

Jak wielką potęgę ma miłość! Żadna inna siła nie zmusiłaby mnie do odwiedzenia tego potwornego podwórca trzykrotnie w ciągu jednego dnia - a jak wielkie poświęcenie okazałem przy tym damie, która sprawiała wrażenie niestałej, próżnej i kto wie jakiej jeszcze.

Ale nie potrafiłem się jej oprzeć.

Jak mądrze czuje się człowiek zostając głupim sługą miłości!

- Nawet głupiec podołałby temu zadaniu - oświadczył Bengtsohn. - Dlatego, jak sądzę, Wszechlud wskazał aktora.

Wieczorną porą, starzec wyglądał niemal groźnie, kryjąc się w cieniu między

dymiącymi latarniami. Zapadnięte oczy to znikwały, to znów błyskały w oczodołach. Gdy gestykulował snując wyjaśnienia, jego długie palce przypominały szpony.

- Już opowiadałem, jak odkryłem metodę merkuryzacji rzeczywistych obrazów w

zahnoskopie. Utrwała się je na szklanych płytkach. Mam ambicję przedstawienia tą metodą opowieści. Potrzebuję ludzi, aktorów. Na początek ma to być prosta historia. Małe dęby rodzą duże żołędzie. Zamierzam merkuryzować postaci aktorów na tle rzeczywistych lub malowanych scenerii. Dzieło będzie niezwykle oryginalne i bez wątpienia wywoła pewne konsekwencje. Zostaniesz jedną z postaci prostego dramatu. Jego sceny przedstawione zostaną na szkłe o wiele wierniej, niż zdołałby tego dokonać artysta. A wszystko dlatego, że obrazy będą prawdziwe, namalowane światłem - światłem, które jest ogromną, naturalną potęgą dostępną wszystkim bez wyjątku, tak bogatym, jak i biednym.

- To tak, jakby podczas przedstawienia na scenie zatrzymano akcję i nagle wszystkich chwycił paraliż - powiedziałem próbując zakłócić jego natchnienie.

- Wy, aktorzy jesteście tacy nietrwali. Kreślicie gesty w powietrzu i nic po nich nie zostaje. Kurtyna idzie w dół i całość popada w zapomnienie. Ale jeśli zastosujemy zahnoskop i merkuryzację, wówczas wasze pozy staną się wieczne, odgrywana sztuka będzie trwała bez końca. Śmiem twierdzić, że dramat, jaki dla mnie odegracie, koneserzy wciąż będą oglądać, gdy ty się zestarzejesz albo umrzesz, młody Perianie!

Na takie twierdzenie mogłem się tylko roześmiać. Starzec wyglądał absurdalnie, głaszcząc starą magiczną latarnię z wąskim szklanym kominem, tak jakby oczekiwał, że pojawi się przed nim dżin.

- Cóż to za wielki dramat mam odegrać? Zamierzasz umieścić na szkłe Sofoklesa lub Senekę?

Zbliżył się do mnie. Potem zawrócił. Po chwili znowu podszedł i chwycił moje dłonie tylko po to, by zaraz je puścić i unieść ręce ku niebu.

- Perianie, moje życie to pasmo kłopotów. Otaczają mnie wrogowie. Dlatego pragnę, abyśmy mogli nie tylko razem pracować, ale też sobie ufać.

- Kiedy się poznaliśmy powiedziałeś mi, że masz wrogów, a państwo ma oczy. -

Brzmiało to bardziej wiarygodnie teraz, w dusznych ciemnościach pracowni starca, niż wcześniej, na zalanej słońcem ulicy.

- Musimy sobie ufać. Obaj znajdujemy się w podobnej sytuacji. Ten świat nie jest dla nas bezpieczny. Ja jestem stary i mam na utrzymaniu żonę, ty jesteś młody i wolny, ale wierz mi, że bogowie - a co ważniejsze, ludzie - odwrócili się od nas obu. Taka jest teraz sytuacja polityczna. Mam dwie pasje, sztukę i sprawiedliwość. Im jestem starszy, tym ważniejsza staje się dla mnie sprawiedliwość. Nienawidzę patrzeć jak bogaci ścierają w pył biedaków, nienawidzę.

- Takie jest prawo natury. Ja sam zamierzam kiedyś się stać bogaty.

Starzec podrapał się w głowę i westchnął.

- A zatem odłóżmy sprawiedliwość na później. Na razie pomówmy o sztuce. Czy to ci bardziej

odpowiada?

- Opowiedz więc o swoim dramacie.

Ponownie westchnął i kręcąc głową rozejrzał się po nieporządnej pracowni.

- Młodzi są tacy maluczcy.

- Niepotrzebnie tak mówisz. Dlaczego starzy zawsze pogardzają młodymi? Jestem świetnym aktorem, o czym możesz się przekonać. Sztuka jest moim życiem. Jeśli więc zależy ci na mojej pomocy, opowiedz o swym dramacie.

- Mój drogi młodzieńcze... No tak, trzymajmy się sztuki, skoro sobie tego życzysz! Ja kocham wszelkie rodzaje sztuki, wszelkie - także dramat - choć jestem za biedny, by się wszystkimi zajmować. Dla potrzeb pierwszej merkuryzowanej opowieści napisałem sztukę zatytułowaną *Księżę Mendicula*; czyli *Radosna tragedia Księcia i Patrycji oraz Generała Geralda i Jemimy*.

- Zastanawiający tytuł. Czymże jest owa radosna tragedia?

- Smutną komedią, tak można powiedzieć. Jeszcze nie obmyśliłem szczegółów, a

raczej obmyśliłem, ale nie do końca... Mam ze szczegółami trochę trudności. W rzeczy samej, dla uproszczenia obrazu na szkłe, planuję sztukę bez szczegółów...

- Czy mam zagrać rolę Księcia Mendiculi? Rozjaśnił się demonstrując braki w uzębieniu.

- Ty, mój drogi chłopcze, masz za mało lat, by zostać Księciem Mendicula. Zagrasz szarmanckiego Generała Geralda. - Bengtsohn zaczął roztaczać przede mną wspaniałość tragedii, która miała wzbogacić, o ile nie zaćmić, dotychczas znaną na świecie sztukę dramatyczną. Z całych sił starałem się skupić na jego słowach. Mówiąc coraz szybciej poprowadził mnie do bocznego składziku i pokazał mi rekwizyty do przedstawienia.

Wyglądały bardzo skromnie. Kostiumy były niemal zupełnie wytarte.

Planami Bengtsohna interesowałem się z nadzieją, że wiążą się one z boską Armidą Hoytolą. Zaczynałem jednak dostrzegać dodatkowe korzyści dla mojej kariery. Bengtsohn miał potężnego mecenasa - ród Hoytolów - a gdyby merkuryzowana sztuka rzeczywiście trafiła w gusta ogółu, zyskałbym na tym, że moje imię łączono by z całym przedsięwzięciem.

Przerwałem starcowi opowieść.

- Nie pozwolisz mi zagrać Księcia?

Zabębnił palcami lewej dłoni w zapadnięty policzek.

- Bardziej pasuje do ciebie rola Geralda. Będzie z ciebie dobry generał. Brak ci dostojności, by zagrać Mendiculę.

- Mógłbym odmienić twarz brodą i poczernić zęby, przykleić brodawkę, zrobić wszystko, co uznasz za stosowne. Kogo wyszukałeś do roli księcia?

Zacisnął wargi.

- Chyba rozumiesz, że jest to - jak mam to powiedzieć? - zupełnie nowe

przedsięwzięcie. Wszyscy podejmujemy ryzyko. Stać mnie na zapłacenie jednemu tylko aktorowi, czyli tobie. Masz odpowiedni wygląd i skromną reputację. Księcia mógłby zagrać jeden z chłopców z warsztatu, niebrzydki pomocnik, Bonihatch.

- Bonihatch? Ten z żółtymi bokobrodami? A jakież on ma doświadczenie? Przecież jest tylko czeladnikiem!

- W merkuryzowanym przedstawieniu nie trzeba wiele grać. Bonihatch to dobry człowiek. Mogę na nim polegać. Musi wziąć udział w sztuce, tak postanowiłem.

- A pozostałe role? Księżniczka Patrycja?

- Na Lady Jemimę, którą księżę jest urzeczony, wybrałem szwaczkę mieszkającą w tym podwórku, Letycję Złotoróg. Chętnie się zgodzi za grosze. Smutne dzieje jej rodziny są jeszcze jednym świadectwem panującej niesprawiedliwości. Jej wuj jest moim przyjacielem, przyjacielem biedy. Dziewczyna jest ładna. Tak, tak, małej Letycji niczego nie brakuje.

- A jakiej to utalentowanej i pięknej istocie przeznaczyłeś rolę Księżniczki Patrycji?

Uśmiechnął się kwaśno.

- Sądziłem, że sam to już odkryłeś. Sukces naszego przedsięwzięcia zależy, niestety w dużym stopniu, od mego pracodawcy. Musimy się z nim liczyć. By zadośćuczynić jego woli -

tylko i wyłącznie - rola Księżniczki Patrycji przypadnie Armidzie Hoytoli. Wielka to pociecha, że dziewczyna nie jest brzydka.

- Armida jako Patrycja... Ach, przecież wiesz już, że sztuka jest dla mnie wszystkim.

Co za przypadek! Armida, którą ledwie znam, także ma zagrać w twoim przedstawieniu. Ale to nieważne, chcę pracować z tobą, aby poznać wspaniałą nową formę dramatyczną, którą opracowałeś do perfekcji.

- Zatem staw się tu rano punktualnie o ósmej, to mi wystarczy. Będziemy mieli dość czasu na rozmowę. Proszę też, abys przez czas jakiś trzymał nasze przedsięwzięcie w tajemnicy. Nie chwał

się nikomu, jeśli tylko zdołasz.

Zadziwiająco, że starsi ludzie - tacy jak Bengtsohn - niekoniecznie bardziej ci ufają, gdy mówisz z nimi szczerze. Zupełnie, jakby cię zawsze podejrzewali o fałszywość. Cechę tę dostrzegam w moim ojcu. Tymczasem osobom w moim wieku potrafię wmówić wszystko.

Następnego ranka, gdy stawiłem się w umówionym miejscu, Bengtsohn potraktował

mnie przyzwoicie, częstując na śniadanie kawałkiem chleba z kaszanką. Zapłacił mi nawet pół florena zaliczki z własnej kieszeni. Zanim przybyli pozostali, pomogłem jemu, jego żonie i Bonihatchowi załadować na wóz potrzebne rekwizyty, zahnoskop, namiot, kilka makiet i kostiumy. Gdy tak pracowaliśmy, nieopodal zatrzymała się strojna karetka. Wysiadł z niej Andrus Hoytola we własnej osobie.

Był dumnym mężczyzną solidnej postury, nieco ospałym w ruchach, o dużej twarzy, spokojnej niczym blade i gładkie morze. Miał na sobie indyjski banian z kwiecistego jedwabiu, narzucony na pantalone, które kończyły się zapięciem na wysokości kolan. Do łydek przylegały białe, jedwabne pończochy, a stopy tkwiły w pantoflach. Włosy ściągnięte miał w krótki warkoczyk związany szarą, aksamitką. Wolno rozejrzał się wokół.

Ukloniłem się. Bengtsohn pozdrowił go.

- Właśnie wszystko szykujemy, sir.

- Tego się należało spodziewać. - Hoytola zażył szczyptę tabaki ze srebrnego puzderka i podszedł bliżej, aby się przyjrzeć zahnoskopowi. Miałem nadzieję, że zostanę mu przedstawiony. Niestety, nikt o to nie zadbał, więc pocieszyłem się widokiem jego córki, Armidy, która wysiadła drugimi drzwiami powozu.

Jej powściągliwość tłumaczyłem obecnością ojca. Nie wyglądała na zdziwioną, ani szczególnie zainteresowaną tym, że miałem wraz z nią grać w *Księżciu Mendiculi*. Całą uwagę poświęcała swemu strojowi. Podobnie jak jej ojciec, ubrana była modnie, w wydekoltowaną suknie koloru lodowatego błękitu, o wąskich rękawach kończących się akurat w porę, by odsłonić jej zgrabne nadgarstki. Kiedy szła, między jej spódnicami mignęła kostka.

Rozsiewała wokół lekki zapach mięty. Jakże była piękna! Rysy, które u Hoytoli sprawiały wrażenie zbyt grubych, u Armidy wydawały się cudownie natchnione, zwłaszcza, gdy jej twarz rozjaśniał uśmiech.

- Widzę, że jeszcze nie stał się pan więźniem klasztornych murów ani armii.

- Szczęśliwie zdołałem tego uniknąć.

Do załadowanego wozu zaprzężono parę czarnych, długouchych mułów, którym z

pyska stale ciekła piana. Część zebranych wspięła się na wóz, inni ruszyli za nim. Hoytolowie wrócili do karety. Bonihatch wyjaśnił mi, że udajemy się do Pałacu Chabrizzich, nad brzeg Toi, gdzie

miała zostać odegrana nasza sztuka.

Pięknie położony pałac znajdował się niedaleko zamku Mantegan, gdzie upływało

małżeńskie życie mojej siostry Katariny. Budowlę wzniesiono tuż przy ostatnim paśmie brunatnych Gór Prilipit, aby z imponującej wysokości przyglądać się mogła miastu.

Zatrzymaliśmy się w bramie, przed zarośniętym zielskiem wewnętrznym

dzieńcem. Dwóch urwisów bawiło się przy ozdobnej fontannie. Ze wszystkich stron patrzyły na nas okna. Z jednej, ponad dachami wznosiły się strome zbocza.

Rozładowaliśmy wóz układając wszystko na kamiennych płytach. Armida wysiadła z karety. Jej ojciec oparł się wygodniej o siedzenie i niespodziewanie dał stangretowi znak do odjazdu, nie zamieniwszy z nikim ani słowa.

Bonihatch spojrzał wymownie na Bengtsohna.

- Wygląda na to, że Rada jeszcze nie podjęła decyzji w sprawie wodorowego balonu.
- A może także w sprawie zahnoskopu - powiedział Bengtsohn ponuro.
- Wolalabym, abyście nie rozmawiali o interesach mego ojca - oświadczyła Armida. -

Lepiej od razu zaczynamy.

Wóz z mułami odjechał. Kiedy ustawiano prymitywną scenę, Armida gawędziła z

nieśmiałą dziewczyną w roboczym stroju. Podszedłem do nich, aby przyłączyć się do rozmowy. Towarzyszką panny Hoytoli okazała się Letycja Złotoróg, mała szwaczka, której przypadła rola Lady Jemimy.

Nie potrafiłem sobie wyobrazić osoby mniej nadającej się do odegrania tej postaci.

Dziewczyna była może ładna, ale zbyt bezbarwna. Miała bladą cerę, zaczerwienione dłonie i zupełnie brakowało jej manier. Wydawała się skrepowana spotkaniem z aktorem ze znakomitej kompanii Kepmerera. Starłem się sprawiać jak najwspanialsze wrażenie, ale gdy Armida na chwilę się odwróciła, objąłem dziewczynę w talii, aby ją uspokoić.

Nadal sądziłem, że jako jedyny profesjonalista w tak absurdalnej obsadzie, miałem prawo zagrać Księcia, a zarazem męża Armidy. Dobrze wiedziałem, jak symulowane na scenie uczucia często, za sprawą magii, przemieniają się w prawdziwą namiętność poza teatrem. Nie mogłem znieść myśli, że zarozumiały czeladnik ma obejmować Armidę.

Ponieważ nie zdołałem przekonać Bengtsohna do zmiany zdania, zawołałem

Bonihatcha na stronę i zasugerowałem mu, jak najtaktowniej, że skoro to moje imię miało przyciągać

widzów, mnie powinna się dostać tytułowa rola Mendiculi.

- Myśl o tym, jako o wspólnym przedsięwzięciu - odparł mi - w którym wszyscy

pracują jak jedność, nie dla zysku lub sławy, ale dla wspólnego dobra. A może idea ta przerasta możliwości twej wyobraźni?

- Nie widzę nic złego w chęci gry dla sławy! Mówisz jak Postępowiec, a nie jak aktor.

Spojrzał na mnie spokojnie.

- Jestem Postępowcem. Nie chcę mieć w tobie wroga, de Chirolo. W rzeczy samej, wszyscy radzi będziemy, jeśli zechcesz z nami pracować. Ale tutaj nie są nam potrzebne twoje wydumane pozy i łaska.

- Bacz, jak do mnie mówisz. Pewnie po porządnym praniu zaraz zmieniłbyś zdanie.

- Mówiłem, że nie chcę mieć w tobie wroga...

- Spokojnie, młodzi dżentelmeni - gwałtownie wtrącił się Bengtsohn. - Nie chcę żadnych kłótni. Mamy zapisać nową kartę w wielkim tomie historii Malacji. Zajmijmy się lepiej ustawianiem tych ruin.

Wskazał makiety przedstawiające zniszczone miasto. Bonihatch i pozostali czeladnicy ruszyli mu z pomocą. Ja wsunąłem dłonie pod kaftan i przywołując na twarz smutną minę zwróciłem się do Armidy.

- Jakże stare i posępne jest to miejsce. Cóż się stało z Chabrizzimi? Czy pozabijali się w pobratymczych walkach? A może wyruszyli na poszukiwania Zaginionych Plemion?

- Biedni Chabrizzi, stracili wiele służąc Nemanijas i Konstantynopolowi. Jedna gałąź

rodu przeszła na Mitraizm. Pozostali, wśród których był mój dziad, przez małżeństwo weszli do rodu Hoytolów, choć mariaż szlachcica z córką kupca zwykle potępiano. Oboje młodzi po roku zmarli na zarazę, osierocając malutkiego synka. Ich losy uznać można, jak sam pan mówi, za posępne. Mimo to, kocham to miejsce. Często bawiłam się tu jako mała

dziewczynka.

- Świadomość ta sprawia, że mury od razu wydają mi się bardziej przyjazne.

Część wewnętrznego dziedzińca kąpała się w świetle słońca. Właśnie tam stanęły dekoracje Bengtsohna. W sąsiednich pomieszczeniach przebraliśmy się w skromne kostiumy.

Wszyscy, prócz Armidy, która słusznie się uparła pozostać - w swojej sukni.

- Wyśmienicie! - zawołał Bengtsohn klaszcząc w dłonie i patrząc, jak po kolei

wszyscy wychodzimy na słońce.

Zaczął nas ustawiać jak meble. Bonihatch, w absurdalnej koronie z lamety, jako Księżę Mendicula, stanął po jednej stronie, z dłonią wyciągniętą ku najbliższej ścianie i makiemie splądrowanego miasta. Czując się nie mniej głupio z korkowym mieczem i w generalskim, trójrożnym nakryciu głowy z papieru, zająłem miejsce obok niego. Armidę w małej koronie z lamety umieszczono tuż przy mnie.

Kiedy wszyscy stanęliśmy jak należy, Bengtsohn wycelowwał w nas zahnoskop,

dostosowując jego przednią ruchomą tubę i zarzucając aksamitną zasłonę na szklaną płytkę z tyłu.

- Stójcie wszyscy nieruchomo! - zawołał. - Ani ruchu, ani drgnienia przez pięć minut, bo inaczej wszystko pójdzie na marne.

Podbiegł do przodu urządzenia i zdjął zasłonę z soczewki. Staliśmy nieruchomo, dopóki mi to nie zbrzydło.

- Kiedy zaczniemy grać? - zapytałem.

Starzec zaklął i zakrył soczewkę, potrząsając gniewnie rękoma i zasłaniając nimi twarz.

- Przecież mówiłem, aby stać spokojnie, bez najmniejszego ruchu przez pięć minut, a ty od razu zaczynasz gadać! - krzyknął. - Dopóki słońce świeci jasno, musimy zdjąć jak najwięcej obrazów, ale każdy z nich powstaje na przygotowanym przezroczu przez pięć minut. Aby obraz był ostry, musicie się nie ruszać i być cicho jak myszy. Zrozumiano?

- Nie zdradzono mi tego tajemnego składnika receptury - powiedziałem ze złością.

Armida i pozostali patrzyli na mnie z wyrzutem. - Mamy tu tkwić cały dzień stojąc niczym posągi, za każdym razem po pięć minut? To nijak się ma do aktorstwa, którego istotą jest ruch.

- Nie proszę cię byś grał, lecz byś stał jak posąg. I tak przez wiele dni. Właśnie za to ci godziwie płacę. Mamy do zrobienia pięćdziesiąt przezroczy, na których zawarta zostanie sztuka o Księżciu. Raz jeszcze się przygotujcie. Tym razem, proszę, ani słowa, ani drgnienia, de Chirolo.

- Ale zaczynamy, choć nie nauczyliśmy się, ani nawet nie przeczytaliśmy naszych kwestii - zauważyłem. - O czym mówi ta historia? W jakiego rodzaju sztuce gramy?

- Nie bądź niemądry, mój drogi - odezwała się Armida. - Nie będziemy nic mówili.

My pozujemy jedynie do obrazów, do serii portretów. Kiedy owa sztuka na przezroczach pokazywana będzie widzom, Otto sam opíše wydarzenia, aby uzupełnić piękno

konterfektów. Czyżbyś nie mógł pojąć zasad, jakie rządzą merkuryzowanym dramatem?

Usłyszałem stłumiony chichot Bonihatcha i Letycji.

Zamarłem w bezruchu, a Bengtsohn raz jeszcze odprawił cały rytuał z urządzeniem.

Wszyscy trwaliśmy nieruchomo niczym woskowe figury, a on odliczał cierpliwie czas przy pomocy dużej klepsydry. Niełatwo jest stać spokojnie przez pięć minut, zwłaszcza na świeżym powietrzu, gdzie beczyność sprawia, że chce się kichać.

Po pierwszym obrazie zacząłem obmyślać wymówki, zamierzając porzucić

eksperyment. Nawet obecność Armidy nie mogła mnie powstrzymać. Ale widząc

zadowolenie Bengtsohna, który pospiesznie chował pierwsze przezrocze w ciemnej, wykładanej zielonym sukniem skrzyni, nie miałem serca sprawić mu przykrości. Rad byłem, że moi przyjaciele, de Lambant i Portinari nie widzieli tych dziwactw.

- Wspaniale, wspaniale! - oznajmił Bengtsohn. - Teraz scena w komnatach. Księżę zostawia swą cudowną księżną pod opieką Generała Geralda.

Już zamierzałem ruszyć do pałacu, kiedy starzec złapał mnie za rękę.

- Powinienem ci wszystko wytłumaczyć, tak jak pozostałym, aby nie było między

nami nieporozumień. Zahnoskop nie jest jeszcze doskonały, potrzebuje dużo światła, aby zdziałać cuda, dlatego musimy merkuryzować sceny pałacowe na dworze.

Po chwili na zaimprovizowanej scenie stanęła sofa, a za nami zaciągnięto story parodiujące „wnętrze” komnaty. Ta scena bardziej mi odpowiadała. Bonihatch trwał w szlachetnym geście, z szeroko rozpostartymi ramionami, a ja, jako Gerald skłaniałem się ku dłoni Armidy. Pięć minut w takiej pozie minęło błyskawicznie, zwłaszcza, że czułem niewielką, żywą rączkę, która wilgotniała w mojej dłoni. Przywodziła mi na myśl wszystkie dziewczęce skarby, które mogły się dostać właśnie mnie, więc bez trudu stałem spokojnie.

Po pięciu minutach Bengtsohn klasnął w dłonie i zaczął się mocować z następnym przezroczem.

- Kolejna scena dzieje się w wiejskiej tawernie. Zobaczymy w niej spotkanie Księcia Mendiculi z Jemimą. Letycjo, proszę, przesun się do przodu i spoglądaj z wyższością... Nie na niego, lecz raczej ponad niego lub poprzez niego, o tak, poprzez niego. Masz dać do zrozumienia, że jesteś wysokiego rodu... Mam nadzieję, że zahnoskop nie nagrzeje się zbyt, w przeciwnym razie sole nie zadziałają odpowiednio.

Gdy wszystko przyszykowano, Bonihatch i Letycja zastygli w sztywnych pozach,

zmieniając się w szlachetnego księcia i Lady Jemimę. Wraz z kilkoma tanimi rekwizytami i słońcem, które świeciło im nad głowami, mieli przejść do historii. Bengtsohn spojrzął na aksamitną zasłonę urządzenia z miną, jakby kryła się tam tajemnica wszechświata. Czas stanął w miejscu. Armida i ja, stojąc z boku i patrząc, jak powstaje obraz, również zastygliśmy bez ruchu. Minuty zdawały się płynąć dłużej, niż gdy sami staliśmy przed zahnoskopem.

W końcu piasek przesypał się do dolnej połowy klepsydry Bengtsohna i starzec dał sygnał do zmiany pozycji. Wszyscy ponownie wróciliśmy do życia.

Starzec z powagą dotknął skrzynki i wsunął do niej trzecie przezrocze.

- Merkuryzację przeprowadzę w warsztacie dziś wieczorem - powiedział. - Jeśli

wypadnie dobrze, jutro możemy pracować dalej. Jeżeli jednak szczęście nam nie dopisze, wówczas będziemy musieli odegrać te same sceny raz jeszcze. Weźmy się zatem za następną, póki światło jeszcze dobre. Aby czymś was zająć przy pracy, przedstawię treść naszej sztuki, tak jak przedstawiać ją będę publiczności... zakładając, że rzecz tak nową pozwolą pokazywać malacjańskim widzom...

Ranek upływał nam w pięciominutowych odcinkach, Otto roztaczał przed nami

absurdalną opowieść o Księżu Mendiculi, a bohaterowie sztuki stali w słońcu w koronach z lamety i z korkowymi mieczami.

Księż Mendicula: czyli Radosna Tragedia Księcia i Patrycji, przeplatana losami Generała Geralda i Lady Jemimy (wygłosił Bengtsohn, po czym wydymając usta wydał

odgłos naśladujący fanfary dla podkreślenia doniosłości okazji). Sztuka powstała dzięki współpracy aktorskiej Trupy Bengtsohna. Merkuryzował ją Otto Bengtsohn z Tolkhormu, pod niezastąpionym patronatem Andrusa Hoytoli, któremu pokornie dedykujemy nasze skromne wysiłki, z wdzięcznością i nienależną czcią, i tak dalej, i tak dalej, ile się da...

Wspaniały i przystojny Księż Mendicula, którego tu widzicie w pełnej chwale

młodości, siły i zalet, właśnie zdobył miasto Gorica, którego ruiny widoczne w oddali wszyscy mogą podziwiać i opłakiwać.

Mendiculi pomagał jego generał - szlachetny, potężny i prawy Gerald, który

wielkością niemal dorównuje swemu księżu. Jak sami widzicie.

Generał Gerald stał się bliskim przyjacielem i doradcą księcia, co ogromnie go cieszyło i stawiało przed innymi wysokiej rangi dworzanami. Tu oto widzicie, jak obaj oglądają zniszczone miasto. A raczej miasto zdobyte, bo księżym zwyczajem jest zdobywanie. Towarzyszy im żona Mendiculi, piękna Księżna Patrycja. Z zachwytem patrzy na pokonaną Goricę, której mieszkańcy ją wielbią.

Tu oto mówi ona swemu mężowi, Księżu, jak bardzo podziwia jego odwagę w

bitwie. On ujmuje jej dłonie. W dowód wielkiej miłości do żony ofiarowuje jej całe miasto -

oczywiście nie radząc się wcześniej mieszkańców - to jego podarunek za trzy szczęśliwe lata małżeństwa.

Generała zadowala taki obrót spraw. W tej scenie ogłasza on, iż odtąd obca mu będzie sztuka wojenna - generałowie zwykle tak mówią po bitwach, być może się obawiają, iż następnym razem stracą głowę. Gerald przyrzeka odwiesić oręż i poślubić niedawno poznaną, czarującą damę z Goricy. Zamierzają osiąść w jej rodzinnym mieście, które - nieszczęsne -

gdy tylko z ulic uprzątnie się trupy, obwołane zostanie Patrycjogrodem.

W tak radosnej chwili Księżę Mendicula opuszcza Patrycję powierzając ją opiece Geralda, a sam wyrusza na objazd nowego terytorium - widocznego w tle tej sceny - aby się przywitać ze szlachetnie urodzonymi oraz z wieśniakami, ale głównie ze szlachtą. Gdy nadchodzi wieczór, Mendicula postanawia się zatrzymać na noc w gospodzie nieopodal jeziora. Widzimy go, jak wchodzi do środka - zważcie na kufle pięknie ustawione przy oknie

- i tutaj oto spotyka cudowną tajemniczą kobietę, Lady Jemimę, która podaje się za córkę właściciela gospody. Księżę jej nie wierzy. W rzeczy samej, Mendicula uważa, iż tak piękna istota nie może się wywodzić z tak niskiego rodu. Jak widzicie, drobna Lady Jemima ma ciemne włosy i śniadą skórę, podczas gdy Księżna Patrycja jest jasnej karnacji. Mam nadzieję, że uda się nam uzyskać odpowiedni kolor włosów naszych pozujących dam.

Jemima odrzuca zaloty z godnością, ale stanowczo, dając temu świadectwo gestem, który przypomina wymierzenie policzka. Księżę zamawia miejscowe wino i przez wieczór upija się beznadziejnie. Na szczęście przybył do gospody anonimowo, nikogo więc nie dziwi nietrzeźwość obcego mężczyzny.

Tu, jak widzicie, mamy już świt rozlewający się jasnym światłem. Księżę Mendicula, który tego dnia ma głowę równie ciężką, co byle pijany parobek, budzi się i natychmiast żałuje chwili zapomnienia. Myśli o pozostawionej w Goricy samotnej żonie i opadają go wyrzuty sumienia. Zaczyna się obawiać, iż Patrycja mogła mu być niewierną, ulegając w nocy zalotom Generała Geralda. Jesteśmy świadkami męczarni księcia – zaciśnięte pięści, oczy wzniesione ku niebu. Wściekły wraca do Goricy, na przemian targany to zazdrością, to żalem.

Przybywszy wczesną porą do gorickiego pałacu, szcękając ostrogami o marmurowe podłogi, przemierza korytarze - przedstawione tu na makietach. Znajduje ukochaną Patrycję i swego generała, cnotliwie odpoczywających we własnych komnatach, w odległych częściach pałacu. Jakże słodko wygląda jego śpiąca żona, jakie ma cudne różane policzki - księżna zawsze dobrze jada! Mendicula budzi ją pocałunkiem i wylewnie zapewnia o wielkiej miłości.

W tym momencie opowieści Bengtsohna pomyślałem - oto Bonihatchowi wszystko

się układa wspaniale. To on gra księcia! Przyjdzie mu przebywać w niebiańskim

towarzystwie obu panien! Mam nauczkę za zgodę na występy wśród zgrai Postępowców.

Teraz już rozumiem, dlaczego państwo tak ich potępia. W końcu dojdzie do tego, że Bonihatch zastygnie na całe przerażające pięć minut - które w tych okolicznościach ciągnęły się dłużej niż wieczność - z wargami na ustach Armidy grającej śpiącą Patrycję. Pospolity drań! Zakosztuje wspaniałości merkuryzacji! To ja powinienem być księciem! Jakie wrażenie wywołam na widzach

jako głupi Generał Gerald, który jak kretyn śpi we własnym łóżu z wężami zawiniętymi na białą chustkę? W tej roli nie wypadam korzystnie.

Kiedy Księżę Mendicula obejmuje Patrycję i deklaruje swą miłość do niej (ciągnął Bengtsohn, przestawiając nas do kolejnego obrazu, jakbyśmy byli kukłami), ona czuje, że księżę zeszłej nocy pił. Jak każda wrażliwa kobieta, cofa się instynktownie.

Zastanówcie się z łaski swojej nad motywami działania Mendiculi! Jak bowiem reaguje, gdy ona się odsuwa? Otóż w jego myślach z małego nasionka kiełkują wątpliwości.

Może gest żony oznacza, iż rzeczywiście dzieliła łóżo z generałem. Wiele przyjemności intymnej natury zaznać można w ciągu dwóch godzin, nie spędzając razem całej nocy, zwłaszcza, jeśli kobiecie nie brak namiętności, a księżę wie, że taka jest Patrycja, bo w bród ma najlepszego mięsa i owoców - nie to co biedacy.

A oto i następny obraz! „Zaufanie zwycięża nad zwątpieniem!” Gdy tylko mroczne wizje krystalizują się w myślach księcia, on natychmiast z odrazą je odrzuca. Widzi w nich odbicie własnego poczucia winy i uznaje za niegodne jego oraz tej, którą kocha i szanuje.

(Tutaj tak ustawimy zahnoskop, aby na odpowiednim przezroczu ująć jedynie szlachetne oblicze Mendiculi...)

Otrząsa się z podłych myśli, jak jabłoń zrzucająca pomarańcze. Od tej chwili Księżę Mendicula darzy Patrycję oraz wojennego bohatera jeszcze większym niż dotąd szacunkiem.

Zachęca oboje, aby stali się sobie przyjaciółmi i powiernikami, oraz by cieszyli się swym towarzystwem, nie martwiąc się książęcą opinią. Tu widzicie jak wszyscy troje się obejmują.

Szlachetnie urodzeni szlachetnie postępują, ha?

Mendicula z zadowoleniem porzuca dawne wątpliwości i poświęca się sprawowaniu rządów w królestwie, pozwalając Generałowi Geraldowi towarzyszyć Patrycji na balach, w operze oraz podczas innych okazji. Patrycja zamiast okazywać mężowi wdzięczność za zaufanie, traktuje go nieco oziębło, co on zauważa ze smutkiem, dłonią podpierając nachmurzone czoło. Zamiast winić ją, obarcza winą siebie za to, że myślami zwrócił się ku Jemimie.

W wyobraźni wraca w tamte chwile. Wspomnienie Jemimy zaczyna go prześladować.

Choć dama odrzuciła jego zaloty, księżę jest pewien, iż jego towarzystwo nie było jej niemiłe.

Tutaj damy fragment muzyczny. Pewnego dnia wyrusza przez puszcę, aby raz jeszcze ją zobaczyć. Ku jego zachwytowi, Jemima wciąż przebywa w karczmie. Monarcha zastaje ją na polerowaniu jednego z kufli. Rozmawiają wiele godzin ogarnięci nagłą gorączką. On błagają o pocałunek, a ona chętnie się zgadza, lecz nie pozwala mu na nic więcej. Jej towarzystwo tak księcia ożywia, że całą

noc spędza na rozmowie z Jemimą. Jak widzicie, Lady Jemima potrafi także grać na lutni i pięknie śpiewać.

Noc mija zbyt szybko. Kiedy świt sączy się światłem zza jeziora - które oczywiście jest na zewnątrz karczmy - książę po raz kolejny powraca do rzeczywistości. Obejmując Jemimę i dziękując jej dwornie, rozstaje się z nią, dosiada konia i galopuje z powrotem do Goricy. Choć może będzie musiał biec pieszo, ponieważ Bonihatch i ja nie możemy znaleźć konia, który chciałby zastygnąć bez ruchu w galopie na pięć minut.

Wróciwszy do miasta, wpada do sypialni Patrycji. Oczywiście uprzednio zsiada ze swego rumaka, zakładając, że posiada takowego. Łoże żony jest puste. Książę biegnie do apartamentów Generała, ale w jego łóżu także nikogo nie ma. Rozpaczliwie miota się po całym pałacu, aż zastaje ich oboje w różanym ogrodzie.

Ostro odprawia generała, który, jak widzicie, odchodzi ze złością. Równie ostro pyta żonę, co robiła. Ona, chłodna niczym lód, wyjaśnia, że oboje z Geraldem wstali wczesną porą i zupełnie niespodziewanie spotkali się w ogrodzie. W końcu przecież dzień mają świąteczny, a w taki dzień wielu wstaje wcześniej. Tutaj mamy scenę z tymi, którzy już się pobudzili.

Patrycja mówi mężowi, iż nie ma on prawa o nic ją pytać.

Książę, zakłopotany i zmęczony jazdą, opada na ławkę. Księżna milczy. On cicho pyta ją, czy ona i Gerald całują się jak kochankowie. Patrycję ogarnia złość, unika odpowiedzi na pytanie męża i żąda wyjaśnień, gdzie był przez całą noc, bowiem do jej ucha - jakże pięknego - dotarły wieści, iż książę spotyka się poza miastem z jakąś kobietą. Monarcha odpowiada, iż w jego życiu nie liczy się żadna prócz tej, której został poślubiony. Patrycja krzywi się pogardliwie słysząc jego zapewnienie, zauważyła bowiem jak bardzo interesują księcia damy. Widzimy ich oboje, jak stoją zwróceniem plecami do siebie, w scenie wyrażającej frustrację szlachetnie urodzonych.

Z trudnego położenia ratuje ich powrót Generała Geralda w wojskowym nakryciu

głowy. Przywdział on nową tunikę i dobrą minę, aby obwieścić, że następnego dnia przywiezie do Goricy swą narzeczoną, aby poznała księcia. Patrycja odchodzi z bukietem róż.

A może z jedną tylko różą, aby oszczędzić na wydatkach.

Kolejny raz Mendicula przypomina sobie o dobrym wychowaniu i oddala podejrzenia.

Ciepło ściska dłoń Geralda na znak wiecznej przyjaźni. Nazywa go dobrym przyjacielem i pochwała opiekę, jaką otoczył on Patrycję w trudnym dla książęcego małżeństwa okresie.

Oświadczą, że zrobi wszystko, aby Patrycja była szczęśliwa. Generał przyznaje, że on także.

Godzą się ze sobą.

W nieco zbyt formalnym stylu, typowym dla męża armii, Gerald dziękuje księciu za wielkoduszność, chwalać jego światłe postępowanie i brak zazdrości. Jak widzimy klepią się nawzajem po plecach.

Księżę Mendicula przyznaje - jak mężczyzna mężczyźnie - że jest pewna dama, ku której czuje pociąg. Błaga Geralda, by nadal uprzyjemniał czas Patrycji.

Rozmawiają dość długo, więc może przedstawienie ożywimy nieco widokami smukłych nimf i pasterek lub czymś bardziej wyrafinowanym.

Powraca czas dobrych stosunków między księciem i jego cudowną małżonką. W przyjaźni jadą wspólnie na polowanie na pradawnego zwierza w lesie możnowładców.

Zdobycza ma trafić na weselne stoły podczas zaślubin Generała Geralda. Złote popołudnie zbliża się do końca. Księżęca para odpoczywa nad jeziorem - tę makietę wykorzystamy dwukrotnie - z Goricy przybywa posłaniec z wieścią dla Mendiculi. Widzimy jak księżę rozrywa papier. List jest od Lady Jemimy, która ogłasza swój przyjazd do miasta i prosi go o jedną godzinę tylko, by mogła się z nim pożegnać.

W tej scenie zważcie na wyrazistość postaci. Mendicula mówi Patrycji, iż wzywają go ważne sprawy państwowe, więc musi ją na jakiś czas opuścić. Ona nabiera podejrzeń. Złości się i oskarża go o potajemne schadzki. On także wpada w gniew. Błagają, by była cierpliwa, tak jak on okazał cierpliwość wobec jej słabości do Generała Geralda. Ona mu odpowiada, że tamten związek nie ma nic wspólnego z ich małżeństwem. Księżę nie rozumie tych słów, ale rozsądnie milczy. Głęboko urażony odjeżdża konno. A może odchodzi pieszo. Choć możliwe, że uda nam się pozyskać wypchanego konia, który nie będzie się ruszał.

Księżę Mendicula udaje się do pałacu, aby przywdziać księżęcy strój i koronę. Tamże przyjmuje posłannictwo radców zdobytego miasta. Przybysze twarze mają uczciwe, lecz ponure. Próbuje przekonać księcia, by natychmiast wycofał swe armie, bowiem żołnierze niszczą kraj łupiąc, grabiąc i gwałcąc - a gdzie gwałt nie wchodzi w rachubę - zgodnie z tradycją żołdaków bezpardonowo uwodzą dziewczęta Goricy. Mendicula przyznaje, iż zwyczaj ów jest okropny i zgadza się wydać oświadczenie poprzez swego generała. A oto posłaniec, który Geraldowi ma zanieść polecenie, by ukrócił zapędy wojaków, a nawet kilku dla przykładu zastrzelił. Scen gwałtów i rozbojów nie pokażemy, gdyż takie sprawy lepiej pozostawiać wyobraźni widza.

Ważne sprawy zajmują księciu cenny czas, więc do dworu, w którym zatrzymała się Jemima przybywa kilka godzin spóźniony.

Służący prowadzi Mendiculę do pokoju Jemimy. Widzimy tu księcia w komnacie, jak patrzy przerażony na samotną damę, która szłocha ocierając łzy koronkową chusteczką.

Błagają, by mu wyjawiała powód swego smutku. Ulegając mu, Jemima mówi, iż ma

ukochanego i to dla niego odrzuciła względy księcia, a nie przez brak respektu dla królewskiego rodu. Teraz jednak dowiedziała się, iż kochanek był jej niewierny. Spotykał się z inną kobietą nawet w trakcie przygotowań do trzydniowych uroczystości zaślubin, na które nie żałowano wydatków - na szczęście my nie zamierzamy ich pokazać. Z oczu Jemimy łzy tryskają jak z fontanny. Kapią na jej

lutnię.

Poruszony jej losem książę klęka na jedno kolano. A może na dwa. Obejmuje ją i próbuje pocieszyć. Od słowa do słowa, pocieszanie ustępuje požądaniu. Razem kładą się do łóża i szczęśliwi trwają w objęciach, tak jakby robili to nie pierwszy raz próbując dodać sobie otuchy. Przewroca tej sceny nie muszą być prezentowane, zależnie od towarzystwa. Nie możemy zbyt dalece narażać skromności Letycji, gdyż nie jest ona prawdziwą aktorką.

Musimy inaczej sprostać wyzwaniu.

Kolejne przewroca. Świt, jeśli nie wyczerpanie, przynosi zmianę nastrojów. Jernima budzi się z drzemki i siada na łóżu. Jej oblicze wyraża bezgraniczny żal. Oto nastał dzień jej zaślubin, lecz ona nie jest już czysta - choć sama przyznaje, iż jest mniej zbrukana, niż gdyby spędziła tę noc z plebejuszem. Ale nawet królewski stan nie zastąpi niewinności. Jemima oświadcza, iż musi odebrać sobie życie.

Wkładając książęce pantalone Mendicula usiłuje ją odwieść od tego zamiaru. On

także się uważa za człowieka honorowego, lecz panna przesadza.

Złoszcząc się, Jemima wybuchła płaczem. Przez księcia znalazła, się w trudnym

położeniu. Wolałaby nie żyć. Wyjawia, że nie jest córką właściciela karczmy. W jej żyłach płynie szlachetna krew. Biedni muszą znosić wszystkie upokorzenia, jakie przynosi im życie; lecz ona nie. Książę stał się przyczyną jej ruiny, gdy tymczasem mężczyzna, który miał zostać jej mężem, zapewne spędził tę noc z kochanką.

Mendicula uznaje to za niezwykle zbieg okoliczności. Zaślubiny Jemimy przypadają na ten sam dzień, co zaślubiny jego dobrego przyjaciela, generała. Książę wypowiada imię Geralda. Jemima wydaje z siebie krzyk rozpaczy i wyjawia, że właśnie on, nikt inny, jest jej przyrzeczoną.

Przypadają do siebie. Panna na nowo zaczyna szlochać. Książę czuje ogromny ciężar w piersiach - znieślił ją i naraził swą przyjaźń z generałem - wie jednak, że może pomóc Jemimie zdejmując z niej połowę infamii.

Zapewnia ją, że położy kres wszelkim marnym podejrzeniom, jakie żywi ona wobec Generała Geralda. Wyjawia, że rzekomą kochanką generała jest nikt inny, jak wierna Księżna Patrycja. Tymczasem Mendicula z ust samej Patrycji słyszał, iż jej i Geralda nie łączy nic niestosownego. Oboje cieszą się bezgranicznym zaufaniem księcia. Księżna zaledwie przed kilkoma godzinami zapewniła małżonka, że jej słabość do generała w niczym nie zagraża ich małżeństwu.

Jemimę ogarnia radość. Ubiera się za parawanem. Niestety, szczęśliwej nocy

spędzonej w ramionach księcia nie może wymazać z pamięci tak łatwo. Wypada zza zasłony krzycząc z rozpaczą i rwąc włosy. Skoro Gerald jest tak honorowym, jak mówi Mendicula, ona czuje się podwójnie winna zdrady. Książę oświadcza, że panna ma za wiele skrupułów.

Przecież oboje się rozstaną, pomimo uczucia, jakim się darzą; on już nigdy więcej nie będzie jej szukał. Między nimi wszystko skończone i jest tak, jakby owa radosna noc nigdy się nie zdarzyła.

Co więcej, obiecuje nadać swemu generałowi na własność inne miasto, które dopiero zamierzają zdobyć. Tam Gerald i Jemima mogą żyć szczęśliwie, nigdy nie narażając się na pokusę. Muzyka gra, a my widzimy, jak oboje śmieją się, płaczą i obejmują po raz ostatni. Tu pada żalosne zdanie z księgi miłości.

Wróciwszy do pałacu w Goricy, Książę Mendicula udaje się bezzwłocznie do komnat księżnej, wciąż pełen dobrej woli. Zastaje Patrycję przy porannej toalecie. Żarliwie oświadcza, iż już nigdy nie sprawi jej bólu spoglądając na inną kobietę; na powrót stał się sobą i błaga ją o wybaczenie.

Jakież zdumienie go ogarnia, gdy Patrycja przyjmuje jego oświadczenie chłodem, odwracając się od niego, tak jakby ledwie zważała na jego słowa. Wstrząśnięty raz jeszcze powtarza, że świadom jest, jak bardzo ją zaniedbywał, ale to się skończy, to już się skończyło.

Tylko ona jest jego prawdziwą miłością.

Patrycja - być może przesuwając się ku oknu - oziębłym tonem mówi, że deklarując to, książę przyznał się do potajemnych schadzek z kochanką, o które go podejrzewała, choć on temu zaprzeczał. Wierzy, że teraz się poróżnił ze swą ładacznicą i musi wrócić do żony błagając o wybaczenie. On protestuje wielce. Rozzłoszczony, że jego wielkoduszość spotyka się z przyjęciem niewiele lepszym niż stare łachmany, nie w porę zdobywa się na uczciwość i przyznaje, iż darzył względami pewną damę. Zapewnia jednak, że już o niej zapomniał.

Słyszac to Patrycja staje się jeszcze bardziej oziębła i wyniosła. Pyta czy książę robi to zamieszanie ze względu na nią i Geralda.

Mendicula nie pojmuje jej słów. Raz jeszcze oświadcza, iż zrywa znajomość i

przyjaźń z tamtą panną, gdyż sprawia ból i jej, i Patrycji. Nie chce ranić żony. Domyśla się, że to podejrzenia są przyczyną chłodu i nieszczęścia księżnej, lecz teraz Patrycja już nie ma powodu być mu nieprzyjazną ani nieszczęśliwą.

Po raz drugi tego dnia książę pada na kolana i wyznaje, że księżna miała prawo nie pochwalać jego postępów. Prosi ją, by wybaczyła mu krzywdy, jakie jej wyrządził. Przecież sprawa dotyczy tylko ich dwojga i nie ma związku z Geraldem, który szlachetnie trwał przy nich przez cały czas. Dlaczego więc ona wspomina jego imię w takiej chwili?

Tutaj będziemy potrzebowali pudru dla panny Armidy. Patrycja bowiem blednie na twarzy. Odwraca się od męża. Drącymi dłońmi zaciąga zasłonę. Słabym głosem mówi, że książę może żałować swych czynów wedle woli, lecz żal jego przychodzi za późno. Ona nie zamierza zakończyć romansu z Geraldem - za wiele daje on jej przyjemności.

Słyszac te słowa książę chwyta się za serce. Skąd ta nagła suchość w krtani? Ze ściśniętym gardłem pyta - czy ona i Gerald są kochankami?

- Oczywiście! A co innego miało nas łączyć? Mendicula opada na fotel, spopielały na twarzy, niezdolny wypowiedzieć słowa. Wygląda niemądrze.

Patrycja odwraca się ku niemu.

- Ty miałeś swój romans, ja mam swój. On kręci głową. Tylko na tyle go stać.

- Wiedziałaś przecież, że Gerald i ja byliśmy kochankami - woła księżna wyniośle.

- Nie, nie. Ufałem wam obojgu.

- Wiedziałaś i sam nas ku temu popychałeś. Jeszcze wczoraj rozmawiałeś z nim na osobności, chwając go, aprobując jego postępowanie. Powiedziałeś mu wprost, iż jest dla mnie dobry. To prawda! Przyjął twe słowa i pochlebnie ocenił twą świątłą postawę.

Zdradziłeś mu nawet, że masz kobietę - o tak, powtórzył mi waszą rozmowę! A mnie mówiłeś, że pochwalasz naszą zażyłość! Wiedziałaś, co się działo.

- Skoro naprawdę wierzyłaś, że mnie nie zwodzisz, dlaczego teraz tak bardzo unikałaś wyjawienia mi prawdy?

Księżna wybucha gniewem i ciska w niego szczotką do włosów lub innym

przedmiotem.

Ideały Mendiculi walą się w gruzy. Wreszcie widzi wszystko jasno, lecz nawet teraz nie bije żony ani jej w złości nie poniża. Wyjaśnia, że gdy znalazł ich oboje niewinnych po pierwszej nocy, którą sam spędził z dala od pałacu w Goricy, uwierzył, iż oboje są ludźmi honoru i potrafią powstrzymać swe żądze dla większych korzyści, jakie dają przyjaźń i polityka. Dotąd tłumił wszelkie niegodne wątpliwości ufając, że oboje wytrwają w czystej przyjaźni. Do tego ich zachęcał, temu nie zaprzeczy. Ona potrzebowała przecież przyjaciela w obcym mieście, a skoro Gerald był ksiązęciem druhem i wielokrotnym dłużnikiem, Mendicula odrzucił wszelkie podejrzenia jako uwłaczające godności żony i towarzysza. Czyż postąpił

niezwyczajnie? Co byłby z niego za mężczyzna, gdyby pozwolił własnej żonie swawolić z przyjacielem jak z żigolakiem?

Na te pytania Patrycja nie potrafi mu odpowiedzieć. Stać ją jedynie na pogardę.

- Uznałam twe postępowanie za hojne i roztropne. Podobnie jak Gerald.

Szanowaliśmy cię oboje.

- Szanowaliście mnie w łóżu?

- Teraz mam dla ciebie jedynie pogardę. I on także tobą wzgardzi.

Patrycja nie okazuje skruchy. Gniew ani żal męża nie robią na niej wrażenia. Mówi, że ona i Gerald po prostu cieszyli się sobą. Nie zamierza odtrącić kochanka teraz, gdy obojgu romans daje tyle przyjemności.

- Chciałem się stać dla ciebie wszystkim. Dlaczego jesteś dla mnie tak zimna i surowa?

- Zawsze wydawałeś mi się za mało frywolny.

- Ale on... on... ma inną...

- Może mieć wiele kobiet, pod warunkiem, że ja będę jedną z nich...

- Patrycjo, moja miła, pamiętaj o honorze! On cię poniżył...

Oto i cała historia. Książę nie jest brutalny w swej rozpacz. W tejże jednak chwili sam Generał Gerald wchodzi do komnaty lekko i swobodnie - tobie, de Chirolo, tak dobrze to wychodzi.

W gniewie książę zarzuca mu ohydłą zdradę i oskarża o uwiedzenie żony. I kto to zrobił - człowiek, którego uważał za najbliższego przyjaciela, a który całkowicie zawiódł

zaufanie, jakim go darzono. Gerald śmieje się niepewnie. Z pewną miną oznajmia, że książę też nie jest bez winy. Dwa złe czyny stają się jednym dobrym - w końcu tak się dzieje na całym świecie i Mendicula powinien milczeć dla własnego dobra. Generał podejrzewa, że gdyby Patrycja zechciała uważnie rzecz całą zbadać, odkryłaby, iż książę uwiódł wiele spośród jej dworek.

- Ty kłamliwy zdrajco, łżesz aby ratować własną, własną...!

Gerald ujmuje ramię Patrycji. Ona przytula się do niego.

- Poza tym, przyznaj mój nieprawdy książę, że sam mnie namawiałeś. Dbając o

szczęście Patrycji, starałem się jedynie dbać o dobro książęcego małżeństwa.

Tego już Mendiculi za wiele.

- Nie będziesz dłużej robił ze mnie głupca! - wykrzykuje dobywając miecza. Gerald dobywa swego. Walczą ze sobą. Patrycja patrzy na nich, blada i nieruchoma. - Oczywiście nieruchoma na przezroczu.

Desperacko odpierając ciosy, Gerald się cofa. Na jego ramieniu pojawia się zygzak cięcia. Generał potyka się o dywan i pada na łożę księżnej. Teraz przeciwnik ma szansę zadać mu śmiertelną ranę.

Mendicula się waha. Tymczasem do komnaty wpada posłaniec z wieścią, że

pokojówka znalazła Lady Jemimę martwą w jej komnacie, odzianą w strój weselny. W liście samobójczynie pisze, iż jest kobietą zbyt małej czci, by poślubić męża tak honorowego, jak Generał Gerald.

Słyszając to książę cofa się ogarnięty żalostí. Korzystając z szansy, Gerald chwytá swój miecz i tnie nim Mendiculę w bok. Spoglądając na Patrycję po raz ostatni, książę umiera na jej łóžu.

Smutne dźwięki fanfar obwieszczają koniec naszej opowieści o Księciu Mendiculi.

Gdy tylko zaczęła się pora sjeisty, przed Pałac Chabrizzich zajechał powóz Hoytoli. W

środku sztywno siedziała przyzwoitka Armidy, Yolaria. Armida pożegnała się z wszystkimi i odjechała.

Nazajutrz wszystko działo się tak, jak dnia poprzedniego. Nie miałem okazji cieszyć się jej obecnością tyle, ile pragnąłem. Bengtsohn przeprowadzał merkuryzację w tajemnicy i nikomu nie zdradzał rezultatów. Wszystko szło chyba zgodnie z planem, ponieważ powoli pracowaliśmy nad kolejnymi obrazami. Patrząc na Armidę odnosiłem wrażenie, że cuda merkuryzacji jeszcze na nas nie podziały. Zastanawiając się, jak to odmienić, w gęstym upale południa ruszyłem do Wszechluda po radę. Towarzyszył mi De Lambant, by w razie czego mnie wesprzeć.

Wszechlud stał przygarbiony w niewielkiej niszy u stóp schodów lichwiarza.

Wyglądał wiekowo i leciwie. Miałem wrażenie, że podtrzymuje go tylko sztywna opończa.

Nieopodal tkwił przywiązany do palika kozioł. Brodę zwierza zwiedzały muchy. I człowiek, i kozioł stali nieruchomo. Dym wolno snuł się z żelaznego ołtarza znikając za rogiem i pełząc ku sobie tylko znanym celom. Ze względu na porę, nikt nie czekał na rady wieszczka.

Odłożyłem kilka parów, wszystko, co zdołałem zaoszczędzić z pieniędzy, które zapłacił mi Bengtsohn.

- Miałeś rację, Wszechludzie.

- Widzę, że racja niewiele jest warta.

- Niestety, ja także. Rzekłeś mi „jeśli zdołasz stać spokojnie, możesz działać skutecznie”. Miałeś na myśli starego Ottona Bengtsohna i jego zahnoskop, czy tak? Dlaczego właśnie ja zostałem do tego wybrany?

Rzucił okruch jakiegoś proszku w popiół. Dostrzegłem słaby błysk. Nozdrza wypełnił mi smród Malacji.

- Ziemia znajduje się w wiecznym półcieniu. Niektórzy go mylą ze światłem.

Wszystko powstało za sprawą Sił Ciemności. Jeden cień spaja się z innym.

- Wszechludzie, jest pewna panna, także związana ze sprawami Bengtsohna. Jak mam sprawić, aby mój cień z jej cieniem się przeciął?

- Nie ja błogosławię twój amulet. Idź i zapytaj jego.

- Planowałem odwiedzić też Seemleya Moleskina. Ale ty już znasz moje położenie.

Jestem ambitny i mam nadzieję czerpać z twych słów zachętę.

- Władca Ciemności odcisnął swój znak na każdym z nas. By go zadowolić musisz

zaspokoić swe zmysły aż skorupa pęknie. - Zamknął oczy. Jego powieki opadły niczym pomarszczone wargi, na znak, że skończyło się moje widzenie.

Stałem patrząc na niego, lecz długa, pożółkła twarz starca ani drgnęła. Przystąpiłem z nogi na nogę, koziół potrząsnął głową. Nic więcej się nie wydarzyło.

Wróciłem do de Lambanta, który, jak nakazywał zwyczaj, na znak szacunku trzymał

się z dala - bowiem słuchanie przepowiedni innych ludzi mogło się skończyć tragicznym poplątaniem losów.

- Dlaczego Naturalna Religia zawsze budzi w nas lęk i niepewność? - spytałem. -

Dlaczego nigdy nie rozumiem słów maga?

- Bo to staromodne bajanie - odparł de Lambant. - Już od tygodni nie błogosławiłem mego amuletu i wcale mi się przez to gorzej nie dzieje. Zbyt poważnie myślisz o tej pannie.

Chodźmy lepiej do Portinariego się napić.

- Wszeklud powiedział, że coś ma pęknąć. Moja skorupa, jakaś skorupa. Czasem

myślę, że życie jest bardziej skomplikowane, niż się nam wydaje. Muszę iść do Mandaro.

Guy pokręcił głową.

- Mój drogi de Chirolo, kapłani są gorsi od magów. Trzymaj się od nich z daleka.

Chodźmy stąd, jest gorąco. Wyciągnijmy Portinariego z łoża, napijmy się razem i pogadajmy.

- Ty idź. Ja dołączę do was później. Rozstaliśmy się. Przez chwilę przekonywałem sam siebie, że serce nie powinno ciążyć, gdy lekka kiesa. Kapłan nic by mi nie pomógł. Za to towarzystwo przyjaciół mogło mnie rozweselić. Zawróciłem. De Lambant jeszcze nie znikł

mi z pola widzenia. Zawołałem go i podbiegłem do niego. Razem ruszyliśmy do domu Portinariego.

Trzeciego dnia pracy nad tragedią *Książę Mendicula*, dokładnie w chwili, gdy wspaniałe oko zahnoskopu zwróciło się w naszą stronę, na dziedzińcu rozległ się straszny rumor. Bengtsohn kazał nam zaczekać.

Państwo Chabrizzi właśnie wybierali się na letnie wakacje w Góry Yukoban. Od

Armidy wiedziałem, że w poprzednich latach jeździli do swych posiadłości w żyznych dolinach Prilipit, na południe od Malacji. W tym roku doniesiono o zbierających się w tamtym regionie tureckich armiach. Malacje jak zawsze okrążali wrogowie.

Wkrótce otoczyły nas powozy, karety i wozy załadowane bagażami, instrumentami

muzycznymi, końmi, psami, zwierzętami domowymi, bydłem i drobiem, nie wspominając o dorosłych i małych Chabrizzich, którym towarzyszyli przyjaciele i służba. Dla naszego dzieła było tego stanowczo za dużo. Żona Bengtsohna, Floria, próbowała rozgonić tłum, ale nikt nie zamierzał się ruszyć, dopóki wszyscy nie byli gotowi do drogi. Nasz impresario odprawił nas i zły odszedł, zabierając pod pachą ciemną skrzynkę.

Przerwano nam akurat na scenach, w których ja - niegodziwy Generał Gerald -

zabierałem Księżną Patrycję na wspaniałe bale (przezrocze z jedną tańczącą parą) i inne znakomite wydarzenia (przezrocze z makietą marmurowych schodów). Narzucona intymność sprawiła, że stosunki między mną i Armidą zaczęły dojrzewać. Oboje pozostawaliśmy poza kręgiem towarzystwa Bengtsohna i Bonihatcha, do którego należeli prawie wszyscy pozostali członkowie grupy. Prócz tego, panna Hoytola żywiła niechęć wobec fałszywego Mendiculi, ponieważ jego bokobrody łaskotały ją niemiłosiernie przez wszystkie minuty, gdy musiała trwać w bezruchu, a do tego - jak mówiła - śmierdziały starym sosem. Odciągnęła mnie na bok.

- Chabrizzi zostawią niemal pusty pałac. Zostaje tylko kilkoro służących dla

odstraszenia złodziei - powiedziała. - Za pięć minut wszyscy stąd odjadą. Od lat nie odwiedzałam tego miejsca. Nasze rodziny odnoszą się do siebie raczej chłodno. Zanim przybędzie Yolaria z powozem, mam szansę znowu zajrzeć we wszystkie zakamarki i kąty, które tak dobrze pamiętam.

- Tylko się nie zgub - ani nie daj złapać! Wsunęła mi dłoń pod ramię.

- Och, nie śmiałabym iść tam sama. Wszak widzisz, jak dziwnie wygląda pałac pod tą pochyłą nad nim skałą. Poza tym, straszy w nim pradawny mag o płonących oczodołach.

- W takim razie pójdę z tobą. Czy mamy zabrać ze sobą wiadro wody na wypadek, gdyby się nam zdarzyło spotkać owe oczodoły?

- Przemkniemy się bokiem, aby nikt nas nie widział. Chodź, będzie świetna zabawa! -

Spojrzała na mnie i uśmiechnęła się zachęcająco.

Ruszyłem za nią ku bocznym drzwiom i razem zagłębiliśmy się w czeluście pałacu.

Rumor dochodzący z dziedzińca umilkł. Czuję się tak, jakbym został uwięziony wewnątrz zahnoskopu, w którym zjawiały się na przemian pasy światła i cienia - okno, gobelin, ściana,

korytarz. Co za wspaniałe miejsce na potajemne schadzki! Zamierzałem jak najsumienniejszym ćwiczyć się w roli Generała Geralda. Bezzwłocznie ruszyłem za lodowato-błękitną suknią Armidy.

Wspomniałem już, że pałac wzniesiono pod ogromną wiszącą skałą. W miejscu rym

Góry Prilipit ozdobiły krajobraz ostatnim wielkim kawałem wapienia, wysokim przynajmniej na sto metrów. Przedsiębiorczy Chabrizzi, dostrzegając zalety obronne tego miejsca, zbudowali swój pałac pod nawisem skalnym, zatapiając go częściowo w górskim masywie i zakłócając tym symetrię budowli zaprojektowanej przez ich architekta.

We wnętrzu budynku trudno się było połapać. Robotnikom, którzy budowali pałac, topografia tego miejsca przysparzała tak wielkich trudności, że czasem zostawiali jakiś niepełny łuk lub niedokończone schody, tworzyli korytarze, które rozpaczliwie się zapętlały, albo zostawiali duże komnaty nie nadając im ostatecznego kształtu i pozostawiając popękana skalną ścianę zamiast równego muru.

Armida, zmieniając się w małą, nieustraszoną dziewczynkę, poprowadziła mnie przez labirynt pomieszczeń, to pnąc się po obszernych schodach i małych schodkach, to znów z nich zbiegając, przechodząc przez małe drzwi, za którymi kryły się wielkie sale albo przez dwuskrzydłowe olbrzymie wejścia prowadzące do szaf. Przez wysokie okna widzieliśmy jak odjeżdżająca gromada powoli opuszcza główną bramę i rusza w dół zbocza.

Kiedy badaliśmy górne piętro, Armida wskazała mi drogę na zewnątrz, na skalny parapet zawieszony wiele metrów nad ziemią, na który wejść można było jedynie z pałacu.

Występ skalny zamieniono w mały park, w którym Chabrizzi zwykle trzymali kilka oswojonych prazwierząt. Teraz pozostały już tylko trzy stare ostrogowce. W dawnych czasach te bezkształtne bestie wykorzystywano w bitwach. Spinano je łańcuchami w szeregi i przywiązywano im palące się lonty do ogonów, aby siały popłoch w szeregach wroga.

Trzy ostrogowce stąpały ciężko pochrzając; spiczaste boczne kolce ich pancerzy spiłowano, aby chronić same zwierzęta oraz ich opiekunów przed zranieniem. Armida podbiegła do jednego i pogłaskała go. Zwierz jadł liście wprost z jej ręki. Na płytkach jego pancerza widniały wykrobane inicjały i daty; znaleźliśmy zapis wykonany przed ponad dwustu laty. Te trzy ostrogowce należały do ostatnich w Malacji. Wszystkie prazwierzęta powoli wymierały.

Wróciliśmy do pałacu i wspięliśmy się do małej kapliczki, gdzie bogato rzeźbione ławy Chabrizzich stały przodem do ołtarza wtopionego w wapienną skalną ścianę. Skała błyszczała wilgocią; strużka wody spływała w dół, a nieprzerwany odgłos kapania pogłębiał

tajemniczą atmosferę komnaty. W skalnych załomach rosły paprocie. Nieopodal płonęły ofiarne świece. W kaplicy znajdował się też wielki, ponury obraz przedstawiający Bogów Ciemności i Światła, jednego z rogami, drugiego z łagodnie spływającą brodą. Między nimi stała Minerwa z sową.

Podeszliśmy do okna kaplicy. Znajdowało się tuż przy skalnej ścianie. W szyby stale uderzały krople wody spływającej z wapiennej góry. Przez ten wąski otwór widać było odległy Mantegan, dwór mojej siostry i nie dbającego o nią męża. Spoglądając w dół

dostrzeżliśmy zabudowania służby. Wąski strumień słońca wniknął na cienisty dziedziniec wyławiając dwie postacie. Zacisnąłem dłoń na ramieniu Armidy obciążniętym wąskim rękawem, sukni i wskazałem jej parę.

Mężczyzna i kobieta stali blisko siebie. Oboje byli młodzi, on wyglądał na pełnego młodzieniaszka, a ona, dość korpulentna, odziana w fartuch i czepiec, wydawała się dojrzała. Widzieliśmy, jak uśmiecha się do towarzysza, mrużąc oczy przed słońcem. Z okna nie mogliśmy dostrzec twarzy mężczyzny. Pochylił się ku niej i pocałował ją. Ona mu się nie opierała. Jedną dłonią objął jej obfitą pierś, podczas gdy druga znikła pod fartuchem i spódnicami kobiety. Dobrze mi znane ruchy w promieniach słońca wyglądały pięknie.

- Bezczelna leniwa służba! - powiedziała Armida patrząc na mnie na wpół figlarnie, a na wpół buntowniczo. - Dlaczego słudzy zawsze są tacy rozwiążli?

Pocałowałem ją i zacząłem się bawić wstążkami w jej włosach, pozwalając drugiej dłoni powędrować pod jej suknię, podobnie, jak zrobił to młody mężczyzna na dole.

Armida natychmiast się odsunęła, uderzając moją rękę. Zobaczyłem, że się śmieje, więc przyciągnąłem ją do siebie. Ona ponownie się cofnęła, a ja postąpiłem ku niej. Za każdym razem, gdy zbliżałem się za bardzo, uderzała mnie po nadgarstku - tylko raz zdołałem ją chwycić i zaczęliśmy się gorąco całować. Jej wargi rozchyliły się nieco pozwalając memu językowi wniknąć w jej usta; ale w miarę, jak gorące stały się nie tylko nasze pocałunki, ona ponownie się wymknęła i wróciliśmy do gonitwy po kaplicy.

Na początku wydawało mi się to zabawne, lecz po jakimś czasie uznałem grę za dziecinną.

Zmęczony zabawą, skryłem się w jednej z połączonych loży i patrzyłem, jak Armida płąsa wokół. Nad ołtarzem znajdowały się dwa zaokrąglone wybrzuszenia skalne. Lśniły wilgocią, która spływała w dół strużkami na kształt litery V do miejsca, gdzie kapiała i błyszczała woda, a paproć tryskała fontanną liści.

Moja towarzyszka zachowywała się tak, jakby w nią wstąpił diablik. Zupełnie nie przypominała zwykłej, powściągliwej Armidy. Nie przestając tańczyć i nucić zaczęła zdejmować ubranie. Zapatrzona gdzieś w siebie odrzuciła białe pończoszki. W tańcu poruszała ramionami i przebierała nogami, tak jakby występowała dla kogoś wyjątkowego - o wiele bardziej wyjątkowego niż ja. Po chwili zrzuciła suknię. Nie spuszczałem z niej wzroku, nie mogąc uwierzyć, że robiła to dla mnie. Jedną po drugiej, części jej bielizny opadały na podłogę. Ostatnia spadła koszulka. I oto Armida z rodu Hoytolów tańczyła nago przed biednym aktorem, umykając jego dłoniom.

Ciało miała szczupłe, ale idealnie uformowane. Jej piersi poruszały się pięknie, a napięte pośladki

tańczyły we własnym rytmie. Włosy poniżej jej płaskiego brzucha miały równie ciemną i żywą barwę, co pukle opadające jej na ramiona. Przyglądając się tak cudnemu przedstawieniu wytrzeszczyłem oczy tak bardzo, że musiały przypominać jej sterczące sutki. Co za brzoskwiniowa panna! W jakim celu tak się przede mną bawiła?

Modliłem się, aby jej zamiary były podobne moim.

Wreszcie zatrzymała się przede mną, nie za blisko, dłońmi zasłaniając intymne miejsca z nieco spóźnioną skromnością. Fragmenty jej stroju zaścielały podłogę.

- Już raz tak tutaj tańczyłam, dawno, dawno temu - powiedziała w zamyśleniu - i zawsze pragnęłam zrobić to raz jeszcze, wolna od rodziny, uwolniona od siebie. Jakże chciałabym być dzikim stworzeniem!

- Znajdujemy się w świątyni kobiecego piękna. Jeśli się obrócisz i spojrzysz na ścianę, zrozumiesz, o czym mówię.

Z tymi słowami niezdarnie wskazałem na „V” w wapiennej skale. Gdy spojrzała się za siebie, powoli podniosłem się z miejsca.

- W skale widać zarysy najcudniejszych części kobiecego ciała. Paproć rośnie tam właśnie, chroniąc skromność. Czy widzisz to, co ja, Armido?

Położyłem dłoń na jej szyi, a drugą ręką wskazałem miejsce, o którym mówiłem,

pieszcząc ustami jej ucho. Pozwoliłem dłoni opaść i opisać kształt krągłego biodra. Znalazła drogę wzdłuż łagodnego ramienia jej litery V i spoczęła w rosnącej tam gęstwinie. Armida odwróciła się w mych ramionach i nasze usta się połączyły. Ręką uwolnioną teraz od wygięcia jej szyi zdarłem z siebie ubranie. Zrzuciłem buty i spodnie, i wkrótce bezwstydnie spoczęliśmy na szerokiej modlitewnej ławie Chabrizzich, którzy z pewnością nigdy nie widzieli istoty piękniejszej i bardziej godnej czci, niż ta, która spoczęła w mych ramionach.

Armida wraz z odzieniem pozbyła się ostatnich zahamowań - tak mi się z początku zdawało, bo z zachwytem chwyciła co miałem jej do zaoferowania i ucałowała to gorąco.

Paplała do tego jak do lalki, aż zacząłem się obawiać, że zaraz jej odpowie. Ale nawet w takiej chwili nie pozwoliła mi na to, czego tak pragnąłem. Wyjaśniła, że ten akt zarezerwowany był dla mężczyzny, którego poślubi. W przeciwnym razie nie miałyby żadnej wartości na weselnym rynku; takie prawa obowiązywały w jej rodzie.

Musiałem się zadowolić tym, co mi dawała - a było to wielce satysfakcjonujące, bowiem uciekaliśmy się do przyjemnych sztuczek, z jakich korzystało wielu kochanków w Malacji. W jej pysznych objęciach zatraciłem poczucie rzeczywistości. Czarowaliśmy się sobą aż słońce zbladło za skałami, a ostrogowce zawyły przed wieczornym posiłkiem.

Zdrzemnęliśmy się chwilę. Potem, wyczerpani, zeszliśmy na dół i trzymając się za ręce

przemknęliśmy dziwnymi przejściami, aż trafiliśmy w miejsce, gdzie toczyła się walka cieni.

Nie było tam duchów, a jedynie zmienne powietrze - miejsca chłodne, ciepłe lub wilgotne, tak wyraźnie wyczuwane przez wrażliwą skórę.

Na dziedzińcu od frontu czekał powóz Armidy. Posłała mi ostatnie miłosne spojrzenie i pobięła przed siebie, zostawiając mnie pod osłoną cieniściego portyku. Zaczekałem, tam, aż umilkł chrzęst kół karety po bruku.

O tej porze moi przyjaciele pili zwykle w jednej z karczm w Starym Moście. Nie miałem ochoty dzielić się swym szczęściem z innymi. Byłem w podniosłym nastroju. Wokół

gęstniał wieczór. Wędrując przez miasto, postanowiłem odwiedzić kapłana Wielkiej Religii, ojca Mandaro, który golił głowę

Mieszkał wraz z innymi duchownymi w zachowanej części pałacu Założyciela, gdzie przetrwały ślady starej Malacji. Dawniej wznosiła się w tym miejscu ogromna budowla -

obecnie w rozsypującej się rumie - wielkością dorównująca rządzącemu się własnymi prawami miastu. Jej większa część już nie istniała. Kamienie, gorgole zdobiące rynny i wszelkie inne fragmenty gmachu rozdrapano podczas wznoszenia nowych domów,

zbiorników podziemnych a nawet fundamentów St Marco. Z tego, co przetrwało, żadna komnata nie zachowała pierwotnego charakteru, funkcji ani kształtu. Proste habity wisiały na balkonach, na których dawno temu słonecznych kąpeli zażywały ledwie człowiecze damy Desporta, naszego założyciela.

Głosy obecnych mieszkańców - ledwie wiążących koniec z końcem - wypełniały

labirynt korytarza. Niezwykła atmosfera tego miejsca nadal szeptem nawiązywała do ślepej przeszłości.

Mijając siedziby biedaków, wspiałem się na trzeci poziom i pchnięciem otworzyłem drewniane drzwi do Mandaro. Nigdy nie zamykano ich na klucz. Kapłan czekał w środku, jak każdego wieczoru. Rozmawiał z mężczyzną, który, gdy wszedłem, wstał i opuścił komnatę nie podnosząc wzroku. Pomieszczenie przedzielono pośrodku, aby kapłanom i ludziom przychodzącym po radę zapewnić prywatność. Nigdy nie widziałem duchownego, który zamieszkiwał drugą połowę komnaty, choć czasem słyszałem jak głębokim, melancholijnym głosem recytuje pieśni.

Mandaro stał na balkonie. Wezwał mnie do siebie. Z maleńkiego kredensu przyniósł

maleńką łyżkę dżemu na maleńkim talerzyku i szklanek wody - tradycyjne powitanie kapłanów Wielkiej Religii. Powoli przełknąłem dżem i bez narzekania wypilem żółtawą ciecz.

- Coś cię trapi. Inaczej byś tu nie przyszedł.

- Nie potępiaj mnie, ojczu.

- Nie robię tego. Wypowiedziałem jedynie na głos to, za co sam się potępiasz. Widzę, że kłopot twój jest przyjemnej natury.

Uśmiechnął się. Mandaro był mężczyzną w średnim wieku, dobrze zbudowanym,

choć chudym. Sprawiał wrażenie sztywnego, tak jakby wyciosano go z drewna. Ostre rysy twarzy zdradzały, że przebył w życiu trudną drogę. Dla zrównoważenia ogolonej głowy zapuścił brodę. W brązowych bokobrodach pojawiły się ślady siwizny. Widząc je

odetchnąłem. Dzięki nim nie wyglądał tak świeżo. Miał bystre, piwne oczy -

nieprzeniknione, tak jak u de Lambanta. Ani na chwilę nie przestawał śledzić nimi gościa.

Spojrzałem ponad walącą się balustradą balkonu na zapadający zmierzch. W dole wiła się słabo oświetlona Satsuma, ze statkami cumującymi przy nabrzeżu. Dalej dostrzegłem Toi.

Z jej nurtem spływała łódź-restauracja rozsiewając wokół dźwięki muzyki i zapach oleju do smażenia. Na przeciwległym brzegu kępa jesionów wspierała rząd pradawnych budowli. Za nimi, w ciemnościach, kryły się winnice, a jeszcze dalej wzgórza Yukobanów, znaczące poszarpaną linią blade, nocne niebo. Świeciła już wieczorna gwiazda. Mały kurczowąż zaszczekał w stronę Bucintoro. Z sąsiednich sal dochodził nas śpiew przerywany śmiechem i rozmowami.

- Rzeczywiście coś mnie trapi i jest to rzecz w części przyjemna - powiedziałem. -

Nigdy dotąd nie tkwiłem spętany na skraju pajęczej sieci przypadku. Przypadek ów sprawił, iż otrzymałem zaliczkę i piękną dziewczynę, ale zmusił mnie też do przebywania z ludźmi, którym nie ufam tak, jak ufam przyjaciołom. Według Wszechluda w przyszłości mej są ciemne sprawy. Mam zadośćuczynić zmysłom dopóki skorupa się nie roztrzaska.

- Dobrze wiesz, że czarownicy i magowie często mówią o ciemnych sprawach.

- Nie wierzę mu. Kapłani za to grożą ciemnymi sprawami. Jaka różnica?

- Nie przyszedłeś tu słuchać wykładu na temat różnic między Religią Naturalną i Wielką. Są sobie przeciwstawne, ale sprzymierzone. W naszej krwi zmierzch ze światem się miesza. Oni twierdzą, że świat został stworzony przez Szatana albo przez Moce Ciemności; uznają, iż Bóg, Potęga Światła, jest w tym uniwersum intruzem. A podstawowa różnica - otóż wyznawcy Religii Naturalnej wierzą, że ludzkość powinna sprzyjać Szatanowi, gdyż Bóg nigdy nie zwycięży. Natomiast my, zwolennicy Wielkiej Religii twierdzimy, że Bóg może zatriumfować w bitwie, jeśli ludzie staną po jego stronie przeciwko Szatanowi.

- Noc wydaje się spokojna, lecz pod ziemią płoną ognie...

Kapłan puścił wodze wyobraźni pobudzonej dramatem, który rozgrywał się wokół,

niewidoczny dla naszych oczu. Już dawniej podziwiałem jego wywody na ten temat. Choć przedstawienie należało do interesujących, miałem nadzieję usłyszeć bardziej osobistą poradę.

Nie zamierzałem go urazić, ale nie chciałem, by uznał mnie za jednego z łatwowiernych, których zwięść można elokwencją, tak jakbym nie posiadał własnej. Utkwiłem wzrok w ciemnym nurcie Toi. Mandaro, podobnie jak inni kapłani, potrafił wycisnąć przesłanie nawet z kamyka, dlatego zgrabnie wplótł moją bierność w wykład.

- Widzisz jak senna wydaje się ta noc, jak spokojna jest rzeka. Piękno jest

najpotężniejszą z iluzji Szatana. Jakże piękna jest Malacja - często nad tym rozmyślam wędrując ulicami - a jednak cierpi przez klątwę naszych przodków. Wszystko trwa w sprzeczności. Dlatego musimy godzić się na dwie uzupełniające się, a zarazem sprzeczne religie.

- Ale mnie chodzi o pannę, ojczy...

- Wystrzegaj się wszelkiego piękna, mój synu. Wszystko jedno, czy panna to, czy przyjaciel. Rzeczy piękne z wierzchu mogą mieć paskudne wnętrza. Diabeł musi zastawiać pułapki. Zważ też na własne postępowanie. Tobie może się zdawać piękne, lecz w rzeczywistości bywa wyłącznie przykrywką dla plugastwa. - I tak bez końca.

Wychodząc od niego pomyślałem, że tyle samo zyskałbym patrząc na płonącego na

ołtarzu węża, co słuchając takiej rady. Odnalazłem drogę powrotną wśród wnętrzości pradawnego pałacu i wydostałem się z kręgu jego szeptów. Dotarły do mnie wonie rzeki i myśli o Armidzie. Wolno szedłem Ulicą Drewnianych Rzeźb. Świadomość, że Mandaro miał

rację i że Los nie spuszczał ze mnie koziego oka wydała mi się wspaniała.

Mijały dni. Obchodziłem się bez przyjaciół i coraz lepiej poznawałem szczegóły z życia Armidy.

Jak wszystkie młode panny ze świetnych rodów, była stale strzeżona i nie mogła oficjalnie przebywać w towarzystwie mężczyzny bez Yolarii, przyzwoitki o twarzy pomarszczonej, jak suszona śliwka. Na szczęście zasada ta nie obowiązywała w Pałacu Chabrizzich, ponieważ byli oni krewnymi Hoytolów.

Prócz tego, jeszcze jedna okoliczność działała na naszą korzyść. Armidzie obiecano lekki powóz w prezencie na osiemnaste urodziny, które właśnie minęły. Ponieważ jednak w powozowni wybuchł pożar, pojazdu jeszcze nie dostarczono. Tymczasem Yolaria uwielbiała jeździć po mieście rodzinną kareta, a my mogliśmy korzystać na jej spóźnionych przyjazdach do Chabrizzich, co też nie raz czyniliśmy.

Armidę obowiązywał szereg zasad. Nie mogła czytać sprośnych dzieł pisarzy takich jak Close, Bysse Byron albo Les Amis. Zanim pozwolono jej pozować przed zahnoskopem musiała wysłuchać długiego wykładu rodziców na temat zadawania się z ludźmi ze społecznych nizin. Nie miała talentu do aktorstwa - nawet tak niewielkiego, jakiego wymagało stanie przed zahnoskopem - ale radowało ją, że może się wyrwać spod opieki rodziny.

Otto Bengtsohm i jego żona mieli zastępować przyzwoitkę ukochanej córce

pracodawcy. Na szczęście obojętność, z jaką traktowali to zadanie sprawiała, że bez trudu umykaliśmy do cienistych komnat Pałacu Chabrizzich. Tam właśnie poznawałem Armidę, jej pragnienia i frustracje. Miałem szczęście otrzymać to, co mi było dane i choć czasem demonstrowała swą wyższość, opanowało mnie zupełnie mi dotąd nie znane pragnienie.

Chciałem ją poślubić.

Opowiadała mi o wspaniałej wiejskiej posiadłości Hoytolów, Juracji, gdzie wciąż jeszcze żyły niektóre z niezwykłych prawników. Właśnie wtedy zrozumiałem, że pokonam wszelkie przeszkody na drodze do naszego małżeństwa - jeśli ona mnie zechce.

W całym cywilizowanym świecie uważano Malację za krainę niemal utopijną.

Rządziła się ona prawami, które miały chronić jej doskonałość. Jedno z nich głosiło, iż nikt nie może poślubić osoby z innej klasy dopóki nie dowiedzie się konieczności takiego małżeństwa. Surowi i anonimowi starcy zasiadający w Radzie na pewno za taką konieczność nie uznaliby miłości, choć zdarzało się, że czasami dopuszczali brzemienność. Ja, zwykły aktor, choć z dobrymi koneksjami, nie miałem szans poślubić Armidy Hoytoli, jedynej córki bogatego kupca, z którym nie mogłem się równać pod żadnym względem. Dlatego musiałem zmienić zajęcie na bardziej szlachetne albo... stać się absolutnym geniuszem w swojej dziedzinie, tak by nawet Rada nie mogła mi odmówić wyniesienia na wyższy szczebel społeczny dzięki moim zasługom.

Sztuka była moim życiem. Musiałem zabłysnąć na deskach scen, ale w tamtych

czasach czekały mnie wielkie trudności, bowiem wszelkie sztuki piękne dotknął kryzys i nawet protektor pokroju Kemperera musiał rozwiązać swą trupę.

Merkuryzowana sztuka *Księżę Mendicula* stała się dla mnie niemal tak ważna, jak dla Bengtsohna. Pokładałem w niej wiele nadziei. Zanim to zrozumiałem, zdążyłem się potajemnie zaręczyć z Armidą.

Doszło do tego w dniu, gdy zahnoskop zajęty był uwiecznianiem scen z udziałem

Księcia i Lady Jemimy. Podczas gdy Bonihatch i Letycja raz po raz podejmowali próby zatrzymania czasu, Armida i ja wymknęliśmy się niepostrzeżenie. Zabrałem ją, ukrytą za woalem, do Starego Mostu, na Ulicę Drewnianych Rzeźb. Po raz pierwszy stanęła w mojej małej dziupli na wysokości dachów, użyczając jej swego zapachu.

- Jakiś ty biedny, Perianie! - stwierdziła ze zwykłą sobie mieszaniną zachwyty i szyderstwa. - Nawet mury wojskowych kwater lub klasztoru wydają się luksusem w porównaniu z tą klitką na poddaszu. - Nie mogła się powstrzymać od przypomnienia mi, że na początku udałem, iż mam się zaciągnąć w szeregi Armii lub Kościoła.

- Gdybym przystał do którejś z tych instytucji, to wyłącznie z konieczności. Tutaj jestem z wyboru. Kocham moje poddasze. Jest romantyczne. Odpowiednie miejsce dla aktora, którego czeka olśniewająca kariera. Wyrzyj przez okno i poczuj tą woń.

Małe okienko, głęboko osadzone w pękającym murze, wychodziło na jeden z

warsztatów meblowych, z którego dochodził wspaniały zapach kamforowego drzewa

sprowadzanego przez arcymistrza aż z Cathay. Pochylając się do przodu, aby spojrzeć przez okno w dół, Armidą uniosła brzeg sukni odsłaniając cudne kostki. Natychmiast byłem przy niej. Ciepło przyjęła moje pocałunki. Pozwoliła zdjąć z siebie suknię i wkrótce celebrowaliśmy naszą własną wersję miłosnego aktu. Właśnie wtedy, gdy oboje leżeliśmy na mojej wąskiej pryczy, a nasze wilgotne ciała przywierały do siebie, zgodziła się na sekretne zaręczyny.

- Jakże mnie uszczęśliwiasz, Armido! Muszę o swej fortunie powiedzieć choć de

Lambantowi. Jego siostra ma wkrótce wyjść za mąż. Musisz ich poznać. To prawdziwy przyjaciel, niemal równie dowcipny i przystojny, jak ja.

- Niemożliwe, jestem tego pewna. Co by się stało, gdybym pokochała jego zamiast ciebie.

- Sama myśl o tym jest dla mnie torturą! Ale wierzę, że rozsądek nie pozwoli ci zwrócić się ku niemu. To ja będę sławny.

- Perry, jesteś niemal tak zarozumiały, jak sam Książę Mendicula!

- Nie wspominajmy o tym dziwadle. Mam nadzieję, że Bengtsohn odniesie sukces, a sztuka stanie się popularna, ale przecież jej treść to zupełna bzdura. Można nawet powiedzieć, że bzdura banalna.

- Banalna? - Spojrzała na mnie z góry, marszcząc ładny nosek. - Uwielbiam opowieści o księżętach i księżniczkach. Jak można je nazwać banalnymi? Księżna Patrycja zachowuje się niezwykle godnie, gdy prawda wychodzi na jaw... Ja mam o tej sztuce dobre zdanie.

Podobnie jak mój ojciec.

- Mój ojciec nie szczędziłby jej krytyki. Okoliczności stare jak świat. Mąż i jego najlepszy przyjaciel. Przyjaciel uwodzi żonę; zdrada wychodzi na jaw, przyjaźń zmienia się we wrogość. Leje się krew. Przecież to mogło zostać napisane przed milionem lat.

- A jednak Otto przedstawia starą historię w nowy sposób i wyciąga z niej morał. Poza tym, mnie się podoba sceneria zdobycia miasta.

Zaśmiałem się i uścisnąłem ją.

- Nonsens Armido, w tej sztuce nie ma morału. Mendicula jest ofiarą, Patrycja

nieżyczliwą kobietą, Gerald fałszywym przyjacielem, a Jemima tylko pionkiem w grze. Być może Bengtsohn tak właśnie postrzega arystokrację, ale opowieść z tego marna. Mam wielką nadzieję, że technika merkuryzacji zapewni sukces tej miernej historii - wspomaganą oczywiście niezwykłą urodą połowy obsady.

Uśmiechnęła się.

- Czy masz na myśli tę połowę, która właśnie leży na twoim łóżku?

- Całe wspaniałe sto procent tej połowy!

- Skoro już bawisz się w takie figury - i moją figurą zabawiasz się bez przeszkód - czy mogę odświeżyć twą pamięć w jednej kwestii? Przedsięwzięcie Ottona zda się na nic, jeśli mój ojciec nie rozstrzygnie dysputy z Najwyższą Radą. Ojciec jest bardzo ambitny i tego właśnie ludzie się obawiają. Jeśli jemu się nie powiedzie, odczują to wszyscy, którzy na nim polegają, także jego córka.

- Mówisz o tej sprawie z balonem wodorowym? Balony latały w Malacji już dawniej, podczas świąt i wojen z Turkami. Zupełnie nie rozumiem, po co to zamieszanie. Przecież nic się nie zmieni, jeśli jakiś balon wzniesie się w górę.

- Rada jest innego zdania. Jeśli jednak opinia ogółu będzie im za bardzo przeciwna, być może się ugną. W przeciwnym razie zwrócą się przeciwko ojcu - i właśnie dlatego poszukuje on teraz potężnych sprzymierzeńców.

Przewróciłem się na plecy i spojrzałem na plamy na suficie.

- Wygląda na to, że twój ojciec powinien zapomnieć o balonie.

- Ale on nie ustanie, dopóki nie wyśle balonu w górę; uważa, że to będzie wielkie osiągnięcie. Niestety, Rada jest odmiennego zdania. Sytuacja jest poważna. Dzieli nas prawo zwyczaju, które stanąć może także między ojcem i jego życiem. Dobrze wiesz, co się dzieje z tymi, którzy sprzeciwiają się Radzie zbyt długo.

W wyobraźni ujrzałem nie ciało bogacza w rynsztoku, lecz jego córkę dzielącą ze mną mały pokoik na poddaszu.

- Dla ciebie, Armido, sprzeciwiłbym się wszystkiemu, nawet niełaskawemu losowi.

Błagani cię, zostań moją żoną, a zobaczysz, jak prześcigam sam siebie.

Zanim wyraziła zgodę, musiała najpierw sprawdzić z tuzin horoskopów; ale przystała na nasze potajemne zaręczyny oraz na ten sam rodzaj więzi, jakie łączyły Generała Geralda i Księżnę Patrycję, nasze absurdalne alter ego.

Zapachy sandałowego drzewa, kamfory i sosny zmieszały się z wonią mięty i cudnym aromatem ciała Armidy, gdy bezzwłocznie postanowiliśmy uczcić nasze zamiary.

Balon nad Bucintoro

Spacerując ulicami naszego miasta wzdłuż brzegów rzeki Toi, a zwłaszcza elegancką dzielnicą Bucintoro, gdzie chodniki brukowane są złotem, warto spojrzeć na północ, na pola uprawne ciągnące się aż do podnóża gór Vokoban, których zbocza, przynajmniej te południowe, zielenią się i kwitną.

Gdy z jakiegokolwiek innego miejsca w Malacji patrzy się na wiejskie krajobrazy, nie ma w nich nic pięknego. Owszem, jest długa i pylista droga do Bizancjum, a na

południowym-wschodzie płynie Kanał Yamonal, w większej części biegu otoczony

drzewami; ale przeważnie widać tylko lekko pofalowaną równinę - ochrową w barwie, ponurą i prymitywną, a przecież wyobrażenie Malacji jest zupełnie inne. Na zachodzie leżą równie niegościnne Góry Prilipit, zniekształcone i odpychające.

Gdy Armida i ja ślubowaliśmy sobie wierność, pod osłoną prilipitowych zboczy

zbierała się osmańska armia. Turcy zamierzali zrównać Malację z ziemią.

Malacjańskie wojska postawiono w stan gotowości. Gromadzono broń. Każdy z

mieszkańców bał się o siebie, żonę lub o coś, co było bliskie jego sercu. Ale nie takie armie gromadziły się już za murami Malacji, nie takim stawialiśmy czoła zmuszając do bezładnego odwrotu.

Rada i generałowie robili wszystko, co uważali za konieczne. Demonstrowali potęgę naszych wojsk, polerowali kule armatnie, na wszystkich blankach zawiesili niebiesko-czarne flagi malacjańskie, wzniesli zapory w poprzek rzek i podnieśli ceny ryb i mąki na rynkach.

Wprowadzono stan wyjątkowy. Grupy obywateli bez przerwy pełniły warty w

punktach obserwacyjnych miasta. Strażnicy wspinali się po chybottliwych schodkach na szczyty dzwonnicy, by ani na chwilę nie spuszczać oka z barwnych namiotów wroga. Ale większość mieszkańców uważała, że ma obowiązek żyć tak jak zawsze i tylko płacić więcej za chleb i śledzie.

Znaleźli się też tacy, którzy woleli uciec z miasta, spływając barką do Yamonal czy udając się do Bizancjum pieszo lub powozami. Jeszcze inni barykadowali się w domach albo w piwnicach. Ja się niczego nie bałem. Armida rzuciła czar na moje życie.

Wszyscy wiedzą, jak się czuje zakochany człowiek. Kiedy otwierałem okno i

wpuszczałem przez nie bryzę z nad łąk poza miastem, wyobrażałem sobie, że zanim dotarła do mnie, musnęła jej policzek; gdy szedłem drogą, grunt, który prowadził mnie do niej, pamiętał

także ślady jej stóp; gdy spoglądałem w niebo i widziałem przelatującego ptaka, wyobrażałem, że może ona dostrzegła go w tej samej chwili i przez to nasze spojrzenia mogły się spotkać. Gdy

dotykałem jakiegoś przedmiotu, myślałem o jej dotyku; gdy jadłem, uświadamiałem sobie, iż ona również musiała jeść; kiedy z kimś rozmawiałem,

przypominałem sobie rozmowy z nią; gdy nic nie mówiłem, oczyma wyobraźni widziałem jej milczące usta. Cały świat stał się jej sprzymierzeńcem.

W takiej sytuacji, wojska osmańskie nie mogły zakłócić rytmu mego serca ani toru moich myśli.

Pewnego wieczoru, gdy na rynku schwytano tureckiego szpiega i na Placu Fettera wyciągnięto mu szyję o dobre pół metra, wybrałem się z de Lambantem do Ottona

Bengtsohna, aby spytać, jak postępuje proces merkuryzacji. Starzec trzymał wszystko w największej tajemnicy i jeszcze nikomu nie pokazał rezultatów przedsięwzięcia.

- To doskonale, że akurat ciebie unieśmiertelniono na szklanych płytkach, mój

przyjacielu - stwierdził de Lambant. - Zawsze uważałem, że można cię przejrzeć na wylot.

Tego wieczoru ja płaciłem za wino.

- W takim razie musimy zadbać o to, by i twoje imię trafiło do historii jakimś tanim kosztem.

Pod znakiem Ciemnego Oka przeszliśmy przez podwórze do warsztatu, gdzie

Bonihatch i pozostali asystenci wciąż pracowali, albo pochyleni nad stołami udawali, że są zajęci. Klepnąłem byłego Księcia Mendiculę w plecy i poprowadziłem de Lambanta do galerii, która o tej porze była zamknięta dla publiki.

Wyczuwając w powietrzu lekki zapach mięty, rozejrzałem się i dostrzegłem w głębi pomieszczenia Armidę. Niosła naftową lampę, która oświetlała jej twarz od dołu, nasycając ją magicznym blaskiem. Wydawała się bezcielesna, tak jakby składała się wyłącznie z mgły.

Ucieszyłem się na jej widok. Sądziłem, że jak zwykle więziona jest w domu. Nadarzyła się okazja przedstawienia jej Guyowi.

Armidzie towarzyszył ojciec, ciasno owinięty połami dwurzędowego fraka. Otto

Bengtsohn odziany w stare futro trwał w służalczej pozie. Była z nimi przyjaciółka Armidy i Guya, Bedalara, otulona złotą peleryną pasującą kolorem do jej loków, oraz mężczyzna, tak różny od reszty towarzystwa, że to właśnie on, a nie damy, zwrócił moją uwagę gdy niepostrzeżenie zbliżyłem się do grupy.

-... ostrożność może się okazać korzystna dla królestwa, choćby tylko na okres przejściowy - powiedział ów osobnik takim tonem, że Armida posmutniała, a jej ojciec zażył

tabaki. Nieznajomy był wysoki i szczupły, choć pod ubraniem wyraźnie sterczał mu brzuch.

Jakby dla podkreślenia groteskowego efektu, jego twarz sprawiała wrażenie wymizerowanej, napuchniętej i bladej. Miał na sobie czarny płaszcz, bardzo obszerny i okropny. W

kieszeniach mógł bez trudu ukryć zwoje sznurów. Czaszkę przykrył szarą, urzędową peruką, na której tkwiła dwurożna czapka z niebiesko-czarną rozetą Rady Najwyższej. Był to człowiek przyzwyczajony do strachu, jaki inni mu okazywali; nawet lokaj z wargami przypominającymi surowe steki, stał zgięty wpół w cienistym kącie galerii, daleko za plecami nieznajomego.

Członek Najwyższej Rady spojrzał na mnie. Jego wzrok sprawił, że nie tylko się zatrzymałem, ale nawet odrobinę cofnąłem.

- Nie chcę by nam przerywano, Hoytola. Udamy się do twego biura - oznajmił głosem, który zdawał się dobiegać gdzieś spoza kręgów światła rzucanych przez naftowe lampy.

Całe towarzystwo odwróciło się plecami do mnie i odeszło. Nawet nie próbowałem iść za nimi. Ponury głos nieznajomego przypomniiał mi, że wolę ludzi miłych od nieprzyjemnych.

Kochana Armida zdołała niepostrzeżenie się odwrócić i dotknąć mej dłoni. Światło lampy i cienie zmieniły jej twarz w krajobraz słonecznego blasku i chmur.

- Teraz mamy naradę - powiedziała. - Zobaczymy się jutro. Zaopiekuj się Bedalarą.

Z tymi słowy odeszła za resztą towarzystwa. Znikła za obitymi zielonym suknem

drzwiami, za którymi schody prowadziły w górę do apartamentów i gabinetów Mistrza Hoytoli. Tylko Bedalara została z nami ze świecą w dłoni. Miała niezbyt mądrą minę, ponieważ wykluczono ją z towarzystwa.

Popatrzyliśmy na siebie z daleka.

- To by było na tyle - powiedziała.

- Czy coś się stało? Przyjrzała się świecy.

- Skąd mam wiedzieć?

- Co robi tutaj ten człowiek?

- Ma jakieś sprawy do ojca Armidy. Zjawił się przed - chwilą.

- Nie chciałbym mieć z nim do czynienia - powiedział Guy stanowczo.

Wróciliśmy do warsztatu. Było tu jaśniej i nie czuło się zagrożenia, jakie wywoływała obecność mężczyzny ze sznurami w czarnych kieszeniach.

Bonihatch i pozostali pomocnicy próbowali zabawić bladą, mniej więcej

dziewięcioletnią dziewczynkę. Uwijali się przy tym znacznie zwawiej niż w obecności Bengtsohna. Mała uśmiechała się nieśmiało, nie puszczać ręki naszej szwaczki, Letycji Złotoróg, alias Lady Jemimy. Letycja w brzydkiej, burej sukni i znoszonych chodakach znacznie mniej przypominała Lady Jemimę, choć uśmiechała się promiennie. Sądząc po minie Bonihatcha, jej uśmiech rozpałił w nim ogień. Szczupła twarz dziewczynki przy twarzy Letycji wyglądała jak płomyk świecy.

Przywitałem je łaskocząc małą pod brodą, choć miałem obawy co do jej czystości.

- Letycja właśnie przyniosła mi piękną koszulę - oznajmił przyjaźnie Bonihatch podchodząc do mnie.
- Teraz mogę grać razem z tobą, Perianie! Otto wprowadzie dał nam kostiumy, ale musiałem załatwić sobie koszulę. Do tej chwili nie miałem nic odpowiedniego do roli księcia. Teraz mógłbym być królem. W dziele Letycji czuję się aż nadto wspaniale.

- Przyznaję, mógłbyś grać nawet samą królową, nie tylko króla, bo strój jest

wyjątkowo ozdobny - stwierdziłem biorąc do ręki nową koszulę.

- Ach Perianie, po prostu przyznaj, że ci się podoba - powiedziała Letycja zbliżając się do mnie. - To najlepszy wzór mego wuja. Uszyłam ją własnoręcznie.

- Założę się, że wygląda lepiej niż to, w czym grywasz swoje role – wtrącił jeden z pomocników, Solly, krzywiąc do mnie twarz.

Rzeczywiście koszula była godna podziwu. Uszyta z cienkiej bawełny, wiązana w

pasie, z kunsztownie ozdobionym, otwartym kołnierzem. Na ulicy wyglądałaby zbyt strojnie, ale nie miałem wątpliwości, że doskonale się nadawała do sztuki. Szwy wykonano z niezwykłą wprawą, a prawy mankiet zdobiły haftowane kwiaty.

Roześmiałem się i objąłem Letycję ramieniem.

- Koszula jest wspaniała, a wzór wuja śmiało może konkurować z najwspanialszymi strojami. Rzeczywiście jest piękniejsza niż wszystko, co posiadam - wyznaję to szczerze.

Jesteś sprytną panną, Letycjo. Zabieram was wszystkich do Tawerny pod Skórzastym Kłębem, aby to uczcić.

- Pomocnicy nie mogą opuścić warsztatu, dopóki nie wróci Otto - szybko wtrącił

Bonihatch.

- W takim razie zabieram samą Letycję. Oczywiście de Lambant i Bedalara mogą do nas dołączyć, gdy już skończą szeptać w kącie.

- Nie mogę iść. Muszę wrócić do szycia - powiedziała Letycja niepewnie spoglądając na Bonihatcha.
- Już i tak za długo tu zabawiłyśmy z siostrą. Na pewno nas szukają.

W tej samej chwili, stojąca u jej boku dziewczynka postąpiła krok do przodu i z jękiem poprosiła o coś do jedzenia. Letycja przykucnęła przy niej, objęła małą i obiecała zaparzyć jej kubek wzmacniającej herbaty, jak tylko wróca do domu. Dziewczynka była jej młodszą siostrą. Miała na imię Rosa. Nie czekając, aż skończy się ta rodzinna scenka, odwróciłem się do Bonihatcha. Patrząc jak ostrożnie składa koszulę spytałem go, ile za nią zapłacił, i czy może (nie wiedziałem przecież co łączyło go ze szwaczką) Letycja dała mu ją w prezencie.

- To nie tak - powiedział szeptem, spoglądając na mnie ze zdziwieniem. - Rodzina Letycji należy do najuboższych. Zapłaciłem jej tyle, ile dałbym na rynku - choć z dumą przyznaję, że moi przyjaciele i towarzysze z dobroci serca dorzucili co nieco i pomogli zebrać całą sumę.

Zdradził mi cenę. Zagwizdałem na znak podziwu dla jego hojności, choć uważałem, że koszula jest warta więcej. Ale suma jaką zapłacił i tak przekraczała moje ówczesne możliwości.

Letycja i Rosa zaczęły się żegnać. Zebrały arkusze bibuły, w które zawinięta była koszula i uśmiechnęły się do wszystkich. Bonihatch pocałował i uściśnął starszą siostrę.

Pozostali pomocnicy dwornie ucałowali jej dłoń. De Lambant i Bedalara nie wiedzieć kiedy znikli. Domyślałem się, że już ich tego dnia nie zobaczę. Gdy Letycja z małą podeszły do drzwi wychodzących na wewnętrzny dziedziniec, ruszyłem za nimi.

W tej samej chwili do warsztatu od strony galerii wszedł Bengtsohn. Wyglądał na wstrząśniętego. Ciężko usiadł w fotelu. Wszyscy asystenci otoczyli go ciasnym kręgiem, więc mogłem chwilę porozmawiać swobodnie z Letycją.

- Twoja siostrzyczka jest głodna. Wygląda tak mizernie, jakby ostatni porządny posiłek jadła w Dzień Halabardnika. Pozwól, że postawię ci lampkę wina, a jej kawałek ciasta w Skórzastym Kle. Potem pójdziecie do domu.

Mówiąc do niej, jednocześnie delikatnie wypychałem ją na dziedziniec. Wzbraniała się, ale dziewczynka zaczęła popłakiwać. Mrok na dworze rozjaśniało tylko światło sączące się z nielicznych okien, głównie z bocznego okna tawerny. Przez część szyby nie pokrytą szronem dostrzegłem mężczyzn przy ulubionym zajęciu. Wlewali sobie do gardeł trunki.

Chwyciłem dziecko za rękę.

- Chodź mała, zaraz kupię ci ciastko. Wciągnąłem dziewczynkę do środka, ale Letycja nie weszła za nami. Została w drzwiach. Wyglądała na zakłopotaną. Ja czułem się podobnie.

Kupiłem Rosie cynamonową bułkę nadziewaną śliwkami i kazałem jej zostać przy barze, a sam wróciłem do Letycji.

Była szczupłą dziewczyną, raczej bezbarwną, ale bynajmniej nie bezkształtną,

pomimo znoszonej, burej sukni. Nawet z bladą cerą, wyglądała dość ładnie. Ciężki zawód nie wpływał korzystnie na jej urodę, ale miała duże oczy, a kształt jej ust i kości policzkowych wskazywał na domieszkę obcej krwi.

- Letycjo, pięknie wyglądasz, gdy tak stoisz w drzwiach. Nigdy nie czekaj w przejściu, to moje motto. Wejdź, napij się i chwilką rozmowy odpłać mi za wino. Dotąd nie mieliśmy okazji pogadać.

- Ty masz więcej czasu na rozmawianie. Wuj potrzebuje mnie w szwalni. Wciąż mamy pełne ręce roboty, dniem i nocą.

- Fakt, że chwilowo jestem bez pracy nie świadczy o jakości mych talentów, których, jak powszechnie wiadomo, mi nie brakuje.

- Nie chciałam cię urazić. Po prostu ciężko pracuję i muszę zaraz wracać do domu.

Proszę, byś mnie nie zatrzymywał.

- Zostań tylko chwilkę. Tyle, ile trzeba na przełknięcie bułki ze śliwkami! Nie? W takim razie pozwól się odprowadzić.

Rosa, nie rozstając się z bułką nie zamierzała tkwić w miejscu. Dołączyła do nas.

Widząc, że mała ma obie ręce zajęte, Letycja ujęła ją za ramię i popchnęła ku ciemnemu podwórzu. Po chwili dogoniłem je.

- Przecież możemy być razem nie tylko wtedy, gdy patrzy na nas oko zahnoskopu.

Urządzenie to nie ma żadnej magicznej mocy. Spotkajmy się któregoś wieczoru, gdy jesteś wolna i chcesz się zabawić.

- I gdy tobie nie towarzyszy Armida Hoytola? Przecież nawet na mnie nie spojrzysz, gdy ona jest w pobliżu.

- Powinnaś chyba mnie lepiej poznać, zanim staniesz się o mnie zazdrosna.

- Zazdrość to kosztowny zbytek, ja sobie na nią nie mogę pozwolić.

Stanęliśmy przed wejściem w jednym ze śmierzących zaułków podwórza. Było tam

tak ciemno, że musiałem się trzymać ramienia Letycji, aby na nic nie wpaść. Dziewczyna wyjęła klucz i otworzyła drzwi. Za nimi dostrzegłem nagie, mocno zniszczone schody oświetlone ogarkiem świecy w świeczniku.

- Tu się musimy rozstać, Perianie. Rosa i ja dziękujemy ci za dobroć i za bułkę, która, mam nadzieję, nie zepsuje jej apetytu przed kolacją.

- Pozwól mi wejść z wami na górę, jeśli mogę. Lubię słuchać, jak mówisz i wierzę, że gdy przyjdzie ci ochota na rozmowę masz sporo do powiedzenia.

- Przykro mi, lecz muszę pomagać wujowi w pracy. Mamy do rana obrębić dwa tuziny adamaszkowych obrusów.

- W takim razie porozmawiam także z twoim wujem, bo bez wątpienia przyda się

wam towarzystwo. Nie rób takiej przerażonej miny, dziewczyno. Przecież nie zamierzam uciec z waszymi obrusami. O wiele bardziej pasowałyby mi koszule.

- Och, wiedziałam, że czegoś ode mnie chcesz...

Popychając przed sobą Roseę, tak jakby dziewczynka była tarczą, powoli wchodziłem po schodach. Letycja nie miała wyboru. Zamknęła drzwi na klucz od środka, wzięła świecę i pospieszyła za nami.

- Proszę, mistrzu Perianie, zrozum mnie, jesteśmy bardzo biedni...

- Nie wstydz się, nie ma się czego. Mnie także daleko do bogactwa.

- Ja się nie wstydzę biedy. Tego powinni się wstydzic ludzie, którzy nas w nią wpędzają. Moja rodzina ciężko pracuje, by jakoś przetrwać, a to mniejsza ujma niż bezczynność. Obawiam się tylko, że przerazi cię skromność naszego życia.

- Prawdę mówiąc łatwiej znieść biedę innych, niż własną.

Rzeczywiście w izbie, która się wyłaniała u szczytu schodów, wszystko wyglądało więcej niż skromne. Ponad ostatnim stopniem, oczom naszym ukazała się pusta przestrzeń, której większa część tonęła w mroku. Pierwszą rzeczą, jaką dostrzegłem, była naga krowka i spodnia strona dachówek, spomiędzy których wystawały grudy zaprawy przypominające paskudny grzyb. Na tej nierównej powierzchni, niczym rybie kształty na pomarszczonym piasku dna laguny, poruszały się ogromne cienie rzucane przez ludzi zebranych wokół stołu.

Stół i siedziska wokół niego - krzesła zastąpiono tu skrzyniami - były jedynymi meblami w izbie.

Dostrzegłem przy nim cztery osoby. Siedziały z twarzami zwróconymi ku centralnie ustawionej lampie. Ich plecy tonęły w niezmiennym mroku. Wszystkie pochylały się nad blatem, jak w modlitwie.

Zatrzymała mnie stęchła, nieprzyjemna woń unosząca się w całym pomieszczeniu.

Letycja, prowadząc Roseę, wyminęła mnie i zaczęła się tłumaczyć siwowłosemu mężczyźnie, który ze zdziwieniem na twarzy nieznacznie uniósł się ze swego miejsca. Pozostali obecni spojrzeli na mnie przelotnie, po czym wrócili do pracy.

Postąpiłem dalej ku środkowi izby i w jednej ze ścian zauważyłem okrągłe okienko.

Sądząc po ogólnym kształcie pomieszczenia, dawniej znajdował się tu schowek na siano ponad stajniami. Teraz zajmowała je rodzina Złotorogów: tęgi starzec o siwych włosach, do którego zwróciła się Letycja; wąta, odziana w czerń kobieta; dziewczyna mniej więcej w wieku Letycji i

bardzo do niej podobna oraz chłopiec około lat piętnastu, którego nierozgarnięte spojrzenie mówiło mi, że był umyślowo opóźniony. Nieopodal schodów, na podłodze, leżały jeden obok drugiego wytarte materace. Za nimi na sznurze wisiały wyprane szmaty. Jediną piękną rzeczą w izbie był rozpostarty na stole adamaszek. Właśnie na nim skupiała się uwaga całej rodziny.

Starzec wstał podpierając się kijem i powitał mnie. Mimo sędziwego wieku nadal miał czerwoną twarz wieśniaka, kontrastującą z bladymi obliczami otaczających go krewnych.

Czoło okalały mu rzadkie kędziory, z których dwa sterczały po bokach niczym białe rogi.

- Miło nam pana u nas gościć, sir, choć nie jest to miejsce, w którym chciałbym przyjmować dżentelmena o pańskiej pozycji.

- Nie, nie, proszę tak nie mówić. Cieszę się, że teraz już wiem, gdzie mieszka moja droga przyjaciółka. Widzę Letycjo, że naprawdę ciężko pracujesz.

- Zna się na swoim fachu, sir - powiedział starzec. - Proszę mi wybaczyć, ale bóle w nogach nie pozwalają mi długo stać. Mimo biedy, wszyscy jesteśmy szczęśliwi w tym domu, o ile nie jest to zbyt wspaniałe określenie naszego strychu. Staramy się okazywać wdzięczność za łaski, jakie nas spotykają.

- Nie wątpię, że taką łaską są wasze umiejętności, sir. Widziałem jak wspaniałą koszulę uszyliście Bonihatchowi.

- Dziękuję za dobre słowo. Staramy się nie zważać na przeciwności, ale nasze

zdolności są wyzyskiwane. Jeśli Turcy Osmańscy nie wytną nas wszystkich, pewnie jeszcze niejedną taką koszulę uszyję, zanim nadejdzie mój czas. Mam tylko nadzieję, że rodzina Złotorogów jest zbyt biedna, by stanowić cel dla wroga. - Spojrzał w zamyśleniu na Letycję, tak jakby właśnie sobie przypomniał, że nie tylko bogactwo przyciąga osmańskich bandytów.

Potem przedstawił mnie pozostałym członkom rodziny: nierozgarniętemu chłopcu i dziewczynie, którzy byli rodzeństwem Letycji; oraz kobiecie w czerni - matce Letycji.

Kobieta nie miała zębów, ale przemówiła do mnie z takim wdziękiem, że od razu się domyśliłem, kto miał wpływ na wychowanie Letycji.

- Byliśmy farmerami w górach, sir. Pochodzimy z okolic Triglavu - powiedziała. -

Mój mąż utonął podczas wiosennych powodzi, gdy ja rodziłam to oto drogie dziecko. -

Wskazała upośledzonego chłopca. - Od tamtej pory opiekuje się nami mój brat, Joze, który jest dobrym człowiekiem i nigdy nie skarży się zbyt na bóle w nogach. Jakoś zarabiamy na życie, a w Malacji dzieje się nam lepiej niż w naszym kraju.

Mówiąc nie przerywała pracy. Jej blade palce bezustannie migały nad tkaniną, a każdy szew, który

spod nich wychodził, był równie dokładny, co nić w pajęczej sieci.

- Oczywiście wolałbym pracować w polu, przy krowach, ulach i sianie - powiedział

wuj Letycji, podejmując przerwana opowieść. - Ale odkąd spotkało mnie nieszczęście, nauczyłem się szyć równie pięknie jak niewiasty. Teraz, gdy mamy koneksje we dworach, dzieje się nam znacznie lepiej.

- A te koneksje we dworach okradają nas i oszukują jak tylko mogą, choć podobno wszyscy są tu tacy święci - wtrąciła Letycja.

- Tak to już w życiu jest, moje dziecko - powiedział wuj, a spoglądając na mnie dodał

- Dziewczyna się buntuje, jak wszyscy młodzi.

- Mistrz de Chiolo się nie buntuje - odparła ze złością.

- Tak jak mówiłem, dzieje się nam znacznie lepiej - wuj wrócił do opowieści. -

Następnej zimy może pozwolimy sobie na niewielki piecyk. Ustawimy go pod stołem i będzie nam wszystkim ciepło i miło przez cały dzień, pod warunkiem, że zarobimy na opał.

Jego duże, szerokie i naznaczone bliznami dłonie wydawały się bardzo ciemne na tle nieskazitelnej bieli tkaniny. Podobnie jak ręce jego owdowiałej siostry, palce Jozego podczas rozmowy poruszały się bez przerwy, tkając pajęczą sieć, dzięki której utrzymywali rodzinę.

Starzec zauważył, dokąd powędrował mój wzrok.

- Wcale nie uważam tego zajęcia za niemęskie, skoro dzięki niemu mamy co włożyć do ust. Praca jest pracą, prawda? Potrafię teraz uszyć niemal każdą część garderoby.

Wystarczy mi tylko raz pokazać jak. Letycja radzi sobie równie dobrze, prawda kochana?

Suknie, kaftany, płaszcze, paltoty, fraki, kurty rybackie, futerka, kamizele myśliwskie, paradne uniformy - przyjmujemy wszelkie zlecenia, byle były z tego pieniądze. Nasze stroje dorównają najlepszym. - Uśmiechnął się do mnie przypochlebnie.

- Jest pan artystą w swoim fachu, sir - powiedziałem czując, że powinienem odpłacić gospodarzowi komplementem.

Letycja zaraz gdy weszliśmy, usiadła przy stole i zabrała się do pracy, sadzając małą Rosę przy sobie. Rosa zajęła się ssaniem kciuka, a jej starsza siostra długo nie podnosiła wzroku znad migających palców. Dopiero teraz uniosła głowę i spojrzała na mnie śmiało.

- Nie, nie jesteśmy artystami twego pokroju, Perianie. Jesteśmy zwykłymi

robotnikami. Jeśli jest praca, siedzimy tu codziennie od dziewiątej rano do dziewiątej wieczorem

przez siedem dni w tygodniu za marne grosze.

- Poza tymi dniami, gdy grasz Jemimę w sztuce Bengtsohna.

- Grą w tym romansie zarabiam w jeden dzień więcej niż na uszyciu solidnej kamizeli myśliwskiej, która bogatemu posłużyć może i dziesięć lat.

- Mamy nadzieję zobaczyć Letycję na przezroczach, gdy Otto zakończy już swoje

dzieło - powiedziała matka próbując zmienić wrażenie wywołane skargą córki. - Na pewno okaże się wyjątkowe.

- Owszem wyjątkowe - potwierdziłem - bo polega wyłącznie na staniu bez ruchu.

Żadne z nas nie może mówić nawet pod nosem, bo po prostu nie ma żadnych kwestii.

- Ale i tak opowieść jest piękna i romantyczna -

powiedziała Letycja. - Na samą myśl o niej robi mi się wesoło.

- Wiele razy opowiadała nam tę historię przy pracy - wtrąciła matka.

- Wszyscy tutaj staramy się rozweselać - odezwał się wuj przerywając krótką ciszę - a gdy już zarobimy dość, wrócimy do Triglavu i tam odzyskamy zdrowie i szczęście żyjąc w górach jako wolni Złotorogowie. Nawet z moimi dolegliwościami mógłbym pomagać bratu, który ma tam kuźnię.

Po tych słowach starzec zaczął nucić pieśń z lubianej przez wszystkich opery Cosina:

Są górskie zbocza, gdzie zawiedzie mnie droga

Gdzie z górskich strumieni piosnka tryska błoga

Gdzie słyszę wszędy „Pójdź tędy, tędy, tędy”.

Wszyscy przyłączyli się w refrenie. Nawet Rosa przełknęła już resztki bułki i, podobnie jak pozostali, poświęciła całą uwagę adamaszkowi, po którym jej dłonie biegały niczym małe kraby.

Obchodząc stół dookoła nachyliłem się nad lewym uchem Letycji.

- Skoro nie chcesz ze mną rozmawiać, wracam do domu. Bądź tak miła i odprowadź

mnie do drzwi na dole.

Spojrzała na matkę, która nieznacznie skinęła głową nie przerywając pieśni. Letycja wstała, wzięła ogarek świecy i przystanęła u szczytu schodów czekając na mnie.

Pożegnawszy się z pozostałymi ująłem ją za rękę i zesliśmy na dół.

- Ta praca nic ci nie da, Letty - powiedziałem cicho. - Powinnaś zostawić rodzinę i znaleźć sobie bardziej interesujące zajęcie, za które dostaniesz godziwą zapłatę.

- Jak mogłabym zostawić bliskich? Tylko ty mogłeś powiedzieć coś takiego! Jesteś okrutnym samolubem, tak jak mówił Bonny.

- Przecież kupiłem Rosie bułkę, prawda? Nie atakuj wszystkich wkoło, bo w ten sposób niczego nie wskórasz. Twój wuj Joze widać rozumie tę prostą zasadę.

- I co z tego. Nie zamierzam płaszczyć się przed tobą, tak jak on, jeśli taką masz nadzieję. Wiedz, że należę do Postępowców, tak jak Otto i jego żona, i jestem z tego dumna.

Przytrzymałem jej rękę.

- Nie bądź głupia, dziewczyno. Tylko ściągniesz na siebie kłopoty, tak jakbyś już ich nie miała dość. Bardziej pomogłabyś rodzinie starając się o lepszą pracę i dokładając więcej do wspólnego kotła.

- Ja wspieram ich, a oni mnie. Jestem dumna z naszej solidarności. Wiedz, że wstydziałabym się ich opuścić.

- Czy wy wszyscy śpicie razem na podłodze? Zawahała się, odwracając głowę, by ukryć twarz w ciemnościach.

- Sam widziałeś, że nie ma innego miejsca do spania... Przyjaciel obiecał, że kiedyś przyniesie nam prawdziwe łóżko.

Objąłem ramieniem jej talię.

- Pozwól, że ja ci zaoferuję łóżko. Nie, posłuchaj Letycjo, mówię poważnie. Nie jestem samolubnym wieprzem, za jakiego mnie uważasz. Jesteś ładną, obdarzoną

temperamentem dziewczyną i zasługujesz na lepszy los. Możesz spać w moim łóżku, a ja chętnie się prześpię na dywanie. Nie sprzeciwiaj się! Powiedz dobranoc wujowi i chodź ze mną.

Próbowała się uwolnić, ale trzymałem ją mocno dopóki wosk ze świecy nie kapnął mi za kaftan.

- Ty także wykorzystałbyś moje położenie! Wiem, o co ci chodzi. Widziałam

spojrzenia, jakie posyłaś Armidzie. Tak, tak, i to jak się wykradasz z tą małą suką. Wszystko widziałam, mistrzu de Chirolo!

- Nie chcę słyszeć złego słowa o Armidzie. Jej do tego nie mieszaj. Przemawia przez ciebie zazdrość. Moje zaproszenie było szczere i uczciwe.

- W takim razie wiedz, że ode mnie nie dostaniesz tego, co ona tak łatwo ci daje. I to jest moja uczciwa odpowiedź!

Dotknąłem nosem jej włosów. Wcale nie pachniały potem.

- Dość tego - powiedziałem. - Ja tylko zaproponowałem ci wygodne łóżko. Odrobina przyjemności dobrze by ci zrobiła. Każdy widzi, że cię tu odpowiednio nie cenią. Jesteś tylko dobra do pracy. Razem moglibyśmy się znacznie lepiej bawić, nikogo nie raniąc. Chodź ze mną, nie wstydź się. Przecież cię nie skrzywdzę. Poza tym, chyba nie jesteś dziewicą, droga Letty, prawda?

Odwróciła ode mnie twarz ponownie kryjąc ją w ciemnościach.

- Puść mnie.

- Chodź ze mną, tylko dzisiaj. Będziesz spała w łóżku sama. Obiecuję. Nie jesteś już dziewicą, mam rację?

Nie patrząc na mnie zarumieniła się.

- Sądzisz, że tylko bogate dziewczyny, takie jak Armida, stać na luksus cnoty?

- Nazywasz to luksusem? Sam widzę, że do luksusów nie jesteś przyzwyczajona.

Większość znanych mi dziewcząt uważa cnotę za ciężar.

Wyswobodziła się z mego uścisku.

- Idź do domu, Perianie. Znajdź sobie kogoś innego. Jestem pewna, że dla ciebie to nic trudnego. Ja muszę jeszcze kilka godzin popracować.

- Chciałem ci tylko wyświadczyć uprzejmość. Chyba nie jest ci przyjemnie spać na tym samym materacu, co twoja matka i zgrzybiały wuj, nie dbam o to czy są pogodni, czy nie.

O dzieciakach nawet nie wspomnę. Chcę cię jednak poprosić o przysługę, potem może poczujesz się lepiej.

Ponownie się do niej zbliżyłem. Zastanawiałem się, czy dłoń wsunięta pod spódnicę nie przekonałaby jej szybciej niż słowa.

- Czego chcesz?

- Widziałem, jak sprawne masz palce, Letycjo. Uszyj mi koszulę godną Generała

Geralda, taką jaką uszyłaś Bonihatchowi, tylko trochę strojniejszą...

Odepchnęła moją rękę.

- Bonny powiedział ci, ile kosztują takie koszule. Chętnie ci podobną uszyjemy, jeśli nam zapłacisz.

- Płacić! Ależ na święte relikwie, Letycjo! Czyż nie jestem twoim przyjacielem? Czy ja żądałem od ciebie zapłaty za spanie w moim łóżku? Nie możesz po prostu ofiarować przyjacielowi koszuli? Dobrze wiesz, że jestem niemal tak biedny jak wy, więc nie kieruj się chęcią zysku.

-...To niemożliwe...

- Mam wrażenie, że z tobą nic nie jest możliwe. Zatrzymaj sobie swoje żalose szmaty.

Urażony, kazałem jej otworzyć drzwi i wyszedłem się na ciemny dziedziniec.

Stale obawiano się ataku Turków, więc na ulicach było więcej ludzi niż zwykle. Po drodze minąłem wielu strażników zbrojnych w piki i oddział kawalerzystów. Z nikim nie zamieniłem słowa. Wkrótce wspinałem się już po schodach do mojej samotnej kwatery przy Ulicy Drewnianych Rzeźb.

Następnego dnia, w piątek, miałem jak co tydzień odwiedzić Seemleya Moleskina, rodzinnego astrologa. Rankiem, gdy w nocnym stroju jak zwykle polerowałem amulet, Turcy Osmańscy zaczęli bombardować miasto.

Usłyszałem, jak kula armatnia uderza gdzieś niedaleko. Kiedy wyszedłem z domu, ludzie mówili, że szkody nie są wielkie i że atak trwał krótko.

Możliwe, że celem był nowo przybyły okręt, którym oddział kawalerii przyплыł na ratunek Malacji. Posiłki przysłał w darze Diuk Tuscadii, sojusznik Biskupa Gondalego IX.

Poszedłem na brzeg Satsumy, aby popatrzeć jak konie schodzą z pokładu, a kawalerzyści przemawiają do nich jak do starych druhów.

Nie dało się zaprzeczyć, że ostatniego wieczoru nie mogłem zaliczyć do udanych. Z

Armidą zamieniłem zaledwie kilka słów, de Lambant i Bedalara ulotnili się, Letycja okazała się wyjątkowo uparta - nie żeby mi na niej szczególnie zależało - a do tego nie udało mi się obejrzeć przezroczy Bengtsohna. Miałem nadzieję, że Seemley Moleskin roztoczy przede mną nieco bardziej zachęcające widoki.

Starzec jak zwykle tkwił w centralnym punkcie Maltańskich Schodów. Przy jego

wysokim fotelu, wśród skór i kuł z brązu siedział związany chłopiec. Przywitałem astrologa uprzejmie. W świetle słońca wydawał się szary, tak jakby po stu latach spędzonych pod ziemią wyszedł na powierzchnię.

Wysuwając długą, zwierzęcą górną wargę, starzec skinął głową, na co jego sowa także się ukloniła nie otwierając oczu.

- Czy masz dla mnie jakieś pomysły na ten tydzień, panie? - spytałem,

pokazując mu, czym zamierzałem wzbogacić zawartość jego kufrów.

- Konstelacje i znaki są w nieprzychylnym połączeniu. Gorącemu Saturnowi

przeciwstawiają się lodowe pola próżniactwa. Nawet ci, którzy wolni biegają wśród zielonych pól, podążają jednocześnie powoli wąską ścieżką. Twe koturny są już tak wysokie, że nie stąpasz po zwyczajnym gruncie, tak więc teren, który obecnie za swój uważasz, wkrótce może zająć kto inny.

- Czy mówisz panie o mojej pracy, sztuce czy o miłości?

- Mówię ogólnie, aby to, co niejasne, dla każdego jasnym się stało. Niczego się mocno nie trzymasz, a gdy spadasz, zdaje ci się, że się wznosisz. Nie umiesz też nosić koszuli generała nie będąc jednocześnie księciem.

- Jeśli mówisz o sztuce Bengtsohna, to wiedz, że bardzo chciałem zagrać rolę księcia.

- A zatem zagrasz księcia, lecz możliwości, które roztoczą się przed tobą sugerują pożyteczny obrót spraw, nie królewski wszak, lecz z prawem powiązany. Jeśli się nie postarasz lepiej zrozumieć Szatana, nagrody za twą sztukę gorzkim okażą się zniwem.

Ciągnął swój wywód jeszcze przez dobrą chwilę, raz po raz zapalając małe zwoje albo słodko pachnący papier. W tym tygodniu Seemley Moleskin miał mnóstwo do powiedzenia.

Jego nagła rozmowność wcale mnie nie cieszyła. Słuchałem go w milczeniu jeszcze przez jakiś czas, po czym odważyłem się zadać jeszcze jedno pytanie wprost.

- Panie, w tajemnicy przyrzekłem poślubić pannę. Mówię teraz o moim życiu, nie o żadnej sztuce. Powiedz mi, proszę, czy owa panna i ja będziemy szczęśliwą parą?

- Choć uważasz siebie za najwolniejszego z ludzi, twa postawa cię paraliżuje i w końcu się przyczyni do twego upadku. Zdaje ci się, że chwytasz to, co chwytasz; wierzysz, że dotykasz tego, czego dotykasz; ale z martwego ognia unosi się dym. Owoc pachnie świeżo, choć gnijące ogórki leżą przy drodze; kurz, który widzisz na rozstajach nie powie ci, ilu ludzi tamtędy przeszło; a wśród przyjaciół tkwi najokrutniejszy fałsz, który fałszem się nie wydaje.

- Czy nie powinienem ufać Armidzie?

- Spocznij na łożu ostów, jeśli musisz czuwać całą noc, wiedz jednak, że możesz się srodze pokłuć, gdy na niebie ponad Malacją pojawi się znak - czarny ogier o srebrnych kopytach.

- Panie, masz dziś dla mego ducha jedynie popiół - powiedziałem zastanawiając się nad znaczeniem tych zagadkowych słów. - Czy czekają mnie kłopoty, jeśli zobaczę konia na niebie? Czarnego ogiera o srebrnych kopytach?

Podrapał wielką brodawkę na lewym policzku, z której wyrastał wodospad żółtych włosów

skręcających się, we wszystkich kierunkach niczym węże na miniaturowej głowie Meduzy.

- Najpierw zjawi się czarny koń, skośnie pnąc się między chmury; potem nadejdą twe kłopoty na ziemi.

- W takim razie będę unikał patrzenia w górę.

- Radzę ci, byś uważał! - powiedział astrolog ostro. Doradzał on mojej matce przez całe życie, a wcześniej także mej babce; tajemnice, wśród których się obracał, spajały zwykłe życie mieszkańców Malacji już od tysiącleci. Żałowałem, że nie zostawiłem sobie pensa na jedzenie. Odszedłem, ale ostry kozi zapach towarzyszył mi jeszcze przez jakiś czas.

Obecność setek Turków pod murami miasta nie mogła zakłócić dramatu Księcia

Mendiculi i jego niewiernej księżniczki. Wciąż rozsiewając wokół zapach kozła minąłem wielkie bramy pałacu Chabrizzich i zacząłem przygotowania do kolejnego występu przed zahnoskopem.

Armida przybyła przede mną. Wyglądała równie świeżo co zawsze. Miała na sobie suknię, której jeszcze nie widziałem, z szeroką szarfą i pelerynką. Towarzyszyła jej Bedalara.

De Lambant zabawiał obie panny rozmową. Przywitaliśmy się serdecznie.

- Mamy oto parę zwycięzców - powiedział Guy, gdy dziewczęta zaczęły mówić o strojach.

-I to zupełnie niezasłużenie. Miałem nadzieję przedstawić cię Armidzie.

- Uznałem, że czekałem już dość długo. Jesteś dziś chyba trochę zamyślony.

- Widziałeś może jakiegoś czarnego konia galopującego nad dachami domów?

Do grupki dołączyła Letycja obdarzając mnie krzywym spojrzeniem.

Przeszedłem do mniej świetnej kompanii, składającej się z Bonihatcha, który zupełnie źle wykonywał wypad i pchnięcia drewnianym mieczem, pochylonego Ottona Bengtsohna, Solly'ego i jeszcze jednego pomocnika, powolnego chłopaka, na którego wszyscy wołali Rhino. Mieliśmy odgrywać scenę, w której Generał Gerald spotyka się z Jemimą i zabierają do lasu. Bengtsohn właśnie nadzorował rozstawianie niezbędnych makiet.

Na mój widok kazał pozostałym dokończyć dzieła, a mnie wziął na stronę.

- Czy wreszcie zobaczę dokończone przezrocza?

- Błagam, nie nalegaj na to, co innym może być solą w oku.

- O co więc chodzi?

- Nie opuszcza cię dziś śmiałość, Perianie?

- Tak jak generał, zawsze jestem odważny.

- To dobrze. Choć, jak zapewne wiesz, odwaga rzadko ma związek z pozowaniem, albo nawet z graniem roli.

Odważnym trzeba być. Niebezpieczeństwa czają się zawsze i wszędzie. Nawet jeśli nie zabiją nas Turcy Osmańscy, możemy skończyć w nurtach Toi z podejrzniętymi gardłami.

- Zadałeś mi pytanie, a ja na nie szczerze odpowiedziałem. Po co więc to kazanie?

- To nie żadne kazanie, nie przejmuj się moim gadaniem i nie myśl o nim. Myślenie jest w Malacji niebezpieczne. Za trzy dni nadejdzie Święto Buglewinga - wtedy ludzie przestaną myśleć, a zaczną się upijać. Ale ci, którzy w Malacji sprawują władzę nigdy nie przestają myśleć jak maszyny, dzień czy noc, uczta czy post.

- Kim był ten ponury człowiek w czarnej opończy?

Ten, którego wczoraj wieczorem widziałem w galerii?

Spojrzał na mnie spod oka. Jego źrenice kryła zasłona krzaczastych brwi.

- Lepiej, żebyś tego nie wiedział. Postaraj się o nim zapomnieć.

- Wiem, że należy do Najwyższej Rady. Nic nie obchodzi mnie, jak wyglądał. Chcę tylko wiedzieć, czy to przez niego nie pokazujesz nam merkuryzacji?

- Lepiej, żebyś nie wiedział. Pomówmy o innych sprawach. - Starzec odchrząknął. -

Wysłuchaj mnie i nie żyw do mnie urazy, bo nie chcę cię obrazić. Złotorogowie są moimi przyjaciółmi. Z ich słowem liczę się tysiąc razy bardziej niż z twoim, więc uważaj. Zostaw Letycję w spokoju, nie dręcz jej, w przeciwnym razie ja i jej wuj dopilnujemy, byś tego pożałował.

- Nie dręcz jej? Jak to nie dręcz? Czy karmienie jej siostry albo zamawianie koszuli można nazwać dręczeniem? Co ty albo jej wuj macie do tego? Owszem, gram w twojej żalösnej sztuce, ale to nie znaczy, że możesz kierować moim życiem.

- Istnienia są po to, by nimi kierować. Już ci mówiłem, że słowo Złotorogów po tysiąckroć przedkładałam nad twoim. Przedstawiłem ci swoje zdanie i tylko tyle mam do powiedzenia.

- I tak powiedziałaś aż za dużo. Skinął głową.

- Druga wiadomość, którą mam dla ciebie, jest większej wagi. Przesyłają mój potężny i bogaty

pracodawca. Andrus Hoytola żąda, abyś stawił się w jego posiadłości w porze sjęsty.

Tam właśnie, a nie tutaj, przed moim zahnoskopem, odwaga twoja może zostać poddana próbie.

- Skoro Hoytola tego wymaga, stawię się na wezwanie. Co mu o mnie naopowiadałeś?

Starzec pochylił się ku mnie w zaufaniu, tak jak wtedy, gdy po raz pierwszy

pokazywał mi zahnoskop.

- Posłuchaj, ja też kiedyś byłem młody, zanim wyrzucono mnie z Tolkhormu za rewolucyjne poglądy. Dlatego wiem, że w takich sprawach nie można nic nikomu opowiadać.

Możesz być pewien, że nic mu nie powiedziałem. Tu w Malacji zawsze ostrożnie wybieram drogę.

- Tamten czarny płaszcz, który widziałem wczoraj wieczorem oznacza, że na świecie dzieją się niedobre rzeczy. Czego ten człowiek szukał w galerii Hoytoli?

- Już mówiłem, że to nie twoja sprawa - odparł Bengtsohn pośpiesznie. - Tamten człowiek to Diabeł. Jedno ci powiem, fakt, że Turcy próbują się do nas wedrzeć tylnymi drzwiami, znacznie poprawił pozycję mego pracodawcy w niejednej sprawie. Obecność Turków Osmańskich zaalarmowała Radę. Dlatego zostałeś wezwany. Musisz wypełnić pewne zadanie.

- W Malacji główną bronią zawsze była bierność, tak w stanie wojny, jak i pokoju.

Bierność pomogła jej przetrwać dwa tysiąclecia historii.

Dołączył do nas Bonihatch, podwijając rękawy i uśmiechając się szeroko.

- Tak, tak, Rada znowu zamierza polegać na bierności w obecnym kryzysie

osmańskim, jeśli tylko zdołają dopiąć swego - wtrącił we właściwy sobie, impulsywny sposób. - Epidemia im to ułatwia, i to nie po raz pierwszy w historii. Teraz, gdy Psia Gwiazda zasypia wraz ze słońcem, plaga sięga po kolejne ofiary.

- W St Braggart tylko w tym tygodniu mieli dziesięć pogrzebów i wszystko przez zarazę - powiedziałem. - Ale ona nas nie ochroni przed osmańskimi wojskami.

Bonihatch zrobił wszystkowiedzącą minę.

- Ale pomyśl tylko, jak te odwiedziny wpłyną na błyskawiczne awanse kolejnych

synów Sulejmana, obozujących u stóp - wzgórz, gdzie mają dostęp tylko do nieczystej wody.

- Właśnie - zgodził się Otto. - To przesady starych bab, że zaraza Turków nie bierze.

Sczezną od niej tak samo, jak my. Poza tym, chodzą słuchy, że tym razem nasz wróg to nie prawdziwi

Turcy Osmańscy, tylko zwolennicy bośniackiego króla Stefana Tvrtko. Wyznają Bogumilizm. Epidemia pochłonie ich bez trudu.

Bonihatch ruchem bokobrodów dał znać, co na ten temat myśli.

- Nasza zatęchła Rada zamierza siedzieć i czekać aż śmierć wykona robotę za nich.

Zanim, to nastąpi, Tvrtko może dać się nam we znaki w równym stopniu, co zaraza. Do Igary, Saville i Yamonal wysłano prośbę o posiłki, ale jak dotąd nie dostaliśmy nic prócz wykrętów spisanych na kosztownym pergaminie. Właśnie tak możemy liczyć na nasz przegniły i skorumpowany system!

- Tylko Tuscadia przysłała wojska. Pozostali wiedzą jak nikłe są zasoby naszego skarbcza - powiedziałem.

- Powinniśmy wpuścić tu Turków, żeby zniszczyli Malację. Potem moglibyśmy zacząć wszystko od nowa - oznajmił Bonihatch z miną mędrca.

- Nie, Bonny. Takie lekarstwo jest gorsze od choroby. Turków trzeba pokonać, a dopiero potem wywołać rewolucję od środka.

- Co więc mamy robić? Pewnie masz jakieś pomysły. - Zwróciłem się do Bengtsohna.

Raz jeszcze zaszczycił mnie spojrzeniem niezwykłych oczu spod klifowych łuków brwi.

- Pomysły na tyle przewrotne, że mogą zadowolić Radę. Młody Diuk Renardo jest ich gorącym zwolennikiem. Sam zobaczysz. Idź do Hoytoli w porze sjeisty - powiedział. -

Zmiany. Oto czego potrzeba Malacji - dodał innym tonem. - Zmiany w samym sercu. -

Jeszcze bardziej ściszył głos. - Postęp.

Na uniwersytecie znałem studentów, którzy popierali Postęp, ponieważ tak im

pasowało. Ale słowo to brzmiało dziwnie w ustach starzejącego się przybysza z Północy.

Równie dziwnie, jak poprzedniego wieczoru, gdy wypowiedziała je Letycja.

- Lepiej zajmijmy się ustawieniem sofy i zahnoskopu. Gdy aparat wykonał już zadania przewidziane na ten dzień, Armida zaproponowała, że podwiezie mnie do ojca. Bedalara i Guy poszli popatrzeć, jak Caylus trenuje przed walką z bykiem, więc zostałem z Armida sam.

Z dumą zaprowadziła mnie do jednej ze stajni Chabrizzich, w której stał jej urodzinowy prezent - mały, zgrabny powozik z kłaczą Betsy cierpliwie czekającą w zaprzęgu.

Kiedy dość już się napodziwiałem i nazadrościłem, Armida wzięła wodze. Powóz

osadzony był na dwóch kołach. Stał lekko odwrócony do nas bokiem. Panele połyskiwały jedwabście, a poślacane fragmenty drewna błyszcząły w słońcu. Zapragnąłem mieć podobny pojazd dla mężczyzn. Mógłbym gnać nim z zawrotną prędkością i budzić zazdrość przyjaciół.

Tą uroczą dwukółką ruszyłem z Armida przez miasto.

- Czego chce ode mnie twój ojciec?

- On sam musi ci to wyjaśnić. Ma to chyba coś wspólnego z Turkami.

Zamilkłem. Pamiętałem, co powiedział mi Otto. Tureckimi wojskami dowodził

Bośniak Stefan Tvrtko. Jego imię powtarzano w całym mieście. Mówiono, że był ogromny, ciemny na twarzy, groźny i okrutny niczym zbój. Podobno związał swe losy z osmańskim imperium dla zysku. Powiadano też, że jego królestwo nie było większe od doliny w Bałkanach, i że własnoręcznie udusił swego syna, Sebastiana. Mogłem się jedynie domyślać, co wspólnego miał ów zbrodniarz z mężem pokroju Andrusa Hoytoli.

Dom Hoytolów górował nad dzielnicą Fragrant i Aleją Płatnerzy. Wznosił się przy cichej uliczce nieopodal Kanału Vamonal. Minęliśmy go zmierzając prosto na tor wyścigowy.

Głowę rodu znaleźliśmy w stajniach. Nadzorował oporzędzanie Arabów. Jeden z boyów złapał Betsy za uzdę. Wraz z Armidą podszedłem do jej ojca.

Hoytola na początek poinformował mnie, że jest właścicielem osiemdziesięciu koni, w większości arabskich ogierów, trzymany w Juracji - wiejskiej posiadłości Hoytolów.

Nosił się z wyższością, podobnie jak czempiony z jego stajni. Tego ranka miał na sobie strój sportowy: kaftan w kolorze musztardy, bryczesy i skórzane ochraniacze, jak nakazywała moda z Północy. Przerywając wydawanie poleceń trenerom koni, spojrzał na nas i zwrócił się do mnie formalnym tonem.

- Za trzy dni rozpoczyna się doroczne Święto Buglewinga. Należy na czas

przygotować ogiery czystej krwi, aby pokazać się z jak najlepszej strony.

Nie wiedziałem, jak powinienem zareagować, ale Hoytola chyba nie oczekiwał

odpowiedzi. Po chwili ponownie się do mnie zwrócił.

- Słyszeliśmy, de Chirolo, że świetnie dajesz sobie radę w sztuce o Księciu Mendiculi.

To doskonale. Spodziewamy się, iż przedsięwzięcie okaże się interesujące. Początkowo Bengtsohn zamierzał przygotować sztukę o współczesnych biedakach, ale taka nigdy by się nie spodobała nawet w jego ojczystym Tolkhormie, gdzie zwyczajnie są jeszcze bardziej barbarzyńskie niż tu. Można

powiedzieć, że historia dziejąca się kilka tysiącleci temu, w odpowiednich kręgach, zyskuje na godności.

Jego słowa brzmiały sucho, tak jakby Hoytola czuł dziwną niechęć do śliny.

- Gdyby przyszło mi występować w sztuce o ludziach ze społecznych nizin, bałbym się, że zaszkodzi to mojej karierze - przyznałem. - Ale sądzę, że nierozsądnie naiwne zaufanie, jakim Mendicula darzy swą żonę Patrycję, wydawałoby się wiarygodne, gdyby mówiono o kramarzu, a nie o księciu.

Hoytola wetknął kciuki w kieszenie kamizeli.

- Co za zabawny pomysł! Nikt nie chce słuchać opowieści o kramarzach. Tacy

handlarze mogliby się stać zbyt pewni siebie, gdyby napisano o nich sztukę. Poza tym, żadnej publiczności nie interesuje, czy żona kramarza jest mu wierna, czy nie.

Obawiałem się, że z wysiłkiem przeciągana rozmowa za chwilę zupełnie zgaśnie.

Spojrzałem na Armidę. Zajęła się gładzeniem długich końskich łbów, więc od niej nie mogłem oczekiwać pomocy.

- Muszę przyznać, że tragikomedia o Mendiculi wydaje mi się absurdalna -

przyznałem siląc się na swobodę. - Jestem pewien, że Pozzi Kemperer zgodziłby się ze mną.

- Jak to absurdalna?

- Perian uważa, że to banalna opowieść, Papo - wtrąciła Armida posyłając mi

spojrzenie, którego nie potrafiłem rozszyfrować. - Twierdzi, że równie dobrze mogła zostać napisana milion lat temu.

- Interesująca uwaga. Przypuszczam, że sztuka ta wydaje się ciekawa właśnie dlatego, że mogła zostać napisana przed milionem lat. Niektóre rzeczy są wieczne i muszą się powtarzać wciąż na nowo. Losy desperackiej miłości, które Bengtsohn przedstawia z takim powodzeniem, trafiają do nas, ponieważ dziś są równie aktualne, co wczoraj.

- Rozumiem - powiedziałem niepewnie. - Ale sztuce tej brak morału. Postaci są

głupie. Mendicula jest łatwowiernym idiotą, Generał, łajdakiem zdradzającym przyjaciela, Patrycja nie jest lepsza od - hm - kobiety lekkich obyczajów, a Jemimie brak zdecydowania.

Chciałbym widzieć w dramacie choć jedną postać o wyraźnie określonej moralności.

- Zwykle się uważa, że morał powinien się zawierać w całości, a nie w jej częściach -

stwierdził Hoytola.

- Na pewno nie ma go w mojej części.

Przez chwilę wszyscy milczeli, po czym głos ponownie zabrał Hoytola. Tym razem mówił z większym ożywieniem.

- Miło nam widzieć, że jesteś niezależnie myślącym młodym człowiekiem. Nasza

córka wspominała nam, że być może zechcesz się podjąć pewnego zadania. Widzimy teraz, że nie pomyliła się w swej ocenie.

I konie, i ludzie nie spuszczała ze mnie wzroku. W stajniach silnie pachniała słoma, podrażniając mój nos. Instynkt podpowiadał mi, że postąpiłbym niegodnie kichając w obecności ojca Armidy.

- Jakie zadanie ma pan na myśli?

- Małe przedsięwzięcie, które korzystnie wpłynęłoby na sytuację Hoytolów, pomogłoby Malacji i przyniosło ci chwałę.

To mi wyglądało na całkiem spore „małe przedsięwzięcie”. Moje obawy wzrosły

jeszcze bardziej, gdy usłyszałem, o co chodziło. Armida nie spuszczała ze mnie wzroku.

Przeżuwające siano araby także patrzyły na mnie. Głosem tak śmiałym, jak tylko pozwalały na to okoliczności, zgodziłem się spełnić prośbę.

Rankiem w dniu wyznaczonym na moje małe przedsięwzięcie, wcześniej zacząłem się krzątać. Ulice także kipiały już gwarem. Rozpoczął się pierwszy dzień jednego z najstarszych malackich świąt, zwanego Uctą Buglewinga. Czciliśmy pamiętne zwyczajstwa oraz mistyczne związki rodzaju ludzkiego z powietrznymi istotami.

Właśnie one zaprzętały moje myśli, bowiem wkrótce miałem do nich dołączyć.

Pamiętałem ostrzeżenie starego Seemleya Moleskina, który przestrzegł mnie przed czarnym koniem o srebrnych kopytach na niebie. Aby zapomnieć o ponurej wróżbie, energicznie zabrałem się za przygotowania.

Siedząc na brzegu krzesła, napisałem wiadomości do ojca i siostry. W uprzejmych i kwiecistych słowach zapraszałem oboje, aby opuścili swe samotnie i przybyli zobaczyć mnie w godzinie chwały, ponieważ mogła być moją ostatnią. Potem wezwałem chłopca z dołu i zapłaciłem mu dwa denary każąc jak najszybciej dostarczyć listy.

Zagrałem na gitarze melodię i zająłem się układaniem poematu, w którym zegnałem się ze światem. Później zbiegłem na dół i popędziłem po błogosławieństwo do Mandaro.

W Starym Moście już gromadziły się zastępy wielkiej parady. Stare, ceglasto-szare mury rozbrzmiewały echem pokrzykiwań mężczyzn i chłopców oraz rykiem zwierząt.

Dostrzegłem dwa kudłate mangonele. Jak wszystkie słonie stały cierpliwie z pyskami pomalowanymi na biało i z ozdobami na wygiętych kłach. Ale najwspanialsze drapieżniki jak zwykle można było zobaczyć we wschodnim skrzydle pochodu, pod wieżą Starego Domu, gdzie zgromadzono miejski oddział tyrantów - okrutnych bestii uważanych za królów wszystkich pradawnych zwierząt. Jak nakazywała tradycja, prowadzili je satyrowie, towarzyszący drapieżcom od zagród przy drodze Sześciu Lagun.

Cóż to był za widok! Prymitywne istoty - półludzie, półkozły - kłusujące wokół

olbrzymich rumaków! Musiałem się przecisnąć przez zbiegowisko chłopców i kramarzy, którzy przyszli popatrzeć jak rogaci pasterze ustawiają tyranty w szereg. W grupie były cztery potwory, każdy na sześć metrów wielki, z łuskami w żółte i zielone plamy - a raczej w żółte i szare, bo bestie miały już swoje lata. Ogony przywiązano im do wielkich obręczy na plecach, a wokół szyj założono łańcuchy. Krwiożercze pyski olbrzymów uwięziono w żelaznych kagańcach wielkości sporych klatek. Teraz zachowywały się spokojnie - tylko satyrowie potrafili je ujarzmić - ale ogromne szponiaste łapy szurały po bruku, tak jakby zwierzęta miały za chwilę rzucić się w tłum i znacznie go przerzedzić. Tyranty i diabloszczęki niełatwo utrzymać w ryzach, bo nie da się ich oswoić. Ale żadne święto nie mogło się bez nich obejść.

Mandaro udzielił mi rozgrzeszenia.

- We wszystkich rzeczach jest jedność i dwoistość - powiedział. - Nasze ciała żyją w pięknym mieście, ale jednocześnie trwamy w lesie ciemnych wierzeń. Dziś masz okazję wznieść się ponad jedno i drugie.

- Czy będziesz na mnie patrzył, ojcze?

- Oczywiście. A teraz zamierzam obejrzeć satyrów z tyrantami, bo widok tych

barbarzyńskich stworów ogromnie mnie porusza, tak jak i ciebie. Wpuszczamy je do miasta tylko podczas wielkich uroczystości. Tak trzeba.

Wróciłem do siebie. Chwilę później usłyszałem pukanie. Otworzyłem i zobaczyłem Armidę, a za nią jej starą i bladą opiekunkę. Udało mi się rozdzielić je drzwiami. Zasypałem pocałunkami usta mej kochanej, ale ona uwolniła się i odsunęła ode mnie.

- Na zewnątrz czeka powóz, Perianie. Widzę, że jesteś już gotowy! - Była w

poważnym nastroju. Widziałem, że nie miała chęci powitać bohatera tak, jak na to zasługiwał.

- Nie zauważyłem żadnego powozu.

- Nie w alejce, tylko w Starym Moście.

- Gdy cię widzę, od razu czuję się lepiej. Muszę się przyznać do maleńkiej tremy.

Zamknijmy twoją staruchę na zewnątrz i podsyćmy trochę ogień, jaki nas łączy.

- Musimy natychmiast jechać do Bucintoro - powiedziała szeptem.

- Robię to wszystko dla ciebie, Armido, przecież wiesz.

- Nie próbuj mnie szantażować.

Ponownie ją chwyciłem wsuwając dłoń pod gorset jej sukni tak głęboko, że zdołałem objąć większą część wspaniałej piersi.

- Armido, powiedz mi, dlaczego spośród wszystkich młodych byczków w tym

zatłoczonym mieście, od koniuchów po książąt, twój szanowny ojciec raczył właśnie mnie zaszczyścić tak wyjątkowym i niebezpiecznym zadaniem?

- Bo pragniesz szansy wybicia się ponad tłumy. Jeśli mamy się pobrać, tak jak

mówiliśmy, musisz się najpierw czymś wyróżnić. Oczywiście pozostaje jeszcze kwestia twego zachowania.

- Rozumiem. To ty poddałaś mu moje imię. Tylko tyle chciałem wiedzieć.

Gdy wychodziliśmy, spojrzała na mnie wyzywająco. Ukłoniłem się czekającej na schodach Yolarii.

- Uznałam, że szczerść twych intencji należy poddać próbie, Perianie - powiedziała Armida. - Wiesz, że w zasadzie nie wolno mi wychodzić z domu po zapadnięciu zmroku, chyba, że tego wymaga udział w uroczystościach. Zatem, wieczory spędzam grając na wirginalu lub czytając na głos Plutarcha i Martyna Tuppera mojej młodszej siostrze. Ostatnio dowiedziałam się, jak ty spędzasz wieczory, przesiadując w tanich tawernach i bez powodzenia próbując uwodzić szwaczki...

Szła przede mną po krętych schodach w dół, za nią kroczyła Yolaria, a ja zamykałem pochód.

- Kto ci naopowiadał podobnych bzdur? - krzyknąłem oburzony.

- Letycja Złotoróg - odparła Armida nie odwracając głowy. - Bardzo wiarygodny świadek pewnych zajsć, nie sądzisz...?

Wpadłem w gniew. Wierzyłem, że atak jest jedyną skuteczną obroną.

- Ta mała żmija! Straszna zazdrość musi ją trawić, skoro próbuje nas poróżnić!

Chciałem jedynie kupić od niej koszulę, podobnie jak zrobił to Bonihatch, a ona wymyśliła historię o uwodzeniu! Jak mógłbym, przecież to prostytutka! Czy ja szaleję z zazdrości, gdy ty, jako Patrycja, kołyszysz się w brudnych Mendiculowych łapskach Bonihatcha - choć muszę patrzeć, jak cieszysz się tym przez długie minuty?

- Już ci mówiłam, że go nie cierpię. Nie znoszę jego bokobrodów. Nie znoszę smrodu nafty, kwasów i słodkiego sosu. Ty za to, choć nazywasz Letycję prostaczką, zaraz potem wsadzasz jej rękę pod spódnicę i zapraszasz do twego łóża, tego samego, które miało pozostać tylko naszą świętością! Jak śmiesz?

Wszystkie te słowa padły ponad kiwającą się głową przyzwoitki Armidy, co tylko spotęgowało mój gniew i poczucie krzywdy.

- Więc to tak?! Z zemsty wplątujesz mnie w plan, który dowiodłby jakim jestem

tchórzem. Gdybym nie przyjął wyzwania, twój ojciec mógłby mnie posłać z torbami... Jesteś okrutnie przewrotna, Armido. Wiesz dobrze, że ta mała szwaczka nic dla mnie nie znaczy.

Chciała po prostu poróżnić nas tą intrygą!

- To ty jesteś intrygantem.

Zagniewani dotarliśmy do powozu - nie była to dwukółka Armidy, lecz miejska

kareta, w której woźnica miał miejsce z tyłu. Gryząc się w języki - ponieważ nie mogliśmy się pogryźć nawzajem - pozwoliliśmy, aby zamknięto za nami drzwiczki i popędzono konia.

Yolara niewzruszenie siedziała między nami, każdemu pokazując stary, pożółkły policzek.

Opuściwszy pradawny plac włączyliśmy się w strumień pojazdów nadjeżdżających od strony Północnej Bramy i St Marco. Posuwaliśmy się wolno, a jazda dłużyła się nam ogromnie, ponieważ oboje milczeliśmy. Złościła mnie pewność Armidy, że coś mnie łączyło z Letycją.

Młode i stare twarze na zewnątrz przeważnie się uśmiechały. Święto Buglewinga

upamiętniło legendarną bitwę naszych najdawniejszych przodków. Rozegrała się ona przed wieloma milionami lat, kiedy to wojska jednej strony, pokonały armię drugiej w walce, która ogarnęła cały kontynent. Dlatego właśnie należało się radować.

Uroczystości rozpoczęto nie zważając na to, że żołnierze osmańscy stacjonowali nie dalej niż na odległość krzyku. Przedstawiciele rozmaitych gildii przybywali w sile, prowadząc bogate procesje z Gildhali i niosąc chorągwie oraz symbole swoich profesji. Stawiły się także zakony różnych religii, wśród sztandarów dostrzegłem proporce wyznawców Szatana, Boga i Minerwy. Wszyscy szli równymi kolumnami. Na czele maszerowali trębacze, ludzie z pochodniami oraz tragarze wysadzanych klejnotami relikwiarzy i kołyszących się kadzideł, które pozostawiały w powietrzu szlak zapachów.

Wśród duchownych odzianych w szare, czarne i bure habity, wykwitwały barwy bieli, karmazynu i złota tam, gdzie niesiono Biskupa Elekta Malacji, Gondalego IX. Siedział

uroczyście na osłoniętym baldachimami tronie umieszczonym na platformie, którą mnisi dźwigali na barkach. Gondale był chudy i tak posrebrzały ze starości, że wydawał się niemal przejrzysty. Otulił

się bielą na znak czystości, a biel otoczył wspaniałym purpurowym płaszczem, który spływał z tronu na platformę, a z niej dalej w dół, niemal sięgając ziemi. W

pewnej chwili święty starzec przezroczystą dłonią rzucił w tłum srebrną monetę. Moneta miała z jednej strony wyryty symbol Ciemności, a z drugiej znak Światła.

Za kolumną biskupa prowadzono prazwierzęta z jego ogrodu. Tłum na ich widok

reagował igraszkami zwierzęcymi okrzykami i wiwatował z radości. Na przedzie niesiono ptaka, od którego imienia nazwano całe święto, przykutego łańcuchem do żelaznej obręczy wokół

nadgarstka Opiekuna. Buglewing siedział spokojnie na uniesionej ręce. Jaskrawe pióra ani drgnęły, a zębaty dziób spoczywał na piersi ptaka. Obok kroczył flecista grając uspokajającą buglewingową melodię.

Tuż za nimi prowadzono kolejne zwierzęta, użyczające imion innym świętom w roku.

Pochód otwierał wielki i stary halabardnik - popularnie zwany walirogiem - z którego ogromnej czaszki wyrastały jeden za drugim trzy rogi. Stąpał majestatycznie niosąc na grzbiecie jeźdźca, który kierował nim przy pomocy złotych lejców zaczepionych o kółko w nosowym rogu.

Za ową żywą machiną wojenną posuwały się dwa inne giganty dawnych bitew,

kudłate mangonele, których przygotowania obserwowałem wcześniej. Niosły jeźdźców usadowionych wysoko za uszami stworów. Dalej na masywnych tylnych nogach dumnie kroczyły wiklińce obserwując ciżbę przebiegłymi oczkami.

Za nimi prowadzono mniejsze stwory, nie nadające się pod siodło - wśród nich dość powszechne żółte hauberki, bez przerwy podskakujące i skrzeczące; yatterhoby oraz grupę kłodołapów, ordynarnie zwanych szarpakami, których wielobarwna skóra połyskiwała w słońcu.

Korowód zamykał sympatyczny hełmzbroj - większości znany jako Stary Trundel. Z

ogona usunięto mu dwa jadowite kolce, ale nie tknięto rogowych płyt na grzbiecie. Ten akurat osobnik był samcem, znakomitym okazem. Głowę trzymał wysoko, wspartą na

wzmocnionym łańcuchami drągu, za który zwierza prowadzono.

Pochód wspaniałych stworów podobał się wszystkim widzom.

Za nimi wieziono odpowiednie do okazji, olbrzymie malowidła. Z głośnym turkotem jechały ulicami na ciężkich kołach najpiękniejsze sceny z mitologii i historii, dzieła najwspanialszych artystów. Na placu St Marco uwolniono lśniące marzenia świata. Biedacy, wiwatując i machając rękami, ruszyli w pościg za powietrznymi pływakami, tak jakby tylko one liczyły się w ich życiu. Obok nich, nieco powolniejszym strumieniem sunęli uliczni sprzedawcy, jak zwykle wykorzystując naturalne podczas takich uroczystości apetyty na świąteczne przysmaki. Oferowali rozmaite napoje, sody, soki, owoce, przyprawione mięsa, kebaby na gorąco i na zimno; a także ciasta, placki, toffi, chałwy, chleby pita,

bułki, naleśniki z baraniną, lody i inne słodkości. W powietrzu unosiło się mnóstwo smakowitych zapachów.

Woń kadzidła mieszała się z aromatem świeżo pieczonego chleba łącząc w naszych nozdrzach świętość ze świeckością.

Wieczorem musieliśmy zwykle znosić bardziej gryzący fetor, gdy na stosach palono heretyków - ludzi wierzących w jednego tylko boga lub takich, którzy utrzymywali, że pochodzą od szalonych małp.

Nasza karetka z trudem przebijała się przez zamieszanie. Armida zawołała coś do woźnicy i po chwili skręciliśmy w boczną uliczkę, unikając największych tłumów i bezpiecznie docierając za dzielnicę Bucintoro, skąd resztę drogi przebyliśmy pieszo.

Jakże piękny widok przedstawiało samo Bucintoro! Wielkie pałace kupców stały po stronie południowej, a ogrody i wolno płynąca rzeka tworzyły granicę od północy. Budynki lśniły bielą marmurów lub złociły się blaskiem miejscowego kamienia.

Podczas Święta Buglewinga i innych podobnych uroczystości od strony północnej

wznoszono ogrodzenie, aby nie dostał się tu tłum pospółstwa. Parada ciągnęła się od eleganckiego Mostu Park aż po wyjątkowy, pradowy

Most Stary otoczony walącymi się domostwami, a nawet jeszcze dalej. Jej oficjalny kraniec z jednej strony wyznaczał posąg Założyciela Desporta stojącego przed Pierwszym Magiem, a z drugiej - prastare kamienne mury Kościoła Kupców. Między posągiem i kościołem co krok powiewały niebiesko-czarne flagi. Na wieżach pałaców przysiedli lotni.

Stamtąd mieli najlepszy widok na to, co się działo.

Między oddziałami miejskich halabardników i pikinierów paradowali rycerze w

zbrojach na pięknie przystrojonych ogierach. Przemarsz armii ożywiały srebrny pas Milicji, której członkowie wyglądali imponująco we wspaniałych skórkach noszonych przez

przodków. Wśród nich w wojennym rynsztunku kroczyły cztery ujarzmione tyranty.

Spłoszone wkroczyły do Bucintoro, straszone krzykami tłumów i rykiem trąb. Satyrowie z trudem utrzymywali je w szeregu. Na barkach każdej z bestii siedział w siodle opiekun.

Ogony tyrantów wysoko podwinięte na grzbiety, sterczały ponad głowami jeźdźców. Ich końce złotymi łańcuchami połączono z obrożami założonymi na gardła potworów. Stanowiły zbyt potężną broń, aby zwierzętom pozwolić swobodnie nimi poruszać w takim tłumie. Od rana, kiedy to widziałem całą barbarzyńską kompanię w Starym Moście, satyrowie zdążyli przybrać głowy i rogi wieńcami z laurowych liści, a lędźwie girlandami z wiciokrzewu.

Na brzegach rzeki najgłośniejsze było wokół grupy wygrywającej na puszczalkach

morskie szanty. Wiele okrętów malaccjańskich i obcych cumowało przy nabrzeżu.

Navidadiański szkuner, wspaniały trzymasztowiec z wysokim dziobem i dwiema dżonkami, stał burta w burtę z naszymi galeasami i triremami, tak świetnie radzącymi sobie z trudną nawigacją po Morzu Środkowym. Wszystkie okręty pięknie przystrojono, a na rejach w galowym szyku stali marynarze.

Ta wielka parada miała później zwrócić oczy na mnie. Pomyślałem, że niektórzy będą się za mnie modlić. Ta myśl sprawiła, że w moim żołądku coś się przewróciło, jak źle załadowana barka. Niedługo miały się rozpocząć turnieje, maskarady, wesela (Uczta Buglewinga była wymarzoną porą ślubów), palenie stosów, cyrkowe popisy i pokazy ogni, a wszystko miało trwać do późnej nocy. Fontanna w Starym Moście tego dnia tryskała czerwonym winem - taki dar Rada zgotowała najbiedniejszym. Czekало nas to wszystko - a nawet jeszcze więcej, bo każdy starał się dodać do publicznych uroczystości coś od siebie.

Ale to później. Najpierw ja, Perian de Chirolo, miałem wystąpić w jednej ze swych najbardziej szalonych i najmniej upragnionych ról!

Halabardnicy poprowadzili Armidę i mnie przed kupieckie pałace, gdzie na

zaimprovizowanym podeście stali dygnitarze z wielce surowymi minami i w imponujących strojach. (Nie było wśród nich ponurego mężczyzny, którego obecność robiła tak wielkie wrażenie; uznałem, że postanowił nie pokazywać się publicznie. Widocznie jego planom sprzyjały ciemności i prywatność.) Wśród możliwych znajdował się Andrus Hoytola. Zbliżył

się do nas, zaprosił mnie na podest i posępnie powiedział kilka słów otuchy. Rozejrzałem się wokół. Armida znikła.

- Trzeba czekać jeszcze godzinę - oznajmił Hoytola zażywając tabaki, po czym

odwrócił się do mnie tyłem i podjął przerwana rozmowę z mężczyzną, którego twarz rozpoznałem. Był to Diuk Renardo, jasnowłosy i rosły młodzieniec o rumianym obliczu. W

złotej kolczudze, odwijanych pończochach i butach na koturnach z kwadratowymi nosami i wysokim zapięciem wyglądał w każdym calu jak szlachcic. Oddałbym świat - a przynajmniej następną godzinę na tym świecie - za jego satynowe bryczesy i pasującą do nich luźną pelerynę narzuconą na kolczugę. Peleryna miała pionowe kieszenie; jej szwy zdobiły złote hafty z motywem, w który wpleciono symbol herbu rodu Renardo. Domyślałem się, że to Złotorogowie w pocie czoła uszyli mu okrycie.

Renardo spojrzał na mnie badawczo i wrócił do rozmowy z ojcem Armidy, która,

sądząc po przychylnych reakcjach Hoytoli na każdą wypowiedzianą głoskę, warta była przynajmniej dukata za sylabę. O młodym diuku mówiono, że popiera Hoytolę. Uważano go za oświeconego i wierzono, że sprzyja interesom ludu, nawet wbrew życzeniom Rady. Takie krążyły o nim plotki. Jak wiadomo, Rada pozostawała anonimowa, więc trudno było odgadywać jej życzenia. Ale od wieków zakładano, iż były one jak najgorsze i te przypuszczenia zwykle okazywały się słuszne w kwestiach, w których liczyła się anonimowość.

Ze swego miejsca na odsłoniętym podeście widziałem całą paradę.

Wielki plac szybko się zapełniał. Milicyjna orkiestra grała na wschodnim skrzydle przed Kościołem Kupców. Jak zwykle ubożsi widzowie gromadzili się przed bogatymi.

Drobni sprzedawcy wędrowali w tłumie oferując zabawki, druki i słodycze. Próbowałem dojrzeć w tłumie twarz ojca, ale bez skutku. Nie widziałem też proporca Manteganów, więc nie wiedziałem, czy przyszła moja siostra - ani nawet czy jej mąż, Volpato, wrócił z ostatniej podróży.

Zwróciłem uwagę na machające do mnie dłonie. Za barykadą stali de Lambant i

Portinari. Towarzyszyły im dwie panny. Bedalara przyszła z de Lambantem, a Portinari eskortował siostrę de Lambanta, Smaranę. Kiedy ukloniłem się im, ludzie zaczęli klaskać.

Poczułem, jak czerwienieją mi czubki uszu.

Znajdowałem się na krańcu platformy, na którą wkrótce miały się zwrócić oczy

wszystkich. Stałem w nieznacznym odstępnie od dygnitarzy o kamiennych twarzach. Resztę przestrzeni zajmowały najprzeróżniejsze dziwne przedmioty, jakich - według mojej wiedzy -

jeszcze w długowiecznej Malacji nie widziano.

Ponad podestem wzniesiono siedem drewnianych szkieletów wież. Wypełniono je

gigantycznymi worami z jedwabiu, które poruszały się i szeleściły w swych klatkach, niczym żywe istoty. Istniało niebezpieczeństwo pożaru, dlatego dwaj mężczyźni z węzami i pompami stali na platformie i co jakiś czas spryskiwali wodą drewniane klatki i wszystkich stojących nieopodal.

Krańce siedmiu ogromnych worków przywiązano do siedmiu beczek, jednej wielkiej i sześciu mniejszych.

Beczki te dawniej zawierały wino. Pilnowały ich grupy ludzi nadzorowanych przez Bengtsohna i Rhina - mężczyznę o twarzy chłopca. Do beczek stale dolewano wody przez leje wstawione między deski. Wsypano tam także żwir z przytoczonych taczek.

Z dala od zgiełku, na przeciwnym krańcu podwyższenia, stajenny głaskał konia, pięknego czarnego ogiera ze stajni Hoytoli. Tego dnia przyozdobiono go w barwy Hoytolów i we flagę Malacji udrapowaną na grzbiecie zwierzęcia. Z okazji święta podkuto rumaka srebrnymi podkowami. Przyjrzałem mu się domyślnie. Ogier inteligentnie odwrócił wzrok.

Na bruku przed platformą stał długi, czarny powóz zasłonięty czarną materią i

strzeżony przez dwóch dżentelmenów w czerni z twarzami przesłoniętymi maskami. Chyba mieli świadomość, że są jedyną czarną nutą w barwnym dniu, więc trzymali wieniec z białych kwiatów zatknięty wysoko na drągu.

Żałobny pojazd, którego strzeżli sprawił, że poczułem się jak skazaniec przed

egzekucją. Gdy do podestu podbiegł posłaniec i cisnął między szczeble barierki rozszczepiony patyk z wetkniętą węł kartką, rzuciłem się ku listowi, jakbym czekał na ułaskawienie. Była to wiadomość od mego czciwego ojca.

Cierpię na kolkę, lecz mimo to nigdy mnie nie odwiedzasz. Może to być kamień żółciowy. Nie jadam. Zajęty jestem badaniami, więc przestałem się kłopotać jedzeniem. To wszystko wydaje się bardzo interesujące. Nigdy nie wierz lekarzom.

Z radością powitałem twój list, choć twa ręka nie zyskała wprawy w pisaniu. Sądzę, że nie powinieneś jeździć konno. Jako pacholę nie radziłeś sobie w tej dziedzinie lepiej niż w innych. Obecnie usilnie pracuję nad wyjaśnieniem niezrozumiałych fragmentów diety Filipa Macedońskiego, lub Makedońskiego. Nie mam guldenów na odświętne koszule ani inne zbytki. Proszę, uważaj na siebie. Może mnie odwiedzisz? Ja już nie wychodzę odkąd zmarła papuga.

Chyba nie oczekujesz, że poprę twe dziwactwa. Ryzykujesz upadkiem. Dziś czuję się lepiej, ale jutro mi się pogorszy. Przesyłam ci najlepsze życzenia.

Twój Ojciec

No i proszę - pomyślałem wciskając list w kieszeń tuniki. - Muszę odwiedzić starego wieprza. Zakładając oczywiście, że nie spadnę.

Aby powstrzymać nieznaczne drżenie kolan, podszedłem do Bengtsohna pilnującego beczek. Tego dnia nie miał na sobie starego futra. Żebra opinała mu koszula z szorstkiego płótna. Jego pomocnicy pracowali z nagimi torsami. Starzec aż kipiał energią. Z zapalem nakazał wlać więcej płynu do największej z siedmiu beczek.

- Witaj Ottonie, czyżbyś zajął się publiczną destylacją ginu? A może to przykład działania Postępu?

Nachylił się ku mnie konspiracyjnie.

- Nie wymawiaj głośno tego słowa. W rzeczy samej, możesz być pewien, że to

pierwszy taki przypadek w historii tego miasta. Sam wspaniały Fatember ma się tu stawić, aby na płótnie uwiecznić to wydarzenie. Zyskaliśmy nową broń. Dzięki niej nadejdą zmiany, a wszyscy biedacy je popierają.

Otarł pot z czoła rozglądając się wokół i zastanawiając się, jakie jeszcze polecenie mógłby wykrzyknąć, ale wszystko szło zgodnie z planem.

- Skąd w tobie tyle sprzeczności, Otto? Pragniesz zmian, działasz na rzecz postępu, a piszesz sztukę, którą równie dobrze mogliby wystawiać milion lat temu. - Zniżyłem głos, podobnie jak on.

Spojrzał na mnie z zastanowieniem.

- Spróbuj się czegoś nauczyć, spróbuj zrozumieć, jaki naprawdę jest świat, który tobie wydaje się taki dobry. Postaraj się dostrzec okrutne niesprawiedliwości. Jeśli nie masz wyjątkowo sprawnego umysłu, w życiu niczego ci nie brak, a w dodatku masz po swej stronie młodość i doceniasz czar życia jesteś bezpieczny i szczęśliwy. Jeżeli jednak jesteś biedny, albo gdy twój umysł wykracza poza granice zwyczajności - jeśli potrafisz myśleć - wówczas czujesz potrzebę zmieniania rzeczy, a świat pod wodzą potężnych ludzi toczy się przeciwko tobie, jak najeżone kolcami koło.

- Dla takich jak ty buglewingi latają na próżno. Machnął ręką z pogardą.

- Są tacy - nawet na tym podwyższeniu - którzy bezustannie nas wykorzystują, także w dzień święta.

- Jeśli tak cię to unieszczęśliwia, przestań krytykować.

Otto wytarł dłoń o koszulę i zwrócił się do mnie niemal z żalem.

- Gdy człowiek wzrok odzyskuje, czy chce na powrót się oślepić? Masz taki

ograniczony umysł. Obudź się, Perianie, zobacz co się naprawdę dzieje! Owszem, pracuję z myślą o zmianach, a piszę sztukę w staromodnym stylu tylko po to, aby ją zaakceptowano.

Chciałem pisać sztukę o Mendiculi osadzoną w czasach współczesnych, wśród biedaków, takich jak Złotorogowie, a nie wśród książąt. Dobrze wiesz, że nie Kocham bogaczy. -

Uśmiechnął się do mnie chytrze. - Jeśli odniosę sukces, stworzę następną opowieść o biednych, w której więcej będzie prawdy. Jednak ci, którzy uważają Sztuki za swoją własność, nie chcą słyszeć o nędzy i głodzie, ani nie chcą widzieć jak umierają małe dzieci, tak jak i moje dzieci umarły dawno temu. Całe to gadanie o religii, nauce i sztuce - przecież to zabawki w rękach rządzących. Oni nigdy nie wspomagali zwykłych ludzi.

- Jestem innego zdania. Nie każdego dotyka to tak samo.

Uwaga, którą chciałem starca uspokoić, tylko go wzburzyła.

- Owszem każdego. I to na pewno. Jedno kłamstwo w życiu wpływa na losy

wszystkich. Toniemy w kłamstwach, od najbogatszych po najbiedniejszych. Lecz tylko bogaci czerpią z kłamstw zyski, pomnażają je, jak łososie ikrę. Kłamstwa wpływają także na twoje wygodne życie, choć jeszcze nie otworzyłeś oczu dość szeroko, aby to dostrzec.

- Wiesz, że mieszkam w klitce na poddaszu, że mam niewiele pracy, że zaledwie

przed tygodniem próbowałem wyłudzić koszulę. Dlaczego jesteś tak do mnie uprzedzony?

- Chcesz być psem, który biegnie za kareta. Przecież widzę! Nie zaznasz niedoli, dopóki się nie ożenisz i nie zobaczysz, jak twoje dzieci umierają od robaków, które z nich wylazą. A co do tej koszuli, o której wspomniałeś, pozwól, że powiem ci coś, czego sam nie widzisz. Złotorogowie i Letycja zdzierają sobie z palców skórę, żeby jakoś zarobić na życie; nie stać ich na to, by

obdarowywać innych koszulami, bo to tak, jakby innym rozdawali własną krew, potrzebną im do życia. Czy ty tego nie rozumiesz?

- Widziałem, że są biedni. Ale Letycja to zwykła podła dziewczka. Nie lubi mnie. Nawet się z nią nie zabawiłem, a ona poleciała prosto do Armidy, żeby jej o tym powiedzieć.

Bengtsohn spojrział na mnie ze smutkiem.

- Letycja nie jest podła. Nie żywi do ciebie urazy. Po prostu jest biedna, tak jak jej rodzina. To wszystko. Taka jest prawda. Ma hojną duszę, piękniejszą pod każdym względem niż dusza młodej Armidy. Czuje się zagubiona przez miłość do ciebie. Niestety, rodzinne niedole wypaczają wszystko w jej życiu.

Roześmiałem się krótko.

- Kocha mnie, więc opowiada Armidzie, co zrobiłem! Starzec pospiesznie podszedł do Rhina i kazał mu podciągnąć w górę następną taczkę. Zawierała coś, co wyglądało jak popiół.

Gdy bezpiecznie trafiła na podest, Bengtsohn ponownie zwrócił się do mnie.

- To opiłki żelazne. Musimy zachować wielką ostrożność. Niebezpieczeństwo

wywołania pożaru jest ogromne, ale jak dotąd idzie nam dość dobrze. O czym to mówiliśmy?

Ach tak, o biednej Letty. Postaraj się zrozumieć jej położenie. Letycja cię kocha, ale wie, że nigdy ciebie nie dostanie; być może opowiedziała Armidzie, kto jest powodem jej zazdrości, aby zasiać między wami niepewność.

- Wcale nie jestem jej za to wdzięczny. Nie mówmy już o tym.

- Posłuchaj mnie. - Przysunął się bliżej, pochylając się ku mnie konspiracyjnie. Jedno oko błysnęło zza pagórka brwi. - Nie próbuj jej więcej dokuczać, bo jeśli się o tym dowiem, moi przyjaciele dopilnują, byś miał kłopoty. Przypatrz się uważnie, co potrafi zdziałać bieda, która silniejsza jest od moralności. Znasz Letycję. Poznałeś jej wujka Jozego - wspaniałego człowieka, mimo kalectwa. Właśnie on i jego praca pozwalają tej rodzinie przetrwać. Jest dzielny. Matka od śmierci męża nie potrafi odzyskać równowagi ducha. Pamiętaj Perianie, że bieda zmusza ich by spali razem na podłodze, jedno przy drugim. Wuj, mężczyzna o zwyczajnych skłonnościach, kładzie się obok Letycji. Jak myślisz, co się wówczas dzieje?

- Przecież ona nie... jej matka...

- Jej matka, dla świętego spokoju, mając na uwadze przetrwanie całej rodziny,

nakazuje, by dziewczyna uległa życzeniom jej brata. I nie chodzi tylko o Letycję, również o jej siostrę, Rosę. Tak, tak. Sam Joze mi o tym powiedział pewnego wieczoru, gdy się razem napiliśmy. Co jeszcze może się stać w tak żałosnej sytuacji spowodowanej przez wyzysk?

Czułem, jak na moją skórę wypełza niemal namacalna bladość.

- To potworne, sprzeczne z naturą! - Pokręciłem głową. - I karane przez prawo.

- Wcale nie jest to, jak twierdzisz, sprzeczne z naturą, a w złych warunkach zdarza się często. Bieda jest silniejsza niż moralność. To jeszcze jeden powód, dla którego świat musi się poddać postępowi. Musimy ograniczyć nędzę, zanim nas wszystkich zadławi.

Poczułem, jak krew ponownie napływa mi do twarzy, przynosząc rumieniec.

- Ten stary, kulawy pancernik! Udajesz, że nie winisz go za to, co robi Letycji? A jak według ciebie ona się czuje?

Otto odwrócił się, tak jakby chciał skończyć rozmowę, ale po chwili zmienił zdanie.

- Twierdzę jedynie, że z nierówności rodzi się nędza, a z nędzy rodzi się grzech. My, wszyscy biedni, jesteśmy takimi samymi ofiarami. Musisz dorosnąć i w końcu zobaczyć rzeczy takie, jakimi są naprawdę.

- Ublizas mi! Nawet bogaci wiedzą, że bieda i zło idą w parze i dlatego robią co mogą, aby poprawić sytuację. Ale jednostka pozostanie jednostką i każdy sam musi ponieść odpowiedzialność za własne czyny, nawet za te najbardziej niefortunne.

- Jednostka nie liczy się w walce - uciał. Tym razem odwrócił się na dobre, pokazując mi przygarbione plecy i goniąc Rhina do pracy.

Nie tylko bieda sprowadzała na ludzi nieszczęścia; bogactwo przysparzało Armidzie mnóstwa przykrości. Wierzyłem, że niepowodzenia należało zwalczać siłą ducha.

Przeglądając się wspaniałej paradzie, odzyskałem spokój. Gildie przemaszerowały przez miasto i właśnie ustawiały się według ważności wzdłuż Bucintoro, wzbogacając korowód barwnymi sztandarami i strojami. Na balkonach kupieckich pałaców pojawiały się różne osobistości; wiele kobiet ubrało najpiękniejsze suknie. Opierały małe dłonie o kamienne balustrady zaciskając w nich bukietki kwiatów dla osłony przed wonią tłumów i patrzyły w dół - a ich spojrzenia zawsze w końcu spoczywały na mnie.

Moje obawy znikły. Miałem do odegrania rolę - najbardziej dramatyczną z ról w

mojej karierze. Zamierzałem dać z siebie wszystko. Co do Bengtsohna, bieda bez wątpienia gnębiła ludzi, ale świat nie był aż tak zły, jak twierdził starzec. Czy człowiek o prawym sercu rozglądając się po Bucintoro mógł nie czuć, jak z zachwyty bije ono szybciej?

Nie dbałem o to, czy Letycja żyła w ubóstwie, czy nie. I tak była zwyczajną dziwką.

Zamierzałem dowieść, że jestem wart jasnowłosej Armidy, pięknej i życzliwej panny. Winę za naszą sprzeczkę ponosiła wyłącznie Letycja. Zamierzałem zażegnać waśnie, gdy tylko Armida znowu trafi w me ramiona. Ta myśl sprawiła, że serce urosło mi do rozmiarów wszystkich siedmiu jedwabnych

worów razem wziętych.

Hoytola i młody Diuk Renardo podeszli do mnie. Diuk skłonił uprzejmie głowę.

Odpowiedziałem mu ukłonem. Był wyższy ode mnie i nosił się z arogancją odpowiednią dla ludzi jego klasy. Ale gdy się odezwał, jego głos zabrzmiał łagodnie.

- Wyglądasz na pewnego siebie, de Chirolo. Gratuluję. Wywołałeś sporo zazdrości w mojej kompanii. Druhowie moi życzyliby sobie dostąpić zaszczytu, który przypadł tobie; ale rzekłem im, że decyzja nie należała do mnie. - Skinął głową ku Hoytoli.

- Sami jesteśmy trochę za starzy, by wznieść się w powietrze - odparł Hoytola

defensywnie. Spytał czy Bengtsohn wyjaśnił mi, jak wszystko działa.

- Zasada jest zupełną nowością z uwagi na skalę przedsięwzięcia - powiedział stukając złoto zakończoną laską w największą z beczek. - W tych beczkach mamy mieszanę opiłków żelaznych i wody, które należy wymieszać obracając tamtą korbą. Potem Bengtsohn i jego ludzie wleją kwas siarkowy przez leje. Chemiczna reakcja spowoduje uwolnienie wodoru, lżejszego od normalnego powietrza. Wodór przez ten gumowy wąż napełnia balon,

wypierając zwykłe powietrze, podobnie jak dobro wypiera zło.

Podparł podbródek główką laski. Wszyscy patrzyliśmy na wielki wór, który był już w znacznej mierze napełniony i napierał na więzące go drewniane rusztowanie.

- Balon wykonany jest z jedwabiu, który od wewnątrz i z zewnątrz powleczone

rozpuszczoną gumą. W ten sposób stał się nieprzepuszczalny dla powietrza - wyjaśnił

Hoytola. - Uprząż, która znajduje się pod spodem umożliwi ci częściowe sterowanie, gdy balon uniesie się w powietrze. Stanie się to po pociągnięciu tego oto sznura zwalniającego śruby, które przytrzymują drewniane rusztowanie. Cała rama po prostu spadnie na ziemię. I większy, i mniejsze balony zostaną uwolnione w podobny sposób.

- Bardzo pomysłowe rozwiązanie - przyznałem.

Z przeciwległego krańca podwyższenia właśnie przyprowadzono czarnego ogiera i

zaczęto zakładać mu uprząż mocującą do największego balonu. Z naprzeciwka zmierzał ku nam kapłan z miną, jaką przybrać potrafią jedynie duchowni. Byłem pewien, że ją ćwiczył

obserwując zmarłych.

Hoytola po raz ostatni klepnął mnie w ramię.

- Urządzenie jest absolutnie niezawodne, mój chłopcze - powiedział. - Balony powoli napełniano od

dwóch dni. Na wypadek niepowodzenia, kapłan odprawi ostatni obrządek.

Życzymy ci jak najlepiej.

Gdy duchowny skończył rytuał, chór zaintonował pieśń, a zebrani ludzie zaczęli klaskać. Czarnemu ogierowi założono już uprząż i wprowadzono go na małą platformę.

Wspiąłem się na siodło. Bengtsohn zbliżył się i klepnął mnie w plecy na wysokości pasa, po czym pociągnął za sznurek, o którym wspominał Hoytola. Mocowania odskoczyły. Tłum zamilkł. Górna część drewnianej klatki otworzyła się. Balon zaczął się unosić. Rhino wraz z innym pomocnikiem pospiesznie zamknęli beczkę i postąpili krok do tyłu. Rhino zasalutował.

Lejce i pasy uprząży wokół mnie napięły się z lekkim skrzypieniem. Monstrualna twarz Rhina zaczęła się oddalać. Znalazłem się w powietrzu!

Moje siedzisko bezustannie się poruszało, ale przymocowano je tak, że nie mogłem spaść ani się zsunąć; byłem bezpieczniejszy w powietrzu, niż na ziemi.

Rozejrzałem się wokół z przyjemnością. Mój wzrok spoczął na jasnowłosej czarującej istocie na jednym z balkonów. Rzuciła mi bukiet różowych kwiatów, który spadł daleko ode mnie; kobietom w takich sprawach zawsze brak dokładności. W odpowiedzi uniosłem kapelusz. Widząc to tłum zaczął wiwatować. Raz jeszcze spojrzałem w dół szukając mych przyjaciół i siostry. Poczulem zawrót głowy. Spojrzałem w górę.

Wodorowy balon Hoytoli był napuchnięty niczym brzuch pijaka. Uszyto go z

kawałków jedwabiu na przemian niebieskich i czarnych, zachowując wierność barwom Malacji. Do materiału przyklejono też krótkie skrzydła z masy papierowej i groźnie wyglądającą głowę buglewinga z tego samego materiału. Ptak miał otwarty dziób i srebrno połyskujące zęby. Domyśliłem się, jakie wrażenie wywarł na tłumie ów wizerunek, gdy dobiegło mnie głośne „Ooooch!” dobywające się z tysięcy gardeł pode mną.

Balon powoli się unosił. Łagodna bryza wiała od wschodu. Wygodniej usiadłem w

siodle i przez chwilę podziwiałem błyski, jakie słońce rzucało na wody rzeki Toi i statki gnieźdzące się w jej korycie z pokładami upstrzonymi twarzami zwróconymi ku górze.

Przeciwny brzeg zajmowały niekończące się pasy winnic. Oddalały się coraz bardziej.

Pode mną rozciągało się całe Bucintoro.

Znalazłem się na poziomie najwyższych wież. Zgrabne postacie odrywały się od nich i podfrwały ku mnie silnie machając skrzydłami. Pomachałem im kapeluszem. Odpowiedzieli mi podobnym gestem.

Wkrótce wokół mnie fruwały lotni strażnicy Malacji. Było ich sześcioro, trzech mężczyzn i trzy kobiety. Za ubranie wystarczały im przepaski na biodrach. Przedstawiciele tego gatunku ubierali się tak samo, niezależnie od płci, więc kobiety miały nagie piersi.

Przyjrzałem się z uznaniem wszystkim trzem. Były młode i miały pięknie ukształtowane figury - po osiągnięciu dojrzałości lotni tracili zdolność latania i musieli chodzić po ziemi, tak jak my wszyscy. Cała szóstka śmiała się i nawoływała, bawiąc się w powietrzu beztrósco, jak wydry w górskim jeziorze.

Czułem jak przepelnia mnie uniesienie siłą dorównujące wodorowemu. Co za fart, jaki uśmiech fortuny przytrafił się właśnie mnie! Jakże pragnąłem mieć przy sobie Armidę, aby wszyscy widzieli moje szczęście!

W otoczeniu pięknych przyjaciół, którzy wachlowali mnie silnymi uderzeniami skrzydeł, sunąłem ponad miastem ku zachodowi.

Z prawej strony miałem Stary Most ze smugami dymów z kominów i rzeką Satsumą wijącą się w oddali. Poda mną rozpościerał się plac St Marco. Balon pozegłował między bliźniaczymi wieżami, na których stało jeszcze więcej lotnych. Wszyscy pozdrawiali mnie, śmiali się i podfruwali w powietrzu. Na lewo ode mnie wznosiło się więzienie oraz uniwersytet ze Wzgórzem Założyciela wyłaniającym się zza budynków, ukoronowanym chaotyczną masą pałacu Biskupa Elekta. Wszędzie widziałem iglice, wieżyczki i setki figur wyrastających na balkonach, tarasach i dachach.

Wciąż jeszcze się unosiliśmy. Skrzydlaci ludzie niecierpliwie szarpali za liny sieci obejmującej balon. Przede mną - za dzielnicą biedoty - widziałem szereg pałaców i zamków, które dawniej wyznaczały linię obrony Malacji. Chabrizzi, pradawna siedziba Manteganów, Dio oraz wspinały zamek rodu Renardo. Za nimi ciągnęło się przedgórze masywu Prilipitów, kryjących armie tureckiego wroga. Właśnie w tamtą stronę zmierzał balon, wspomagany przez skrzydlatą eskortę.

Tęskniłem za Armidą. Wbrew sobie, żałowałem też, że Bengtsohn nie mógł polecieć ze mną i przekonać się na własne oczy, jak cudowny był nasz mały świat. Z wysokości wszystko wydawało się zachwycające, nawet biedne domostwa, nawet garbarnia i rzeźnie gnieźdzące się w zakolu rzeki. Z grzbietu wierzchowca o srebrnych podkowach widziałem całe miasto przypominające otwarty mechanizm zegara. Każda cząstka zależna była od innej i od tysiącleci wszystkie tykały w idealnej zgodzie.

Obracając się w siodle, aby obejrzeć wszystko dokładnie, poczułem ogarniającą mnie euforię. Krzyknąłem wiwat na cześć naszego miasta, a moi piękni towarzysze zawtórowali mi.

Jeden z lotnych zawołał, abym spojrzał do przodu. Gdy wznieśliśmy się ponad pałace i fortyfikacje okalające Malację, naszym oczom ukazały się namioty wroga. Wkrótce ujrzeliśmy obóz wojsk Stefana Tvrtko w całej okazałości.

Nieprzyjaciel skupił siły wzdłuż brzegów strumienia, który letnie upały zmieniły w żalospną strugę.

Na wschodniej linii obozu stało działo, którym Tvrtko bezskutecznie bombardował

Malację. Dalej dostrzegłem coś, co bardziej przypominało małe miasto, a nie wojskową bazę.

Namioty rozbito tak, że powstały ulice i place. Największe z nich znajdowały się w centrum. Najwspanialszy należał do samego wodza. Tureckie umiłowanie symetrii znalazło odbicie w jego idealnie centralnym położeniu względem namiotów podwładnych. Wokół

zasadzono drzewa; umierały z braku wody. Żywiące się padliną ptaki obsiadły gałęzie. Na nasz widok zerwały się do lotu.

Za obozem znajdowało się bezładne skupisko szałasów i schronień ze skór. Mieszkali w nich ludzie, którzy zwykle ciągną za armią - Arabowie, Kirgizi i inni nomadowie, których przyciągała tu wizja zarobków. Serbowie, Grecy, Ormianie i Żydzi, wszyscy oni chcieli czerpać z wojny zyski. Widziałem też wielką różnorodność koni i wielbłądów przywiązanych do palików w nierównych szeregach wzdłuż biegu strumienia.

Z namiotów wysypywał się tłum malutkich postaci, które osłaniając dłońmi oczy

patrzyły na nas. Spojrzałem na namiot króla. Władcy nigdzie nie dostrzegłem, ale przed wejściem pojawiły się trzy bogato odziane figury, które, podobnie jak pozostałe, stały z głowami zadartymi w górę. Przelatywaliśmy dość blisko, więc widziałem, że dwóch z trójki ma wielkie czarne brody i także wąsy.

Nie potrafiłem nienawidzić tych ludzi, choć bardzo się starałem. Ich miniaturowe figurki zachwycaly mnie.

Jedna z lotnych kobiet zwróciła moją uwagę na kawałek ziemi po drugiej stronie strumienia. Wzniesiono tam wiele drewnianych pali z zatkniętymi na nie turbanami. Obok widniały także zwykłe kamienie nagrobne. Obozowy cmentarz miał już stałych mieszkańców.

Żałobnicy spojrzeli na nas ze strachem i rzucili się ku drzewom szukając osłony.

Z obozu kilkakrotnie do nas strzelono, ale widać było, że płynący niebem rozdęty buglewing, pod którym wisiał żywy człowiek na koniu, zasiał strach w ich sercach. Armii króla Tvrko przypominano, z jakimi pradawnymi mocami przyszło im się mierzyć. Omen ten miał odtąd nie dawać spokoju przesądnym umysłom tych ludzi.

Żeglując ponad namiotami, z satysfakcją patrzyliśmy jak wielu wrogów pada na

kolana albo biega w popłochu szukając schronienia.

Gdy już okrążyliśmy obóz, moi towarzysze pociągnęli balon w bezpiecznym

kierunku. Ponownie podryfowałem ku miastu. Zaaranżowano wszystko tak, że miałem wylądować w Bucintoro na tej samej platformie, z której rozpoczął się mój rejs.

Teraz ujrzelśmy drugą część planu Malacji - ta, jak sądziłem, zrodziła się w

mrocznym, sparszywiałym umyśle potwornego radcy w czarnej opończy z przepastnymi kieszeniami, który nocną porą przybył do galerii. W naszym kierunku, ku liniom Turków, płynęło sześć mniejszych

balonów, a każdy z nich niósł wiszącego człowieka.

Wisielcy byli nadzy. Mieli dziwną barwę skóry i wykrzywione twarze. Ich głowy w nienaturalnych pozycjach spoczywały na piersiach. Oto pojawiło się wyjaśnienie obecności długiego, czarnego powozu, który stał tuż przy podwyższeniu strzeżony przez dwóch mężczyzn w czarnych strojach i maskach. Wóz ten przywiózł sześć ciał z kostnicy.

Zaraza szybko wędruje w letnim słońcu. Tak jak gad, potrzebuje ciepła, bo z niego czerpie siłę. Najszybciej ogarnia obozy oblężniczych armii, w których brak higienicznych warunków życia. W wojskach króla Tvrтко zjawiał się już nieproszony gość; ale ktoś w Malacji wymyślił jak sprawić, by więcej osób poczuło uciążliwość jego odwiedzin. Trupy miały wylądować pośród namiotów i szerzyć zniszczenie wśród ludzi nie robiąc wyjątków.

Mój balon powoli przeleciał między wiszącymi w uprzężach ofiarami. Ze

zmięzwionymi włosami i zamglonymi oczami zmarli lecieli złożyć ostatnią wizytę wrogowi, aby - jeśli im się powiedzie - towarzyszyć mu w wyprawie do dalekiej krainy, gdzie ich dusze już znalazły swe miejsce. Gdy wracaliśmy między brązowymi kopułami wież St Marco, wiedziałem, że krzyki ludzi wiwatujących na nabrzeżu, zagłuszają odległe jęki dobiegające z obozu u podnóża gór.

Nie wiem jak doszło do tego, że później wznoszono toasty na cześć Andrusa Hoytoli.

Obwołano go bohaterem Święta Buglewinga. To on wygłosił mowę z podwyższenia, podczas gdy mnie i konia czym prędzej usunięto w cień.

Hoytola nie wiedział jednak, jakim bohaterem stałem się w sercu jego córki. Nawet Bedalara rzucała mi czułe spojrzenia. Wieczorem, gdy fontanna na Starym Moście trysnęła biskupim winem, Armida wymknęła się ze mną. Oboje wraz z de Lambantem, Caylusem i innymi przyjaciółmi piliśmy za młodość, miłość i przyjaźń, za długie życie Malacji i śmierć wszystkich, którzy chcieli zakłócić naturalny i szczęśliwy porządek rzeczy.

KSIĘGA DRUGA

Darmowa uczta

Razem z de Lambantem, zataczając się wędrowaliśmy ciemnymi ulicami Malacji.

Obaj nieśliśmy gitary, od czasu do czasu usiłując zagrać jakąś balladę. Nasycone barwy nocy powoli bledły na brzegach. Kończył się drugi dzień Święta Buglewinga; ptaszysko nieubłaganie zmierzało ku trzeciemu. Nic nie mogło powstrzymać świtu.

Armida i Bedalara musiały wrócić do swych rodzin, więc de Lambant, Portinari i ja bawiliśmy się z przyjaciółmi w mieście, dopóki nie skończyły się nam pieniądze. Na czas uroczystości praca z zahnoskopem Ottona została zawieszona, ale za to otrzymaliśmy wieści i honorarium od Pozziego Kemperera. Przez jednego ze swych brzydkich sług zawiadamiał

nas, że z początkiem jesieni będzie miał dla nas pracę. Przywrócono nam kredyt. Znowu staliśmy się mile widzianymi gośćmi u Truny.

Pamiętam, że w którymś momencie wieczoru - a ciągnął się on w nieskończoność -

śpiewaliśmy serenady pod oknami Armidy i Bedalary. W posiadłości Hoytolów wylano na nas pomyje, a u Nortolinich poszczuto psem.

Chwiejnym krokiem wróciliśmy uliczkami Starego Mostu. Po drodze gdzieś

zapodziliśmy tęgiego Portinariego. Skończyły się nam pieniądze i fortele, ale nie chcieliśmy jeszcze iść spać. Zaczęliśmy śpiewać, lecz zabrakło nam także głosów.

Właśnie przechodziliśmy przez mostek ponad Różaną Wodą - która wbrew nazwie

sugerującej piękny zapach, była śmierdzącym rowem - kiedy Guy przechylił się przez barierkę i spojrzał w wirującą wodę.

- De Chirolo, masz ochotę zanurkować? Szybko, tam jest ciało!

Spojrzałem w nurt, ale niczego nie dostrzegłem.

- To twoje odbicie.

- Przysięgam na kości! Pewnie znowu zatonął. Mógł się przetoczyć pod barierką.

Mężczyzna bez głowy.

- To twoje odbicie.

- Widziałem go. Człowieka bez głowy.

- Albo to jakiś znak, albo jesteś pijany. Niczego tam nie widzę.

Mój przyjaciel wyglądał na przerażonego. Most oświetlała słaba latarnia. Gdy

staliśmy przyglądając się sobie nawzajem i sprawdzając, czy sami wciąż mieliśmy głowy na miejscu, zapał kur.

Arkady dawnych magazynów zbiegały się tu, w ruinie murów, opierając się o siebie.

Zapomniane osobliwości architektury nawzajem wspierały pradawne szkielety sąsiadów. W

gruzach garncarskiego warsztatu, formy nie glazurowanych dzbanów wyglądały na świat niczym puste twarze, a płochliwe zwierzęta pozostawiały w martwych drzwiach kości i śmieci. W takim miejscu widok trupów nikogo by nie zdziwił.

Tymczasem, oglądając się przez ramię, ujrzałem nie zmarłego, lecz zjawę pięknej kobiety. Szturchnąłem de Lambanta. Kobieta stała za nami wyprostowana i władcza, z jasnym wzrokiem i pełną piersią. Złote włosy, splecione w dwa warkocze sięgały jej do sutków.

Miała na sobie luźną, białą tunikę, spiętą na ramieniu, odsłaniającą jedną pierś i zakrywającą resztę ciała aż do stóp. Na głowie nosiła hełm. Przed sobą trzymała wypolerowaną tarczę.

- De Lambant! - Szept połaskotał me gardło. Odniosłem wrażenie, że niezwykła

postać lśniła. Gdy postąpiłem krok w jej stronę, obraz zafalował jak odbicie w wodnej tafli i znikł. W miejscu, gdzie ją widziałem, stał wiekowy człowiek - prosty, potwornie chudy, bez włosa na głowie. Wspierał się na lasce i wpatrywał się uporczywie w coś poza nami. Jego oczy płonęły.

- To ten szatański trunek - powiedziałem. - Mógłbym przysiąc, że...

- Nie przysięgaj - zawołał dziad. - Ten kto przysięga, traci swą wartość człowieczą.

Zostaniesz tu tylko chwilę.

- Nawet nie tak długo. Właśnie mieliśmy iść do domów - stwierdził de Lambant, ale starzec ponownie przemówił, tkwiąc nieruchomo w półcieniu pod łukowym sklepieniem.

- Przybywam z odległej północy, a zmierzam na dalekie południe. Mijam zamglone okna twego życia jak żuraw w locie, kierując się ku bagnom Sahary. Już jutro opuszczę twe miasto.

- Przykro nam, lecz nie mamy pieniędzy - powiedziałem odzyskując śmiałość.

Wszyscy starcy Malacji mówili podobnymi frazesami. - Wolelibyśmy, abys to ty postawił

nam jakiś trunek albo przedstawił swej pięknej córce.

- Byłeś świadkiem iluzji, młodzieńcze. Ale to nie moja córka cię odwiedziła, jeno sama Minerwa, matka nas wszystkich. Przeznaczyła dla ciebie szczególne zadanie.

- Jakie zadanie?

- Ona jest mądrością. Zatem mądrość musi cię zaszczyścić...

- Chodź de Lambant - powiedziałem widząc, że Guy już się szykuje do roli samotnego widza. - Ostatnio zbyt wielu rad mi udzielano a wolałbym sam pokierować życiem, bez względu na to, dokąd lecą żurawie.

Chwyciłem go za rękę i próbowałem pociągnąć za sobą, ale wyswobodził się i podszedł do starca.

- Co możesz mi powiedzieć o moim życiu, panie? Dostanę dobrą rolę w następnej sztuce? Jak sądzisz?

Stary stał bez ruchu, nadal prosty jak struna.

- Obaj odegracie swe role i znieńawidzicie się nawzajem, jeśli nie usłuchacie mych słów i nie zwróćcie się ku Minerwie.

- Guy jesteś małpą, skoro chcesz tu tkwić! Chodźmy lepiej obudzić Caylusa i

wyłudźmy od niego jaki trunek. Ten stary gad przegadałby całe życie, gdyby mógł. Niemal siłą zmusiłem przyjaciela, by poszedł ze mną. Chudy jak szkielet starzec ani drgnął z miejsca.

Nawet nie odwrócił wzroku, gdy odchodziliśmy.

- Stary ma dla nas straszne przesłanie - sprzeciwił się Guy.

- Starcy zawsze mają straszne wieści, tak jak Seemley Moleskin. Nie słuchaj. Mają to w zwyczaju. A ja mam w zwyczaju puszczać ich słowa mimo uszu.

Na lasce wąż

Ja śmieję się wciąż.

Małpy co fruują

Wdzięcznie,

Zręcznie

Też mnie rozśmieszają.

- Skąd o świcie masz siłę tak szaleć? Ja czuję się półżywy...

Szliśmy razem, od czasu do czasu się zataczając. Nagle przystanąłem tak gwałtownie, że obaj niemal

runęliśmy na ziemię. Na kamiennym murku leżał mężczyzna. Jedno ramię zwisało bezwładnie ku ziemi. Wydawało się prawdziwe, lecz bezwładne, jak martwe.

- Oto kolejne objawienie! - Tym razem uwierzyłem. Już miałem z czcią paść na

ziemię, kiedy zobaczyłem, że to Gustavus Portinari we własnej osobie. Nasz przyjaciel, słysząc zbliżające się kroki, ruszył się z miejsca. Usiadł i spojrzał na nas ziewając i podnosząc gitarę, którą miał przy boku.

- Świt nadał wam dziwną bladość, moi druhowie. Baczcie by nie pomyłono was z duchami. Właśnie sobie odpoczywałem w drodze do domu. A wy dokąd zmierzacie? Znowu chcecie mi uciec?

Dalej ruszyliśmy we trzech. W zachodniej części Starego Mostu, gdzie ulicę

przedzielała Brama Zachodnia, ojciec Portinariego miał mleczarnię i małą jadłodajnię, gdzie podawano proste posiłki. Z tyłu, za kwaterami, na małym podwórzu, trzymali krowy i kozy.

Stamtąd kręta ścieżka prowadziła na brzeg rzeki.

Gdy dotarliśmy do mleczarni, rodzice Portinariego już nie spali. Święto, nie święto, musieli wydoić zwierzęta. Gderając i narzekając, stary Portinari postawił przed każdym z nas talerz zimnego mięsa i dzban mleka, a gdy nie patrzył w naszą stronę, jego syn wykradł mu trochę bimbru. Matka i siostra rozpały ogień. Już po chwili wszyscy poczuliśmy się bardziej rześko i zaczęliśmy śpiewać, ku zgorszeniu domowników. Dobrze było zjeść porządne śniadanie, a po nim grzechem byłoby nie zanucić kilku zwrotek. Z szacunku dla wczesnej pory, unikaliśmy sprośnych piosenek. Potem zaczęliśmy rozmawiać o pojawieniu się Minerwy.

- Wszystko, czego nauczyli nas w szkole przydaje się nam tyle, co hermetyczne księgi

- stwierdziłem, a Portinari mi przytaknął. Jeden de Lambant wierzył, że w prastarych prawdach kryło się ważne przesłanie.

- Nie, mój pobożny przyjacielu. Prastare prawdy, jak je nazywasz, muszą zginąć, bo zginęły też cywilizacje, które w nie wierzyły. Helleński Świat znikł za horyzontem dziesięć mileniów temu, tyle chyba zapamiętałeś z historii.

- I co z tego? Minerwa istniała już wcześniej i przetrwa jeszcze długo. Niektóre rzeczy są niezmiennie, tak jak twoje pryszcze.

Ojciec Portinariego wchodząc do izby z wiadrem wody usłyszał o czym rozmawiamy i włączył się do dyskusji.

- Ano bogowie i reprezentowane przez nich wartości, istnieją tak długo, jak sama ziemia, młody de Chirolo. Wiedz, że Portinari nie pochodzą z tych regionów. Przygnało nas tu z Tuluizy we Frankińskim Królestwie, które leży na północ stąd, za równinami Habsburgii, odległe o dziesięć dni

jazdy konnej. Moi dziadowie przebyli tę drogę wozem, a podróż zabrała im większą część dwóch miesięcy. Dobrze to pamiętam, choć byłem wtedy malcem zaledwie czteroletnim. Cztero - lub pięć-
. I...

- Och chodźmy już do domu spać - poprosiłem de Lambanta. - Z pełnym brzuchem
dobrze będzie mi się śniło.

- Może przy odrobinie szczęścia przyśni się nam Minerwa bez odzienia - odparł mój przyjaciel i obaj
wstaliśmy. Uścisnęliśmy dłoń Portinariego, obiecując, że za kilka godzin znowu się zobaczymy.
Uśmiechnął się do nas szeroko i przyjaźnie.

- Pożegnajcie się z moim ojcem - powiedział. Guy udał, że uderza go pięścią w
żołądek, a Gustavus zgiął się w pół w udawanym bólu.

Przy drzwiach dobiegł nas głos starego Portinariego.

- Pamiętam, co chciałem wam rzec. Przypomniało mi się, kiedyście wspomnieli

Minerwę. Jak już mówiłem, Portinari pochodzą z daleka, można rzec, że z zupełnie innej kultury. Ze
wsi, nie z miasta. Zanim tu przybyliśmy, nigdy nie słyszeliśmy o greckich bóstwach, ale znaleźliśmy to,
co sobą przedstawiały. Mieliliśmy własną Minerwę i satyrów, własne mądrości, prawdy duchowe,
własne bezcenne bogactwa kulturowe i...

- Na pewno tak to było, sir, lecz teraz musimy już iść i położyć nasze bezcenne ciała do czekających
na nas łóżek. Dziękujemy za poczęstunek, jesteśmy ogromnie wdzięczni.

De Lambant i ja ukłoniliśmy się i wyszliśmy.

Na zewnątrz budził się piękny dzień z różowymi smugami świtu. Kozuch mgły

napływający znad rzeki Toi, wisiał niemal na poziomie wzroku. Kilka rozmazanych świateł
płonęło w domach przy drodze, lecz ich blask przyćmiewały płomienne chmury nad nami. Z
szumem skrzydeł na wysokości kominów przeleciały żurawie.

Pomyślałem o królu Tvrtko, budzącym się w swym zatęchłym namiocie.

Zastanawiałem się, czy przesądnie spoglądając w niebo przypominał mnie sobie. Na rynku ludzie
mówili, że zaraza sięgała po coraz wyższych rangą oficerów osmańskich wojsk.

- Co za ranek! Jak cudownie jest żyć. Nie kładźmy się teraz, Perianie. Możemy to zrobić później.
Poza tym, będę miał kłopoty, jeśli zjawię się u siebie o tej porze.

- Chodźmy nad zatokę i popatrzmy jak rybacy wracają z połowu. Nie widziałem tego już całe wieki.

Może wyciągnęli w sieciach kilka wieloryb.

Rażno ruszyliśmy środkiem ulicy, maszerując noga w nogę. Można by myśleć, że w promieniu tysiąca mil nie było żadnego Turka.

- A wiesz, co zrobimy potem? Zbliża się dzień wesela Smarany. Znajdziemy jej odpowiedni prezent. Ojciec obiecał zapłacić. Nie bez protestów, ale obiecał.

- Jemu nigdy nie brak pieniędzy. Chyba jest ze złota.

- W większej części z wina.

- Co chcesz podarować siostrze?

- Gdy już napatrzymy się na wspaniałości rybnego rynku, pójdziemy do starego

Bledlora.

Strych, na którym mieszkała z rodziną Letycja Złotoróg wydawał mi się straszny, ale to, co zobaczyłem u mistrza Bledlora było jeszcze dziwniejsze i brudniejsze.

Jego kryjówka bardziej nadawałaby się dla pustelnika niż popularnego rzemieślnika.

Była to po prostu pusta przestrzeń pod dachem starego magazynu. Dawniej trzymano tu dobra biskupa, teraz dół wypełniało wonne drewno. Gdy wchodziliśmy po chybottliwych schodkach, domyśliłem się, że większość drzewa leżała tu już od dawna, bo zdążyła ściągnąć korniki z całej okolicy. W każdym calu pomieszczenia znajdowało się tyle samo drewna, co dziur.

Mieszkańcy tych maleńkich dziupli uwijali się tak gorliwie, że w powietrzu unosił się pył, a światło słońca wlewające się przez okna, układało z niego złote kolumny.

Sapiąc dotarliśmy na szczyt schodów i stanęliśmy na wąskim podeście przed wąskimi drzwiami. Pomarańczowa farba, którą kiedyś je pomalowano łuszczyła się, a jej kawałki opadały do stóp, jak liście. Na kartce przypiętej do drzwi widniało jedno, ponure słowo: BLEDLOR. Wisiała tu od tak dawna, że mieszkańcy kanalików znaczących powierzchnię desek przebili się przez papier wgryzając się w drewno pod spodem, po czym z niego wychodząc.

Gdy de Lambant zapukał, deski odpowiedziały chrzęszczącym odgłosem.

- Szkoda, że nie zabrałem Bedalary - powiedział.

- Szkoda - przyznałem.

- Ona ma dobry gust.

- Na pewno wyśmienity.

- Ty podstępny gadzie, trzymaj swoje lubieżne łapska z dala od Bedalary! Chodziło mi o to, że pomogłaby nam wybrać coś dla Smarany. Jeśli oczywiście u starego dziadygi jest z czego wybierać. Ludzie mówią, że w całej Malacji on najpiękniej graweruje w szkle. Założę się, że każe sobie słono płacić. Powinniśmy tu przyprowadzić obie nasze panny.

- Nie zamierzam narażać Armidy na twoje zgniłe towarzystwo. Zastukaj raz jeszcze.

Stary głupiec pewnie jeszcze śpi.

- Albo umarł. Z dziewczętami zobaczymy się dziś rano na targu, jeśli uda im się wymknąć z domów. Armida będzie musiała jakoś znieść moje zgniłe towarzystwo.

- Może on ma tam w środku babę. Mam nadzieję, że trujące działanie twojej

osobowości nie jest aż tak silne na powietrzu. Zresztą, Armida jest całkiem mną zauroczona.

Zastukaj znowu, jeśli te drzwi to wytrzymają.

- Zastanawiam się, co was oboje tak zajmuje. Bardzo chciałbym wiedzieć. Patrząc na Armidę, domyślam się, że gdy już się rozkręci, grzeje jak mały piec.

Kopnąłem go lekko. Zaśmiał się i raz jeszcze wydobył z porytego przez korniki

drzewa chrzęszczący odgłos.

Drzwi otworzyły się w końcu. Przed nami stanął mistrz Giovanni Bledlor, odziany w zniszczoną kamizelę i spodnie. Na ramiona narzucił szal. Miał szare, nieogolone policzki i groźne, jasne oczy.

Szurając nogami wyszedł na schody, zgarbił skrzycone chorobą ciało, zamknął za sobą drzwi i zakaszłał sucho.

- Z wami, młodzieniaszkowie, uczciwy rzemieślnik ma tylko kłopoty. Wzbijacie w powietrze pył, a ten psuje mi kolory. Po co tu przyszliście? Będę teraz musiał czekać cały kwadrans, zanim kurz opadnie i na nowo będę mógł odkryć palety. Za ten czas zeszywnieją mi kości.

- Tedy powinienes bardziej dbać o czystość w warsztacie, mistrzu Giovanni -

powiedziałem. - Otwórz okna, zobacz ile tu much się pcha na wolność!

De Lambant udobruchał starca informując, że ma dla niego zlecenie.

- Chciałbym zamówić tuzin kielichów z rycinami miejscowych krajobrazów, takich jak te, które wykonałeś dla Thiepoła z Savilli przed rokiem. Na każdym inna scena, wszystkie radosne, bo na weselny prezent.

Starzec wznosił do góry ręce i pokiwał brodą tuż przed twarzą de Lambanta.

- Oszczędź mi! Każdy z tamtych wizerunków postarzył mnie o całe życie. A Thiepol, choć takie panisko, jeszcze mi nie zapłacił. Mam za słaby wzrok do takiej roboty. Ręce za bardzo mi się trzęsą. Krzyż okrutnie boli. Prócz tego żona moja na zdrowiu podupadła i muszę się opiekować biedną starowiną. Mój uczeń mnie opuścił i poszedł pracować dla Ragusy. Nie, nie, nawet nie mógłbym... Poza tym, na kiedy zamówienie miałoby być gotowe?

Musieliśmy przekonać mistrza odpowiednimi argumentami. Zanim de Lambant

podpisał zobowiązanie i zapłacił zaliczkę, stary rzemieślnik musiał nam pokazać skarby swego warsztatu. Podnosząc naczynia, by obejrzeć je w lepszym świetle, podziwialiśmy piękne miniatury na szkle, nad którymi staruch właśnie pracował. Maleńkie grawerowane postaci lśniły kolorami i tchnęły harmonią.

W pewnej chwili do pracowni weszła żona Bledlora, zadzierając zabrudzoną suknię prawie do szyi. Jakże się różniła od doskonałych istot, wiecznie młodych bogów, których Bledlor uwieczniał na przezroczyстых obrazach.

- Co za wspaniałości! - powiedział de Lambant, gdy opuściliśmy pracownię i Mostem Biskupa przeszliśmy przez rzekę na łąki poza miastem. Cyganie i gimnastycy urządzali tam pokazy. - Widziałeś ten ostatni lazurowy wazon z pięknym malunkiem? Żadnych bóstw, tylko dwoje dzieci bawiących się przy wiekowej chałupie, a za nimi mężczyzna z harmonią. Czy można sobie wyobrazić coś piękniejszego w tak niewielkim rozmiarze? Dlaczego nikt tego nie kupił?

- Rzeczywiście piękna rzecz. Sądziś, że jej doskonałość wydawała się większa, ponieważ rysunek był tak mały?

- A ty tak nie uważasz? Małe jest piękne, bo doskonałe.

- Ta scenka z życia biednych ludzi spodobałaby się Bengtsohnowi bardziej niż

wizerunki bogów i bogiń... - Potwierdziło się to, co inni mówili o Bledlorze. Mistrz podpatruje wszystko z życia. Miotła z jego dzieła jest miotłą w podwórzu przed domem siostrzenicy, harmonia należy do starego grajka mieszkającego tuż przy rynku staroci, a te dwa urwisy pewnie biegają w porwanych portkach gdzieś koło bram miasta nawet w tej chwili.

Przystanęliśmy przy jesionowym zagajniku, gdzie pracował wiekowy hełmozbroj,

nosząc wodę z rzeki. Spiłowano mu płaskie, rogowe płytki wzdłuż kręgosłupa. Na grzbiecie zwierzęcia siedział mężczyzna o wschodniej urodzie i miękkim głosem przemawiał do bestii.

Ruszyliśmy dalej.

- Żyjemy w takich dekadencjach czasach! Giovanni Bledlor jest ostatnim z wielkich mistrzów, a wie o nim tak niewielu wtajemniczonych!

- Takich jak my, de Lambant!

- Takich jak my, de Chiolo! I jak ten dziwaczny znawca sztuki z Savilli, który dotąd starcowi nie zapłacił. Ludzie doceniają piękno jedynie w imponującej skali. Najgorzej nawet napisana historia uniwersum spotyka się z uznaniem, choć pełna jest błędów merytorycznych i gramatycznych; ale namaluj maleńki, idealnie piękny krajobraz na swoim kciuku, a nikt go nie będzie podziwiał.

- Podobnie, jak nikt nie podziwia naszych maleńkich talentów. - Roześmieliśmy się wznosząc okrzyki na swoją cześć.

Razem z bryzą, dotarła do nas przyjemna muzyka.

Sprzedawca fletów szedł ku nam niosąc tacę z instrumentami i przygrywając sobie na jednym z nich. Okrążyliśmy go. Chwyciłem fujarkę i zagrałem tę samą uroczą melodię „Gdy cicha muzyka zbudziła się ze snu”.

- Flety wcale nie brzmiałyby piękniej, gdyby ich dźwięk niósł się na kilka dolin.

Chyba nie chcesz powiedzieć, że Bledlor powinien w sędziwym wieku zabrać się za malowanie olbrzymich fresków, aby stać się sławnym - powiedziałem.

- Potępiam gusta ogółu, nie dzieła Bledlora. Mistrz osiągnął doskonałość, ponieważ znalazł doskonałą skalę. Dwadzieścia cekinów za kielich! Powinien żądać dziesięć razy więcej! Choć wiem, że ojciec narzekać będzie i na te dwadzieścia, mimo że to prezent dla Smarany.

Zatrzymaliśmy się przy marionetkowym teatrzyku, aby poobserwować lalki i ich dziecięcą widownię.

- Prawdziwą nagrodą artysty jest jego talent, a nie aplauz, jaki dzięki niemu zdobywa.

Przestaliśmy filozofować, by popatrzeć na sztukę oglądaną przez małych widzów, którzy wszystko odbierali wprost, bez zastanowienia. Złodziej w czerwonej masce próbował

się włamać do skarbcza Bankiera. Bankier, gruby i przebiegły, złapał złoczyńcę na gorącym uczynku. Złodziej z całej siły uderzył go workiem. Bankier udając życzliwość, spytał

Złodzieja, ile pieniędzy zdoła zmieścić w worku. Złodziej, głuchy na ostrzegawcze okrzyki dzieci stojących z przodu, posłusznie wszedł do skarbcza. Wtedy Bankier zatrzasnął za nim drzwi, roześmiał się i poszedł po Milicjanta. Ale po drodze natknął się na Diabloszczęka.

Dzieci śmiały się głośno, gdy Diabloszczęk zacisnął mnogie zęby na nosie Bankiera. W tej samej chwili pojawił się Mag, który uwięził Diabloszczęka w złotej pętli. Podczas zamieszania, Żona Bankiera, ubrana w zabójczą suknię, weszła do skarbcza, aby wziąć trochę pieniędzy. Niechcący uwolniła Złodzieja, który walnął ją z całej siły. I tak bez końca, ku wielkiej uciechu maluchów.

Zwróciliśmy uwagę na dwie poważniejsze panny w sukienkach, które wydawały się w równym stopniu niewinne, co wyzywające. Dziewczyny rozmawiały ze sobą.

- Potworne, bezsensowne bzdury! – powiedziała jedna do drugiej. - Zupełnie nie rozumiem, jak przed rokiem mogliśmy się z tego śmiać!

- Może to i bzdury, Armido, ale za to wspaniały Teatr! - odparła druga.

De Lambant i ja przysiedliśmy na kamiennych blokach ruin arkady i oglądaliśmy

występ. Nagle przyjaciel pochylił się ku mnie i powiedział głośno:

- Niech ta rozmowa między dziewczętami będzie dla ciebie przestrożą, de Chirolo!

Radość w młodości ustępuje zgorzknieniu na starość.

W tej chwili dziewczęta przestały udawać, że nas nie zauważyły, a my przestaliśmy udawać, że ich nie rozpoznajemy. Pospiesziliśmy, by je przywitać. Armida i Bedalara ruszyły ku nam opowiadając, jak udało im się oszukać opiekunki na rynku i narzekając, że tak długo musiały na nas czekać. Z przyjemnością wysłuchaliśmy ich, podziwiając dwie tak różne od siebie panny.

Bedalara, niższa, o pełniejszej figurze i bardziej zaokrąglonej twarzy, miała oczy o tajemniczo szarej barwie i zwykle chętniej pozwalała sobie na swobodę niż jej przyjaciółka.

Nawet podczas zwykłej rozmowy od czasu do czasu trzepotała rzęsami. Efekt był bardzo przyjemny - zwłaszcza dla de Lambanta. Armida wyglądała jak jej przeciwieństwo, bardziej powściągliwa w zachowaniu, patrzyła na mnie spokojnie złotymi oczami, które jarzyły się w blasku słońca. Stale miałem przed oczami kształt jej słodkiej buzi, w której dominował nos, choć wcale nie był za duży. W ciemne włosy wpięła okrągłą, złotą spinkę, pozwalając lokom swobodnie opaść na plecy.

- Zabawnie jest słuchać, jak dwaj bezmyślni galanci, tacy jak wy, prawią o nagrodach za pracę artystów - powiedziała.

- Jesteśmy artystami, ale nie bezmyślnymi. Was obie mamy za nagrody - stwierdziłem.

- Na pewno wiele się nauczyłyście słuchając słów podyktowanych doświadczeniem - dodał de Lambant.

- Wolalabym już raczej prosić o radę moją pokojówkę - odparła żartobliwie Bedalara.

- Twoja pokojówka mogłaby mi udzielać rad bez końca, gdyby była choć w połowie tak ładna jak ty, kochana - powiedział de Lambant.

- Mnie mogłaby uczyć czegokolwiek, gdybyście wy, moje panny, także pobierały u niej lekcje. Stałbym się gorliwym uczniem.

Rozległy się oklaski - bynajmniej nie nagroda mego dowcipu, lecz gry marionetek, na cześć której

mała widowia wiwatowała ile sił w płucach.

Przedstawienie się skończyło. Żona Bankiera uciekła z Magiem, który okazał się księciem w przebraniu; Bankier nagrodził Milicjanta; Błazen zabawił się z Bettiną, Córka Bankiera a Diabloszczek połknął Złodzieja. Lalkarz wyłonił się zza pomalowanej w pasy skrzyni. Był nim, jak się okazało, mój przyjaciel, Pstrokaty Pete. Jeszcze z dzieciństwa pamiętałem piskliwe głosy, które naśladował poruszając kukiełkami. Skinął mi głową, po czym ruszył w obchód z cynową misą, by zebrać jak najwięcej monet od szybko znikającej widowni. Pożyczyłem małą monetę od Armidy i wrzuciłem ją do jego misy.

- Ty pewnie nie sądzisz, że talent i oklaski wystarczą jako nagroda za grę, co Pete?

Dotknął czoła w pozdrowieniu.

- Dzięki mistrzowie. Prócz pochlebstw dla mej sztuki, muszę jeść, żeby mieć z czego czerpać siły. Przyjdźcie tu dziś wieczorem, na prawdziwe przedstawienie z małym Turkiem, który chodzi po linie i odrąbuje głowę księżniczce. Wtedy zobaczycie prawdziwe mistrzostwo.

- A Perian postara się o własne pieniądze, nie o pożyczone - roześmiał się de Lambant.

We czwórkę ruszyliśmy dalej. De Lambant wziął Bedalare pod rękę, ja zdołałem się wcisnąć między dziewczęta tak, że mogłem objąć je obie; żadna się nie sprzeciwiła. Długo podziwialiśmy kramy. Jak zwykle dopisało mi szczęście i w loterii wygrałem sporą sumę.

Znowu miałem pełną kiesę.

Popołudnie powoli mijało i dziewczęta wspomniały o powrocie do domów.

Zdołaliśmy z de Lambantem przekonać je, że podczas święta na pewno nikt nie spostrzeże ich nieobecności, ponieważ większość osób wciąż odpoczywała po wielkich emocjach poprzedniej nocy.

- Poza tym, musimy przecież jeszcze porozmawiać - zauważył de Lambant. -

Mówiliśmy z Perianem, że żyjemy w tak dekadentkich czasach, a tu proszę, pojawiaacie się wy, dwie ślicznotki. Czysty przypadek.

- Nie sądzisz, że czasy zawsze są dekadentkie? - spytała Bedalara.

- Według mnie mamy teraz wiek twórców - powiedziała Armida. - Widzimy postęp w sztuce, czego dowodzi zadziwiający proces merkuryzacji wymyślony przez Bengtsohna. Ale, jak wiadomo, sztuka rozkwita w czasach dekadentkich. Nikt nie nazwałby dekadentkim Turka, bo oni stale prowadzą wojny. Może ludzie mówią „dekadentki”, kiedy mają na myśli czas pokoju?

Nie mogłem się powstrzymać od komentarza.

- Ależ współcześni Turcy są dekadency. Wspaniałość Imperium Osmańskiego

przeminęła wraz ze śmiercią Sulejmana. Po nim mieli tylko słabych i złych sułtanów. W

armiach szerzy się korupcja. Sam Tvrtko stojąc u naszych bram nie atakuje, jak przed wiekiem lub jeszcze dawniej postąpiłby na jego miejscu każdy prawdziwy wódz.

- Cóż z ciebie za strateg! - wykrzyknęła Bedalara. Wydawało mi się, że w jej głosie słyszę podziw, nie sarkazm, bo jednocześnie serdecznie ścisnęła moje ramię.

- Odkąd zaczął grać rolę Generała Geralda, nie sposób go powstrzymać w tej dziedzinie - powiedziała Armida.

- Ani w żadnej innej - dorzucił de Lambant.

Dziewczęta roześmiały się uroczo, a ich piersi zatrzęśły się niczym świeżo ugotowane pyzy. Wszyscy gotowi byliśmy śmiać się z byle powodu.

- Mam jedynie nadzieję, że nie zarzucacie mi niestałości - powiedziałem.

- Wiele dobrego można powiedzieć o niestałości, a raczej przeciwko stałości, która, jak wrogi lokaj, odstrasza od naszych drzwi wiele błyskotliwych osób - odparł de Lambant.

Zgrabnie to ujął, ale zauważyłem, że Armida się nie uśmiechnęła, tak jakby nie zapomniała, że próbowałem dzięki swojej błyskotliwości dostać się za drzwi Letycji.

Szliśmy wzdłuż małej rzeczki Yokoban, nieopodal ruin starego wiatraka,

wyznaczającego granicę targowiska. Od strony miasta nadleciała ku nam lotna panna.

Zwyczajem kobiet swego rodzaju, wplatała we włosy długie wstążki, które unosiły się za nią, gdy fruwała. Była młoda i naga. Pięknie wyglądała w słońcu. Gdy mijając wiatrak wzniosła się wyżej, usłyszeliśmy głośne uderzenia jej skrzydeł.

- One są takie wolne - zauważyła Bedalara. - Czy i my nie moglibyśmy polecieć między wzgórza?

Dało się to załatwić niemal od ręki. Lotni mieli na targowisku wiklinową wieżę, z której zabierali jedną lub dwie osoby na krótkie wycieczki w specjalnych fotelach. Wszyscy czworo wspięliśmy się na rusztowanie, które przy każdym kroku skrzypiało jak gorset starej kurtyzany. Na samym szczycie usiadłem z Armida w jednym z lekkich foteli, a Bedalara i de Lambant zajęli drugi. Czterech krzepkich lotnych uniosło nas w powietrze, a inna czwórka dźwignęła naszych przyjaciół.

- Och, Perianie, czuję się tak niepewnie! Czy oni nas nie upuszczą?

- To bezpieczniejsze niż mój wodorowy balon. - Lecący mężczyźni mieli założone na ramiona uprząże, których drugie końce przymocowano do naszego kosza. Czerwone twarze tragarzy wyglądały spokojnie. Mimo to, nie tylko uczucie skłoniło Armidę do objęcia mnie ramionami. Ich uścisk sprawił, że przestałem drżeć.

Nasz kosz kołysał się tuż nad głowami ludzi. Popołudnie miało się ku końcowi.

Między kramami panowało coraz większe ożywienie. Zbierało się więcej osób, a zapach pieczonego na ruszcie mięsa stawał się coraz bardziej intensywny. Najweselej robiło się po zmierzchu, gdy na plac przychodziły tłumy, zapalano pochodnie i wkładano maski, a wschodnie tancerki wirowały na pachnących kadzidłami scenach.

Z każdym uderzeniem skrzydeł coraz bardziej oddalaliśmy się od targowiska.

Lecieliśmy teraz nad winnicami, w których kiście winogron oblepiały krzewy rosnące w ciasnych rzędach. Przesunęliśmy się między pniami szczupłych brzoź w zagajniku. Przed sobą mieliśmy kolejny odcinek rzeki, której wody, płynąc po kamieniach, gawędziły same ze sobą. Za nią ciągnęły się ostatnie winnice i brzuchate przedgórze pasma Yokobanów.

- Poprośmy, aby nas tu opuszczono - zawołała Armida.

- Nie, lećmy dalej! Znam miłe miejsce niedaleko stąd. Tam nikt nam nie będzie przeszkadzał - odkrzyknął de Lambant z drugiego kosza.

Przy akompaniamencie uderzeń wspaniałych skrzydeł żeglowaliśmy w górę ponad zboczami jasnych rumianków, poza omszały występ skalny, za którym wznosiły się klify.

Lotni opuścili nas na skalny taras. Odczepili się od koszy i padli na trawę głośno sapiąc, pocąc się i wachlując zwiniętymi końcami skrzydeł. Po chwili wstali, wzięli zapłatę i powoli odlecieli w stronę targowiska.

Staliśmy i patrzyliśmy za nimi. Obaj z Guyem objęliśmy dziewczęta i wszyscy czworo zaczęliśmy skakać i tańczyć, ciesząc się, że wreszcie jesteśmy sami.

Pragnąłem okazać Armidzie, jak bardzo ją kocham, ale okoliczności sprawiły, że byłem w nastroju radosnym, nie poważnym. Chwyciłem ukochaną za rękę i pobiegliśmy zbadać naszą samotnię, ukrytą przed oczami świata.

Wspinając się po wielkich skałach, z wyrytymi w nich wizerunkami twarzy albo

kończyn, dotarliśmy do miejsca, skąd roztaczał się widok na okolice, które minęliśmy żeglując w powietrzu.

Dobrobyt Malacji opierał się na handlu i uprawie ziemi. Efekty tej drugiej działalności mieliśmy przed sobą. Równe szeregi winnic biegły ku rzece. Wszystko kąpało się w świetle późnego

popołudnia. Instynktownie przytuliliśmy się do siebie, czując, że jesteśmy częścią rodzącej owoce ziemi.

Z naszego punktu obserwacyjnego widzieliśmy także odległe kramy targowiska, rzekę Toi z brzegami spiętymi przez mosty, oraz samo miasto. Fortyfikacje Malacji, jej wieże i wspaniałe budowle spowijała mgła, jakby należały do świata marzeń, a nie rzeczywistości.

Bucintoro lśniło złoto.

Poza miastem, na prawo od nas, wypiętrzała się ziemia. Ze swego miejsca

widzieliśmy nawet podnóża wzgórz, za którymi krył się obóz króla Tvrtko. Raz dziennie wielkie osmańskie działo bombardowało miasto, ale robiło to coraz mniej skutecznie, bo zaczynało brakować amunicji. O tej porze wróg nie dawał znaków życia.

Z boku i ponad nami prześwitywały nierówne szare dachówki domów górskiej wioski.

Ledwie je widzieliśmy ponad oliwnym gajem i otaczającym osadę niskim, kamiennym murem, biegnącym w dół, i w górę po zboczach wąwozu. Wioska nosiła nazwę Heyst.

Tamtejsi mieszkańcy byli śniadzi i osobliwi. Ze swego miejsca widzieliśmy kilku. W pocie czoła pracowali w winnicach, wspomagani przez ludzi-jaszczury. W Heyst ludzie mówili własnym językiem i nieufnie odnosili się do obcych.

Wróciliśmy z Armidą do przyjaciół i usadowiliśmy się wygodnie na trawie.

- Słyszałam, że część górskich ludów, które w dawnych czasach przybyły z dzikiej północy, wywodzi się od pawianów. To rodzaj młodszy od naszego. Opowiadała mi o rym stara opiekunka mojej matki, więc to może bajka. W każdym razie, na świecie podobno było już tylu bogów, że bogowie górskich ludów nie mogli się narodzić. Wciąż jeszcze są zamknięci w tutejszych skałach, w Górach Yokoban.

- To zwykła baśń nianieek, Armido - powiedział de Lambant uprzejmie. - Gdyby

bogowie północnych ludów rzeczywiście nie mogli się narodzić, na pewno zostaliby w skałach hen, na północy.

- To tylko alegoria - odparłem - Jeśli są jeszcze jacyś nienarodzeni bogowie,

zamknięci są w nas, a nie w zwykłych kamieniach.

Armidą spojrzała na nas obu z rozdrażnieniem.

- Wszyscy mężczyźni są tacy wzgardliwi! Zawsze się wam wydaje, że sami wszystko wiecie najlepiej. Skoro bóg tkwi w skale, nie sądzicie, że może się w niej poruszać, przejść nawet tysiąc kilometrów pod ziemią, jeśli to konieczne. A co do „zwykłych kamieni”, profesorze de Chirolo, dlaczego sądzisz, że człowiek jest od nich lepszy? Zwykłe kamienie stać na bardziej zadziwiające rzeczy niż ludzi, bo ludzie przecież na początku świata wyszli właśnie ze skał.

- Co? Co takiego? - zaśmiałem się. - Nasz gatunek ewoluował z rodziny dwunożnych zwierzęcych praprzodków.

Armida zignorowała moją uwagę nie przerywając wywodu.

- Nie dalej jak przed rokiem - wiem to na pewno od uczonego przyjaciela mego ojca -

ze skał u wybrzeży Lystry narodził się nowy rodzaj krabów. Obecnie istnieją ich setki i każdy może się je zobaczyć na własne oczy. Krab ten potrafi się wspinać na drzewa i daje znaki swym przyjaciom szczypcami, które właśnie z tego powodu są większe.

De Lambant się roześmiał.

- To u krabów nic nowego. Ci spryciarze potrafią dawać sygnały przyjaciom i

wrogom odkąd istnieje świat. Pewnie komunikowały się między sobą mnóstwo razy, ale nic z tego nie wynikło.

- Droga Armido, nam potrzebny jest zupełnie inny rodzaj kraba. Taki, który rano piałby jak kogut, co poniedziałek dawał mleko i na żądanie unosił skorupę, aby pokazać perły i klejnoty, jakie się pod nią kryją. Przydałby się też większy krab lądowy, rozmiarów tego tutaj głazu, ale znacznie szybszy niż jego mali bracia. Można by go przyuczyć, by galopował

jak ogier. Pomyśl tylko co wskórałby oddział takich zwierząt w bitwie z Osmańskimi Turkami! Malowalibyśmy im wojenne barwy na skorupach.

Nie mogłem patrzeć, jak oczy dziewcząt lśniły, gdy de Lambant się przed nimi

popisywał. Musiałem przerwać jego monolog.

- To za mało. Nasze nowe kraby musiałyby pływać jak amfibie. Wówczas mogłyby

pokonywać rzeki i przenosić nas przez morza ku nowym, dotąd nieznanym ziemiom, legendarnym krainom takim jak Leopandis, Lemuria, Mu. Hash, Tashrnana, Atlantyda, Dis i Samarinda.

- Mogłyby podróżować nie tylko przez morza, ale też pod nimi, ryjąc tunele w

głębokim i mrocznym dnie, gdzie czas zastyga wśród koralowych miast i puszczy

wodorostów. Wchodzilibyśmy do wnętrza skorupy kraba, a ona chroniłaby nas przed wodami na zewnątrz.

- A pod wodą skorupa stawałaby się przezroczysta niczym kryształ, abyśmy mogli podziwiać podwodne pieczary pradawnych potworów morskich, w których bestie dożywają swych dni, uginając się pod ciężarem lat i małych skorupiaków, tworząc kulturę dorównującą ludzkiej.

Dziewczęta zachwycone wymysłami nie mniej zwariowanymi niż nasze kraby,

włączyły się w bezsensowne wymysły.

- Ja na swoim krabie zasadziłabym bluszcz i lśniące powoje, aby wyglądał jak cudny, ruchomy ogród. Stałby się sławny i każdy znałby jego imię, a to byłoby, hm... - Bedalara chciała mieć swój udział we wspólnej opowieści.

- Mój krab miałby muzykalne szczypce, które grałyby w takt jego kroków. Melodie, którym nie sposób się oprzeć! I wszystkie inne kraby - nawet twój, Bedalero - musiałyby przerywać to, co robiły i biec za nim. - Tym razem wtrąciła się moja Armida.

- Dziewczęta, dziewczęta - upomniał je de Lambant tłumiąc chichot. - Tak poważnie traktujecie tę niemądrą zabawę, że przegrzejecie sobie śliczne główki wyobrażając sobie takie osobliwości!

Wszyscy roześmieliśmy się i usiedliśmy razem pod szerokim płaskim głazem

wtopionym w skałę. Spisano na nim legendę w Starej Mowie. Dziewczęta poprosiły, bym ją odczytał. Z pewnym wysiłkiem zdołałem to zrobić. Gdy byłem chłopcem, ojciec uczył mnie tego języka.

- To satyra - oznajmiłem. - Na kamieniu spisano wiersz ku czci przyjaciela, który odszedł w krainę cieni. Z napisu wynika, że poświęcony został zmarłemu Falandrowi jedenaście mileniów temu, ale temat pozostaje wiecznie żywy. Brzmi to mniej więcej tak...

Zawahałem się przez moment, po czym zacząłem mówić:

Kalandrze, cnót nigdy nie miałeś za wiele:

Twa przyjaźń nieszczera, miłość fałszem była,

Kolce kłamstw wždy ostre i zawsze ich siła.

Wspominamy cię - choć jużes w Śmierci popiele –

Boś nam wskazał jaka w życiu się wesolość kryła.

Armida roześmiała się podnosząc dłoń do pięknych ust.

- Na pewno napisał to ktoś wysoko urodzony. Jaki zabawny jest ten wiersz.

- A mnie się wydaje wzruszający - odparła Bedalara.

- Jakoś nie widzę w nim sensu. Na szczęście w wierszach nie sens jest najważniejszy, lecz miłość - powiedział de Lambant.

Śmiejąc się przesadnie, skoczył na równe nogi i podszedł do kamiennej płyty.

Odsunąwszy ją, wy dobył z wnętrza ciepły i solidnie przyprawiony posiłek - idealny dla wzmocnienia

sił. Postawił potrawy między nami. Czasem bogowie i ludzie zgadzają się ze sobą; wtedy żołądki i serca też działają w zgodzie. Przyprawiony szafranem ryż, rodzynki, daktyle, czosnek i małe ryby, którym w paszcze wetknięto ostre papryczki, wyglądały zachęcająco. Sięgnąłem głębiej w ciepłe wnętrze skały i z okrzykiem zachwytu wyciągnąłem warzywne danie i czerwone wino w gąsiorach z zielonej gliny.

- Teraz przydałyby się nam cztery kielichy mistrza Bledlora - powiedziałem stawiając butle na ziemi.
- Oto jadło godne króla, a przynajmniej Księcia Mendiculi. Nie obfity posiłek, lecz przekąska. Ale na jej widok człowiekowi robi się wesoło.

Zatopiłem palce w ryżu.

Jedliśmy w pozycji półleżącej. Jedzenie było rozkoszne.

Na zboczu pod nami zjawił się myśliwy. Cicho stąpał między niewielkimi dębami.

Przez chwilę widzieliśmy żółtego hauberka albo małego węża, za którym podążał łowca. Nie dobiegły nas odgłosy szamotaniny ani pisk, więc uznaliśmy, że prazwierz umknął prześladowcy.

- To dopiero dekadencja - powiedział de Lambant biorąc butelkę i wracając do tematu, który wcześniej pojawił się w rozmowie. - Uczta za nic. Dopiero teraz czuję się cudownie rozpieszczony. Darmowa uczta na łonie natury. Brakuje jedynie muzyki. Nie pomyślałeś pewnie o tym, by skraść flet tamtemu sprzedawcy, co de Chirolo?

- Nie jestem aż tak dekadentki.

- Lub tak przewidujący.

- Dość tych uszczypliwości.

- Ktoś mi mówił, że Szatan postanowił zatrzymać świat, a magowie na to przystali.

Taki koniec, wcale nie byłby nieprzyjemny. Po prostu zwykle życie toczyłoby się coraz wolniej i wolniej, aż ustałoby zupełnie - powiedziała Bedalara rozmarzonym głosem.

- Jak tykanie nakręcanego zegara - podsunęła Armida.

- Bardziej jak gobelin - stwierdziła Bedalara. - Pewnego dnia, zupełnie zwyczajnego, takiego jak dziś, wszystko może się zatrzymać i nigdy już nie ruszyć z miejsca, a my, i to co nas otacza, już na zawsze zastyglibyśmy w bezruchu, tak jak zawieszony w powietrzu gobelin.

- Dopóki nie dobiorą się do nas gwiazdne mole - dorzucił de Lambant chichocząc.

- Co za dekadentki pomysł - powiedziałem. - W ogóle, wyobrażenie końca

wszechrzeczy jest dekadencje.

Mimo to, uderzyła mnie wizja Bedalary. Wszystko miaoby się stać gobelinem - być może ku zadowoleniu bogów, którzy wówczas mogliby bez przeszkód nam się przyglądać.

Patrząc ponad wiejskim krajobrazem ku miastu lśniącemu w popołudniowym słońcu, odniosłem wrażenie, że coś wisi w powietrzu. Chmury dymu, okrągłe i białe, powoli rozpraszały się ponad szczytami Prilipitów dając znak, że Malacja ponownie była ostrzeliwana. Ale do naszego małego nieba nie docierały żadne dźwięki; tak jakbyśmy patrzyli na gobelin, który rozwinięto przed nami, aby uprzyjemnić nam ucztę.

- Rzeczy nie mogą być dekadencje - sprostowała Armida. - Dekadencja jest cechą ludzką. Czy słowo to nie oznacza przypadkiem fizycznego lub moralnego rozkładu?

- Nie jestem pewien, co dokładnie znaczy, ale to nam nie przeszkodzi w sporach na ten temat. Nasz wiek nazwaliśmy dekadencym. Ty się z nami nie zgodziłaś. Nie sądzisz, że upadek fizyczny i moralny jest cechą każdej epoki? Weźmy naszych przyjaciół Księżną Patrycję i Generała Geralda. Żyli w heroicznej erze wspaniałych podbojów. Mimo to, księżna zachowywała się dekadencje. Nie tylko była niewierna - co się podobno zdarza dość często -

lecz także nie okazywała potem skruchy, uważając, że postępowała uczciwie i delektując się zdradą, która w jej mniemaniu zdradą nie była.

- Zupełnie źle ją zrozumiałeś, Perianie. Patrycja niczego nie udaje. Twój Generał, razem z Mendiculą, oszukują ją. To Gerald bawi się w oszusta zwodząc nawet Jemimę, wobec której deklaruje swą miłość.

- W takim razie jego zachowanie jest dekadencje. Czy wszyscy się z tym zgodzą?

- Zgódźmy się lepiej, że ryba smakuje wyśmienicie - powiedziała Bedalara. - Męczy mnie trochę słuchanie o tym waszym Mendiculi.

- A ja się zupełnie zgadzam co do ryby i co do sztuki - oznajmił de Lambant ścierając ziarna ryżu z nosa. - Uznajmy zatem nasz wiek za *wygodny*, dobrze? Żadne wielkie zagadki nie czekają na rozwiązanie, zimne wiatry nie wieją znad ponurej, religijnej północy, w ściekach nie poniewiera się zbyt wiele trupów. Czuję, że jestem stworzony dla tego wieku, tak jak ten wiek dla mnie.

- Mówisz beztrasko, ale nie masz racji - odezwała się Armida. - Rozmawiałam o tym z Bedalarą zanim zainteresowało nas przedstawienie marionetek. Zawsze toczą się jakieś wojny, nawet gdy nikt nie strzela. Jeśli nie są to wojny między rasami i nacjami, spierają się rasy, klasy i ludzie w różnym wieku - o raju, nawet płcie - albo jedna natura walczy w człowieku z inną. Można rzec, że te wojny tworzą życie. Wspomniałaś, że żadne wielkie zagadki nie czekają na rozwiązanie. Wiedz, że nigdy tak nie będzie, dopóki żyjące istoty chodzą po scenie tej ziemi. Nawet patrząc na marionetki na targowisku czułam, jak rodzą się we mnie pytania, na które nie umiem odpowiedzieć.

- Na przykład: dlaczego Pstrokaty Pete jest takim kiepskim aktorem? - zaśmiał się de Lambant.

- Na przykład: dlaczego jego malowane lalki mnie wzruszyły? Przecież nie naśladują, ani nawet nie udają prawdziwych ludzi; są zwyczajnymi kawałkami drewna, którymi ktoś porusza, by nas zabawić. Mimo to byłam przejęta. Najpierw sprzyjałam Bankierowi, potem Złodziejowi. Znalazłam się pod wpływem jakiejś dziwnej magii. Jeśli tak, czy sprawił to artyzm lalkarza? A może moje własne zdolności, bo wyobraźnia działała wbrew mnie i stałam się w części Złodziejem, a w części Bankierem? Dlaczego płaczę nad losem bohaterów sztuk lub książek, które nie mają w sobie więcej ciała i krwi, niż trzydzieści drukowanych liter?

- Dość już tego - zawołał de Lambant. - Ja mówiłem niemądrze, ty zbyt wiele. -

Ukląkł przy Armidzie, kładąc złożone dłonie na jej kolanach.

Uśmiechnęła się rozbawiona jego błazeństwami i położyła rękę - zdawało mi się, że lekceważąco - na jego głowie, po czym przystąpiła do ataku na ostatni z jego argumentów.

- Co się tyczy twego niedorzecznego przekonania o tym, że nie wieją ku nam żadne religijne wiatry. Jak nazwiesz naszą rozmowę, jeśli nie sporem między odmiennymi wiarami albo niedowiarstwem?

- Zwykłym przekomarzaniem się, moja panno, zwykłym przekomarzaniem się! Miej nade mną litość, błagam.

- Przekomarzanie się często skrywa głębokie przekonania. Tego nauczył mnie mój ojciec.

Bedalara wzięła mnie za rękę.

- Pobierałyśmy nauki w tej samej akademii, ale Armida jest ode mnie o wiele bystrzejsza. Mnie się zdaje, że nie mam żadnych przekonań.

- Podobało mi się twoje porównanie do gobelinu. Jestem pewien, że znasz wiele innych - odparłem.

- Och, pomysł z gobelinem kto inny włożył mi do głowy.

Z oddali dobiegła nas radosna i płynąca z serca muzyka. Spływała w dół zbocza, jak zapach ziół. Zwróciliśmy się w stronę, skąd dobiegała. Tylko de Lambant wciąż próbował udobruchać Armidę.

- Nawet ja, zakochany głupiec, widzę, że wiele ważnych pytań pozostaje bez

odpowiedzi i być może nie da się na nie odpowiedzieć. Weźmy choćby naturę Czasu. Zanim spotkaliśmy was, ślicznotki, mój przystojny przyjaciel - nie kto inny jak Perian de Chiolo -

odwiedził ze mną Giovanniego Bledlora, który tworzy miniatury na szkle. Pracuje jak szalony za

marnie grosze i ledwie zarabia na utrzymanie siebie i starej żony. Dlaczego? Sądzę, że czuje on, iż Czas i Pył - który jest przednią i tylną strażą Czasu - działają przeciwko niemu.

Dlatego buduje na swą cześć maleńkie pomniki w jedyny znany mu sposób, podobnie jak koralowiec, którego anonimowe życie tworzy całe wyspy. Czas każe mistrzowi Bledlorowi dzielić się Sztuką. Czy jakiś matematyk odkrył kiedyś bardziej ponure równanie?

- Przypuśćmy teraz, że Bledlor ma przed sobą tyle czasu, ile tylko zapragnie.

Przypuśćmy, że mag podarował mu magiczny eliksir dający wieczne życie. Założę się, że wówczas nie chciałoby mu się wykonać nawet jednego nacięcia w szkłe! Nikt nie poznałby jego talentu. Czas jest jednym z wielkich pytań, które wiszą u progu każdych drzwi, niczym niezapłacony rachunek.

Muzyka zbliżała, się coraz bardziej, frunąc ku nam, to znów oddalając się z

wdziękiem równym kunsztowi jej taktów. Poczułem jej ogromną siłę. Podskoczyłem i chwyciłem dłoń Armidy.

- Muzyk, co tak pięknie gra, ma Czas tam, gdzie go pragnie mieć - powiedziałem. -

Jedliśmy już i rozmawialiśmy. Teraz muszę z tobą zatańczyć Armido, nawet jeśli zmierza ku nam sam Diabloszczyk poruszany sznurkami lalkarza.

Podniosła się i wsunęła w moje objęcia. Przypominała mi wierzbową pannę. Złotą od słońca twarz zwróciła ku mojej i zaczęliśmy wirować w zaimprovizowanym gawocie.

Poruszała się tak lekko, tak prowokująco i rytmicznie, że i moje kroki stały się dziwnie sprężyste, napędzane nie tylko energią muzyki. Mój duch rósł i wznosił się ku górze, jak dym.

Bedalara chwyciła misę spod naszych stóp i machnęła nią przed sobą, tak że deszcz ryżu i wszystko, czego dotąd nie zjedliśmy, posypało się poza krawędź skalnego tarasu, w dół, po górskim zboczu. Potem wzięła de Lambanta za rękę. Oni także puścili się w taniec.

Jeszcze jeden obrót i muzyk znalazł się w polu naszego widzenia. Prawie nie

zwróciliśmy na niego uwagi, gdy wyszedł zza skały. Tak jakby już się stał częścią naszego towarzystwa. Był stary, niewysoki i dość przysadzisty. Towarzyszył mu człowiek-jaszczur.

Muzyk grał na harmonii, ale o tym wiedzieliśmy już wcześniej.

Wirowaliśmy tak długo, jak długo trwała muzyka. Zdawało się, że możemy tak bez końca, a może po prostu nie chcieliśmy się zatrzymać. Przystanęliśmy dopiero, gdy popołudnie zasnuło się chmurami. To było coś więcej niż taniec. To były zaloty podszeptane nam przez muzykę, przez bliskość naszych ciał, nasze ruchy i nasze spojrzenia. Wreszcie, gdy melodia zgasła, ukloniliśmy się sobie i wybuchliśmy śmiechem.

Podnieśliśmy gąsiory z winem i jeden podaliśmy muzykowi oraz jego towarzyszowi.

Grajek był tak niski i krępy, że w płóciennym przyodziewku wydawał się gruby jak miejskie mury. Miał ogorzałą, naznaczoną, wiekiem twarz z zapadniętymi oczami i cofniętą brodą, ale w siwej czuprynie nadal lśniło sporo czarnych kosmyków. Już raz go widzieliśmy, wcześniej tego dnia.

- Muzykancie, czy przypadkiem nie mieszkasz przy pchlim targu? - spytał de

Lambant.

Grajek nie odpowiedział. Jego gardło zbyt było pochłonięte przełykaniem jak

największej ilości wina. Chciał napić się na zapas, zanim de Lambant odbierze mu gąsior.

- Nie da się zaprzeczyć, panie. - Cienki, zniszczony głos nie miał w sobie nic z czaru muzyki, ani smaku wina. - Mam chałupinę przy rynku, ale na co jaśnie państwu to wiedzieć.

Wprawdzie w swoim czasie grywałem we dworach i sprawiałem, że niedźwiedzie ruszały się z wdziękiem motyli.

- Widzieliśmy twój wizerunek, jak żywy, na jednym z kielichów mistrza Bledlora.

Stary grajek skinął głową, a uśmiech rozjaśnił ruiny jego oblicza. Jaszczurzy człowiek podskoczył za nim wylewając wino na pył drogi, gdzie zbiegło się w maleńkie kropelki.

- Ach, Giovanni Bledlor, najwspanialszy artysta w naszym mieście. On dba o

sponiewieranych. Spójrzcie na to, panowie. - Starzec zbliżył się pokazując nam swój instrument. Miał kształt serca i bladożółty kolor. Pod klawiszami widniał malunek, maleńka miniatura przedstawiająca dwoje dzieci.

Brzdące wyglądały jak żywe. Grały w berka. Chłopiec gonił dziewczynkę, oboje w biegu rozłożyli ramiona. Ścigali się ze śmiechem. Nad nimi świeciło malowane słońce.

Obaj z de Lambantem natychmiast rozpoznaliśmy wprawną rękę artysty - i dzieci.

- Dzieło mistrza Bledlora! Któż inny zdołałby umieścić tak wiele na tak małej

powierzchni? A te małe urwisy - tę samą parkę widzieliśmy na lazurowym wazonie w jego pracowni!

- Nie mylicie się, wielcy panowie - przytaknął grajek zabierając instrument i z lubością wsuwając go pod pachę. - To te same urwipołcie, złote serduszka. Nie raz pozowały Giovanniemu. Ponieważ nie mógł mi dać grosza, bo opuścili go bogaci patronowie, namalował mi tę miniaturkę, abym mógł nią cieszyć oczy kiedy gram. Tych dwoje, to moje wnuki - to były moje wnuki i moje oczko w głowie, były dopóki przekłete wschodnie wiatry nie zabrały ich zeszłej zimy w krainę cieni. Tak, tak, straszny to był dzień...

Starzec westchnął.

- Małe psotniki cały dzień mogłyby tańczyć do mojej muzyki, gdybym im na to

pozwolił. Miały niewiele zabawek. Nigdy się nie kłóciły. Ale magowie rzucili na nie zaklęcie z Biskupiego Mostu. Ich małe ciała wyschły na wiór i dziecińy pomarły, gdy nadleciał wiatr od Bizancjum. Nie ma ich już między nami. Już nie. - Grajek zaczął szlochać. Jaszczurzy człowiek położył mu na ramieniu łuskowatą rękę. - Nic po nich nie zostało, tylko ten maleńki obrazek namalowany przez Giovanniego, o tutaj.

Muzykant przytulił harmonię do chudego policzka.

- Jakie to szczęście, że została ci choć taka pociecha - stwierdziła Armida trochę zbyt porywczo. - Skoro już wysłuchaliśmy twej smutnej historii, musisz nam jeszcze zagrać jakąś melodię. Do twych łez nie możemy tańczyć tak zgrabnie, jak do twej muzyki.

Pokręcił głową.

- Muszę iść dalej do Heyst, jaśnie panno, zarobić trochę grosza na weselisku. Zima przyjdzie za kilka tygodni, bez względu na to, jak pięknie wy młodzi zatańczycie.

Pozdrowił nas i ruszył przed siebie. Jaszczurzy człowiek podążył za nim prostując się jak struna. Gdy nas mijał, uśmiechnął się zaciśniętymi wargami, jak miał w zwyczaju jego rodzaj. Jeszcze zanim podróżni zniknęli nam z oczu, de Lambant i ja zaczęliśmy całować i pieścić nasze piękne panny.

- Biedny starzec, jego muzyka potrafi nas rozpalić, lecz jego nie rozwesela -

wyszeptały piękne usta Armidy tuż przy moich wargach.

Zaśmiałem się.

- Sztuka nie zawsze dodaje otuchy! - powiedziałem zaciągając ciemne loki Armidy na swoją twarz, aż oboje się znaleźliśmy pod ich namiotem.

- Nie wiem, jaki cel ma sztuka, ale nie wiem też, jaki cel ma życie. Czasem mnie to przeraża. Pomyśl tylko, Perianie, tych dwoje maleńkich dzieci zmarło, ale ich namalowane figurki nadal żyją na drewnie i na szkłe! - Westchnęła. - Cień przesłaniający istotę...

- Przecież sztuka powinna być cierpieniem.

- To samo można powiedzieć o życiu.

- Chcesz się smucić, gdy moja dłoń dotyka jedwabiu twej bielizny...? Och, cudna istoto! Armido, nie ma drugiej takiej jak ty...

- Najdroższy Perianie, gdy to robisz... Gdyby tylko moja rodzina... Żadne dzieło sztuki nie zdoła nigdy...

- Moja słodka ptaszyno, gdyby tylko... o tak...

- Ach, ukochany, to takie...

Nie widzę sensu w przytaczaniu rozmowy równie niespójnej, jak nasza w tamtej chwili. Z wszystkich sztuk, najtrudniej przełożyć na słowa tę właśnie, której się oddaliśmy.

Wystarczy, że wzorem ulubionego poety powiem: „zasmakowałem w panie powagi i radości naraz”.

Jej usta, jej nogi, otwarły przede mną raj, w który bez wahania się zagłębiłem. Kilka kroków od nas, za zasłoną krzewów, de Lambant i Bedalara poszli w nasze ślady.

Tyle o uniesieniach. Tymczasem pogodny dzień przyniósł wreszcie zachód słońca o barwie starej, złotej zbroi. Cały krajobraz zabłysł niczym tarcza, zanim zgasł w mroku nocy.

Nawet najłżejszy zefir nie zakłócił atmosfery beztruską dorównującą naszej radości.

Zmierzch zastał nas skulonych przy sobie. Leżeliśmy jak zwinięte latające dywany, których magia się wyczerpała - bezwładne i niezdolne unieść się już ani razu. De Lambant i ja odpoczywaliśmy z głowami na piersiach naszych, nadal ukochanych, dam.

Zasnęliśmy przytuleni, patrząc na światełka odległego targowiska i zamiast do modlitwy, układając usta do pocałunków.

Przed świtem obudziły nas zimne, ranne wiatry. Wokół wciąż władał ciężki mrok.

Wszystko trwało w spokoju. Jedno po drugim usiedliśmy i przytuliliśmy się bez słowa.

Dziewczęta zaczęły poprawiać fryzury. W ćwierci nieba, chmury rozwarły się jak szczęki, odsłaniając przełyk karmiący świat światłem; ale jasność była tak zimna, jak wiejąca wokół

nas bryza. Wstaliśmy i rozejrzeliśmy się wokół. Parę razy podskoczyliśmy chcąc sprawdzić, czy krew znowu zacznie w nas krążyć.

Trzymając się za ręce ruszyliśmy w dół zbocza. Wśród komosy, amarantów i chudych gałązek janowca, znaleźliśmy ścieżkę i podążyliśmy jej szlakiem. Od strony miasta odpoczywającego wśród mgieł, nie dobiegł nas żaden ruch ani ślad światła. Tylko na szarych murach Heyst tliły się latarnie; wieśniacy witali już dzień, ruszali do studni lub szli na pola, zabierając ze sobą chleb na śniadanie. Gdy szliśmy przez gąszcz dębów, ptaki zaczęły wołać nie mącąc spokoju gór. Tam natknęliśmy się na

poprzedniego dnia. Stał na ścieżce owinięty jelenią skórą. Zabił hauberka, którego upatrzył

sobie na zdobycz. Przewiesił go sobie przez ramię. Głowa zwierza bezwładnie kołysała się na piersi łowcy, a pierwsza mucha chciwie spijała wilgoć martwego oka.

Dotarliśmy do granicy pierwszych winnic i ruszyliśmy w stronę drewnianego mostku prowadzącego

na drugi brzeg strumienia. Miejsca tego strzegł dębowy satyrznaczony zębem czasu tak, jak pradawny kosmorył. W zrytej przez korniki dłoni tkwił bukiet świeżych kwiatów, choć pora była jeszcze bardzo wczesna. Strumień szemrał czysto i świeżo.

W piersi poczułem ciężar szczęścia.

Objąłem Armidę w talii.

- Nieważne jak wcześnie wstajesz - powiedziałem - ktoś zawsze wstaje przed tobą.

Nieważne jak lekko śpisz, zawsze jest ktoś, kto ma jeszcze lżejszy sen. Wszystko jedno, dokąd zmierzasz, by spełnić swe zadanie, ktoś inny dociera tam wcześniej.

De Lambant zawtórował mi, a po chwili dołączyły do nas ukochane dziewczęta, improwizując, skandując i podśpiewując w takt kroków skrzypiących na deskach mostu.

- Choć masz jasne sny, dzień wstaje jaśniejszy. Choć twój uśmiech lśni, słońca blask silniejszy - powiedział De Lambant.

- Choć świt na świat późno wita, zawsze przychodzi świtem, a co rankowi winien, rosą zapłacić powinien - odparła moja niezrównana Armida! W ten sposób ustaliliśmy zasady gry. Szukaliśmy rymów.

- Choć delikatne są kwiatów pąki, rok po roku ukwiecają łąki. - Bedalara wciąż miała ciężkie od snu powieki.

- Pod nami, pod stopami, wśród gąszczy, słodka woda płynie, czy szmerem dorówna ptaszynie, czy chrzęstowi chrząszczy! - to znowu ja.

- Choć nocne wiatry czasem długo trwają, sile dnia - nawet chmurnego - i tak rady nie dają. - De Lambant prześcigał sam siebie.

- Jakiż to niby-świat, w którym niby-serce bije, w tak dziwnie niepozornym słowie „choć” się kryje... - raz jeszcze Armida.

Przemknęliśmy wśród zamkniętych kramów targowiska, które w świetle nowego dnia wyglądały tandetnie. Ruszyliśmy na Most Biskupi. Pilnujący go wartownicy bez słowa pozwolili nam przejść na drugi brzeg Toi.

Wodnisty promień słońca przebił się przez ołowianą pokrywę, oświetlając szereg budynków nieopodal nabrzeża. Jedna z pękniętych szyb odbiła światło. Zauważyłem, że było to okienko mistrza Bledlora, jak zwykle zamknięte. Starzec na pewno jeszcze spał w zaduchu, a jego płuca ledwie się poruszały z obawy, by nie wzbić w powietrze kurzu w pracowni. Jego stara żona tłumiła kaszel. Muchy budziły się z bzygniem.

Odetchnęliśmy głęboko. Nozdrza wypełnił nam stary, stęchły smród spalenizny.

Armida mocniej ścisnęła mnie za ramię, a Bedalara przysunęła się bliżej do de Lambanta.

Zbliżaliśmy się do dwóch magów. Musieliśmy przejść obok nich, aby dostać się do starej Bramy Biskupiej.

Światło dnia upodobało sobie ich peleryny i wysokie kapelusze, kierując na nie jeden z jasnych promieni tak, że magowie wyglądali jak namalowani w niezwykłej scenie przebudzenia z narkotycznego snu. Na dwóch kamiennych blokach, które dawno już oderwały się od zapomnianej przed wiekami geometrii miasta, magowie wzniecili słaby ogień. Odprawiali przy nim swe sztuki, rozglądając się wokół badawczo kocimi oczami. Nie kryli złowrogich min na kanciastych obliczach. Gdy ich mijaliśmy, odwróciłem głowę, aby spojrzeć na węże płonące na ołtarzu czarodziejów. Układały się w różne symbole, jeden z nich oznaczał męską twórczą potęgę, potrzebną rodzącemu się dniu.

Z ołtarza unosił się niebieski dym, który wisiał w powietrzu na wysokości naszych serc. Nikt nie odezwał się ani słowem. Odprawiane rytuały były starsze od słów.

Magowie sztywno poruszali prastare ciała, unosząc zwiędłe ramiona w magicznym zaklęciu. Za starą wieżą i pierwszymi arkadami wciąż niewiele było dziennego światła.

Dostrzeżliśmy jednak kupców krzątających się w półmroku. We czworo przeszliśmy pod łukiem bramy, w której płonęła pochodnia.

Panna z mandoliną

Kobiety muszą tolerować rzeczy, których mężczyzna by nie zniósł. Gdy wróciliśmy do domów po nocy wspólnie spędzonej w górach, Armida natychmiast znalazła się w kłopotach. Opiekunka odkryła jej nieobecność. W holu czekał na nią ojciec.

Sądziliśmy, że Yolarię przez całą noc zajmował ambitny pomocnik ogrodnika, zwany Hautebouyem. Niestety Moce Ciemności nie spały.

Nasze plany musiały ulec zmianie z powodu sprzyjającego wiatru z Orientu.

Pracowita bryza przygnała do Malacji okręt handlowy Renardów. Wiózł on ładunek egzotycznych drzew i palm do ogrodów diuka, wśród nich brzoskwinie, wiśnie i asparagusy.

Tak się złożyło, że stary diuk stracił znakomitego ogrodnika podczas zarazy, więc Hoytola, pragnąc pogłębić zażyłość z tym bogatym rodem, posłał diukowi Hautebouja i jego mistrza, aby pomogli przy sadzeniu rzadkich gatunków roślin. Pomocnik musiał odwołać umówione spotkanie.

Tak oto lekki wiatr od strony Cathay sprawił, że opiekunka Armidy niespodzianie wróciła do komnat podopiecznej. Moja ukochana popadła w tak wielką niełaskę, że na resztę świątecznych dni została wysłana do wiejskiej posiadłości ojca. Zdołała tylko przesłać mi krótki liścik, w którym wyjaśniła,

że wyjeżdża do Juracji. Przemyciła go do mnie Bedalara.

Nie omieszkałem skrupulatnie podziękować przyjaciółce Armidy za pomoc. Ku memu zdumieniu, zegnając się ze mną pocałowała mnie.

- Wiem, że teraz będziesz oczekiwał ode mnie większej życzliwości, skoro nie możesz przez dni kilka spotykać się z Armida. Jesteś wyjątkowo interesujący, Perianie. Nie miej mi za złe, że tak mówię. Zawróciłeś mi w głowie frunąc na czarnym ogierze pod niebo.

- Naprawdę? - Zawiodła mnie fantazja. Nie wiedziałem, co odpowiedzieć. Całusy

Bedalary miały tę właściwość, że po nich czuło się zupełną pustkę w głowie. - Nie znam piękniejszej główki, w której chciałbym zawrócić. Muszę cię jednak ostrzec, że mój astrolog, Seemley Moleskin, uważa tamtą jazdę na czarnym koniu za przestrożę. Dlatego staram się postępować jak najlepiej i sumiennie poleruję amulet.

Przytuliła mnie mocno i zamrugła zalotnie rzęsami.

- Guy mówił mi, że masz okropną reputację. Pamiętaj więc, że to, po co chcesz

sięgnąć, jest tylko moją własnością. Nie daję tego każdemu mężczyźnie, któremu przychodzi na mnie ochota.

- Hola, panno, ja niczego od ciebie nie chcę.

Rzeczywiście, do tej chwili wcale o tym nie myślałem. Ale napomknienie o tej

czarującej własności - jak ją nazwała - obudziło we mnie nagłe pożądanie. Bedalara stała na progu, gotowa do wyjścia. Powiedziałem jej, jak mógłbym się zająć tą jej własnością.

Przypuszczałem, że w słowach posunąłem się znacznie dalej, niż de Lambant w czynach.

Zaczerwieniła się. Rumieniec prócz policzków objął także jej oczy i usta. Jej obraz prześladował mnie jeszcze długo po tym, jak zamknęła drzwi i zbiegła w dół po schodach.

Zostałem sam. Stojąc dokładnie pośrodku izby przeczytałem słowa wyjaśnienia

nakreślone przez Armidę. Były zbyt oficjalne, nic mi nie mówiły. Upuściłem list na podłogę.

Poczułem smakowite wonie gotowanych potraw. Z zewnątrz dobiegł mnie głośny

stukot podków o kamienie bruku. Przez okno zobaczyłem mijającą dom kolumnę ciężkiej jazdy z Tuscadii. Kawalerzyści jechali z ważnymi minami. Między dachami ciasno stojących domów dojrzałem wierzchołki masztów i zwinięte flagi okrętu cumującego w korycie Satsumy. Domyśliłem się, że to właśnie on zbyt wczesnym przybyciem pozbawił Yolarię towarzysza, przez co odkryła nieobecność Armidy.

Podobno wszystko ma swoje miejsce. Ale gdzie było moje? Skoro pomyślny wiatr z Orientu wpływał na moje życie w Malacji, jakie inne wiatry, bez mojej wiedzy, kierowały moim losem? Czy romans z Bedalarą wywołałby burzę w jakimś mrocznym zakątku niebios, o którym nigdy nawet nie słyszałem?

Chwyciłem gitarę, oparłem stopę na krześle i zacząłem grać. Chciałem stworzyć pieśń łączącą w sobie wszystko, wielkie z małym, prawdziwe z idealnym. Ale na usta cisnęła się tylko melodia Cosina:

Wśród mogił w każdy zimny dzień

Rzeźbiarza dłuta słychać echo

Nie widzę cię:

Ptak milczy, wiosna daleko.

Nie. Musiałem wymyślić coś innego. Potrzebowałem towarzystwa. Pozzi zabrał La

Single do Vamonal i zamierzali tam zostać do chwili, gdy Malacja pokona wojska Stefana Tvrtko. Szkoda, bo poszedłbym z nią porozmawiać, zamiast włóczyć się ulicami i myśleć o rozmarzonych oczach Bedalary.

Myśląc o kochance de Lambanta, przypomniałem sobie ogrody Renardów. Skoro nie

wolno mi było odwiedzić Bedalary, mogłem złożyć wizytę jej bratu, Cayluso-wi, który nagłe przestał mnie tak bardzo irytować.

W Malacji nie było nic piękniejszego niż ogrody pałacowe Renardów. Stanowiły

wyjątkowe połączenie tworów natury i ludzkiej wyobraźni. W pobliżu wspaniałych zabudowań urządzono część formalną w stylu klasycznym, z roślinnymi labiryntami i ogrodami zielnymi. Za nią znajdowało się arboretum, ogrody zoologiczne z prastarymi i dzikimi zwierzętami oraz wiele hektarów doskonale utrzymanej puszczy. Wszędzie kwitły kwiaty i rosły ozdobne rośliny, które wysłannicy diuka przywozili ze wszystkich zakątków znanego świata. Okolice pałacu ozdobiono także strumieniami i uroczymi pawilonami w różnych stylach architektury.

Razem z Caylusem Nortolinim udaliśmy się właśnie do jednej z altan. Szliśmy ścieżką prowadzącą wśród polan otoczonych miłorzębem i porośniętych paprociami, wśród których grały prastare cykady. Miejsca te odwiedzały slobbergoby - a raczej gutunfiry, bo tak brzmiała ich prawdziwa nazwa - wielkie, włochate leniwce, których dawniej było w Malacji mnóstwo.

Nortolinich łączyło z rodem Renardo dalekie pokrewieństwo, dlatego Caylusa i mnie bez przeszkód wpuszczono do posiadłości diuków.

Caylus, gdy mu się chciało, potrafił być nawet zabawny. Niepospolite rysy jego twarzy, doskonale układały się w szyderczą minę, ponieważ miał mały, cofnięty podbródek, a czubek wytwornego nosa

sięgał nieznacznie poza linię ust. Dół twarzy krył za małą bródką.

Gdy spoglądał na kogoś zwięzając niebywale szare oczy, zwiastowało to kłopoty; tego dnia zauważyłem, że przypominały oczy Bedalary. Caylus przeważnie mówił o sporcie,

najchętniej o walkach byków, lub o broni.

Spomiędzy otaczających nas liści wyglądały ku nam posagi bogiń i wymarłych lub wymagowanych zwierząt. Z rzadka napotykalismy więzione na łańcuchu żywe stwory, które drzemały w blasku słońca. Slobbergobów nigdzie nie było, ale widzieliśmy przywiezionego z Afryki mandryla. Przyglądał się nam marszcząc brwi i mrużąc oczy. Jego policzki znaczyły kontrastujące pasy.

- Skoro bez ustanku nosi tak dziwną maskę, skąd mamy wiedzieć, jaka twarz się pod nią kryje, dzika, czy mądra? - zauważył Caylus.

- Gdybym w takiej masce wybrał się do Afryki, natychmiast obsiadłyby mnie papuzki.

Nad nami w godowym locie przefrunęły dwie ary, błyskając błękitem, morską zielenią i oranżem. Przysiadły na rosnącej opodal palmie.

- Pewnie istnieją także dzicy mędrzy. Nasze walczące byki czasem wydają się

ogromnie mądre, a czasami tylko okrutne... Podobno myśliwi, którzy polowali na najwspanialsze z prazwierząt, takie jak tyranty albo diabloszczęki, w chwili, gdy je zabijali, czuli, że stają wobec istot o niezmiernie mądrości.

- To mi przypomina, że powinienem odwiedzić mego uczonego ojca. Mieszka

niedaleko stąd. Ma ogromną wiedzę, choć nigdy nie opuścił Malacji.

Mandryl potrząsnął na pożegnanie srebrnym łańcuchem.

- Zabić diabloszczęka - to dopiero musi być przeżycie. Wykąpać się w jego krwi.

Diabloszczęki mają mizerne przednie łapy, więc gdy się parzą, samiec owija potężny, łuskowaty ogon wokół gardła samicy, zmuszając ją to posłuszeństwa. Bywa, że dusi ją w akcie miłosnym.

- Śmierć dla miłości może być wysoko ceniona w królestwie zwierząt, podobnie jak ma to miejsce wśród ludzi. Muszę odwiedzić starca. To mój obowiązek. Gdy miałem odbyć podróż balonem, przysłał mi list pełen narzekań. Niedomaga na zdrowiu.

- Z doświadczenia wiem, że ojcowie nigdy nie są zdrowi. Zapomnij o starym głupcu.

Chciałeś kiedyś ubić diabloszczęka, de Chirolo?

- Życzyłbym sobie doświadczyć na tym świecie jak najwięcej, lecz zmierzenie się z diabloszczękiem nie jest moim marzeniem. Na białe kości, być może bardziej przypominam ojca niż sądziłem. On

także pragnął doświadczać...

- Oszczędź mi opowieści o rodzicach. Wystarczy, że mam własnych. Zjedźmy obiad z Gersaintem. Na pewno zdoła nas niemiłosiernie spić, chyba że nadarzy się jakaś bardziej sportowa okazja.

- Powinienem najpierw zobaczyć się z ojcem. Staruszek jest zły, gdy mnie widzi pijanego.

- Wiadomo. Tak już jest ze starcami. Właśnie dlatego należy się upijać.

- Masz rację, ale i tak powinienem tam pójść. Już dawno go nie odwiedzałem.

- Pomyśl tylko o zastawionym stole u Gersainta, o jego piwnicy z winami. Odłóż wizytę - najlepiej tydzień albo i dwa. A jeśli szczęście ci dopisze, twój staruch do tego czasu doczłapie do końca swej drogi. Spójrz tylko na ten pawilon. Rzućmy okiem na obrazy. Pełno tam dziwactw. Są też sceny z polowań.

W ogrodach stale towarzyszyła nam muzyka wody. Ojciec starego diuka zatrudnił

najlepszego inżyniera Malacji, Argenteuila, aby zaprojektował fontanny, tamy i wodospady urozmaicające bieg strumieni w granicach posiadłości. Gdy wchodziliśmy po stopniach pawilonu sztuki, do lekkich szmerów dołączył dźwięk strun. Altanę tę zbudowano w stylu właściwym pradawnemu królestwu Khmerów, z półokrągłym sklepieniem.

U stóp schodów pracowało w ziemi czterech ogrodników, sadząc rząd egzotycznych drzew. Wśród nich dostrzegłem wysokiego pachołka. Przypuszczałem, że to właśnie był

Hautebouy, który odegrał w moim życiu przypadkową rolę.

Na szczycie schodów, wśród brązowych figur bestii ze Wschodu, stały dwie kobiety grając na instrumentach. Młodsza z nich trącała struny mandoliny, starsza grała na wioli.

Spod ich palców płynęła skoczna forlana, w takcie na sześć, relikw minionych epok. Obie bawiły się melodią podając sobie nawzajem kolejne nuty.

Odziany w aksamit mężczyzna w szafranowych rajtuzach, stał wsparty o kolumnę,

śluchając muzyki. Jego postać zdawała się dziwna i ciężka. Na głowie miał kapelusz z piórami, a twarz przesłonił maską. Stopą wybijał rytm melodii. Na nas nie zwrócił uwagi.

Jedną z kobiet czas schwytał już w swoje sidła. Włosy miała białe, a skórę znaczyły rdzawe plamy. Jej palce zwinnie szarpały struny, ale skóra na szyi zwisała już jak u jaszczurki, a usta zaczynały tracić kształt.

Jej towarzyszka ledwie wyrosła z wieku dziewczęcego, ale już miała piękną figurę.

Złote loki upięła wysoko. W ich barwie błyszczała dziwna sztuczność. Na twarz nałożyła róż i puder, które w jasnym słońcu nie dodawały jej urody. Sprawiały, że jej cera wydawała się bez życia.

Sądząc po stroju i zachowaniu, należała do kurtyzany diuka. Gdy się zbliżyliśmy, nie przerywając gry spojrzała na nas wyzywająco. Wzrok miała wyniosły i zimny.

Grała dla mężczyzny w zwierzęcej masce.

Suknia tej niezwyklej damy do towarzystwa połyskiwała bielą jedwabiu, lekko

przybrudzoną przy brzegach. Spod niej wystawała stopa w miękkim trzewiku. Szyje panny otaczał koronkowy kołnierz, a głęboko wycięta kamizela z bogatego sukna podkreślała jej piękną pierś. Nawet na dworze diuka nie noszono w dzień takich strojów. Uroda dziewczyny nie zrobiła na mnie wrażenia. Odwróciłem się do niej tyłem i zacząłem oglądać obrazy wystawione pod niską kolumnadą. Caylus przystanął, by popatrzeć na kurtyzanę i posłuchać jej muzyki, więc ruszyłem dalej bez niego, kryjąc się w chłodnym cieniu pawilonu.

Mężczyzna w zwierzęcej masce wciąż nie zwracał na nas uwagi.

Diukowie Renardo z licznych podbojów i podróży przywozili wiele egzotycznych

przedmiotów. Najcenniejsze zdobiły pałac, najmniej cenne trafiły do pawilonów.

Ponieważ na weselu Smarany kompania nasza miała przedstawić *Fobia i Albizziego*, potrzebny był mi odpowiedni do roli kostium. Miałem nadzieję znaleźć inspirację na jednym z obrazów diuka.

Geniusz, który zbudował altanę na sztucznie usypanym pagórku, po mistrzowsku

połączył w niej kontrastujące elementy. W taki sposób zaprojektował kolumny i wewnętrzne dziedzińce, że patrząc z wnętrza w jedną stronę, widziało się grające kobiety na tle sielskich scen, natomiast spoglądając w przeciwnym kierunku miało się przed sobą ruiny starego pałacu z fontannami paproci tryskającymi spomiędzy kruszących się kolumn, oraz barokową doskonałość rezydencji diuka. Obejrzawszy obydwie widoki przeciwstawiające naturę sztuce, chętnie zwróciłem się ku zawieszonym na ścianach płótnom, na których kontrast ów znajdował doskonałe odbicie.

- Jakie to piękne! - zawołałem. - Ileż pracy włożono nawet w najmniejsze z tych malowideł... Naprawdę uwielbiam sztukę dramat, operę i muzykę, oraz wszystkie te wspaniałości, które spajają świat nas, żyjących, z intymnym światem stwórcy! Cudowne, nawet w tak dekadentycznych czasach...

Głowę wciąż miałem pełną myśli o chwilach przeżytych na górze nieopodal Heyst, o rozmowach, które tam prowadziliśmy i o smaku miłości. Poza tym, jak zawsze chciałem zaimponować Caylusowi. Denerwowało mnie jego gadanie o bykach i spółkowaniu

diabloszczków.

- Żyjemy w uniwersum dualizmu, lecz świat stwórcy wydaje się wyjątkową,

szlachetną odmianą...

- Oszczędź sobie, de Chirolo - przerwał Caylus. - Zaraz zaczniesz się przechwalać, że czytasz

książki.

- To zostawiam memu ojcu. On je pisze. Za to muzyka, malarstwo, no i oczywiście scena, wszelkie odmiany sztuki...

- Zamilcz, zanim się zaplujesz!

Położył mi dłoń na ramieniu nucąc melodię, która na dole płynęła ze strun mandoliny.

Pobieżnie oglądał obrazy, najwyraźniej rozmyślając o czym innym.

- Śliczne to małe, umalowane stworzenie z mandoliną, każdy przyzna... Jej muzyka staje się pewnie słodsza, gdy nie płynie z drewnianych instrumentów. Śmiało na mnie spojrzała. Na pewno to widziałeś.

- Kim jest mężczyzna kryjący twarz pod maską wilka? Może to jakiś faworyt diuka Renardo.

- Co ją z nim łączy? Diabelnie piękna, malowana istotka, każdy przyzna..

Przyglądałem się płótnom.

- Jak ci się widzi ów „Krajobraz Arkadii”, Caylusie? Spójrz tylko, jak idealne tło artysta dał amazonkom.. - Wskazałem obraz mitycznej sceny, ale mój towarzysz ledwo rzucił

na niego okiem.

- Zbyt mglisty jak na mój gust! Na kości założyciela., gdybym tak mógł z nią pobyc sam na sam... moje komnaty są tak niedaleko. Każdy mężczyzna ma obowiązek codziennie składać hołd bogini Wenus.

- Ja mam obowiązki wobec ojca...

- Lepiej chodźmy na górę, tam są starsze obrazy. I nie mów mi już o swoim drogim ojcu.

- Nie dalej jak wczoraj rozmawiałem z twoją siostrą...

- O mojej siostrze też lepiej nie wspominaj, jeśli możesz.

Zarządca pawilonu siedział na schodach, karmiąc małego, łaciatego psa łakociami.

Gdy przechodziliśmy obok, zerwał się na równe nogi i uklonił nisko. Na piętrze obrazów było mniej, za to widoki wspanialsze niż te na dole. Panowała tu przyjemna atmosfera. Tutaj też słyszeliśmy skoczną melodię, ale Caylus nadal nie miał humoru. Zatrzymał się przy niższym oknie i spojrzał w dół.

- Popatrz tylko na wspaniałą kompozycję tej sceny koncertu na świeżym powietrzu -

zawołałem do niego. - Dzieło zapomnianego artysty. W jakże niezwykłych pozach zastygli muzycy, na godzinę kradnąc uwagę całej dworskiej świty! Nie sposób oddać słowami ich delikatnej barwy - choć już wyblakłej - i mglistości tak doskonale oddającej marzenie o młodości i szczęściu... świeżość tych obłoków w tle, przejrzystość pierwszego planu z postaciami skupionymi w grupach...

- Mmm... Może powinienem zejść na dół i posiniaczyć pośladki temu jegomościowi w wilczej masce.

- Wierne prawdzie, a bardziej prawdziwe... Obraz wciąż żyje, choć po twórcy nie pozostało nic prócz pyłu... po człowieku co „nam wskazał jaka w życiu się wesołość kryła...”

Dzieło odesłano do tego pawilonu z powodu plamy wilgoci w rogu płótna. Kto mógł stworzyć taką piękną scenę? Jak dawno temu i w jakim kraju? Stroje nie przypominają malackańskich...

Weźmy tego galanta, spójrz Caylusie, na tego w strojnym zielonym żupanie...

Zamilkłem. Oto znalazłem kostium, jakiego potrzebowałem. Krój zielonego okrycia był mi nieznan, lecz nie mijał się z modą - stylowy i niezbyt pretensjonalny - z odrobiną zabawnej przesady, dokładnie taki, jaki pasował do roli Albrizziego.

Galant na płótnie nosił białą perukę. Twarz miał młodą. Jego żupan uszyto z

adamaszku i ozdobiono srebrnymi guzami. Był dość długi. Dopasowany w talii, a dołem szeroki, z pojemnymi kieszeniami. Kończył się tuż przed kolanami ukazując bryczesy i eleganckie rajtuzy zdobione wstążkami. Miał białe mankiety i piękne zdobienia, haftowane srebrną nicią. Spod wierzchniego okrycia wyglądała kamizela z pięknego materiału, urozmaicona krajobrazami wyczarowanymi - jak sądziłem - haftem krzyżykowym. Biały kołnierz, ciasno okalający szyję, dopełniał stroju. O to chodziło! - Albrizzi jak żywy!

Zamierzałem przysłać tu krawca od Kemperera, aby skopiował dla mnie strój.

- Caylusie, mój poranny wysiłek przyniósł owoce! - powiedziałem. - Nie da się

przywrócić tego zacnego dżentelmena do życia, by ustalić, kto to taki, lecz jego ubiór można odtworzyć w sam raz na wesele Smarany.

Caylus do połowy wychylony był przez okno, nie zwracając na mnie uwagi.

Podszedłem do niego i wyjrzałem na zewnątrz ponad jego ramieniem. Poniżej, dwie kobiety wciąż stały na zalanych słońcem schodach, grając skoczną melodię. Kurtyzana o złotych włosach zaczęła śpiewać. Coś w tej scenie mnie zaniepokoiło. Po chwili zastanowienia uświadomiłem sobie, że to zapach perfum panny. Ich woń poczułem, gdy przechodziliśmy obok. Była to ta sama, wyjątkowa woda miętowa, jakiej używała Armida.

Elegant w wilczej masce właśnie schodził po stopniach. Nagle go rozpoznałem -

głównie jego chód, ale także postać. Choć stroje i okoliczności były zupełnie odmienne, wydawało

mi się, że to członek Najwyższej Rady, którego groźną, czarną sylwetkę widziałem w galerii Hoytoli.

Patrzyłem, jak znika między drzewami. Nie miałem pewności, czy to on. Mimo to, samo wspomnienie ponurej postaci sprawiło, że poczułem się niepewnie.

- Jest teraz sama - powiedział Caylus. - Spójrz tylko na jej cudne dłonie!

Rzeczywiście były piękne; tak zwinne, że jej palce, trącające struny lekką kostką ze skorupy żółwia, wydawały się integralną częścią muzyki. Patrząc na dół ze swego miejsca w oknie, zwróciłem uwagę na wyjątkowy kształt kostki. Z jednej strony miała dwa małe rogi, tak jakby uformowano ją na podobieństwo satyra. Panna trzymała ją w charakterystyczny sposób. Nie wiedzieć czemu, czułem do niej odrazę.

- Perianie, schodzę na dół, zanim pojawi się jakiś nowy rywal! - oznajmił Caylus.

Rozłożył się na szerokim parapecie i uśmiechnął się szarpiąc małą bródkę. - Już za nią szaleję! - Poklepał się po kroczu, dając do zrozumienia, jakim rozumem się kierował.

- Caylusie... - Chciałem mu powiedzieć, że jakieś przeczucie przestrzegało mnie przed tą dziewczyną. Wydawała mi się niebezpieczna. Ale czy mój brak zaufania mógł go powstrzymać? W dodatku nie wiedziałem, co mnie tak w niej niepokoiło, poza tym, że wyszła na słońce z umalowaną twarzą i pachniała jak Armida. Mój towarzysz źle pojął me wahanie.

- Nic nie mów! Pozwól, że cię zostawię samego z twoją sztuką! Możesz też bez przeszkód odwiedzić ojca...

Z uśmiechem się odwrócił i ruszył w dół po schodach wtykając kciuki w kieszenie.

- W porze popołudniowej sjesty wrócę do swoich komnat - zawołał jeszcze

odwracając się przez ramię. - Przyjdź jeśli masz ochotę, to zagramy w karty, chyba, że dopisze mi szczęście w zupełnie innej grze!

Przez chwilę stałem na szczycie schodów zagryzając wargę.

Wyrząłem przez okno. Zobaczyłem, jak panna z mandoliną odwraca się i patrzy na zbliżającego się Caylusa, który dla mnie pozostawał niewidoczny. Raz jeszcze zwróciłem uwagę na jej śmiałe spojrzenie i na palce trzymające kostkę. Potem także zszedłem na dół i opuściłem pawilon drugim wyjściem, nie oglądając się za siebie.

Pomyślałem, że odwiedziny u ojca wcale nie są najgorszym pomysłem.

Poza granicami posiadłości diuka Renardo, wspaniała akacja aleja kończyła się labiryntem ścieżek, wśród których odnalazłem moją. O tak wczesnej porze niewiele osób tędy przechodziło, choć w izbach domów po obu stronach uliczki kątem oka dostrzegałem krzątające się kobiety. Od pobliskiego kanału dobiegały dźwięki katarynki. Układały się w melodię „Słodkiego jutra”, którą

znałem jeszcze z dzieciństwa.

Dotarłem do szerszej alei. Dalej ciągnęła się ulica złotników. Na jej końcu, za wysokimi murami zakończonymi dachówką, stał dom mego ojca.

Po dłuższej chwili czekania, Beppolo, nasz stary sługa, wpuścił mnie do środka i zamknął skrzypiącą bramę. Gołębie poderwały się i odleciały z hałasem w stronę ulicy.

Otoczyły mnie znajome zapachy. Przeszedłem bocznym dziedzińcem, cienistym i chłodnym.

Zauważyłem, że był bardzo zarośnięty. Rosnące po obu stronach wawrzynowe krzewy -

dawniej tak starannie przystrzyżone - wyglądały nędznie. Stajnie stały puste; wokół nie bawiły się charty, tak jak kiedyś. Nasz powóz już dawno temu został sprzedany. Te kilka okien domu, których nie zakryto okiennicami, patrzyło bez wyrazu.

Zielone drzwi w drugim końcu dziedzińca stały otworem. Za nimi otoczyła mnie cisza domu. Idąc korytarzem zajrzałem do komnaty, którą dawniej nazywaliśmy Ogrodową. Słabe światło wpuszczane przez żaluzje sprawiało, że wszystko wyglądało jednobarwnie. Niezbyt eleganckie meble odsunięto w jeden kąt, niepotrzebne.

O tej porze ojciec pracował w gabinecie - prawdę mówiąc był tam o każdej porze.

Zawahałem się przed jego drzwiami, przyglądając się kabalistycznym znakom zdobiącym drewno i nasłuchując dźwięków dobiegających z komnaty. Odszukałem palcami mój amulet.

Potem zastukałem i wszedłem.

Zaledwie przed chwilą przyszedłem z zalanego słońcem świata za murami, więc nie zauważyłem pochylonej nad manuskryptem postaci stojącej w cieniu alkowy. Ojciec odwrócił

się powoli i z trudem. Dopiero wtedy zauważyłem zarysy jego sylwetki. Torując sobie drogę przez zagracone wnętrza, podszedłem do niego i ująłem jego dłoń w swoje ręce.

- Już dawno do mnie nie przychodziłeś, mój chłopcze. Tak tutaj ciemno! Nie wiedziałeś, że cierpię z powodu kolki?

- Otrzymałem twój list, ojcze. Stawilem się najszybciej, jak mogłem. Katarina cię nie odwiedzała? Jak się czujesz? Lepiej?

- Jeśli nie mam kolki, dokucza mi kamień. Jak nie kamień, to śledziona albo gorączka.

Wiesz, że nigdy nie czuję się dobrze. Twoja siostra rzadko zadaje sobie trud, by tu przyjść.

Nic nie mogę jeść. Ale przynajmniej nie dopadła mnie zaraza, która, jak słyszałem, rośnie w siłę. Dlaczego Turcy Osmańscy nie odchodzą? Malację trapią najróżniejsze niedole.

- Nie ma co narzekać. Zaraza zawsze czai się gdzie blisko. Jest częścią naszego życia, tak jak ciemność jest częścią twojej egzystencji. Caylus mówił, że Turcy zbierają się do odwrotu. Pozwól mi otworzyć okiennicę! Jak możesz czytać w takim mroku?

Zagroził mi drogę, rozpościerając ręce, abym nie mógł go ominąć.

- Nikt jeszcze nie wie, czy końskie mięso nie roznosi zarazy. Uczeni mężowie muszą zbadać to zagadnienie. Jak mam myśleć, gdy światło rani me oczy? Co twój nic nie wartu Caylus może wiedzieć o sprawach militarnych? I po co ten cały szum wokół Turków?

Dlaczego nie pracujesz? Z bezczynności zawsze rodzi się zło.

- Pracowałem cały ranek, ojcze. A Caylus ma dobre koneksje.

- I co ci przyszło z tej pracy? Powiadasz, że przybyłeś najszybciej jak mogłeś, tak?...

Katie pokazała się tu raz - naturalnie bez swego wiecznie nieobecnego męża. Wiesz, co odkryłem dziś rano? - Wyciągnął przed siebie słabe ramie w teatralnym geście, wskazując półki, na których leżały otwarte woluminy Pitagorasa, Salomona i Hermesa, pośród innych wiekowych dzieł na wiekowym stosie. - Wreszcie wyjaśniłem, z czego się składa uwielbiana przez Filipa z Macedonii *maati*.

- Ojcze, zostaw swe księgi! Chodźmy razem coś zjeść u Truny, tak jak dawniej.

Wyglądasz mizernie. Zawołam dla ciebie powóz z placu. - Gdy oparł się o stół przy oknie, z przykrością zauważyłem, jaki był chudy. Potrzebował mięsa.

- Czy ty mnie słuchasz? *Maati* to nie byle jaki smakołyk. Jest wyjątkowy. W Atenach pojawił się po raz pierwszy za czasów Imperium Macedońskiego. Poza tym, nie stać cię na powóz. Na pewno pamiętasz, że Filipa zamordowano podczas uczyty weselnej. W pewnym traktacie odkryłem wzmiankę, według której *maati* była ulubioną po trawą Tesalończyków. A wiesz przecież, że mieszkańców Tesalii uważano za najwspanialszy z greckich ludów.

- Pewnie poszedłbyś ze mną do Truny, gdyby ci tam podano *maati*.

- Czy ty mnie słuchasz? Potrafisz myśleć tylko o jedzeniu! Dzisiejszego dnia

wzbogaciłem naszą wiedzę, a ty chcesz jeść u Truny. Z Caylusa też nie ma pożytku. Nie zawsze będziecie młodzi! Nie zawsze będziecie chcieli jadać u Truny. - Wyglądał na zagniewanego. Gdy brzegiem kaftana wycierał czoło, trzęsły mu się dłonie. Na chwilę mocno zacisnął powieki, tak jakby coś go zabolalo.

- Często mnie nie stać na posiłek u Truny.

Zauważyłem bladość jego skóry. Błyszczała. Ominąłem sterty tomów i podszedłem do ojca. Położyłem mu dłoń na ramieniu.

- Powinieneś się napić wina, ojczcie. Usiądź. Pozwól, że zadzwonię po gospodynię.

Później sprowadzę Katie.

- Nie, nie. Nie zamierzam przeszkadzać dobrej kobiecie. Ma dość zajęć. Nie kłopotz też Katie. A zatem cały ranek przepracowałeś, ha? I co osiągnąłeś? - Trzęsącą się dłonią odgarnął włosy z czoła.

- Jestem pewien, że Katie też jest zajęta.

- Już wcześniej chciałem cię zawiadomić, że siostra de Lambanta, Smarana, za niecały miesiąc wychodzi za mąż i mamy wystawić komedię dla urozmaicenia uroczystości

weselnych. Gram w niej główną postać, Albrizziego. I właśnie dziś rano, po wielu dniach poszukiwań, odkryłem...

- U Truny? Dlaczego tak nagle o nim wspominasz? Stary Truna już od roku nie żyje, a tawerna sprzedana. Od razu widać, jak często odwiedzasz swego ojca. Papłasz o grze w komediach, a Truna już sporo czasu wśród historycznych postaci się obraca!

- Ojczcie, Filipa Macedońskiego zamordowano, a mimo to ludzie wciąż się żenią.

Chodź ze mną na spacer. Naciesz się towarzystwem ludzi, jak robiłeś to dawniej - może zaczniesz myśleć o weselszych sprawach.

- Wciąż jeszcze grają *Albrizziego*? Na kości Desporta, ta farsa była stara już czterdzieści lat temu, gdy widziałem ją po raz pierwszy! Cóż rozweseli nas bardziej niż *maati*? W tamtych czasach mieli dobrych aktorów. Dlaczego sądzisz, że chciałbym wyjść na ulicę? Wszyscy mnie będą potrącać, a tak mi dokuczają kamienie.

Podszedłem do przesłoniętego okiennicami okna i wyjrzałem na wewnętrzny

dzieliniec, na którym rzeźbiony Tryton nie tryskał już strumieniem fontanny z konchy.

Rzeczywiście wiele się zmieniło od śmierci matki. Dawniej wśród rabat lawendy przechadzały się pawie.

- Zamierzamy do sztuki wprowadzić współczesny wątek, ojczcie. Na pewno to samo

robiono w czasach twojej młodości. Jeśli nie chcesz iść do tawerny, ani przejść się ulicą, wyjdź przynajmniej do ogrodu. Powietrze w tej komnacie jest takie ciężkie.

- Nie, nie, tu powietrze jest czyste, to ci gwarantuję. Na zewnątrz czają się rozmaite choroby. Teraz już nie pozwalam nawet, aby Beppolo tu wchodził, z obawy, że zakazi to miejsce. Kiedy się człowiek starzeje, musi o siebie dbać. Nikt tego za niego nie zrobi.

- Słyszałeś ojczcie, że siostra de Lambanta ma poślubić dżentelmena z Yamonal?

Pochodzi on z wojskowego rodu Orinich.

- Beppolo mówi, że studnia wyschła. Nigdy nie słyszałem o żadnych Orinich. Jeśli nie kłamie, stało się to po raz pierwszy. Za życia twojej matki, mieliśmy wody w bród. Wszystko idzie ku gorszemu. Kim są ci Orini, chciałbym wiedzieć! To pewnie jacyś bankierzy, albo im podobni.

- Studnia często wysycha o tej porze roku. Wychodząc zajrzę tam.

- Już idziesz? Nie powiedziałaś mi jeszcze, czym się ostatnio zajmowałaś. No ale rozumiem, że nic cię tu nie trzyma.

Podszedł do zniszczonego, skórzanego fotela i usiadł w nim.

- Tak, tak, widziałem *Albrizziego* jeszcze jako student. Nie ma w tej sztuce głębi, o ile pamiętam. I do niej potrzebowałaś koszuli? Pracowałaś dziś rano, ha? Nad czym to pracowałaś, chciałbym wiedzieć. Dlaczego nie zostaniesz prawdziwym aktorem

dramatycznym?

Ruszyłem ku drzwiom.

- W obecnych czasach nikt nie chce tragedii, ojcze. Na pewno się zgodzisz, że mamy wiek dekadencji.

- Powinieneś grać w tragediach. Skoro tragedie obecne są w życiu, potrzeba też ich na scenie. Widzisz, gospodyni nie zawsze przychodzi na dźwięk dzwonka - tak to już dziś jest z gospodyniami. Aktorzy powinni oddawać hołd naturze, a nie pławić się w trywialności. Do czego zmierza ten świat...

- Świat zawsze zmierza w tym samym kierunku, ojcze. W Malacji dba o to Najwyższa Rada.

- Nie wiem, czy zawsze. Mamy powody wierzyć, że na świecie już wcześniej zaszły zmiany, dramatyczne zmiany. I ponownie do nich dojdzie. Jak to, nikt nie chce tragedii? W

czasach mojej młodości... Posłuchaj, w mojej wspaniałej *Rozprawie o rozprawach* właśnie dotarłem do rozprawy o pochodzeniu współczesnego świata.

Mój czcigodny ojciec po raz kolejny przypominał - a raczej potknął się o - temat pracy swego życia. Było to poważne studium absolutnie wszystkiego. Najprostszy faktami zajmował się tak długo, dopóki nie rozbił ich na najmniejsze części. Dlatego jeszcze w dzieciństwie stwierdziłem, że scena jest jedynym rzeczywistym światem.

Przesadnym gestem puściłem klamkę drzwi, zadowolony, że mogę okazać

zrezygnowanie w tak naturalny sposób.

- Skoro dotarłeś już do początków świata, twoje dzieło musi być bliskie ukończenia.

- Jak to? Przecież musisz wiedzieć - bo sprawa ta wiadoma była już Aleksandrowi - że według magicznych opowieści w prehistorycznym świecie istniało wiele konkurujących ze sobą rodzajów ludzkich. Znamy co najmniej trzy: *homo simius*, człowiek antropoidalny oraz *homo saurus*, czyli my. Plus inne jeszcze odmiany tu i tam, ale one nie odegrały większej roli na ziemi. Przejdźmy do rzeczy, *homo saurus* jest, poza wszelką wątpliwością, najstarszą gałęzią mającą swe korzenie we wczesnej Erze Wtórnegó Życia, natomiast *simii* i antropoidalni są od nas o wiele milionów lat młodszy. Co więcej, przedstawiciele naszego rodzaju byli z początku zimnokrwiszczy, stworzeni na podobieństwo Księcia Ciemności...

- Ojczy, te stare bzdury nie...

- Na podobieństwo Księcia Ciemności... Wy, młodzi wałkonie, za nic macie naukę! W

czasach mojej młodości nie tak to było... Ale nie o tym chciałem... stare bzdury, a jakże! Nasi uczeni w swoich deliberacjach wyraźnie stwierdzili, że nasz świat jest tylko jednym z alchemicznie prawdopodobnych światów. Niewykluczone, że winnych przypuszczalnie istniejących światach *homo saurus* zupełnie wyginął - być może stało się to w wielkiej bitwie pod Itssobeshiauetzilaha, ponad trzy miliony tysiąc i siedemset lat temu. W wyniku tego powstałby koszmarny świat, w którym przewagę zdobyłby jeden z pozostałych rodzajów ludzkich, a Malacja nigdy by nie powstała...

Przewaga! - pomyślałem. - Tutaj, we własnym domu, nigdy nie byłem bliski nawet równości.

Postanowiłem zakończyć odwiedzinę u ojca. Wyszedłem z komnaty i ruszyłem

mrocznym korytarzem. Z drewnianych paneli sączył się zapach przypominający woń żywicy.

Sprawił, że cofnąłem się w czasie do lat, gdy byłem zupełnie zależny od łaski i dobrego humoru innych. Przyspieszyłem kroku.

Gdy przemierzałem dziedziniec, z pustych stajni wyszedł przygarbiony Beppolo.

Pospieszył za mną do bramy, wyciągając ku mnie prawą dłoń w zebrzącym geście.

- Twój czcigodny ojciec w dobrym jest dziś humorze, paniczu Perry! Nic dziwnego, skoro tak mu się powiodło. Mówił mi, że odkrył kim jest Filip Macedoński! Co za korzyść!

- Gdzie jest gospodyni?

- Jak to, paniczu, nie ma jej w domu? Nie? Więc może wyszła. Niewiele ma tu do roboty. Jeśli w domu jej nie ma, musiała wyjść.

- Domyślam się, że gdyby nie wyszła, wciąż byłaby w domu, tak?

- Chyba masz rację, paniczu Perry.

- Powiedz jej więc, że wrócę tu jutro. Chcę zastać sprzątnięty dom i porządny posiłek dla ojca. W przeciwnym razie będą problemy. Zrozumiano?

- Każde słowo, paniczku, tak jak tutaj stoję w starych, połatanych bryczesach. - Ukłonił

się i pociągnął skrzydło bramy otwierając ją. Rzuciłem mu cekina. Gdy ruszyłem ulicą usłyszałem za sobą jęk zamykanej bramy i trzask zamka. Ojciec mógł bezpiecznie wrócić do swych badań.

Dzwony St Marco obwieściły pierwszą po południu. Pod murem zgraja obdartych

urwisów dokuczała kurczowężowi. Małe, czerwono-żółte stworzenie stało pod ścianą machając obronnie rękami i szczekając jak pies - nauczyło się tego od miejscowych kundli.

Wiele mniejszych prazwierząt przybywając do miasta z głuszy, zaprzyjaźniło się z psimi mieszkańcami Malacji. Najczęściej widywało się kurczowężę i szarpaki, które doskonale potrafiły się wspinać. Rozgoniłem dzieciaki.

Minąłem tawernę Truny i ruszyłem na poszukiwania tańszej gospody.

Piwnicę Małych Złotników wbudowano w ruiny starego łuku triumfalnego. Zająłem

miejsce na zewnątrz. Przyniesiono mi wino i mięso. Nie rozmawiałem z nikim, choć przy sąsiednim stole zasiadła wesoła kompania. Bez przerwy śpiewali i głośno bekali. Właśnie miałem wychodzić, gdy jeden z nich pochylił się ku mnie i pociągnął mnie za rękaw.

- Musisz wyznawać surową filozofię, kawalerze, skoro zachowujesz tak poważną minę przy winie!

Spojrzałem na niego.

- Nie mylisz się, sir. Traktuję przyjemności jak poważną pracę.

- Czyżbyś nie słyszał, że Tvrtko wraz z armią opuszczają Malację? Zaraza za bardzo przerzedziła jego szeregi. To chyba warto uczyć.

Zatarłem ręce z zachwyty.

- A zatem plan Bengtsohna się powiódł!

W porywie euforii powiedziałem kompanii, kim jestem. Wszyscy widzieli, jak

szybowałem ponad Bucintoro. Wszyscy chcieli postawić mi wino. Odmówiłem im jednak, nękany myślami o Armidzie, Bedalarze i ojcu. Tym razem wolałem się trzymać z dala od ogólnej wesołości.

Ruszyłem ulicą i za chwilę śmiechy kompanii ucichły. Zaraz jednak napotkałem

kolejne tawerny i więcej głosów. W drzwiach jednej z nich stała kobieta śpiewając słodko.

Miała czarną skórę i ciemnoczerwone usta. Skręciłem w kierunku mieszkania Caylusa.

Miałem nadzieję, że zastanę tam Bedalare...

W łuku przejścia prowadzącego do jego domu stała odziana w *czern* starucha sprzedając papierowe amulety w kształcie małych ptaszków, *tarcz*, kwiatów, buglewingów, łodzi i zwierząt. Bibuła szeleściła w przeciągu. Za wiedźmą tlił się magiczny ogień; wstęgi dymu snuły się ponad pieszczelami i kośćmi kury. Pod wpływem impulsu, zanim wszedłem na szerokie schody, kupiłem papierową tarczę.

Caylus nie odpowiedział na moje stukanie.

Pchnąłem drzwi do niego, zły, że go nie zastałem po tym, co mówił rano.

Potrzebowałem towarzystwa.

W jego komnatach było cicho. Czulem, że tę, w której się znalazłem opuszczono

zaledwie przed chwilą. Powietrze jeszcze drżało, coś zakłóciło spokój złotych plamek światła tańczących między oknem a dywanem. Słońce malowało wzór na podłodze przy kanapie Caylusa. W powietrzu pozostał ledwie wyczuwalny, lecz wspaniały zapach. Zamyśliłem się.

Znieruchomiałem, jak cała komnata. Znałem ten zapach.

Wypowiedziałem na głos imię Caylusa. Stałem pośrodku nakrapianego złoto pokoju.

Przez otwarte drzwi docierały do mnie odległe odgłosy ulicy. Rozejrzałem się wokół, zafascynowany kwiatami i świeżą jeszcze wonią namiętności. Bedalara...

Obiegnąłem wzrokiem kilka książek Caylusa, jego liczne ryciny przedstawiające sceny sportowe, jego ołtarz, stół z karafką i dwoma pustymi kielichami, kolekcję paproci, florety, wodny zegar i łoże przykryte wymiętym jedwabiem. Na kapie leżał bursztynowy przedmiot nie większy od skrzydła motyla.

Wyobraźnia płatała mi chyba figle, bowiem widok tej małej rzeczy sprawił, że prócz zapachu miłości wyczułem w komnacie słabą woń mięty.

Rozpoznałem ten przedmiot jeszcze zanim go podniosłem. W pasach światła

przeciskającego się przez żaluzje, błysnął szylkret. Dwa małe rogi sterczały ku górze, jak oczy na słupkach u ślimaka. Była to fantazyjna kostka do gry. Zamknąłem ją w dłoni.

Caylus miał tego ranka lepsze zajęcie niż ja! Przysunąłem sobie krzesło do stołu i położyłem kostkę na blacie. Wziąłem pióro i atrament, i skomponowałem ironiczny czterowiersz, który miał tu czekać, aż Caylus wróci, sam lub z towarzyszką. Wsunąłem papier pod kostkę.

Caylusie! Tym, którym nie w smak wiek dysonansu

Brak zdobyczy harmonią jej dorównujących –

I choć jej mandolina spoczywa milcząca

Ona dzikszą się syci Muzyką romansu.

W drzwiach odwróciłem się, aby raz jeszcze spojrzeć na pustą komnatę, którą słońce uwięziło wśród cieni. Powoli zszedłem po schodach. Stara wiedźma nadal stała w bramie przy tłącym się ogniu. Zwróciłem jej papierową tarczę.

Niepocieszony ruszyłem do krawca Kemperera.

W wejściu pobliskiej pasmanterii stała nastroszona starsza matrona. Oglądała pod światło koronkę. Jakaś postać stojąca za nią zawołała mnie po imieniu.

Próbowałem dostrzec, kto krył się w głębi sklepu, lecz w tej samej chwili ulicą przejechał konny, krzycząc, że osmańska armia zarządziła, odwrót przez południowo-zachodnie mokradła. Kawaleria Tuscadii deptała wrogowi po piętach, zmuszając do szybszego marszu. Moce Światła i Ciemności raz jeszcze ocaliły Malację, w sobie tylko wiadomym celu.

Podniesiony na duchu tak radosną wieścią, wszedłem do sklepu. Ujrzałem tam

Bedalarę w eleganckiej sukni spacerowej i pasującą do stroju fryzurą. Wyglądała przepięknie, lecz to jej zachwyty na mój widok, sprawił, że wydała mi się jeszcze bardziej interesująca.

Przedstawiła mi starszą damę, która okazała się jej opiekunką. Miała na imię Jethona. I tu stała się rzecz odwrotna; niezadowolone, z jakim spojrzała na mnie matrona, obudziło we mnie tym większą niechęć do niej.

- Właśnie wybrałyśmy się w odwiedziny do mego brata, ale zatrzymały nas

poszukiwania pięknej koronki.

- Ta jest na pewno flandryjska - powiedziała opiekunka.

- Pewnie dopiero ją stamtąd przywieźli, zważywszy, jak długo jej szukałyśmy -

odparła Bedalara.

- Zachowuje się panienska impertynencko.

- Przy tej ulicy jest jeszcze wiele innych sklepów - stwierdziła Bedalara, po kryjomu dając mi desperackie znaki.

- Koronka pięknie ozdabia dojrzałą pierś - powiedziałem gładząc się po brodzie. - Tak się akurat składa, panno Bedalaro, że wracam od pani brata. Niechętnie go opuściłem, ponieważ gościł u siebie znakomite towarzystwo. Pilne sprawy wzywają mnie do ojca.

Chętnie jednak odprowadzę pannę do Caylusa, aby ulżyć pani opiekunce w obowiązkach.

Potem, niestety, będę się musiał natychmiast się oddać, ale brat zaopiekuje się panią do powrotu Jethony.

Mrugnęła ledwo dostrzegalnie.

- Może nie powinnam pytać - powiedziała ze szczerą miną - ale co to za znakomite towarzystwo u mego brata?

- Tylko kapłan i kilku poważnych uczonych.

- W takim razie wolę już zostać z Jethona i służyć jej poradą.

- Dziękuję, ale doskonale dam sobie radę bez twych uwag - odezwała się matrona -

Jeśli udasz się wprost do domu brata wraz z tym dżentelmenem, dołączę do ciebie za pięć minut.

Odwróciła się do mnie.

- A ty masz ją odprowadzić prosto do jej brata. Ilu jest tam duchownych?

- Tylko jeden, ale za to bardzo wymizerowany. Szczerze zapewniając, że nie

zamierzam spuszczać Bedalary z oczu, chwyciłem ramię dziewczyny i wyprowadziłem ją ze sklepu. Jethona, trzymając w ręku koronkę, odprowadziła nas wzrokiem do rogu ulicy. Po minucie minęliśmy bramę, wspięliśmy się po schodach i znaleźliśmy się w pachnącej komnacie. Padliśmy sobie w objęcia. Wszystko stało się w jednej chwili.

- Myślałam, że umrę z nudów - powiedziała. - Ta stara wrona nawet przy koronkach mówi o religii.

- Jesteś blada, kochana Bedalaro. Połóż się może na sofie, a ja zbadam ci puls.

- Mój puls?

-I nie tylko, ponieważ sędzę, że przydałoby się bardziej gruntowne badanie.

- Perianie, a twoje potajemne zaręczyny z Armidą...

- Cii, to tajemnica! - Zamknąłem jej usta moimi. Otoczyła ramionami moją szyję więżąc mnie w objęciach. Ułożyłem się na sofie obok niej. Widząc, jaką pozycję przyjęła, domyśliłem jej dyspozycji.

Stało się. Wśród pocałunków, moja ciekawa dłoń napotkała gorące powitanie.

Wkrótce przestały do nas docierać zapachy świata wokół. Zagubiliśmy się we wspólnej grze.

Przyjęła mnie chętnie. Widząc jej gotowość, poczułem w ciele wibracje. Bez namysłu ofiarowała mi więcej niż Armida.

Wreszcie zastygliśmy - ona z głową na moim ramieniu - uśmiechając się do siebie.

- Perianie, kim ty naprawdę jesteś? Udajesz bywałego światowca z fantazją, ale wierzę, że za twoją maską kryje się coś więcej.

- Gram wiele ról. Wszystkie są we mnie.

- Ale mnie chodzi o czas, kiedy nie grasz. O ciebie prawdziwego. Czuje się tak wspaniale. Odrobina grzesznej radości... Nie mogłam nie skorzystać z takiej okazji, podobnie jak ty. W tej sferze mężczyźni i kobiety nie różnią się od siebie. Teraz jednak, gdy jesteś mi bliższy, zastanawiam się, czy nie powinniśmy się byli powstrzymać ze względu na Armide.

Jest moją przyjaciółką i czuję się, jakbym ją zdradziła.

- Nie musimy nic mówić Armidzie. Jeśli się nie dowie, nie poczuje się skrzywdzona.

Miłość do ciebie w niczym nie zmienia uczucia, jakim ją darzę. - Usiadłem na łóżku.

Katechizm nigdy nie był moim ulubionym zajęciem.

Bedalara jednak nie dawała za wygraną. Usiadła przy mnie.

- Będziemy się czuli skrępowani, gdy ją znowu spotkamy. Jestem taka głupia, nic nie rozumiem. A co z Guyem? Twierdzi, że mnie kocha. Nie powinnam zakradać się tu z tobą.

Straciłam honor!

- To tylko pół godziny przyjemności, Bedalaro. Nie rób z tego tragedii. Guy także się nie dowie, jeśli mu nie powiesz.

- Widzisz, znowu powtarzasz, by nic im nie mówić. To znaczy, że źle postąpiliśmy, nie mam racji? Nie zrozum mnie opacznie, Perianie, uwielbiam taki rodzaj miłości, ale nienawidzę tajemnic, nienawidzę poczucia winy. Ty nie czujesz się winny?

- Przestań, cudowna kochanko, żyjemy przecież w wieku dekadencji! - Próbowała

spojrzeć mi w oczy, ale ja zająłem się badaniem językiem jej sutka.

- A widzisz? Kochasz się ze mną, ale zamykasz przede mną swoje myśli. To nie jest prawdziwa miłość... A może jeszcze się nie nauczyłeś otwierać przed innymi - nawet przed Guyem - więc nikt nie wie, jaki naprawdę jesteś... Och, jakie to wspaniałe - teraz drugi...

Perry, mój kochany... Czy ty sam wiesz, kim jesteś?

- Na kości, kobieto, zamilknij i ciesz się chwilą! Opadła w tył, na wpół przymykając powieki. Jej bujne ciało otworzyło się przede mną.

- Po tamtej nocy na wzgórzu... myśl o tym, że jesteś tak blisko... słyszałam ciebie i Armidę... chciałam cię zobaczyć nagiego... I pragnęłam się przekonać, jaki jesteś naprawdę...

Nagi pod twymi gładkimi słowami.

Wybuchłem śmiechem, skoczyłem na nogi i tanecznym krokiem obiegłem komnatę

Caylusa, aby po chwili wspiąć się na miękki brzuch Bedalary. Lekko uderzyłem ją po biodrze.

- Bardzo proszę - widziałaś mnie nagiego. Nie mam się czego wstydzić. Przestań więc niemądrze gadać i patrz, jak znowu biorę się do dzieła. Turcy mogą się cofać, lecz ja jestem gotowy do kolejnego szturmu.

Z nagłym ożywieniem ucałowała moją chorągiew.

- Dziś jesteś bohaterem. Pomogłeś przepędzić Turków Osmańskich...

- Zawsze jestem bohaterem. Wkrótce, gdy zagram Albrizziego, stanę się podwójnym bohaterem.

- Nie, Perianie, wiesz dobrze, co miałam na myśli. Nie chodzi mi tylko o grę, ale o to, że wzniosłeś się w powietrze na tamym rumaku, pokonałeś Turków. To odważny wyczyn.

Czasami - jak stale powtarzam - bogowie i mężczyźni doskonale się rozumieją. W

chwili, gdy przebrzmiały jej słowa, od strony placu dobiegły nas fanfary. Ich dźwięk był o wiele bardziej męski, niż brzdąkanie mandoliny. Zamierzałem odpowiednio uczcić nasz triumf.

- Masz rację, śliczna Bedalaro. Fortuna ci sprzyja, możesz mnie mieć, więc nie zaprzataj sobie głowy wątpliwościami. Mamy święto, ja jestem bohaterem, więc świętujmy.

- Przecież świętujemy - powiedziała obejmując mnie mocniej.

Później napisałem jeszcze jeden czterowiersz, podobny do tego, jaki wcześniej

zostawiłem jej bratu. Rzuciłem go od niechcienia Bedalarze, tak jakbym cały dzień pisał tylko poezję.

Z wszystkich dziewcząt moich, Bedalaro,

Ty struny pragnień trącasz najmocniej

Falsz małżeństwa melodii twej obcy,

Lira twoja powinna brzmieć stale.

Brakowało mu polotu pierwszego czterowiersza, ale za to krył w sobie więcej uczucia.

Horoskop młodego żołnierza

Zaczarowana Malacja! Poza murami obronnymi, w ponurych rozpadlinach, w

splątanej zieleni lasu i niekończących się górskich łańcuchach, siły różnych rodzajów zła walczyły o dominację. Tymczasem w labiryncie krętych uliczek panował spokój.

W ostatnim dniu świątecznego tygodnia urządzono zaimprovizowane widowisko

historyczne dla uczczenia odwrotu śniadoskórego Tvrtko i jego wojsk. Traktowano mnie jak ważną osobistość. Kalendarzowe święto lotu buglewina zbiegło się także z powrotem Armidy z Juracji. Wieczorem, zanim Bengtsohn ogłosił, że następnego dnia wracamy do pracy z zahnoskopem, niespodziewanie otrzymałem zaproszenie do posiadłości Hoytolów.

Miałem odwiedzić Armidę. Być może moja rosnąca sława zmiękczyła serce jej ojca.

Stawiłem się tam następnego dnia z samego rana. Prezentowałem się dość elegancko, ale gbur przy bramie, brzydki jak jego dwa obronne psy razem wzięte, z niechęcią zmierzył

mnie wzrokiem. Pewnie tak samo powitałby Stefana Tvrtko, gdyby wódz zjawił się tu ze swym oddziałem i wielbłądzą kawalerią planując wychłostać wszystkich domowników.

Bydlak kazał mi czekać, więc dla rozrywki próbowałem sobie przypomnieć zabawne powiedzenie de Lambanta o opryskliwych odźwiernych nie wpuszczających do środka żadnych zmian.

W końcu wpuszczono mnie do pałacu i poprowadzono chłodnym korytarzem.

Wiedziałem, że Hoytolowie zwykli jeść śniadania równie obfite, jak mieszkańcy

Konstantynopola. Miałem nadzieję, że ja także zostanę zaproszony do wspólnego posiłku, ale podano mi tylko kawę i poproszono, bym zaczekał na pannę Armidę.

W holu witał gościa rząd marmurowych popiersi osadzonych na kolumnach.

Rzeźbione oblicza dżentelmenów były przeważnie srogie, tak jakby nieśmiertelność, jaka przypadła im w udziale, powodowała u nich ból głowy. Próbowałem ułożyć twarz na kształt ich masek. Z przyjemnością wszedłem do komnat Armidy. Mój żołądek wydawał jękliwe odgłosy, tak donośne, że mijające mnie osoby mogły pomyśleć, iż ukryłem pod koszulą małego pieska.

Gdy zająłem się siorbaniem kawy, w korytarzu pojawiła się służąca. Zamykając

żaluzje, raz po raz rzucała mi ukradkowe spojrzenia. Nie potrafiłem ich nie odwzajemnić.

Miała figurę stworzoną do obejmowania. Dopiero po chwili przypomniałem sobie, gdzie jestem. Zamierzałem przez małżeństwo wejść do znakomitego rodu. Jako mąż Armidy musiałem zapomnieć o schadzках ze służącymi. O spotkaniach z Bedalarą także.

Pochłonęły mnie marzenia o szczęściu. Armida i ja po ślubie, w ofiarowanym nam przez jej kochającego ojca cudownym domu z widokiem na rzekę Toi. Gorąca czekolada na śniadanie i

odwiedziny przyjaciół, którzy mieliby do nas wstęp wolny. Zatrudnilibyśmy też małą pokojówkę, pracowitą i stworzoną do pieaszot...

Moje marzenia przerwała sama Armida. Wyglądała równie cudownie, jak w mojej

wyobraźni. Miała na sobie przepiękną tunikę narzuconą na suknię, której wąskie mankiety wystawały spod szerokich rękawów wierzchniego okrycia. Na ciemną główkę włożyła mały, koronkowy czepek. Gdy szła ku mnie poprzez prostokąty słonecznego blasku poprzedzielane żaluzjami, świetliste pasy biegingy od stóp w górę jej postaci.

Zaprowadziła mnie do własnego saloniku na pierwszym piętrze, z balkonem od strony wewnętrznego dziedzińca. Na dworze było spokojnie. Rosły tam obsypane owocami niskie drzewa cytrynowe i pomarańczowe. Kilka kur grzebało w piasku. W słonecznym kącie wygrzewał się sailback. Zapytałem o niego.

- Mamymnóstwo prazwierząt. Ojciec bardzo je lubi. Na tyłach pałacu trzymamy kilka snap-hanców, dla ochrony przed szczurami. Większe okazy znajdują się w Juracji. Ojciec ma tam tyranty i inne wielkoludy.

Wzdrygnęła się nieznacznie i gestem wskazała mi miejsce na balkonie. Z ulgą stwierdziłem, że mój żołądek przestał wydawać dziwne odgłosy.

- Przebaczone mi już moje przewinienia - powiedziała Armida spoglądając z rozbawieniem ku wnętrzu komnaty, gdzie jej stara opiekunka rozmawiała ze służącą. -

Yolaria i ja cieszymy się, że mogliśmy już wrócić z Juracji. Ojciec wiele mi mówił o sportowych zawodach. Tobie też się podobały?

- Przesiedziałem w arenie całe popołudnie.

- I widziałeś walki byków?

- Byków? O nie, miałem już dość.

- Caylus wystąpił jako torreador. Dlaczego nie zostałeś go zobaczyć?

- Pomyślałem, że powinienem przygotować się do roli. Będę miał sporo zajęcia.

Kemperer chce w nadchodzącym sezonie wystawić dwie nowe sztuki, a prócz tego musimy dokończyć powieść Ottona. Chętnie wrócę do pracy nad nią, a ty Armido?

- Widziałeś ostatnio Bedalarę?

Na małym stoliku przy Armidzie leżał srebrny dzwonek. Na drążku przy balustradzie siedziały dwa reptopiny na łańcuchach. Ich łuskowate ciała błyszczały błękitem i czerwienią.

Odwróciłem się i pogłaskałem jednego z nich. Powoli otworzył pierzasty wachlarz wzdłuż kręgosłupa. Nastroszone pióra zdrząły. Przez Armidę ja także czułem się tak, jakbym siedział na nagiej gałęzi i nie mógł z niej zejść.

- Bedalarę? Sądziłem, że ma czas tylko dla Guya. On szaleje na jej punkcie i nie zostawia jej ani na chwilę. Ona nazywa tego idiotę przystojnym chłopcem i nie wiem czym jeszcze. Tak słyszałem.

- Jest dość przystojny, nie sądzisz? - Odwróciłem się do niej, aby sprawdzić czy się ze mną nie droczy, ale z jej twarzy nic nie wyczytałem. Patrzyła w dół na srebrny dzwonek obracając go w dłoniach.

- Przystojny, ale niedbały. Wprawdzie po jakimś czasie można się przyzwyczaić do jego wyglądu... Ty za to jesteś taka piękna, Armido. Kiedy idziesz brzegiem Toi, z wody wyskakują ryby, żeby na ciebie popatrzeć. Spojrzała na mnie poważnie.

- Sądzisz, że Guy i Bedalara pasują do siebie? Mam na myśli sprawy małżeńskie.

- Nigdy się nad tym nie zastanawiałem. Ty i Yolaria na pewno wiecie o takich sprawach dużo więcej niż ja.

Temat już ją nudził, choć wypytywała mnie zaledwie przez chwilę. Uważałem to za zaletę dobrze wychowanych dziewcząt: szybko męczyły je podobne kwestie.

- Jak sam widzisz, już mi wybaczone. Mogłam nawet ciebie tu zaprosić. Ojciec

Bedalary nie pozwala jej zamienić słowa z Guyem. Ty jednak stałeś się znanym bohaterem i mój papa postanowił okazać ci uznanie. Czy to nie miłe z jego strony?

- Oczywiście! Miłe, wspaniałe, fantastyczne! - Nigdzie w pobliżu nie widziałem Yolarii. Błyskawicznie dopadłem do Armidy, objąłem ją i pocałowałem w usta.

- Moja kochana, jestem bohaterem, a ty zostaniesz moją żoną. Będę ci wierny i tylko w tobie zakochany.

Odepchnęła mnie rozglądając się niespokojnie. Reptopiny zaczęły podskakiwać na drążku.

- Powstrzymaj się! Jeszcze wiele przeszkód stoi na drodze do naszego małżeństwa.

Jak zamierzasz zarabiać na moje utrzymanie? Mówiłeś, że ojciec twój jest biedny, a do tego stary i gderliwy, zatem...

- Stary, tak i gderliwy również, ale nie taki biedny...

- Możemy zostać mężem i żoną tylko, jeśli moja rodzina zaakceptuje cię na tyle, aby wspierać nas oboje. Muszę ci zdradzić, że ojciec mój ma wobec mnie pewne plany. Nie mogę wyjawić imienia szlachetnie urodzonego, młodego człowieka, którego przeznaczył mi na męża, bo stałbyś się

zazdrosny i...

- Jakiego szlachetnie urodzonego człowieka? Już czuję szaleńczą zazdrość. Powiedz mi, kto to taki?

Wstała i patrząc na mnie chłodno podniosła dzwonek, jakby zamierzała kogoś wezwać.

- Proszę, nie rób scen. Możesz być pewien, że zamierzam poślubić mężczyznę,

którego sama wybiorę, a nie tego, którego wskaże mi ojciec. Jeśli chcesz zyskać w moich oczach, pozostań bohaterem i nie obnoś się z tym zbytnio. Mój ojciec polecił ci przekazać, że urządza polowanie na prazwierzę w naszej wiejskiej posiadłości. Ma się ono odbyć za tydzień, podczas pełni. Jesteś zaproszony.

- Polowanie na prazwierzę! Twój ojciec...

- Raz w roku zmuszeni jesteśmy dokonać odstrzału większych okazów dawnej

zwierzyny. Zaproszenie cię - dzięki niewielkim wpływom mojej siostry i moim - jest dowodem ograniczonej aprobaty mego ojca. Będzie on obserwował twoje zachowanie.

- Polowanie na prazwierzę! Wspaniale! Zawsze marzyłem o pogoni za wiklińcami i kaczodziobami, że nie wspomnę o trundlach. Wynajmę konia, najlepszego...

- Drogi Perianie, najlepsze konie nigdy nie są do wynajęcia. To wyjątkowa

okoliczność. Poradź się kogoś. Jeśli chcesz się w ogóle liczyć, całość musi mieć styl.

- Wiesz przecież, że wszystko robię z klasą.

- W takim razie, żadnych wynajętych szkap, bardzo cię proszę. Podczas łowów - na które zaproszonych zostanie wielu szlachetnie urodzonych - ścigać będziecie bestie o wiele groźniejszą od kaczodzioba. Przecież w Juracji kaczodzioby i wiklińce zastępują nam rumaki.

Drażnił mnie jej protekcyjny ton. Siedziała sztywno w fotelu, tak jakby pozowała do portretu na tle repto-pinów, które, ku uciesze swej pani, rozpostarły dwunastopalczyste wachlarze na grzbietach.

- Wiesz Armido, że nigdy nie byłem w Juracji, więc powiedz mi, z łaski swojej, na co polują tam szlachetnie i mniej szlachetnie urodzeni. Może na walirogi?

Machnęła dłonią.

- Powolne walirogi z pofałdowanymi czaszkami są niezwykle nudne i niewiele

dostarczają rozrywki. Jadąc do Juracji szykuj się na spotkanie z królami drapieżców, z dwoma wspaniałymi gatunkami prazwierząt - tyrantami-grewami i diabloszczękami. Diabloszczęki

zamieszkują puszcze, nie znajdziesz ich na łąkach. Łowy trwają trzy dni. Są też uczyty, ale przede wszystkim jest to wielki sprawdzian męstwa. - W jej oczach zauważyłem złośliwy błysk satysfakcji.

- A jaki test przechodzą kobiety?

- Damy nie polują na prazwiera.

Na balkon wyszła Yolaria przynosząc kosz moreli. Raczyła się do mnie uśmiechnąć.

- Owoce już dojrzewają, de Chirolo. Przepraszam, panno Armido, ale powóz czeka.

Czas na poranną przejażdżkę.

Zanim wyszedłem, Armida lekko ścisnęła moją dłoń. Na dziedzińcu sailback nastawił zawiadaczko płetwę grzbietową, ale nie ruszył się ze swego słonecznego kąta.

Wyszedłem na ulicę i bez zastanowienia ruszyłem do Kemperera.

Armida mnie kochała. Planowała mnie poślubić. Czy mogłem się mylić? Teraz

wystarczyło jedynie pokonać ośmiometrowego diabloszczeka, lub innego olbrzyma. Obym miał rację.

Serce drżało mi na samą myśl o tym. Zastanawiałem się, czy potrafię tak wiele zrobić dla miłości. Prawdę mówiąc, pytałem siebie, czy byłem równy Armidzie i Hoytolom. Być może gdzieś w Malacji, jakiś szlachetnie urodzony, młody człowiek zadawał sobie to samo pytanie. Kto to taki? Jedno wiedziałem na pewno: jako mięsożerca mogłem go sobie przyrzadzić na następny posiłek.

Musiałem się pilnować. Przede wszystkim, nie mogłem już flirtować z Bedalarą. Jeśli miałem dowieść siły charakteru, musiałem być czysty. Albo przynajmniej czystszy. Z

powodu przygody z dziewczyną de Lambanta odczuwałem niewielkie wyrzuty sumienia. Ale wszystko stało się przypadkiem. Okoliczności wymknęły mi się spod kontroli. Przyznam, że nie bez znaczenia była moja żądza. Poza sceną nie powinienem grać roli zdrajcy Generała Geralda; wolałem szlachetność Księcia Mendiculi, bo tylko dzięki niej mogłem zdobyć moją księżniczkę. Od tej chwili zaczynało się moje nowe życie.

Być może nie chciałem na zawsze pozostać aktorem.

Potrzebowałem rady. I pieniędzy, aby przygotować się do polowania. Został mi

jeszcze tydzień. Pomyślałem, że horoskop u Seemleya Moleskina podpowie mi, co powinienem zrobić.

Pradawne zwierzęta przemierzały już dżungle mojej wyobraźni.

Po drodze minąłem Plac Ruppo. W cieniu ruin łuku triumfalnego, reliktu

upamiętniającego jakieś zapomniane zwycięstwo, siedział astrolog. Zawsze widywałem go w tym samym miejscu, gdy szedłem do teatru okrężną drogą, aby uniknąć wierzycieli.

Astrologowie i magowie gnieździli się we wszystkich zakamarkach Malacji jak pająki.

Ten różnił się od innych, ponieważ był młody, gruby i wesoły, a ludzie jego profesji rzadko posiadali te cechy. Siedział na krześle ustawionym na nierównym podeście zasłoniętym dywanem o orientalnym wzorze. Zanim leżały magiczne księgi, z których jedną napisał on sam. Nosiła tytuł *Pochodzenie człowieka i* dowodziła, że nasz rodzaj pochodził od kozłów i ich przodków. Astrolog nazywał się Phillibus Parterre.

Właśnie miał klientkę. Wpatrywał się w coś ponad jej głową z miną, która świadczyła, że był w dobrej komitywie ze swoimi kozimi bogami.

W najwyższym punkcie starego łuku, kamienie z grzywą paproci wpuszczały promień słońca, który oświetlał oboje. Blask sprawiał, że włosy dziewczyny stojącej przed Parterrem zdawały się płonąć. Może celowo stanęła w kręgu światła. Złota aura odbijała się w twarzy astrologa i rozjaśniała bukiet kwiatów wpięty w kok panny. Rozpoznałem jej loki i pełną, kobiecą figurę. Promień padał na najjaśniejszą gwiazdę malacjańskich scen. Przed Parterrem stała czarująca La Singla.

Jej posłuchanie właśnie dobiegało końca. Podziękowała astrologowi wdzięcznym i doskonale wyćwiczonym ukłonem. W chwili, gdy zamierzała się obrócić, podkradłem się do niej z tyłu, objąłem w tali i pocałowałem w aksamitny policzek.

- Och, Perianie, myślałam, że to jakiś nicpoń. Na niebiososa, nie całuj mnie na oczach wszystkich!

- Wreszcie wróciłaś z Yamonal. Zbyt długo się nie widzieliśmy...

- Módl się więc, abyśmy się nie oglądali jeszcze przez jakiś czas! - Odepchnęła mnie z na wpół poważną miną. - Proszę, nie dotykaj mnie. Mój mąż i tak już szaleje z zazdrości.

- Zazdrość, zazdrość, wszyscy stają się zazdrośni, choć każdemu chodzi o to samo.

Dlaczego nie zacznę żyć i innym na to nie pozwolą? Przypuśćmy, że kochałbym się z tobą, wyłącznie aby dać wyraz admiracji dla twojej urody, a po pół godzinie to samo zrobiłby twój mąż. Czy ma przez to mniejszą przyjemność?

Spojrzała na mnie zła.

- Miłość nie jest wyłącznie cielesną sprawą. Czyżbyś nie słyszał o innego rodzaju doznaniach? Ty nic nie czujesz! Nigdy nie cierpiełaś z zazdrości, upokorzenia lub żalu?

Wiem, uważasz, że Pozzi jest stary, ale wiedz, że za każdym razem, gdy dotyka innej kobiety lub nawet tylko zerka na nią czule, jestem zazdrosna. Dlatego rozumiem jego zazdrość o mnie, choć czasem nie mogę przez nią oddychać.

Idąc przy niej chwyciłem ją za rękę, ale cofnęła ją.

- Nie słuchasz tego, co do ciebie mówię. Musisz dorosnąć, Perianie.

- Chodź ze mną, kochana. Wiesz, że twój mąż mi ufa.

- Szkoda tylko, że nie ufa mnie. Pozzi jest starym lisem, który z daleka wietrzy oszustwo nawet tam, gdzie go nie ma. Mówi, że na swoje nieszczęście jestem zbyt ładna, co chyba jest prawdą.

- Musisz jakoś radzić sobie z tym ciężarem, słodka Singlo - powiedziałem wybuchając śmiechem.

- Nie masz pojęcia, jakie skomplikowane potrafi być życie.

- W Yamonal stałaś się kapryśna. Ja potrafię się cieszyć, choć życie nie szczędzi mi trudności.

Nie było tajemnicą, że La Singla i Kemperer we wszystkim radzili się astrologa, który mieszkał niemal naprzeciw ich domu. Przypominał kudłacza o żabiej twarzy. Czy radziłaby się innego wróżbity, gdyby nie zależało jej na dyskrecji? Odpowiedź znalazłem w jej słowach. Mąż jej nie ufał i miał powód. Jego piękna małżonka właśnie mu go dała. Miała nowego kochanka. Który z aktorów nim został? Na pewno nie de Lambant, bo z pewnością by się tym pochwalił. Nie Portinari. Może Chasseur? Zawsze cichy i spokojnie patrzący spod ciemnych brwi.

La Singla spojrzała na mnie z wyrzutem i nieznacznie zakołysała biodrami.

- Jesteś zbyt rozpustny i wolny.

- Tak się składa, moja cudowna Singlo, że mam szczerzy zamiar naprawić swój

charakter, ale to może poczekać jeszcze pół godziny. Każdy w Malacji przyzna, że jesteś piękną, której nikt nie dorówna, zwłaszcza wieczorem, na oświetlonej scenie. Nic dziwnego, że twój mąż chce być ciebie pewny. Chodź ze mną, pocałuj mnie po przyjacielsku, a ja zaświadczę twojemu Pozziem, jak bardzo jesteś mu wierna. W ten sposób uspię jego podejrzenia. Czy to ci odpowiada?

- Nie mam ochoty na zabawy, które ty uwielbiasz. Perianie. Na pewno wiesz, że

kobietom zdarza się cierpieć. Mężczyźni tacy jak ty, którym tylko się zdaje, że je kochają, pogłębiają ich cierpienie.

- Masz dziś cięty język. Przecież mogę ci pomóc w cierpieniu. Chodź ze mną, a

wyświadczymy sobie nawzajem przysługę.

Chwyciłem ją za ramię, zmuszając by się zatrzymała. Odwróciła się do mnie. Nie po raz pierwszy zwróciłem uwagę, że jej brwi wydawały się odrobinę za ciężkie, a nad górną wargą rósł złoty meszek. Nie patrzyła na mnie, lecz przeze mnie, tak jakby się zastanawiała nad moją propozycją.

- Życie jest bardzo trudne, Perianie. Proszę nie wykorzystuj mnie. Bądź moim

przyjacielem, jeśli możesz. Rzeczywiście przysłużyłbyś mi się zapewniając mistrza Kemperera o mojej wierności. W porze sjesty zamierzamy odwiedzić *Ombres Chinoises* Harino. Wybierz się tam z nami.

- Ach, słyszałem, że Wielki Harino pojawił się w mieście. Przynajmniej jest lepszy od Stefana Tvrtko.

- Pozzi obawia się, że Harino pokrzyżuje nam szyki. Dlatego chcemy się przekonać, jakie przedstawienie przygotował. Chodź z nami i przy okazji szepnij memu mężowi dobre słowo o mnie, proszę.

- Zgodzę się w zamian za to, co zwykle.

Obejmując ją w talii próbowałem wciągnąć ją w jedną z bocznych alejek. Zaskoczyła mnie mocnym uderzeniem w skroń.

- Bądź przeklęty. Po stokroć zasłużyłam już sobie na twoją pomoc. Domagasz się więcej?!

- Wybrałaś doskonałą metodę aby zdobyć moje poparcie! - Jej słowa dźwięczały mi w czaszce echem. - Przecież widzę, że jesteś w nastroju do zabawy.

- Nie, tym razem nabawiłam się już dość.

- Kim jest ten szczęśliwiec, któremu niepodzielnie poświęcasz uwagę i pozwalasz rozdzielać swe nogi?

- Muszę wracać. Czas tak szybko biegnie. Idź szybciej, ty potworze.

Przeszliśmy przez most. Stopy La Singli migają pod spódnicą, którą uniosła, aby nie pobrudzić jej błotem. Nie zdradziła mi, o czym myślała. Rozglądałem się wokół. Świat wyglądał wspaniale, a ludzie rozsądnie nie folgowali swej ciekawości, pochłonięci własnymi sprawami, biegnący dokądś, zajęci pracą albo pluciem ponad balustradą mostu - jak dwaj Murzyni zabawiający dziecko powierzone ich opiece. Wędrowiec, który za kilka denarów puszczał melodie z małego fonografu, zdjął kapelusz i ironicznie uklonił się La Singli, kiedy go mijaliśmy.

- Masz dziwnych przyjaciół - powiedziałem.

- Ten człowiek zawsze przychodzi na moje przedstawienia. Ty widzisz w nim tylko obdartusa bez grosza, ale kiedyś wyznał mi miłość w najszczerzych słowach.

- Odwzajemniłaś mu się miłością?

- Biedak, majątkiem zarządzał nie lepiej niż uczuciami. Przepuścił znaczny spadek.

Teraz nie zostało mu nic. Może tylko, jak widzisz, puszczać na ulicy *fonografo*. Powiadają także, że gustuje w młodych chłopcach. A jego czcigodni rodzice spoczywają w

marmurowym grobowcu na brzegu Kanału Savoirdi.

- Gdybym miał do wyboru *fonografo* albo marmurowy grób, wybrałbym tak, jak on.

Jego czcigodnym rodzicom przypadło nieco zatęchłe zajęcie.

Spojrzała na mnie z politowaniem.

- Nie zapominaj, że znam na pamięć wszystkie komedie, z których wskrzeszasz swoje żarty.

- Mam w to wierzyć, skoro często widywałem jak milkniesz na scenie?

- Drogi Perianie, mamy po tyle samo lat i łączy nas ten sam znak, ale ponieważ moje doświadczenia nie są tak płytkie, jak twoje, mogę udzielać ci rad. Spróbuj traktować sprawy poważniej. Zaznaj cierpienia i zrozum, że inni też cierpią.

Zbliżaliśmy się do jej domu. Zwolniłem kroku i zacząłem szybciej mówić.

- Mam się przed tobą rozpłakać, żebyś uwierzyła, że też cierpię? Jest pewna panna, która znaczy dla mnie najwięcej na świecie. Chcę być jej wierny, ale kusicielki, takie jak ty, nie ułatwiają mi tego. Mylnie bierzesz moją swobodę za powierzchowność. Jest we mnie tyle cierpienia, że sowa by się uśmieła. - Roześmiałem się i jednocześnie uderzyłem dłonią w pierś. Sam wierzyłem, że mówię prawdę.

Dom Kemperera, otoczony zapachami dzielnicy Fragrant, stał w lekkiej poświacie.

Tak wyglądały bogate ulice. Na dziedzińcu, obok połamanych powozów, warczących psów na łańcuchach i Alberta melancholijnie kiwającego się w klatce, stali interesanci. Chcieli się widzieć z Kempererem. Podwórze zawsze pełne było ludzi szukających okazji do zarobienia.

Czekającym towarzyszyli żebracy i zubożali komedianci, którzy z kolei mieli nadzieję na nich coś zarobić. Kemperer cieszył się w tym gronie ogromnym poważaniem.

Tego dnia cała zbieranina prezentowała się wyjątkowo nieprzyjemnie. La Singla

zerkała na nich z obrzydzeniem, próbując jak najszybciej dostać się do domu.

W głównej komnacie stół odsunięto na bok robiąc miejsce tłoczącym się w środku ludziom. Zawsze wiadomo było, kiedy ruszała praca nad nową sztuką. Dom zmieniał się wówczas w nieuporządkowany magazyn. Wszystkie komnaty i korytarze wypełniały sprzęty, które Kemperer właśnie kupił albo kostiumy, nad których kupnem jeszcze się zastanawiał.

Jego łaskawe, choć trochę zbyt porywcze serce kazało mu przeznaczyć wiele komnat dla tłumu ubogich krewnych lub aktorów. A że gospodarzem był nieprzyjemnym, jego goście stale się zmieniali. Przybywali wśród pochlebstw i odchodzili poganiani groźbami.

Bezustannie ktoś się pojawiał i znikał, uniżenie zamiatał kapeluszem podłogę albo, urażony, wciskał

go na głowę i wychodził.

W samym centrum tego zamieszania znajdował się jego sprawca, Pozzi Kemperer,

kapryśny, ruchliwy, elokwentny, warczący jak jego psy, biegający po domu w satynowych pantoflach i kamizeli, z przekrzywioną peruką oraz z pianą słów i śliny na wargach. Wydawał

się zabawny i właśnie dlatego był niebezpieczny.

Gdy razem z La Singla wszedłem do środka, właśnie robił komuś scenę. Na widok La Singli przerwał. Spojrzał na nią z taką złością, że nawet diabłoszczekowi ścierpłaby skóra, po czym podjął dziwny marsz wokół obcego mężczyzny odzianego w pelerynę do kostek.

Chudemu nieznanemu towarzyszył jaszczurzy człowiek, trzymający dwie piękne czarne pantery na smyczy.

- Bestie te z całą pewnością pochodzą z odległego Orientu - powtarzał obcy głębokim głosem, wskazując zwierzęta.

- Mówię ci, idź stąd. Zabierz swoje stwory z powrotem do Orientu! - wrzasnął

Kemperer.

- Ależ panie, one przyszły na świat wśród orchideowych lasów Bambooli.

- Więc zawieź je tam, zbamboolaryzuj je, zabierz gdziekolwiek, byle nie tu! Zgłoś się do zwierzyńca przy Zachodniej Bramie, tam biorą wszystko, co ma futro na grzbiecie, nawet najbardziej parszywe stwory. Tylko zabierz je stąd zanim zasmrodzą cały dom albo pożrą moich aktorów. Przecież widać, że są wygłodzone - wystarczy spojrzeć, jak łypią dokoła i się oblizują! No już! Wynocha stąd!

Bestie wystawiając z paszcz jęzory i ziewały z nudów lub z gorąca.

- Panie, dostarczam zwierzęta na dwory od Syrakuz na południu po Malmę na

okropnej północy. Często okazy nie są tak piękne, spokojne i pachnące, co te dwa kociaki.

Zapewniam, że będą ozdobą pańskich przedstawień, bez względu na to, czym się pan zajmuje. Gwarantuję to panu - powiedział obcy smutnym głosem.

- Możesz sobie gwarantować ile chcesz, a ja i tak nie zmienię zdania. Wynocha! Moje przedstawienia są wystarczająco rozrywkowe i nie potrzebuję urozmaicać ich lwami spacerującymi na tle dekoracji. Precz!

Kemperer wezwał jednego z pomocników, który podszedł bliżej i zaczął wyganiać

przybyłych machając rękami. Wzbudził tym niewielkie zainteresowanie jednej z panter.

Zwierzę przesunęło się do przodu o długość wąsa. Kemperer z wrzaskiem rzucił się w tył

szukając schronienia w ramionach La Singli, która także zaczęła krzyczeć. Potrafiła to robić znacznie głośniej i w przyjemniejszej tonacji.

Chudy mężczyzna odwrócił się, skinieniem wezwał asystenta i obaj wyszli. Pantery potruchtały za nimi jak psy. Powoli oddalali się korytarzem przy akompaniamencie przerażonych okrzyków zgromadzonych tam interesantów. Po chwili dołączyło do nich wściekłe ujadanie Alberta i psów.

Całe zajście obserwowało wielu moich przyjaciół. Wśród nich znajdował się też

Portinari. Podszedłem do niego i klepnąłem go w ramię. Nigdzie nie widziałem de Lambanta.

- „Ty pośród wielu pod wszechmogącymi niebiosami, niebiańską posiadasz siłę” -

zacytowałem.

- Daruj sobie te kwestie, de Chirolo - odparł Portinari. - Jego wysokość oświadczył, że wystawimy na początek *Wizjonerów*, a dopiero potem *Albrizziego*. Zdążyliśmy już zapomnieć swoje kwestie, więc mamy je ćwiczyć jako pierwsze, zanim przejdziemy do prób *Albrizziego*.

Chwyciłem się za głowę.

- Co za drań z tego Kemperera. Ostatnim razem *Wizjonerów* wygwizdano. Przysiągł

wtedy, że już nigdy ich nie zagramy.

- Ale to wesele; poza tym de Lambant mówi, że zjawi się Diuk Ragusy. Zobaczysz, ludzie ledwie zdążą zająć miejsca, zanim zacznie się główny dramat.

- To prawda. Prócz tego, weselni goście są zwykle mniej wymagający.

- Mnie się podoba moja rola pierwszego adoratora.

- Ach tak, pamiętam. - Rzeczywiście pamiętałem i cieszyłem się, że Portinariego zadowalały mniejsze role. - Moja postać Falanta Bankruta jest dość okrojona...

Kemperer z La Singla wciąż uwieszoną jego cienkiej szyi podszedł do nas akurat w chwili, gdy to mówiłem.

- Ach, Perianie, Perianie, drogi młodzieńcze, wiesz doskonale, że jesteś ogromnie zabawny jako stary aptekarz Palant. - Śmiejąc się uderzył mnie otwartą dłonią w plecy. Z ust ciekła mu strużka śliny. - Kiedy żonglujesz drewnianymi łyżkami udając, że są srebrne i krzyczysz: „Przecież sam srebrny serwis wart jest królewskiego okupu, no może połowy, albo sporej części...”. Nikt nie potrafi oddać humoru tej sceny tak, jak ty.

- Zrezygnujmy ze sceny z łyżkami.

- Nie, nie, de Chiolo, tylko sobie zaszkodzisz. Świat uwielbia twoje łyżki, prawda Mario, moja wierna gołąbeczko, moja krasulko?

Pochlebstwami zmusił nas do wyjścia na dziedziniec i przeciwienia naszych kwestii.

Interesanci posłużyli nam za widzów. Biedny Gilles pełnił rolę suflera. Stojąc w miejscu lub chodząc w kółko powtórzyliśmy dawne role.

Wizjonerów pomyślano jako komedię, w której wszyscy byli szaleni albo niepoczytalni. Każdy z bohaterów wierzył, że jest wspanialszy niż w rzeczywistości. Ojciec trzech nieciekawych córek chciał je wydać za mąż mając do wyboru czterech pomyślonych adoratorów. Kemperer sam grał starego ojca. Sztuka była prosta i należało ją grać bez przerw.

Kiedyś przedstawialiśmy ją tradycyjnie, śmiejąc się bez przerwy, dopóki nie przekonaliśmy się, że widowni bardziej się podoba, gdy wypowiadamy kwestie z powagą. Wyjątkiem była scena z łyżkami.

O drugiej po południu, gdy zadzwieczał dzwon pobliskiego kościoła, Kemperer

krzyknął: „Dość”, ogłosił koniec próby i ukrył twarz w dłoniach.

- Dlaczego musiałem tego dożyć! Ruszacie się jakbyście połknęli kije, a z gęb leci wam sieczka! Żal mi tego Diuka Ragusy, który będzie musiał cierpliwie znieść wasze pokazy ataków artretyzmu - że nie wspomnę o rodzinie de Lambanta. No dobrze, jutro spróbujemy raz jeszcze. Tymczasem nakazę odszukać w mieście tego człowieka z dwiema panterami, może wniesie trochę życia i ubarwi nasze wysiłki!

Pomimo krytyki Kemperera, cała nasza wesoła czereda wybrała się zobaczyć *Ombres Chinoises*. W drodze do teatru cieni odświeżyliśmy się przy winie w tawernie przy Maltańskich Schodach. Przedstawienia odbywały się wewnątrz dużego orientalnego namiotu w cieniście parku. Namiot przykryto dywanami i gobelinami, aby w jego wnętrzu było jak najciemniej.

Teatry cieni zyskiwały coraz większą popularność i mistrz obawiał się, że zagrozi to naszym interesom. Oto mieliśmy przed sobą *Ombres Chinoises* Wielkiego Harino, nowe przedsięwzięcie przedstawiające widowni *Sagę o Karagogu* poprzedzoną krótką historyjką *Zerwany most*. Drogo sobie liczyli za wstęp.

Gdy wtopiliśmy się w mrok wnętrza, Kemperer wyłowił mnie spośród innych i

odciągnął na bok.

- Perianie, kochany druhu, usiądź przy mnie, bo bardzo chcę poznać twoje krytyczne zdanie o tym przedstawieniu - szepnął mi do ucha.

- Skoro mam ci służyć zawodową opinią, może zapłacisz za mój bilet?

- Na to twoja krytyka jest zbyt amatorska! Nie ceń się za wysoko, przestrzegam cię jak prawdziwy

przyjaciel. Muszę z tobą porozmawiać o sprawie bardziej osobistej. Chodzi o moją niepokorną żonę.
- Ścisnął mocno mój nadgarstek dając znak, abym milczał.

Jaszczurza panna podeszła do nas proponując słodycze. Ledwo zdążyliśmy się

wygodnie rozsiąść, gdy zabrzmiały dźwięki klwikordu i odsłonięto kurtynę. Z zadowoleniem stwierdziliśmy, że prócz naszej kompanii na przedstawienie przyszło ledwie kilkanaście osób.

Ekran z przejrzystego materiału miał długość półtora metra i wysokość metra. Na nim tańczyły cienie, wyławiane przez jasne lampy umieszczone z drugiej strony zasłony. Główni bohaterowie poruszali się blisko ekranu, więc ich cienie miały intensywnie czarną barwę.

Mniej ważne postacie i rekwizyty znajdowały się nieco dalej i pojawiały się na ekranie jako bardziej szare. Różnorodność osiągnano tą prostą metodą. Uzyskano wspaniałe efekty, doskonale tworząc imitację chmur i wody.

Nowością wprowadzoną przez Wielkiego Harino było to, że niektóre części jego

marionetek, ich twarzy i strojów, zostały wycięte i zastąpione kolorowym szkłem, dzięki czemu wyglądały na ekranie cudownie. Nie tylko ja z zachwytu otworzyłem usta.

Choć niewiele lalek miało ruchome stawy, ich ruch przedstawiono znakomicie. Całość opatrzone komentarzem, który, choć od dawna znany, nadal wszystkich bawił. Najbardziej niezwykle wydawało się to, że widzowie natychmiast brali lalkowy świat za rzeczywisty, a ekran za prawdziwe życie, tak jakby inna forma w ogóle nie istniała!

Na Kempererze całość nie zrobiła aż takiego wrażenia.

- Nie chcę jej skrzywdzić - szepnął mi do ucha. - Minerwa wie, że wielce sobie cenię ów słodki, choć męczący ciężar, ale zdaje mi się, że moja droga Maria za często wskakuje do łóżek, które nie są warte jej cudownego, choć niesfornego ciała. Ostatnio przebrała miarę...

Doszły mnie słuchy, Perianie, że...

W tej chwili La Singla wsunęła głowę między nas.

- O czym tak obaj szepczecie? Czyż przedstawienie nie jest wspaniałe?

- Zostaw nas, mój złoty miodzie, moja rozgwiazdo - zasyczał Kemperer. - Idź popflirtuj sobie w mroku z Portinarim, on zna granice, nawet jeśli ty je przekraczasz! Rozmawiam z de Chirolo o interesach!

La Singla parsknęła jak małe prosię i cofnęła się.

- Musisz się zdobyć na więcej serdeczności wobec niej, jeśli chcesz, by żona pozostała ci wierna, maestro! - powiedziałem.

- Co ty wiesz o żonach?

- Staję się coraz bardziej odpowiedzialny. Właśnie rozważam zawarcie małżeństwa.

Czy mógłbym dostać zaliczkę?

- W mojej młodości kontemplowanie związku małżeńskiego nie wymagało wydawania pieniędzy.

Zerwany most zbliżał się do końca. Widziałem tę sztukę wiele razy, w różnych formach, ale żadna nie dorównywała świetności przedstawienia cieni. Przewoźnik wiosłował

w poprzek rzeki sprawiając wrażenie realnego; plecy lalki zginały się dając wrażenie prawdziwości ruchu. Za nim, na górskich szczytach błyszczał śnieg. Z twarzy widzów spływał pot. Gorąco pochodni potrzebnych do osiągnięcia odpowiednich efektów świetlnych było ogromne.

- Męczą mnie przypochlebianie się tej jędzy! - poskarżył się Kemperer po chwili. -

Każda kobieta oddałaby dziewictwo, aby poślubić takiego męża sukcesu, jak ja, mam rację?

Ale ona posunęła się za daleko, o wiele za daleko, Perianie. Potrafię być mściwy, gdy zółć nie daje mi spokoju! Pojmujesz? - Aby mi pomóc w zrozumieniu, mocno uszczypnął mnie w nadgarstek. Zaskoczony, krzyknąłem z bólu w tej samej chwili, gdy na przezroczystym ekranie ryby o ostrych zębach zaczęły pożerać złego wyrobnika naprawiającego most.

Widownia wybuchła śmiechem sądząc, że przestraszył mnie ten obraz.

- Miała czelność zakochać się w jakimś nędznym fanfaronie. Dziś rano, gdy szukałem zapasowego sznurowania do mego gorsetu, znalazłem, w jej okryciu poufały list od niego.

Mam zamiar nasłać na niego ludzi i kazać im solidnie go obić. Żaden chłystek nie będzie mi kraść miłości żony!

Każdy argument podkreślał kolejnymi uszczypnięciami. Z całych sił starałem się nie dać widzom powodu do następnej salwy śmiechu - co nie było aż tak trudne, ponieważ wzburzony Kemperer chwycił mnie za gardło i przechylił moją głowę do tyłu, za oparcie.

Podobnie jak Paweł z farsy o trzech królach, tkwiłem uwięziony w „pułapce między słodkim czasem a wiecznością”.

W końcu zdołałem się uwolnić i zaczerpnąć tchu.

- Jesteśmy być może dobrymi przyjaciółmi, maestro, ale to nie powód, aby mnie od razu uśmiercać! Sądziś, że to ja jestem chłystkiem, którego szukasz? Równie chętnie poszedłbym do łóżka z tobą, co z twoją małżonką, tak ogromnie szanuję świętość związku.

- Wybacz mi, wybacz. Jestem człowiekiem popędliwym i czasem się zapominam.

Ufam ci całkowicie, w przeciwnym razie nie zwierzałbym się tobie.

- Być może już wkrótce sam wstąpię w małżeński związek.

- Opinia rogowca to nic zabawnego, tym trudniej jest mi się do tego przyznać. Ciebie nie stać na małżeństwo, mój synu. Dlaczego mnie to spotyka, przecież nie brak mi męskości?

Perianie, zanim ta nędzna sztuka cieni się skończy, musisz mnie wysłuchać! Mam swoich bandytów i szpiegów. Zawsze kręcą się w pobliżu. Przy mojej pozycji, to konieczność.

Powiedz mi, czy kiedyś widziałeś, by La Singla zachowywała się nieodpowiednio? W

jakikolwiek sposobi Chcę, byś ją bacznie obserwował, ponieważ ufa tobie, podobnie jak ja.

- Nie zostanę jednym z twoich szpiegów.

- Nie, nie spraw mi zawodu. Donoś jedynie o wszelkich podejrzanych sprawach i

obserwuj ją, ha? Może popracujemy nad rozbudowaniem roli Falanta Bankruta. To taka zabawna postać, gdy ty ją grasz. Czy widziałeś, by zachowywała się poniżej swej godności?

- Trudno mi uwierzyć, by taka cnotliwa kobieta mogła oszukać męża takiego, jak ty!

Szturchnął mnie w żebra łokciem dobrze znanym z niebezpiecznej kościstości.

- Wiedz, że ten mąż ma gorącą krew i nieczęsto daje jej spokój, ale każda kobieta jest z natury rozpustna. Mężczyźni w porównaniu z nimi mają cnotliwe dusze. Czasem czuję, że mógłbym ją zabić.

Na cienistej rzece zapanował spokój. Zerwanego mostu nikt nie naprawił. Słońce chyliło się ku zachodowi. Zioła o słodkiej woni płonęły z boku, aby czarować widzów aromatem. Ławica długoszych ryb popłynęła w górę nurtu. Szczyty gór stały się różowe, a dolina powoli znikła w cieniu. Przedstawienie nagle straciło naturalność, a po chwili się skończyło.

- Tandeta! Tandeta! - zawołał Kemperer przewracając krzesło. - Ani jednej mądrej kwestii! Wielki Harino - wielki oszust! Lepiej, żeby *Karagog* wypadł lepiej niż te smętki, bo nie wytrzymam do końca!

Większości widzów przedstawienie się podobało. Wołali pannę sprzedającą zimne

napoje. Chcieli ugasić pragnienie, bo w namiocie było niemiłosiernie gorąco. Portinari przysiadł się do mnie i razem napiliśmy się szербetu.

- Niewielka sztuka, ale za to zupełnie nowy sposób przedstawienia! - powiedział.

- Kiedy byłem mały, pewien starzec w Starym Moście przedstawiał *Zerwany most* w beczce ze świeczką zamiast świateł. Ta sztuka znana jest od wielu wieków.

- Podobnie jak *Wizjonerzy*... Według mnie ta interpretacja była mistrzowska, a wy co sądzicie?

- Mistrzowska, owszem, „może banalna, ale za to jak wspaniały teatr” - zacytowałem.

- Wydawała się dość rzeczywista, bez nieudanych wysiłków niewolniczego naśladowania rzeczywistości.

- Rzeczywistość jest taka nieprzyjemna... Pomyślcie tylko, jak siedzimy tu w

umiarkowanej wygodzie, patrząc na zmieniające się obrazy, a za ekranem jakiś biedny nieszczęśnik poci się podsycając płomienie, od których gorąca niemal się smaży.

- Czy nie na tym polega istota sztuki? Artysta cierpieniem opłaca chwilę zachwytu widzów.

- Widzę, że zgodziłeś się zagrać Falanta! – stwierdził Portinari. - O czym jeszcze rozmawiał z tobą stary Kemperer?

Na szczęście nie musiałem odpowiadać, bo rozległ się głośny huk i ekran się rozjaśnił.

Niespodziewanie pojawiły się na nim rozmaite postacie. Naprzód wyskoczył Karagog, z długimi ramionami i w śmiesznym czerwonym kapeluszu. Zaczęła się zabawa.

Karagog chciał zostać pryncypałem w szkole, ale był tak marny, że uczeni wygnali go z uczelni; próbował przyłączyć się do cyrku, ale spadł z najwyższej liny prosto w kocioł z zupą; wstąpił do wojska, ale przerażały go wybuchy dział. Obrazy zmieniały się szybko.

Mistrz poruszający marionetkami zastosował efekt animacji, dzięki któremu w scenach cyrkowych akrobaci na ekranie skakali, tańczyli i żonglowali kolorowymi piłkami. Przemarsz żołnierzy we wspaniałych czapkach z piórami był widowiskowy. Poruszali rękami w takt muzyki „Lilibulero”.

Następna była scena bitwy. Ekran pociemniał. Usłyszeliśmy wystrzały i okrzyki

„Ognia”. Białe, migotliwe światło przecięło bitewne pole, na którym żołnierze stali w gotowości. Dym dotarł na widownię. Kemperer kaszlał i kłął.

W mgnieniu oka cały ekran stanął w płomieniach odsłaniając lalkarzy poruszających marionetkami. Wszyscy puścili kukielki i rzucili się do ucieczki przed ogniem. Palił się cały namiot.

- Widzisz, oto do czego prowadzi za daleko posunięty realizm! - powiedział Portinari krztusząc się ze śmiechu, gdy biegliśmy wśród dymu. Przy wyjściu leżała sterta arkuszy. Po drodze chwyciłem jeden.

W parku rozpętało się istne piekło. Marionetki bezceremonialnie rzucono nawóz.

Pomocnicy wylewali wiadra wody na płomienie, a Wielki Harino krzyczał. Płomienie dosięgły już pierwszych drzew i pergoli, po których pięła się glicynia.

- Piękny pożar! - stwierdził Kemperer zacierając ręce. - Szaleństwem było odpalenie rakiet w namiocie. Miejmy nadzieję, że nie opanują tego zbyt szybko!

Popiół opadał na ziemię, jak liście jesienią. Fragment spalonego płótna spadł na ramię La Singli. Krzyknęła. Kemperer zadusił tłący się skrawek uderzeniami, które zgasiłyby krater Wezuwiusza. Przestał młócić rękami dopiero, gdy jego biedna żona z piskiem odsunęła się od niego chwiejnie. Maestro odwrócił się do mnie gestykułując dziko.

- Cóż za wspaniały koniec moich zmartwień! Cudownie byłoby, gdyby wszystko poszło z dymem, hę?

Razem z Portinarim i kilkoma innymi aktorami wszedłem do najbliższej winiarni, aby trochę ochłonać. W najciemniejszej niszy stała beczka bawarskiego piwa. Zamówiliśmy dwa kufle. Podnieśliśmy naczynia z pieniącym się piwem, wznosząc toast za nasze powodzenie.

- Co za stary bufon z tego Pozziego! - powiedział Portinari wycierając wargi i wzdychając.

- Dlaczego dla niego pracujemy?

- Czasem jest zabawny. Kiedy wstępowałem do kompanii, zapytałem go, czy ma

jakieś wskazówki dla młodego aktora. Powiedział, że ma: „Jedną najważniejszą: trzymać się słonecznej strony czterdziestki”.

- Dobra rada, zamierzam jej posłuchać. - Wyjąłem zza koszuli arkusz, który zabrałem z parku. Rozłożyliśmy go na stole i odczytaliśmy rymowany podpis pod rysunkiem: *Mimiczne batalie Figur Cienia*

Bawią tylko lub pragną Postłuchu

Dajemy wam teatr, boście Duchy

W jeszcze większym Życia Przedstawieniu

Lalki z Orientu i cathayskiej ziemi

Podobne są wam, bo za ekranem

Ktoś nimi kieruje - więc baczcie, że dane

Wam życie jest jak ich los - Grą Cieni!

Wybuchliśmy śmiechem.

- To nie przez rakiety cały namiot poszedł z dymem, tylko przez takie łatwopalne bzdury - powiedziałem.

- Mógłbym ułożyć lepszy wiersz zanim, wypijesz ten kufel do dna - oznajmił

Portinari.

- Nie znasz moich zdolności w picciu bawarskiego piwa!

Podniosłem kufel do ust i zacząłem pić, a tymczasem mój tęgi przyjaciel tak okropnie wykrzywił twarz, że gdyby jego Muza widziała ten grymas, przestraszyłaby się i uciekła. Gdy odstawiłem puste naczynie, on podniósł dłoń i krzyknął triumfalnie, po czym zaczął

recytować.

Wolnej Woli nie ma - a jeśli, to rzadka,

jak darmowe piwo! Tak kukły te uczą.

Coś ta analogia może niezbyt gładka...

- Może tak: „Bo serc widzom nie da ta lalek gromadka”.

- Nie, nie, zaczekaj... „Bo Ludzie nie Kukły, Pić i Sikać muszą”. Rymy powinny się zgadzać. Ma być A,B, A,B! Wygrałem, de Chirolo, pokonałem cię!

- Uznaję twoje zwycięstwo, mój tęgi przyjacielu, ale zamierzam dowieść, że darmowe piwo nie jest tak rzadkie, jak myślisz...

W końcu ruszyłem do domu, aby porę sjeisty spędzić w chłodniejszych alejach. Mój umysł pracował niestrudzenie, bo gra cieni z Armidą właśnie przybierała nowy obrót.

Polowanie na prazwierza miało dowieść powagi moich zamiarów.

Skręciłem pod łukiem przejścia w Ulicę Drewnianych Rzeźb. Z cienia wysunęła się kobieca postać. Była to La Singla. Bała się, że ktoś mógł ją śledzić i nalegała, abyśmy weszli do mnie na górę.

- Rano dostałem po uszach, a teraz co? Czyżby skrucha? Jeśli tak, to może poczekać.

Muszę się zdrzemnąć.

Idąc po schodach na poddasze nie odezwała się ani słowem.

Zamknąłem drzwi i odwróciłem się, aby się jej przyjrzeć. Nie dostrzegłem nawet cienia zwykłej kokieterii. Przybrała tragiczną minę. Wydawała się zamyślona.

Bransolety na jej iberyjskich nadgarstkach dźwięczały niespokojnie. Gdy chciałem się do niej zbliżyć, właśnie te nadgarstki i delikatne dłonie zatrzymały mnie.

- Jeśli to możliwe, chcę mieć w tobie wyłącznie przyjaciela, Perianie. Nie wykorzystuj mnie.

Straciłam cię z oczu, kiedy wybuchł pożar i od tamtej pory czekałam na ciebie z niepokojem. Gdzie się podziewałeś? Musisz mi powtórzyć wszystko, co mój mąż powiedział

ci w namiocie. Bardzo mnie podejrzewa? Wysłał za mną ludzi?

- To, co mi powiedział, jest tajemnicą.

Tak bardzo się niepokoiła, że podeszła do mnie. Chwyciłam jej dłonie.

- Perianie, jestem w rozpaczliwej sytuacji.

- A zatem wplątałaś się w jakiś poważniejszy romans, Singlo Kemperer. W

przeciwym razie nie wyglądałabyś tak blado, jakbyś grała w sztuce Ostatni z *Cantamów*.

Przyszłaś do mężczyzny, który potrafi sprawić, że zapomnisz o kłopotach.

- Gdybym tego pragnęła, nie sądzisz, że wolałabym bogatszych kochanków, równie dobrych w łóżu, a nie tak próżnych jak ty? - Zasłoniła dłońmi usta. - Nie chciałam tego powiedzieć, Perianie. Pewnie pomyślisz, że znowu daję ci po uszach, tym razem słowami.

Jesteś kochany, ale teraz nie czas na miłosne przygody. Muszę wracać do domu, zanim ktoś spostrzeże moją nieobecność. Zdradź mi, co ci powiedział Pozzi.

- A zatem chodzi o bogatego kochanka, ha?

Nic nie mówiąc spojrzała na mnie smutno i zmarszczyła brwi.

- Powiedz mi, kto to taki, ten najwspanialszy ze wspaniałych.

- Och, idź do Diabła! Dlaczego miałabym ci ufać?

- Bawi cię prawienie mi kazań. Tym razem ja chciałbym jedno wygłosić. Uważasz, że jestem pozbawiony skrupułów i próżny, ale ja przynajmniej zawsze ufam swoim

przyjaciołom, bo tak traktuje się ludzi, którzy nie okażą się niegodni zaufania. Lepiej czasami się rozczarować, niż zawsze wszystkich podejrzewać.

- Mówisz bzdury.

Moje małe przemówienie sprawiło, że sam poczułem się pewniejszy i bardziej

skłonny ufać innym. Powtórzyłem jej wszystko, co usłyszałem od Kemperera, tylko odrobinę ubarwiając jego słowa.

- W takim razie on nie wie wszystkiego - stwierdziła La Singla. Spojrzała na mnie. -

Ty też nie, Perianie. Wybacz mi napad złego humoru.

- Oczywiście.

Szybko pocałowała mnie w usta i wyszła. Usiadłem na łóżku podpierając brodę dłonią i pograżyłem się w myślach o kobietach, o sobie i o ludziach w ogóle.

O zachodzie słońca, gdy niebo nad Pałacem Biskupów Elektów stojącym na wzgórzu, przybrało purpurową barwę, otrząsnąłem się z filozoficznego nastroju. Wraz z Armidą, de Lambantem i Bedalarą wybraliśmy się do popularnej kafejki, na którą ledwie nas było stać.

Siedzieliśmy tam pijąc i rozmawiając. Portinari miał przyjść tu z nami, ale ojciec potrzebował go w mleczarni. Dwie opiekunki, Yolaria i Jethona, siedziały nieopodal, w alkwie, za zasłoną z koralików. Tam mogły dyskutować o cenach koronek nie przeszkadzając nam.

Ponieważ Portinari się nie stawił, na mnie spoczął obowiązek opowiedzenia o tym, jak namiot Wielkiego Harino stanął w ogniu. Zrobiłem to tak doskonale, że dziewczęta na przemian śmiejąc się i trzęsąc ze strachu, żałowały, że nie widziały tego na własne oczy.

- Byłeś zajęty od chwili, gdy rano się rozstaliśmy? - spytała Armidą. - Oczywiście poza zabawą w płonącym namiocie.

- Gorączkowo pracowałem nad rolami. Jutro zamierzam wybrać się do siostry i załatwić konia na polowanie. Nie zawiodę cię.

- Powinieneś mieć odpowiedni strój, to bardzo ważne. Czy twój szwagier mógłby ci doradzić? - Mówiła tym samym tonem, co rano.

- Volpato stale przebywa poza domem. Sam sobie dam radę. Mam sporo pracy. Muszę przygotować kostiumy. Oglądając *Ombres Chinoises*, zanim całość poszła z dymem, wpadłem na pomysł, jak się ubrać do roli Falanta Bankruta.

- Nie powinieneś się zajmować wszystkim naraz.

- Zainspirowała mnie bitwa w *Karagogu*. Postanowiłem zagrać Falanta jako żołnierza, a nie zaniedbany aptekarz. Moglibyśmy wówczas wprowadzić bardziej współczesne wątki o biednym Konstantynopolu. To zawsze śmieszy widzów. Diukowi Ragusy także powinno się podobać.

- Zostań lepiej przy aptekarzu - doradził de Lambant. - Zabawniej wyglądasz z pijawkami niż w wojskowych bryczesach.

- Wyglądam niewiarygodnie dobrze jako żołnierz. Sam się dziwię, gdy patrzę w lustro. Mam już długie, wojskowe buty z cholewami i wspaniałą drewnianą miecz w pochwie

- niezłe dzieło - który zawiesza się na mocnej szarfie biegnącej od ramienia w dół. - Wstałem, aby im

dokładnie pokazać, jak się układała. - Efekt jest naprawdę niezwykły. Mam też długi fular, dzielący się na dwie części i sięgający pasa, jak każe moda chorwackich najemników.

Wygląda to znacznie lepiej niż kostium, jaki Otto Bengtsohn przygotował dla Geralda. Brak mi tylko trójrożnej czapki z piórami. Nie masz przypadkiem takiej, Guy?

- Ani czapki, ani chęci jej posiadania.

- Podobałby ci się ten kostium, Armido. Jak mi zdrowie miłe, żadna bitwa by się beze mnie nie rozegrała. Kukiełkowe przedstawienie cieni nie ma ze mną szans! Moje stawy są wspaniale giętne i sprawne. W lustrze widziałem śmiałka nie od parady. Dobył miecza z najlepszego toledzkiego drewna i położył pięćdziesięciu Turków Osmańskich! Co za szybkość, co za gracia, co za dzikość! Ale nie mam czapki. Odwaga ogromna, lecz brak nakrycia głowy. Smutna historia...

- „Człowiek, który zbyt siebie miłuje, nie ma sobie równych” - zacytowała Armida.

Oburzyłem się. Nalałem sobie więcej wina.

- Nie siebie podziwiałem, lecz postać, którą stworzyłem! Właśnie na tym polega przyjemność zawodu aktora, Armido. Zmieniając strój, zmieniam także wnętrze.

- O ile ono istnieje - wtrąciła Bedalara.

- Natura takiego człowieka jest jak chorągiewka na wietrze - powiedziała Armida.

- Wcale nie. Jest on potencjalnie każdym i wszystkim. Oto zmienność duszy! Każde z nas, gdyby tylko miało okazję, chciałoby doświadczyć wszystkich możliwości. Zmiana, nastroju, zmiana peruki i istnienia. - Wlałem w siebie kolejną porcję wina czując, jak rozpiera mnie podziw dla sztuki i własnej wspaniałości. - Młody mężczyzna, czy starzec? Proszę bardzo. Bogaty czy biedny? Rycerz, sędzia, rzeźmieszek, mnich, szlachcic, młynarz, żebrak lub artysta? Wedle życzenia. Wszelkie rzemiosła, stopnie wojskowe, profesje, szaleństwo i mądrość, to wszystko tkwi w środku. Wystarczy jedynie odpowiedni strój, aby wydobyć na powierzchnię właściwą postać. A potem to bohater zyskuje nade mną panowanie, żyje moim życiem przez krótką godzinę, a ja żyję jego losem.

- Wszyscy postępowaliby właśnie tak, gdyby starczyło im śmiałości, gdyby się tego nauczyli. Tylko tak można się stać wolnym.

- Twoje życie musi być okropne, skoro chcesz w ten sposób od niego uciec -

zauważyła Bedalara.

De Lambant wyglądał na znudzonego, ale obie panny zdradzały żywe zainteresowanie tym, co mówiłem.

- Szczęśliwi ludzie zawsze „uciekają”, jak to nazwałaś. Później wracają bogatsi. Kiedy grałem potwornego nekromantę, sam też przeżuwałem każdy kęs tylko wtedy, gdy

przychylnie mrugnęła odpowiednia gwiazda. Po występach w roli wiekowego polityka, jeszcze wiele tygodni później wszystkie stawy mi trzeszczały, a nogi i ręce się trzęsły. A gdy dostałem partię wielkiego zarozumialca, moi przyjaciele unikali mnie dopóki wystawiano sztukę. Zdarzyło mi się też grać człowieka tak głęboko zakochanego, że co noc usypiałem z płaczem.

- Aż strach pomyśleć, jaki będziesz skąpy grając Falanta - zaśmiała się Armida.

- Moja brzoskwinko, mój skarbie, chodzi o to, że wystarczy, abym inaczej włożył

kapelusz, a czuję się jak ktoś, kto poznał bezmiar Szaleństwa albo wspiął się na szczyty Prawdy. Jakie to ma znaczenie, że moje prawdziwe ja czasem staje się niewidoczne?

- A czy kiedyś próbowałeś grać rolę człowieka skromnego? - zapytała Armida.

Według przysłowia, tylko nędznikom nigdy nie brak zajęcia. Ale tym razem mój dzień zapowiadał się wyjątkowo pracowicie. Za godzinę lub dwie Otto Bengtsohn rozpoczął

pracę z zahnoskopem w Pałacu Chabrizzich. Nie byłem mu potrzebny z samego rana, ale po południu miałem się stawić do sceny z Letycją. Postanowiłem rankiem jeszcze raz pójść do Pozziego Kemperera i przekonać go, aby pozwolił mi zagrać Falanta w stroju żołnierza.

Zamierzałem odpowiednio się ubrać na tę okazję. Musiałem też sprawdzić, czy krawiec zdobył materiał na moją pelerynę. Wieczorem chciałem opuścić towarzystwo rozbawionych przyjaciół i odwiedzić siostrę. Wiedziałem, że pomoże mi zorganizować wszystko, czego potrzebowałem do polowania na prazwiera w Juracji. Poza tym pozostawał jeszcze do rozwiązania problem konia. Mandaro trzymał u siebie kuca, ale zwierzę, podobnie jak jego pan, miało zbyt świętą naturę, aby wziąć udział w gonitwie.

Może Kemperer wypożyczyłby mi czapkę z piórami.

Wstałem dopiero, gdy zapiały miejskie koguty. Włożyłem wysokie buty, szeroką

szarfę i długi fular, zabrałem drewniany miecz i inne wojskowe akcesoria. Ubierając się podśpiewywałem sobie.

Hej, czasami się bronimy przed tym co ma być.

Malacjanie, choć rozpustni, cnotę lubią czcić...

Od czasu do czasu zerkałem w dół, na ulicę, gdzie w długich cieniach poranka

rozpoczęła się już codzienna krzątania. Pomocnicy majstrów biegali to w jedną, to w drugą stronę z napojami i jadłem. Do pracowni rzeźbiarskich dostarczano drewniane kłody. Wokół

kręciły się praczki, a rybacy raz po raz wydawali z siebie gardłowe okrzyki. Wóz z mlekiem z hałasem jechał aleją, ciągnięty przez wołu ze srebrnymi dzwonkami na rogach. Powoził nim rogaty jaszczurzy człowiek.

Przez tłum przepychał się żołnierz. Przechodząc przez plamę słońca na ulicy, spojrzął

w górę i na moment nasze oczy się spotkały. Nosił trójrozną czapkę z piórami, dokładnie taką, jaką chciałem mieć.

Oficer znikł w alejce. Poczułem, jak ogarnia mnie zazdrość. Oto tkwiłem na nędznym poddaszu, bez grosza przy duszy, szarpany ambicjami i planami sięgającymi wysoko ponad mizerne życie, jakie mi przypadło - a przecież nie brakowało mi miłości, aspiracji i talentów!

- tymczasem taki pyszałek, z kieszeniami na pewno wypchanymi złotem, udawał się na schadzkę z jakąś ponętą damą. W jakim innym celu kapitan kawalerii wstawałby o tak rzemieślniczej porze dnia?

Przepędziłem zły nastrój piosenką. Wreszcie, ubrany i bez czapki, zszedłem na ulicę.

U zaprzyjaźnionego piekarza kupiłem sobie pieróg nadziewany kawałkami mięsa i papryki.

Przezuwając, ruszyłem przez pchli targ w stronę walących się arkad Pałacu Desporta, aby zobaczyć, jak Nocna Straż opuszcza plac. Na każdym zakręcie pozdrawiali mnie znajomi.

Widziałem Jozego, wuja Letycji, który wolno kiwał się wsparty o kule, ale mnie nie zauważył.

Przystanąłem w końcu arkad opierając się o filar, przy którym siedziała wieśniaczka z koszem kwiatów. Czulem ciepło słońca. Przyjemnie było patrzeć na wyćwiczony marsz Malacjańskiej Straży Miejskiej. Usuwając z żołądka ostatnie ślady nocnego postu, patrzyłem na strażników i myślałem o żołnierskim losie.

Dwaj magowie stojący nieopodal, nie zwracali uwagi na paradę. Zajęli niszę, gdzie wśród własnych śmieci, mamrotali coś pochyleni nad wielką brązową kulą - nie miałem pojęcia, czy przedmiot ten pochodził z naszego świata, czy może z następnego. Dwaj boski chłopcy, przekupieni przez starców, bawili się przy nich. Dalej, w cieniu, wśród płócien i materii, stał kozioł ofiarny przyglądając się sosence, która wyrosła w wyłomie muru.

Jeden z magów miał złośliwą, głupią twarz. Wydawała się rozciągnięta na boki, jak pysk ropuchy. Odwrócił głowę i uśmiechnął się kiwając na mnie palcem.

Udałem, że nie dostrzegłem jego gestu. Cofnąłem się i wsunąłem głębiej w boczne przejście. Poczułem, że ktoś ze złością wpycha mi łokieć w plecy. Waleczny nastrój sprawił, że odruchowo dobytek drewnianego miecza robiąc jednocześnie w miejscu piruet.

Stał przede mną kawaler, którego wcześniej widziałem z okna, w czapce z piórami i w ogóle.

Jego dłoń powędrowała do rękojeści miecza. Jednocześnie spojrzął mi w twarz, a potem popatrzył na moją broń. Na jej widok, ponura twarz oficera rozjaśniła się.

- Wybacz mi! - powiedział. - Nie umiem odparowywać ciosów zadanych takim

ostrzem.

Nie zdołałem powstrzymać śmiechu. Nieznajomy był przystojny, choć niski.

Wyćwiczony, szczupły, starszy ode mnie najwyżej o dwa lata. Zazdrościłem mu

podkręconych, brązowych wąsów, których końce ujarzmił woskiem. Miał ciemne, błyszczące oczy. Wydały mi się niegodne zaufania. Tak nieprzejrzysty i ciemny brąz nigdy nie wróżył

dobrze. Może właśnie dlatego uniosłem drewniany miecz tak, że jego koniec znalazł się tuż przy szyi oficera. Nie wykonał obronnego ruchu.

Gdy tak staliśmy w dość dramatycznej pozie, próbowałem odgadnąć historię

nieznajomego: potomek szlacheckiego rodu, chłopiec przyzwyczajony do robienia wszystkiego po swojemu, ojciec spełniający jego wszystkie zachcianki, kobiety, pewna kariera wojskowa, znakomite miejsce w mesie, lojalni przyjaciele, stajnia wspaniałych koni, odwaga, rycerskość, nobilitujące rany odniesione w walce, medale, awanse, bogata małżonka, koneksje na dworze, honory, przyszłość w jego rękach. Drewniany miecz nie mógł zaprzepaścić jego

przeznaczenia.. Opuściłem ostrze.

Miałem nadzieję, że za dziesięć lat przytyje i skapcanieje.

Nasz *tableau vivant* został zakłócony pojawieniem się maga przypominającego ropuchę. Pod poplamioną tłuszczem opończą krył kalekie ciało. Przeczółgał się po bruku ku nam i uniół w górę dłoń osadzoną na żylastym, brązowym ramieniu.

- Bądźcie ostrożni, młodzi panowie, uważajcie na siebie. Nic nie dzieje się

przypadkiem. Gwiazdy określają charakter, charakter określa przeznaczenie.

Cofnęliśmy się od niego. Mag wyciągnął w górę palec, celując w nasze brody.

- Wy dwaj, młodzi panowie, nie wiedząc o tym, dzielcie jedno łóżko. To łóżko nie wróży nic dobrego i wkrótce was obu dopadnie nieszczęście. Nad twoją głową młodzieńcze -

staruch spojrzał na mnie kocimi oczami - zamkną się wody, jeśli nie zaczniesz płynąć pewniej i wówczas zabierze cię Ciemny!

Wsunąłem miecz w pochwę i rzuciłem się do ucieczki. Oficer także ruszył biegiem, trzymając się tuż za mną.

- Ten stary gad kłamie - krzyknął mój towarzysz. - Nie mam zamiaru wskakiwać na twój zawszony siennik.

- Ani ja do twojej zgniłej pryczy, w której roi się od krabów. Już wolę dno rzeki!

Zatrzymaliśmy się za pierwszym rogiem i popatrzyliśmy na siebie. Jego czapka

mocno trzymała się na głowie podczas biegu.

Nieznajomy raz jeszcze się uśmiechnął pokazując rząd białych zębów, równie

ładnych, co u aktora. Wyciągnął do mnie rękę.

- Nigdy nie zważałem na słowa dziwek ani wróżbitów. Gdzieś, poza słowami, istnieje wielki świat, o którym nic nie wiedz. Nazywam się John Pellegrino san Lasionio, jestem kapitanem ciężkiej kawalerii Tuscadii i czarną owcą rodu san Lasionio z Dakka. Muszę przyznać, że kazałem cię panie obserwować.

- Perian de Chiolo. Jestem aktorem, ostatnim potomkiem rodu uczonych, ale nie mam cierpliwości do nauk. Żołnierzem jestem tylko w przebraniu.

- Jako zawodowy oficer dostrzegłem to od razu... Ale oczywiście przebranie zmyliłoby innych.

- Według tej samej miary, mogę ocenić, iż rzeczywiście jesteś czarną owcą w swojej rodzinie, panie. Nie słyszałem o rodzie san Lasionio, podobnie, jak tobie nie są znani de Chiolo. Dlaczego więc kazałeś mnie śledzić? Zazdroszczę ci pięknego nakrycia głowy, ale co ja mam takiego, czego mógłbyś pragnąć?

W jednej chwili stracił cały animusz. Przygnębiony ruszył przed siebie z wzrokiem wlepionym w buty. Poszedłem za nim.

- Zazdroszczę ci, że żyjesz w pokoju ze światem. Przechadzasz się swobodnie pod arkadami, spokojnie jesz śniadanie i cieszysz się rankiem. Dla mnie jest to dzień krytycznej decyzji, a znaki nie dają mi wiele nadziei.

Pomyślałem, że może postanowił oddać dodatkowego wierzchowca i nie może

znaleźć godnego człowieka. W myślach już przekonywałem ojca, aby pozwolił mi trzymać konia w domowej stajni i wyobrażałem sobie, jak Beppolo czyści go i kupuje na rynku siano po rozsądnej cenie. Przyjaciele - oraz Armida - patrzyliby, jak wskakuję na siodło, uśmiecham się i macham do nich.

- Według wróżbitów każdy dzień jest dniem decyzji. Spojrzał na mnie z miną na wpół komiczną i na wpół desperacką. Uderzył się w pierś.

- Pozwól, że ci wszystko wyjawię. Po raz pierwszy ja, który zawsze śmiałem się z kobiecych sztuczek, jestem zakochany. Płonę ogniem miłości.

Zaśmiałem się nisko.

- Drogi kapitanie, czyżby moje swobodne zachowanie wprowadziło cię w błąd? Ja

zakochuję się każdego dnia. Kobiety są takie piękne i tak przyjemne, że nie mogłoby być inaczej. Zamierzam poślubić najpiękniejszą, najprzyjemniejszą - i najbardziej kosztowną - z nich, dlatego muszę zapomnieć o pozostałych, bo jestem człowiekiem honoru. Tylko moje zdolności aktorskie pomagają mi kryć wewnętrzne rozterki.

Zbył moje słowa machnięciem ręki.

- Ja nie udaję. Jestem człowiekiem czynu. Nagle znalazłem się w świecie miłości, którego taktyką zawsze pogardzałem.

- Nie pogardzaj nią, lecz się jej naucz.

- Gardzę nią. Jestem żołnierzem, nie fanfaronem. Mimo to, dziś znalazłem się w zasadzce, z której wczoraj się śmiałem. Ta, którą kocham - dlaczego właśnie mnie spotkało takie nieszczęście? - ta, którą kocham bardziej niż własny honor, jest mężatką poślubioną złośliwemu i trędowatemu staruchowi. Każda spędzona z nim godzina jest dla niej udręką.

Gdyby tylko ślub przypominał grecki szturm albo formalistykę... Ona nie opuszcza go tylko z dobroci serca... Czy mężczyzna może kochać za bardzo, de Chirolo?

Zastanowiłem się przez chwilę.

- Znałem takich, co kochali małżeństwa innych ludzi, wierząc, że pragnęli kobiety z tego związku.

- Widzę, że żyjesz według dekadencjonalnych zasad. Malacja gnije od środka. Dlatego cieszę się, że mój regiment wyjeżdża... Nie, nie chcę nikogo obrazić. Czuję się oszukany.

Mam wrażenie, że jestem zgniatany między dwoma, wolno obracanymi kołami. Chodź, przejdźmy się razem.

- Lubisz chodzić pieszo? Jako oficer kawalerii na pewno wolisz konną jazdę. Konie to na pewno twoje życie.

Ruszyliśmy na północ.

- Kocham ją i przysięgam, że jestem jej drogi. Wiem, że przeze mnie łamie sobie serce, bo jest zbyt lojalna, aby opuścić tego starego satyra.

- Jest przecież wiele kobiet bez starych satyrów. Ale każda ma jakąś inną wadę. Dama, którą kocham ma władczy ojca, który...

Pokierowałem nim tak, że skręciliśmy mniej więcej w kierunku domu Kemperera.

Kawaler zatrzymał się gwałtownie i mocno chwycił mnie za ramię.

- Jestem zdesperowany, zrozum. Nie należę do uwodzicieli. Dowodzę siłami

przysłanymi tu przez diuków Tuscadii, aby pomóc w wyzwoleniu Malacji. Jutro muszę poprowadzić wojska przez góry na północ, aby nękać tylne strażę Stefana Tvrtko. Muszę wyruszyć już jutro. Zwlekałem najdłużej jak mogłem, wymyślając coraz to nowe wymówki, wysyłałem mego adiutanta z wieloma fałszywymi poleceniami. Pewnie sądzi, że oszalałem - i tak jest naprawdę. Jutro o brzasku mamy zebrać armię i odjechać, bo w przeciwnym razie mogę się pożegnać z karierą. Dlatego czekam na spełnienie obietnicy mojej ukochanej. Musi przyjść do mnie dziś wieczorem. W przeciwnym razie, moje starania pójdą na marne, choć nie chcę zbyt natarczywie nalegać, by nie zranić jej dobrego serca. Możesz mi pomóc, de Chirolo, jeśli się zgodzisz.

- Chytry adwokat pomógłby ci bardziej.

- Nie, ty wystarczysz do tego zadania. Chcę przekazać wiadomość, ale nie mogę

wysłać nikogo z regimentu. To rozsądna taktyka. - Przyjrzał mi się uważnie ze śmiałą miną.

Końce jego wąsików zdrząły.

- Kaleki mag powiedział, że nie wróży mi dobrze. Znajdź kogoś innego.

- Lepiej będzie, jeśli powiem wszystko. Wiem o tobie więcej, niż dotąd zdradziłem.

Nie jesteś zwykłym beztróskim firecykiem, jakiego udajesz. Widziałem twój odważny lot balonem z Bucintoro, na grzbiecie czarnego wierzchowca ze srebrnymi podkowami. Od tamtej pory dowiedziałem się o tobie wiele. Wiem, że z damą, która uwięziła moje serce łączy cię intymny związek.

Okropne przeczucia, lekceważone znaki, strach - to wszystko nagle zawiroowało mi w głowie. Gdyby oficer nie miał żelaznego miecza, wyciągnąłbym przeciw niemu mój drewniany.

- Kapitanie... jesteśmy zatem śmiertelnymi rywalami! To ty jesteś tym młodym

galantem, o którym stale wspomina Armida.

Spojrzał na mnie zdziwiony.

- Nie znam żadnej Armidy. Dama, o której mówię odwiedziła twą kwaterę zaledwie wczoraj - powstrzymam się, jako dżentelmen, od pytań o to, co tam zaszło. Mój adiutant stale obserwował ją z daleka. Damą mego serca jest boska La Singla, cnotliwa i piękna pani moich uczuć.

- Ach tak, rozumiem... - Odetchnąłem z ulgą. Wprawdzie La Singli urody nie

brakowało, ale pozostałe przymioty istniały jedynie w wyobraźni żołnierza, który za wiele lat zmarnował wśród dziwek. Armida nigdy by nie zapragnęła takiego mężczyzny; ale La Singli mógł się bardzo podobać.

- Czy rozumiesz mnie teraz?

- Co wiesz o La Singli? - Tym razem to ja ruszyłem przodem. Oficer szedł krok za mną.

San Lasionio zaczął mówić o tym, jak bardzo uwielbia żonę Kemperera - zapewnienia o miłości brzmią tak banalnie, gdy wypowiada je inny mężczyzna – a ja w tym czasie starałem się znaleźć rozwiązanie. Obok mnie szedł drań, na którego tak narzekał Kemperer.

Sam wpadł mi w ręce, podobnie jak dzień wcześniej La Singla. Jak na czarną owcę, straszny był z niego baran!

Właśnie miałem obmyślić plan wykorzystania sytuacji dla własnego dobra, gdy

kapitan zajął się podobnym problemem.

- Moja boska La Singla wspominała mi o tobie, de Chirolo. Wiem, że cieszysz się zaufaniem tego starego tyrana, jej męża. Teraz też pewnie udajesz się do nich z wizytą.

Tymczasem mnie wzywają obowiązki. Regiment musi się przygotować do wymarszu. Służba nie druźba. Dlatego proszę cię o wielką przysługę - a w zasadzie, między dżentelmenami mówiąc, o niewielką pomoc. Proszę cię, byś w tajemnicy przekazał jej wiadomość. Może w to nie uwierzysz, ale boję się tego odrażającego starucha, któremu jest poślubiona. Jest zdolny do szerzenia kłamstw, które splamiłyby mój honor. Idź do niej i powiedz jej, że z desperacją czekam na jej decyzję.

Zatrzymał się. Pióra na jego czapce zadrżały tak samo, jak końce wąsów.

- Mów dalej.

- Jej decyzja jest dla mnie sprawą życia lub śmierci. Jeszcze dziś musi postanowić czy zostaje w okopach ze swym zramolałym mężem, czy też wyruszy ze mną i moim regimentem na podbój nowego życia. Takie jest moje ultimatum. Dopilnujesz, aby ta wieść do niej dotarła?

- Tylko tyle?

- Nie mam ci nic więcej do powiedzenia. Przekaż La Singli, że czekam z gotowym do strzału pistoletem, i że nawet teraz - *nawet teraz* - stoję z przytkniętą do skroni lufą, czekając na pomyślną dla mnie decyzję. Ja już wybrałem swoją strategię; teraz muszę poznać jej.

Zrobisz to?

- Mów dalej.

- Już nic do mówienia nie zostało. Powiedz boskiej La Singli - oczywiście tak, by nie doszło to do uszu tego starego kozła - że dziś o północy w Starym Moście będzie na nią czekał powóz. - Na palcach odliczał kolejne rzeczy.

- Mów dalej.

- To już wszystko. Będę w tym powozie czekał na nią o północy z pistoletem przytkniętym do głowy i z nadzieją, że zabiorę ją stąd.

- I ruszysz w pogoń za Tvrtko?

- Taka droga czeka mój regiment. Na północ, za wycofującym się osmańskim motłochem. Mogę na ciebie liczyć?

- Mam jej powiedzieć, że ma schadzkę z tobą, czy z królem Tvrtko?

Zwężając oczy mocno szarpnął za własny policzek.

- Proszę o pomoc, nie o kpiny. Gdybyś ty miał jutro stracić życie na obcej ziemi, czy trzymałyby się ciebie takie żarty?

- Na pewno nie rozważałbym ślubu dziś wieczorem.

Przystanęliśmy na ulicy przyglądając się sobie. Ponad jego ramieniem dostrzegłem elegancki mur, zza którego obserwowała nas na wpół ukryta stara twarz z bokobrodami.

Czyżby kaleki mag szedł za nami? Poczułem się nieswojo i pomyślałem, że czas dobić targu z moim oficerskim znajomym.

- Kapitanie san Lasionio, mam miękkie serce. Szczerze współczuję kłopotów

miłosnych, proszę mi wierzyć. Ale ja także, podobnie jak wszyscy mężczyźni, mam własne problemy w tej sferze. Darzę też pewnym uczuciem La Single. Czy aby na pewno masz szczerze zamiary? Gdybyś naprawdę wierzył, że jutro możesz umrzeć od ciosu bułatem, czy czym tam machają ci Turcy, powinieneś teraz na kolanach modlić się w St Marco zamiast zamawiać powozy na środek nocy?

Uderzył dłonią w udo.

- Grasz teraz rolę żołnierza, de Chirolo, nie kaznodziei. Bądź więc tej roli wierny. Czy przekażesz moją wiadomość szczerze, bez komentarza, czy też nie?

- Dobrze, powiem jak żołnierz żołnierzowi. Dostarczę wiadomość nie pomijając żadnego szczegółu twego planu. Wspomnę także o pistolecie, powozie, północy i o Tvrtko.

- O nim możesz nie mówić. Nie chciałbym przestraszyć damy.

- W porządku. Wszystko prócz Stefana Tvrtko. Zrobię to pod jednym warunkiem,

choć wiem, że ludzie honorowi nie stawiają warunków. Daj mi swoją czapkę. Oczywiście rozumiem, że nie możesz bez niej walczyć ani tym bardziej umierać. Twoja święta dama bez skazy przyniesie ci

ją o północy, na spotkanie w Starym Moście. Potrzebuję czapki tylko dziś; do wieczora powinna mi pomóc osiągnąć cel i przekonać Kemperera. Niech dzisiejszy dzień okaże się pomyślny dla nas obu.

Chwycił mnie za rękę.

- Możesz wziąć czapkę. Czy chcesz jeszcze czegoś? Pomożesz mi przecież w zdobyciu jej serca. Chciałbym się odwdzińczyć pomagając tobie.

- W niczym - a może! Ależ tak, potrzebuję dobrze ułożonego, spokojnego konia - może znajdzie się u was jakiś wierzchowiec, za stary, by gonić za Turkami Osmańskimi.

- Przecież musisz mieć konia!

- Owszem, muszę.

- Chodzi mi o to, że na pewno już jakiegoś masz. No cóż, widzę, że nie. Nigdy nie zrozumieć mieszczan. Ja wychowałem się w siodle. Dobrze, dostaniesz konia. Mamy zbyt wiele juczych, nie będziemy ich wszystkich ciągnęli przez góry. Dam ci adres, pod który się zgłosisz i jutro stamtąd odbierzesz wierzchowca. Idź tam z samego rana, bo inaczej kupiec sprzeda go na mięso. Żołnierze wszędzie mają długi.

- Czy jest czarny?

- Ma cztery nogi. To chyba wystarczy. - Podał adres.

Potem włożył mi czapkę na głowę. Pasowała jak ulał. Zapewnił mnie, że wyglądam doskonale. Raz jeszcze zadeklarowałem, że wywiążę się z roli posłańca. Na pożegnanie uścisnęliśmy sobie dłonie. Kapitan san Lasionio zasalutował i rażnym krokiem skręcił w cienistą, boczną drogę. Po chwili znikł mi z oczu.

W małej tawernie nad brzegiem kanału usiadłem przy stoliku w głębi, z dala od ciekawskich oczu. Sącząc trunek pogrążyłem się w rozmyślaniach.

Przynajmniej obiecał mi konia. Dobrze. Dzięki temu widziałem sprawy w znacznie lepszym świetle. Ale miałem dług wdzięczności wobec kapitana Johna Pellegrino san Lasionio. Honor zobowiązywał mnie do przekazania jego wiadomości.

Z drugiej jednak strony - jak okropnie by było, gdyby La Singla postanowiła z nim uciec! Co za cios dla teatru! Jaka szkoda dla mnie, dla Kemperera, dla Malacji! Pamiętałem, jak bardzo poruszona wydawała się poprzedniego dnia. Może rzeczywiście przygotowywała się do ucieczki z wytwornym kapitanem. Życie z Kempererem czasami musiało być dla niej nieznośne; nie żebym zaraz wolał jazdę powozem po wyboistych górskich drogach. Dla dobra La Singli musiałem jej przekazać wiadomość od kochanka. Ale...

Przed podjęciem decyzji postanowiłem porozmawiać z de Lambantem.

Rzuciłem garść parów na stół i wyszedłem. Kelner uklonił się, nazwał mnie

„kapitanem” i odprowadził do drzwi.

Gdy tylko wyszedłem na zewnątrz, z pobliskiej bramy wypadło dwóch

rzezimieszków. Zanim zdążyłem sięgnąć po miecz, wykręcili mi ręce do tyłu. Jak nietrudno sobie wyobrazić, walczyłem zażarcie, kopałem wściekle i wołałem o pomoc. Ale choć starałem się wyrwać, nie zdołałem się uchylić przed uderzeniami w głowę ani kopniakami w golenie. Oprawcy nie szczędzili mi ciosów.

Nie byli złodziejami. Nie zamierzali mnie okraść i uciec. Zaczęli mnie ciągnąć w stronę kanału Yamonal.

O każdy centymetr drogi walczyłem jak lew, wzywając na pomoc Szatana. Wołałem

im zapłacić niż dopuścić, by zniszczyli mój strój, ale oni pozostawali głusi na wszelkie propozycje - brudna łapa zakryła mi usta. Na brzegu kanału zacząłem się szarpać jak szalony i prawie udało mi się wyrwać, ale złapali mnie i zadali kilka ciosów od tyłu. Potem kopniakiem wepchnęli mnie do wody.

Zanurzyłem się w spienioną, zielonkawą ciecz. Pozostałem przy zmysłach - właściwie cały się w nie zmieniłem, tak jak ogień staje się gorącem. Czułem, że nie ucierpiałem fizycznie, tylko moja duma została urażona. Spotkała mnie wielka niesprawiedliwość.

Okropny, oślizły świat wody, symbolizował pochłaniającą mnie niesprawiedliwość.

Wydawało mi się, że nie zniosę takiego upokorzenia. Czułem się jak wypatroszona ryba.

Usunięto ze mnie radosną zwykle duszę i teraz pragnąłem już tylko umrzeć, utopić się, zniknąć w mule. Wyciągniętymi rękami poruszyłem nieczystości zaścielające dno kanału.

Pragnąłem już nigdy się nie podnieść z upadku. Tylko pożyczona czapka z piórami miała przetrwać tę zniewagę.

Każdemu się zdarza czasem oberwać. Ja jednak miałem wrażenie, że zawiedziono

moje zaufanie do świata. Lepiej by było, gdyby mnie zabili, gdybym już nigdy nie opuścił

tego dna, do którego słońce nigdy nie docierało. Wodorosty otarły się o moje powieki.

Chwyciłem je. Oderwały się od kępy i wypłynąłem wraz z nimi na powierzchnię.

Tuż przed sobą ujrzałem olbrzymi blok skalny z rzeźbioną głową diabloszczęka. W

pysku bestia miała żelazny pierścień. Bez zastanowienia chwyciłem się go. Wypluwając brudną

wodę podciągnąłem się w górę. Dwóch kelnerów widząc, że niebezpieczeństwo już minęło, przybiegło z tawerny, aby mi pomóc. Leżałem twarzą do dołu na kamieniach bruku.

Opierałem się, gdy próbowali mnie podnieść. Płakałem.

Ktoś - chyba przepływający obok flisak - wyłowił kapitańską czapkę, którą wciśnięto mi na głowę. Posadzono mnie. Moi oprawcy już dawno zniknęli w bocznej alejce. Wokół

mnie zbierał się tłum ludzi. Przyszli się przyjrzeć na wpół utopionemu egzemplarzowi nieszczęśnika. Niektórzy mieli na sobie fartuchy, część się śmiała, inni robili przestraszone miny, jeszcze inni się złościли.

Nie miałem zamiaru wystawiać się na pokaz. Niepewnie wstałem, przebiłem się przez krąg gapiów i ruszyłem biegiem przed siebie, przyciskając dłonią czapkę do głowy. Musiałem przedstawiać sobą niezły widok. Za mną ciągnął się mokry szlak. Przebiegłem przez ulicę, minąłem kuźnię, wpadłem na porośnięte zielskiem podwórze i padłem na ziemię potykając się o połamany kamień młyński. Nie miałem siły, by płakać, więc tylko ukryłem twarz w dłoniach.

W wyobraźni ujrzałem kapitana Johna san Lasionio, mknącego z prędkością wiatru po ponurych zboczach gór. Była z nim La Singla. Czy to on kazał tak mnie potraktować, obawiając się, że mam plany wobec jego ukochanej? Nawet w tak marnym stanie ducha, uznałem to za mało prawdopodobne. Może więc krył się za tym Otto Bengtsohn? To także nie było możliwe. Dopiero jako trzeci przyszedł mi do głowy Pozzi Kemperer.

To na pewno jego sprawka. Uparł się dopilnować wierności żony, dowiedział się o kapitanie i zastawił na niego pułapkę. A te osiłki, którymi Kemperer się tak chwalił wzięty mnie za oficera san Lasionio. Czemu nie? Czyż nie miałem na głowie czapki kapitana? Czy nie wyglądałem jota w jotę jak wojskowy?

Poza tym tacy bandyci znani są z głupoty.

Trudno. Maestro musiał zobaczyć dowody tego, co jego ludzie zrobili niewinnemu człowiekowi. Czulem się zdradzony. Nieszczęście sprawiło, że straciłem chęć do życia. Ale przecież nie można wiecznie leżeć na połamanym młyńskim kamieniu. Podniosłem się z wysiłkiem. Chlupało mi w butach. Strzepnąłem czapkę i ociekając wodą ruszyłem ku Dzielnicy Fragrant. Stary lis zasłużył sobie na to, by stracić La Single. Zamierzałem odegrać rolę wodnego Kupidyna i niezwłocznie dostarczyć żonie Kemperera wiadomość o potajemnej schadzce z san Lasionio.

- Szybko spełniła się przepowiednia kalekiego maga - powiedziałem do siebie. - Jemu podobni potrafią przewidywać przyszłość. Łoże, które dzielimy obaj z Lasionio należy oczywiście do La Singli. Choć pewnie sam już nigdy tam nie trafię, wiem, jaki raj czeka w nim na panów. Wspaniała kobieta. Nie zwykłem pomagać w tych sprawach innemu

mężczyźnie - zwłaszcza temu, za którego wrzucono mnie do śmierdzącego kanału.

Przepowiednia spełniła się podejrzenie prędko. Być może mag wziął od Kemperera zaliczkę; stale

powtarzano, że stary kret miał swoje wtyczki wszędzie tam, gdzie miała je Najwyższa Rada.

Przechodząc w poprzek Placu Rупpo zatrzymałem się, aby wytrząsnąć jeszcze kilka kropel z pożyczonej czapki. W odległym krańcu skweru, w tym samym miejscu co zwykle, na małym podwyższeniu siedział pulchny, młody astrolog Parterre. Przed nim dostrzegłem zgrabną i niewielką postać kobiety o złotych włosach. La Singla przysłała po kolejną radę.

Wciąż chlupocząc, przystanąłem za ruinami łuku, aby się jej przyjrzeć. Czułem naraz współczucie i złość. Do swego wróżbity mogła pójść zawsze, gdy tylko się znalazła w kłopotach, jak przerażone dziecko biegnące do matki. Fakt, że radziła się Parterra ponownie, świadczył o wzburzeniu, jakie kapitan wywołał w jej pięknej piersi.

Młody astrolog stał w cieniu, a La Single otaczał blask słońca, choć nie wydawał się już tak jasny, jak poprzedniego dnia.

Jakże wdzięcznie się poruszała! Jej gesty miały tak wiele ekspresji! Tylko zdolna aktorka mogła być tak wzruszająco naturalna. Astrolog pochylał się ku niej zafascynowany.

Widziałem jak poruszali ustami, ale stałem za daleko, by słyszeć ich głosy. Za to jej gesty mówiły tak wiele, że rozumiałem o czym rozmawiali, tak jakbym był tuż obok niej.

Zgodnie z umową wróciła po horoskop, jaki Parterre zgodził się jej postawić. Co za subtelna ekspresja! La Singla powinna się przyłączyć do *pantomimi* Tam nie potrzebowano słów! Nie osiągnęła jednak w gestach tak wielkiego mistrzostwa, abym mógł się domyślić, o czyj horoskop chodziło. Dopiero gdy Parterre wyciągnął z rękawa złożony arkusz papieru i wręczył go jej, zrozumiałem, że chodziło o wróżbę nie dla niej, lecz dla jej żołnierza. Właśnie wzięła los Lasionio w swoje ręce.

La Singla, z doskonałym wyczuciem czasu, wyjęła srebrną monetę z sakiewki

przywiązanej wstążką do sukni. Wcisnęła ją w dłoń astrologa. Pięknie wyglądała gdy tak sięgała w górę do jego ręki. Parterre zdołał się pochylić nie wstając z fotela.

Odwracając się bokiem do podestu, La Singla rozłożyła papier i spojrzała na zapisane tam słowa. Jej dłoń opadła w doskonałym geście! Twarz delikatnie pobladła! Wargi rozchyliły się przepięknie, a czubki palców uniosły się ku nim z przerażeniem! Och to przejmująco smutne spojrzenie! Łzy nagle wypełniły jej oczy i zaczęły spływać po policzkach! Co za teatr! Co za doskonała kulminacja!

Z miejsca gdzie stałem - jak daleki widz - z subtelnych ruchów dłoni aktorki

potrafiłem odczytać treść horoskopu kapitana Lasionio, tak jakbym sam patrzył na zapisany pergamin.

W teatrze cieni godziny życia oficera były policzone! La Singla i astrolog

gestykulowali spoglądając najpierw na wschód, a potem ku północy. Ach Tvrtko, okrutny twój miecz! Zdradziecka nienawiść *giaura*! Zasadzki w wąwozach gór Prilipit czekały już na tych, którzy śmieli cię ścigać! Biedny Lasionio! Taki młody! Tak krótko żył! Gwiazdy sprzysięgły się przeciw

tobie, tak jak się tego obawiałeś! Spójrz tylko, twoja dama łapie się za głowę, jakby ścisnęła w dłoniach twoją odciętą!

Ze spopieliałą twarzą i drżącymi wargami La Singla wcisnęła papier za stanik sukni i biegiem umknęła z placu. Jej ucieczka była równie wymowna, co każde zejście ze sceny! W

ostatniej sekundzie spojrzała w stronę mojej kryjówki!

Tak jak podejrzewałem, instynktownie postępowała jak aktorka. Zawsze najlepiej wypadła przed publicznością. Od początku wiedziała, że ją obserwuję! Chwilę wcześniej przypuszczałem, że złe wieści przekazane jej przez Parterra każą jej natychmiast biec do kapitana Lasionio. Wyobrażałem sobie, jak błaga go, by pozwolił regimentowi ruszyć w drogę bez niego, by sprzeciwił się losowi wyznaczonemu przez gwiazdy. Ale teraz już wiedziałem, co zamierzała.

Zastanawiając się nad znaczeniem jej ostatniego spojrzenia, uznałem, że zachwyty z jakim odegrała pantomimę, równał się jej udręce. Potrafiłem to zrozumieć. Nie chodziło o to, że w jej duszy sztuka i serce zajmowały to samo miejsce; po prostu sztuka i serce były dla La Singli jednością.

Powóz mógł sobie odjeżdżać o północy, La Singla nie zamierzała do niego wsiadać.

Nie chciała odgrywać ról swego życia na jakiejś niedostępnej górze, przed widzami, których oczy zasłzyły śmiercią. Woliała grać przed tymi, którzy mogli docenić pełnię jej magicznych umiejętności (a do nich zaliczał się Kemperer). Taką już miała naturę. Wojskowy rygor musiał ustąpić artystycznemu temperamentowi. Kochała, cierpiała, krwawiła - i wołała nadal to ciągnąć, niż zupełnie przestać kochać, cierpieć i krwawić.

Wciąż mokry po przymusowej kąpieli, ale z łżejszym sercem pomaszerałem do

Kemperera, aby zwymyślać go za straszną omyłkę. Zauważyłem, że La Singla wśliznęła się do domu bocznym wejściem. Ja przeszedłem środkiem dziedzińca, przy akompaniamencie wycia psów. Stałem przed Kempererem w obecności tuzina świadków, dla efektu ociekając na jego dywany.

- Mój drogi Perianie, co za nieszczęście cię spotkało! - Podskakując przede mną sięgnął ku mnie zwiędłymi dłońmi i wyszczerzył nierówne zęby. - Co się stało? Pobito cię na ulicy, jak zwykłego cudzołożnika! Można by pomyśleć, że się komuś naraziłeś. Pewnie miejskie szumowiny pękały ze śmiechu patrząc jak nurkujesz między ryby. Szkoda, że mnie tam nie było.

- Na nic ci się zda przeproszenie mnie teraz, Kemperer! W tej chwili kończą się nasze wspólne interesy, jeśli nie otrzymam pełnej rekompensaty. Wiem, że posłałeś na mnie swoich gburów.

To co nastąpiło później, okazało się najgorszą sceną w mojej karierze. Maestro chwycił mnie za przesiąknięty rękaw i zaciągnął do swego gabinetu.

- Wstąp do mego biura, drogi chłopcze, biedny, przemoczony dragonie. Pomówmy o wszystkim na osobności. Oj, oj, nawet pióro ci oklapło, aż boję się myśleć, jak wyglądają inne części twego ciała]

Zatrzasnął drzwi gabinetu i zamknął je na klucz, nie przestając przemawiać do mnie tym samym

tonem, choć w jego oczach zbierało się coraz więcej jadu. Dla podkreślenia rytmu wypowiedzi, machał mi przed nosem laską.

- Nie chcę, żebyś myślał, że moi posłańcy popełnili błąd, wojownikowi ze zmytą głową.

Oni się nie mylą. O nie, rozpoznaliby cię w każdym przebraniu, nawet najbardziej nieodpowiednim.

- Kłamiesz, stary dziwaku! Wzięli mnie za człowieka, do którego należy ta czapka.

- Bynajmniej, rybi fircyku. Mnie nie oszukasz. Moi ludzie się nie pomylili. Wczoraj śledzili moją drogą, wierną małżonkę. - Mina, która wykrzywiła mu twarz przy tych słowach godna była samego diabloszczęka. - Całe popołudnie, tak jak im kazałem. Widzieli, jak zwabiasz ją do swej słynnej dziupli. Sprawdzili, jak długo tam siedziała, w twoich oślizłych objęciach. O wszystkim mi wiernie donieśli... W Malacji wszyscy są obserwowani. Nie wiedziałeś o tym, utopcu?

Po każdym zdaniu Kemperer uderzał mnie laską po ramionach tak mocno, że z ubrania tryskała woda.

- Ależ ja jestem niewinny, ty zbereżny, niewdzięczny intrygancie. Niewinny!

- Podobnie, jak niewinny jest kogut, parszywy zgniłku! - Płask! Kolejne uderzenie laski.

- Jestem niewinny. Nigdy jej nie tknąłem, niesłusznie mnie posądzasz. Na kości przodków, wiesz, że się brzydzę zazdrością. Ty jesteś nią przeżarty, zapleśniały kundłożerco!

- Owszem i nie wstydę się tego. Dlatego postanowiłem się rozprawić z tobą i tamtym burakiem z kawalerii, z jego powozami czekającymi o północy. On będzie cierpieł później!

Zapłaciłem osiłkom, żeby wrzucili cię do kanału i przyznam, że dobrze wydałem te pieniądze.

Ty się tu użalasz nad sobą, a na zewnątrz pochlipuje Maria. - Płask! Płask!

Zmęczony oparłem się o drzwi i wytarłem twarz.

- Istny z ciebie diabeł! Za nic masz jej zranione uczucia...

- Sama sobie winna! Niedługo wróci jej rozum. - Płask!

- A co ja dostałem za to, że próbowałem ci się przysłużyć. Powiedziałem kapitanowi Lasionio, żeby trzymał się z dala od twojej żony i oto jak mi za to odpłacasz. Gdybyś tylko wiedział, jak bardzo się brzydzę...

Wybuchnął złośliwym śmiechem i dziwnie podskoczył przekręcając klucz w zamku i otwierając drzwi.

- Na uniwersum, jesteś jak Karagog, mokry pachołku. W żadnej roli nie spisujesz się dobrze! Jako

kochanek nie odniósł sukcesu, jako żołnierz skończył z zmytą głową!

Może teraz wreszcie zrozumiesz, że aktorstwo jest bezpieczniejsze, niż pchanie się tam, gdzie twoja gęba nie jest mile widziana]

Moje protesty zdały się na nic. Opuścił mnie zwykły humor. Że też po świecie

chodzili ludzie tak ślepi na uczucia i wrażliwość innych! Wychodząc z gabinetu kichnąłem.

Kemperer słysząc to zarechotał.

Spojrzałem na niego ponuro.

- Chłód tego kanału na pewno mnie przeniknął. Podzielę los san Lasionio, który zmierza teraz ku wąwozom Prilipitów. Umrę młodo.

- Bzdury pleciesz, płazie! Tylko głupie baby wierzą w horoskopy. Moja bezwstydną żona jest większą idiotką, niż sądziłem. Uwierzyła w fałszywą przepowiednię. Pozbieraj się chłopcze i przestań moczyć mi dywany. Popłyń sobie do domu, osusz się i zapamiętaj tę lekcję.

Tak bardzo byłem roztrzęsiony, że dopiero później - dobrze po północy - pojąłem znaczenie jego kpin o fałszywym horoskopie. Zapłacił Parterrowi, tak jak oprychom, którzy o mało mnie nie zabili.

Dotąd malowałem radosny obraz życia; ale ten bezduszny atak uświadomił mi, że

ludzie przeważnie myślą tylko o własnej korzyści. Oczywiście ja najbardziej obawiałem się o moje dobro. Moja miłość do świata została nadwerężona. Straciłem zapal do życia.

Na szczęście, wciąż istniał wygodny, znajomy, stary świat wzniesiony z

rozsypujących się płytek terakoty, chwiejący się między Szatanem a Bogiem. Żyłem w nim, tak jak inni mieszkańcy. Odgrywałem rolę przed zahnoskopem - już prawie kończyliśmy sztukę o Mendiculi - starałem się o konia, którego obiecał mi san Lasionio, przesyłałem wiadomości Armidzie i próbowałem jakoś zapełniać żołądek.

Mandaro udzielił mi dobrej rady, Seemley Moleskin spojrzał na mnie z ukosa i

ostrzegł, że nazajutrz miałem zostać napadnięty, i że moje życie niezmiennie postępowało ku zwierzęcości. Postanowiłem zapomnieć o obu i tego wieczora udałem się w ruiny Łaźni Callacappo za Areną, gdzie w samotności chciałem kurować moją zranioną duszę.

Ogromne mury otaczające łaźnie trwały na tym samym miejscu od wielu setek lat. Ich łuki, sklepienia i schody wciąż jeszcze stały, choć porastał je gąszcz wawrzynów, mirtu i kwitnącej kaliny. Niepewnie wspiałem się na poziom, z którego widziałem z góry kępy kwitnących drzew rosnących teraz w centrum łaźni. Przysiadłem tam, śledząc bieg poskręcanych korzeni krzewów, ukazujących się węzłowatymi zgrubieniami w przerwach między kamieniami muru, którego chwytały się jak podpory.

Siedziałem cicho, zatopiony w myślach. Zwierzęta, które miały w tych ruinach

schronienie, w końcu wyszły z ukrycia i zaczęły się bawić. Najwspanialej prezentowała się para kłodołapów zwanych też szarpakami. Gnieździły się w podupadłym portalu wysoko nad ziemią. Wejście do ich kryjówki zasłaniały pędy bluszczu i wawrzynu. Samiec i samica wychynęli spomiędzy liści, żeby ostatnie godziny przed zmierzchem wykorzystać na kąpiel w słońcu.

Zwierzęta te przypominały dość pospolite na ulicach miasta kurczowężę, tyle że odznaczały się mocniejszą budową. Uważałem szarpaki za jedno z najpiękniejszych prazwierząt. Miały szlachetne, małe głowy osadzone na proporcjonalnej długości szyjach.

Para, którą obserwowałem, siedziała wyprostowana, z podwiniętymi ogonami, zgrabnymi łapkami wpychając do pysków liście. Ponieważ nie był to okres godowy, samiec miał to samo soczyście zielone ubarwienie, co jego partnerka, na brzuchu przechodzące w barwę jaskrawej akwamaryny. Piękną skórę samicy znaczyły lekkie prążki, za to brakowało jej podwójnego rzędu rogowych tarcz, które zdobiły grzbiet samca.

Zwierzęta dostrzegły mnie, ale nie wzbudziłem ich niepokoju. Dzięki fałdom skóry wokół pysków i oczu wyglądały łagodnie. Jeśli były potomkami jakiejś pradawnej linii, z której - jak twierdzili uczeni - rozwinął się też rodzaj ludzki, nie mieliśmy się czego wstydzić.

Stworzenia te, tak jak wiele im podobnych, żyły spokojnie i szczęśliwie. Nie musiały nikomu niczego udowadniać. Tymczasem...

W głowie miałem pełno marzeń o wspaniałych czynach. Czaszki szarpaków na pewno wolne były od takich urojeń.

Za dwa dni, podczas łowów w Juracji, miałem szansę zdobyć sławę, pozycję

społeczną i Armidę. Chciałem wszystkim dowieść mej odwagi. Przymusowa kąpiel w brudnym kanale była poniżej mojej godności. Kaleki mag przepowiedział, że muszę płynąć pewniej; zamierzałem go usłuchać. Wciąż jednak nie mogłem uwierzyć, jak bardzo zraniła mnie tak błaha sprawa. Gdy kiedyś ojciec wyrzucił mnie z domu, odszedłem ze śmiechem i z dumną miną, pomimo upokorzenia, jakie mnie spotkało.

Myśl o ojcu przypomniła mi, że nie wróciłem, by sprawdzić, czy teraz lepiej się nim opiekowano. No tak, życie toczyło się wśród ruin niedotrzymanych obietnic.

Nie zapomniałem też o kapitanie kawalerii z Tuscadii. Zastanawiałem się, co czuł

prowadząc armię przez przełęcz Prilipitów. Nie miał u swego boku jedynej kobiety, dla której stracił serce. Był dzielny i wierzyłem, że przetrwa. Nie wiedział, że Kemperer go przechytrył. Życzyłem mu dobrze - oby jak najdłużej siekł i gromił brodatych Turków!

Ptaki wracały do gniazd w ruinach. Małe, ćwierkające wróble, drozdy, zięby i

pikujące cavoroty, które późnym latem odwiedzały Malację. Robiło się coraz chłodniej. Słońce

zanurkowało za murami miasta, wypełniając niebo całą gamą kolorów. Takie piękno docenić można było tylko duszą.

Opuściłem moje orle gniazdo, gdy było jeszcze dość jasno, bym mógł znaleźć bezpieczne oparcie dla stóp.

Łowy

Lotni ludzie uderzali w cztery wielkie dzwony katedry. Do St Marco dostałem się na grzbiecie Kaprysa. Zostawiłem konia w stajni i pieszo ruszyłem do wejścia Zachodniego, gdzie czekała na mnie Armida. Stała przy jednym z posągów, w towarzystwie de Lambanta, Bedalary i przyjaciół, których nie znałem. Za całą grupą kryły się ponure cienie Yolarii, Jethony i innych opiekunek. Wszystkie wyglądały podobnie w burych sukniach i koronkowych czepkach.

Całując dłoń Armidy spojrzałem jej w oczy i pomyślałem, że nadal mnie kocha.

Wielokrotnie dawała mi to do zrozumienia podczas dwóch cudownych dni pracy przed zahnoskopem Ottona.

- Masz we mnie wiernego sługę - przywitałem ją krótko, jak przystało mężczyźnie, którego powszechnie podziwiano. Ukłoniłem się pozostałym, mrugając porozumiewawczo do de Lambanta. Miałem nadzieję, że zdołam zamienić słowo sam na sam z Armida. Być może po Jutrzni, bo ponownie mieliśmy stanąć przed zahnoskopem. Tymczasem musieliśmy poprzestać na uśmiechach i komplementach.

Wszystkim dopisywały humory. Zebrani przyglądali się sobie nawzajem, podziwiali fasadę katedry, lotnych krążących nad głowami oraz dostojników tłumnie przybywających na plac, tak jakby cierpieli na nadmiar energii, którą postanowili spożytkować dla ogólnego dobra. A może przyszli tu dla własnych korzyści? De Lambant tryskał wigorem. Jego ironiczne uwagi śmieszyły obie panny i resztę towarzystwa. Uśmiechnąłem się do niego z wdzięcznością. Dał mi czas na dopasowanie się do kompanii.

Śpiewano pieśni modlitewne na otwarcie sezonu polowań na prazwierzęta. Wielu

członków społecznej elity natychmiast po mszy wyruszało do myśliwskich siedzib. Nawet ja, biedny aktor, miałem nazajutrz ruszyć za nimi. Żałowałem tylko, że nie cieszyło mnie to bardziej.

Nadjechał powóz Hoytolów. Jego pasażerowie wysiedli i Armida natychmiast

potulnie zajęła miejsce u boku ojca. Andrus Hoytola uśmiechnął się blado do wszystkich; gdy spojrzał na mnie, jego twarz skrzywiła się nieco. Wraz z żoną ruszyli po schodach katedry zabierając Armidę i jej młodszą siostrę, Lenę. Za nimi szła opiekunka i dwoje służących.

Hoytola po drodze pozdrawiał zebranych niedbale kiwając dłonią. Podobne wejście miała rodzina

Nortolinich - Caylus wesoło skinął głową mnie i de Lambantowi - porywając z naszej kompanii Bedalarę i Jethonę. Pozostali przyjaciele Armidy ruszyli ku wejściu do katedry.

De Lambant i ja na moment zostaliśmy sami. Spojrzeliśmy na siebie unosząc brwi.

- Według rodzinnej legendy, de Lambantowe byli niegdyś potęgą w Tuscadii, ale miało to miejsce ponad sześćdziesiąt pokoleń temu - powiedział.

- De Chirolom przyjdzie czekać na uznanie jeszcze sześćdziesiąt pokoleń, jeśli w ciągu kilku najbliższych dni nie dopisze mi szczęście.

- W takim razie chodźmy i pomódlmy się o nie. Weszliśmy we wszechogarniający półmrok wnętrza katedry.

- Jesteś zadowolony z życia? - spytał mój przyjaciel.

- Zadaj to pytanie inaczej, jeśli możesz.

- Mistrz Bledlor ukończył już kielichy - powiedział, tak jakby mnie nie usłyszał. -

Dostarczył je wczoraj wieczorem. Szybko się uwinął. Są naprawdę idealne. Mam nadzieję, że uszczęśliwią Smaranę. Doszły nas słuchy, że Traytor Orini jest pijakiem i libertynem, a jego siostra, Teresa, dziwką pierwszej klasy. Bardzo zachęcająca perspektywa... Gardzę brakiem moralności u innych, a ty?

We wnętrzu katedry wisiał gęsty półmrok. Hostie światła przenikały do środka przez wysokie okna, unosząc się w ogromnej hali niczym oka w rosole i rozplływając się w cieniu zanim jeszcze opadły na kamienne dno katedry. Chmury woni kadzideł unosiły się ku sklepieniu, układając się w skomplikowane formy, przypominające kształty srebrnych i brązowych kadzielnic. Aromaty styraksu, olibanu i kory kaskaryli gęszły zapach ludzkiej ciżby kipiącej w nawach. Przy wejściu ustawiliśmy zapalone świece, ucałowaliśmy obraz Minerwy i weszliśmy w tłum.

Z miejsca Wielkiego Kapłana, zza słynnego rzeźbionego ołtarza-ekranu St Marco, dobiegał elektryzujący, żaloszny lament Wielkiej Religii. W głosie tym brzmiały miłość i rozpacz. W mroku zaczęły się pojawiać bardziej wyraźne kształty; wierni pozostali mętną zupą, ale na każdym filarze, od podłogi po kopułę, wyłaniały się rzeźby świętych i satyrów.

Przedstawiono ich w pozach wyrażających spokój, cierpienie albo ascetyzm. Spoglądali w dół

spod ciężkich powiek, cali połączani, lecz nie widzieli skruszonych wiernych, bo w St Marco kwitła rozpusta, podobnie jak w operze. De Lambant i inni moi przyjaciele zabawiali się z dziewczętami w tłumie, podczas gdy Opiekun Podwójnych Świętości co chwila przysypiał, zadzierając głowę ku ozdobnemu sklepieniu. Wielu znakomitych mężów przyjmowało opłatek z jego dłoni poplamionej nasieniem młodocianych kochanków.

- Mediatoroko, zechciej spojrzeć łaskawie na naszych braci, którzy zebrali się tu, pod Twym triumfalnym skrzydłem i zamierzają wyruszyć na niebezpieczne łowy - zawołał Wielki Kapłan spoglądając na wizerunek Minerwy. - Niech dane im będzie, za Twoim

wstawiennictwem, pojąć sercem, że gdy się czas dopełni, Świat stworzony przez Szatana, odkupiony zostanie przez Pana Boga... Aby zdobyć łaskę obu Przeciwników, wyruszamy zabijać naszych przodków i spożywać ciała naszych Ojców.

- Niech ci, którzy udają się na łowy, nie zapominają, że Szatan powołał nas do życia w sobie wiadomym celu, a zwierzęta symbolizują jego przeklętą krew. Są potępione, jak my wszyscy. Pozwól im, o Mediatoroko, skosztować dziś twego Świętego Ciała, oczyścić ich, aby, jeśli jutro przyjdzie im zginąć, nie odrodzili się jako niżsi satyrowie, gnomy i pradawne zwierzęta, które bliższe są Ciemnemu Stwórcy i jego przerażającemu dziełu. Wszyscy podążamy ku górze, w stronę większego Światła, które z ciebie bije, dopóki nie zaliczysz nas w poczet Twoich istot, w świecie, który Wszechmogący planuje zdobyć.

Zagrzmiały wężowe trąby i zebrani zaczęli odpowiadać nierównym pomrukiem.

Wąż na lasce opleciony...

... z gnozy wszelkiej oczyszczony.

Gady wielkie ze szponem ptasim.....

Przypominają o upadku naszym.

Mądrej sowie wiatr lotki muska w mroku...

... Lecz oto wschód słońca pozbawia ją wzroku.

Małpy, co fruwały cudacznie, dziwacznie...

Chcą nami władać, zazdroszczą nam znacznie

I czekają, aż ich panowanie się zacznie.

Gdy zacząłem, się przeciskać do przodu, aby z rąk kapłana otrzymać opłatek i wino, dołączył do mnie de Lambant.

- Po co sobie zawracasz głowę? Przecież nie idziesz polować.

- Mam dla ciebie dobre wieści, a przynajmniej mam nadzieję, że dobre. Ojciec

Bedalary, stary gbur, wciąż mi wszystko utrudnia, ale ukochana zdołała przemycić mnie do Juracji jako muzyka. Zarobię na kolację śpiewem, podczas gdy ty będziesz się popisował

odwagą w borach, masakrując slobbergoby i walirogi.

- To wspaniała wiadomość. Przydadzą mi się tam przyjaciele. Pewnie będziesz widywał Armidę częściej niż ja. Proszę cię, trzymaj się blisko niej, obserwuj ją i ochraniaj. Obawiam się pewnego szlachetnie urodzonego rywala...

Przerwaliśmy rozmowę, aby przyjąć komunię.

- Dusza i ciało... symbole wielkiej schizmy... w Tobie w jedno się łączą... - wyszeptaliśmy obydwoj.

Przezuwając opłatek zaczęliśmy się przeciskać ku bocznemu wyjściu.

- Naprawdę masz wobec Armidy poważne zamiary? - zapytał de Lambant.

- Guy, nie naśmiewaj się ze mnie. Od niedawna nie jestem sobą. Coś we mnie wstąpiło. Nie zauważyłeś?

- Ostatnio rzadko się widywaliśmy. Czy to przez Armidę?

- Tak. Chcę czegoś dokonać. Och, są rzeczy, których nie potrafię wyrazić słowami...

- To mi wygląda na miłość. - Ze współczuciem poklepał mnie po ramieniu.

- Przysięgam, że nigdy nie spojrzę na inną kobietę. No, może spojrzę, ale nic więcej.

Żałuję wielu rzeczy, które miały miejsce odkąd ją poznałem. Dla niej warto się zmienić, nie sądzisz?

- Owszem, to wspaniała dziewczyna. I do tego bardzo ładna - powiedział niedbale. -

Ale w Malacji pełno jest cudownych dziewcząt. Zaszła w tobie ogromna przemiana, de Chirolo. Wcale nie na lepsze.

- Proszę tylko, abyś na nią uważał w Juracji, gdy mnie przy niej nie będzie.

- Możesz mi zaufać, przysięgam. Zrobię wszystko, co w mojej mocy, by się przysłużyć twojej sprawie, skoro tego właśnie chcesz.

Z lżejszym sercem pożegnałem przyjaciela na skwerze i ruszyłem do stajni, zabrać stamtąd Kaprysa. Czekał mnie ostatni występ przed zahnoskopem Bengtsohna.

Ponownie miałem okazję się przekonać, jak inaczej wyglądał świat z końskiego grzbietu.

Bez konia nie dało się nikogo przekonać, że jest się dżentelmenem. Wspaniały kapitan John Pellegrino san Lasionio - który przemierzał właśnie nieznane góry bez swej miłości u boku - stracił chyba wielu ludzi, skoro przeznaczył tak wspaniałego rumaka na juczne zwierzę. Co prawda wałach lekko kulał od ciosu mieczem w kłęb.

Kaprys miał wysokość szesnastu dłoni i maść zmatowiałego brązu. Do zębów i

usposobienia nie miałem zastrzeżeń. Jednym słowem, san Lasionio wyświadczył mi przysługę, a ja nie odpłaciłem mu się tym samym.

W Pałacu Chabrizzich panował spory ruch. Służba przygotowywała się na powrót

państwa z wakacji, wyganiając krewnych, po kryjomu przyjętych do własnych kwater i z furią trzepiąc w oknach dywany, aby usunąć ślady okresu zaniedbania.

Bengstohn także już kończył pracę. Przygotowując naszą merkuryzowaną sztukę

zebrał okazały dobytek. Było tego sporo, nawet bez kostiumów, które trzymano w skrzydle pałacu. Sam Otto wraz z korpulentną, starą żoną Florą oraz Letycją właśnie ładowali wszystkie niepotrzebne już dekoracje na stojący obok mały wózek. Bonihatch opierał się o filar wystawiając twarz do słońca. Obok niego stał twardogłowy Solly - krępy, nierozgarnięty pacholek, który wybuchł śmiechem, widząc jak wjeżdżam konno na dziedziniec.

- Nigdy dotąd nie widziałeś porządnego konia? - spytałem go.

- Nie widziałem, żeby kurczowąż jeździł wierzchem!

- Książę Mendicula powinien zadbać o to, by jego szkaradni poddani pamiętali, gdzie jest ich miejsce - powiedziałem do Bonihatcha mijając go.

Nie zareagował na zaczepkę. Ruszył za mną i poufale położył dłoń na siodle Kaprysa.

- Podjezdek, ha? Zawsze miałeś pomysły za wielkie na twoją głowę. Co teraz po niej chodzi, de Chirolo?

- Chyba już czas, byś wyskoczył z tej poplamionej tłuszczem tuniki i włożył swoją elegancką koszulę.

- Przemawia przez ciebie zazdrość! Posłuchaj, de Chirolo, dobrze wiem, że

próbowałeś uwieść pannę Złotoróg i wycygnąć od niej taką koszulę, jak moja.

- Ty dostałeś swoją w taki właśnie sposób. Skoro tak, to proszę bardzo, zatrzymaj ją sobie. Czy ta biedna, mała lisiczka przekupuje cię ubraniami, gdy czegoś od ciebie chce?

Obnażył zęby, pochylił głowę i podniósł pięści. Puściłem wodze i stanąłem

naprzeciwko niego.

- No dalej, tani zdobywco!

- Ty fircyku z pęcherzami na zadzie, zawsze grasz wydumane role!

- Popatrzcie tylko, kto teraz pluje jadem zazdrości?

Niespodziewanie przełknął złość i opuścił ręce. Odwracając się do mnie bokiem

kopnął ziemię, wzbijając w górę obłok kurzu.

- Nie chciałem wszczynać kłótni, de Chirolo, ale na widok tego, jak pysznisz się na tym zwierzęciu, zrobiło mi się niedobrze. W Malacji już wkrótce zajdą zmiany i ci, którzy chodzą do pracy boso będą mogli wyrównać rachunki z tymi, co wcale nie pracują.

- Tak już się mówi od tysięcy lat. Nie jesteśmy sobie równi, Bonihatch, więc zostaw mnie w spokoju. Mam dość kłopotów.

Spojrzał na mnie i przemówił spokojnie, gładząc przy tym bokobrody.

- Jesteś tłamszony i wykorzystywany, tak jak i my wszyscy. Tańczysz przed

bogaczami w swoich wymyślnych przebraniach, jak pies w krawatce, popisujący się przed tłumem wyuczonymi sztuczkami. Dołącz do nas i zapomnij o wszystkich, którzy z nas robią ofiary.

- Nie znudziło ci się jeszcze papugowanie Ottona?

- Zapomnij o korzyściach osobistych i pomyśl o idei wolności, o zmianach i równości.

- W tych kwestiach sam dam sobie radę lepiej, niż cały tłum obszarpanych pachołków.

- W porządku. - Popatrzył na mnie pogardliwie. W jego ciemnej i szerokiej twarzy błysnęły oczy. Za nim pojawił się Solly. - Dobrze wiedzieć, jaka jest twoja idea równości, de Chirolo! Chcesz się ożenić z Armidą Hoytolą i już na zawsze zostać jej pieskiem. Co za nędzny żywot! Ale ona nigdy cię nie poślubi - nie chce ciebie. A nawet gdyby chciała, jej nadęty ojciec nigdy by nie pozwolił na to swojej córeczce.

- Za kilka tygodni wcisnę ci te słowa w brudną gębę.

Zobaczysz, Bonihatch! Będziesz sobie musiał szukać roboty gdzie indziej.

- Ja na twoim miejscu, nie cieszyłbym się z jej zawodnych pasów cnoty, co to, to nie -

zadrwił Solly. Roześmiał się głośno, ale Bonihatch nie zwrócił na niego uwagi. Patrzył na mnie marszcząc brwi.

- Jeszcze nie wiesz, kto jest twoim prawdziwym przyjacielem - powiedział poważnie.

Odwróciłem się na pięcie i odszedłem. Zaprowadziłem Kaprysa do stajni i przebrałem się w strój Generała Geralda. Po raz ostatni miałem stać bez ruchu, patrząc, jak magiczna szklana soczewka Bengtsohna wsysa światło do zahnoskopu.

Praca nad *Radosną Tragedią Księcia Mendiculi* dobiegła końca. Zostały nam jeszcze tylko trzy lub cztery sceny do powtórzenia. Bengtsohn nadal nikomu nie pokazał rezultatów.

Już wbiłem miecz w (a raczej za) absurdalnego Mendiculę granego przez Bonihatcha.

Zginał bezsensownie. Letycja, jako Lady Jemima, wypija trujący eliksir i umierała na łożu przez całe pięć minut. Patrycja Armidy tyle samo czasu łkała oparta o osłoniętą materię balustradę, a ja równie długo pozowałem z triumfalną miną i czerwoną farbą na mieczu.

Musieliśmy jeszcze tylko powtórzyć kilka scen, które Bengtsohn uznał za niezadowalające.

Najpierw wróciliśmy do sceny początku zdrady, kiedy to Gerald pożądlawie spogląda na Patrycję, a Księżę Mendicula patrzy gdzieś w dal. Nic trudnego: pięć minut lubieżnych myśli ze wzrokiem utkwionym w tę cudowną pierś minęło szybciej, niż bym chciał.

W chwili przerwy podszedłem do Armidy.

- Nie mogę się doczekać, kiedy zobaczymy skończone dzieło. Dlaczego Otto trzyma je w takiej tajemnicy?

- Chyba mi nie ufa.

- Na pewno odniesiemy sukces! Staniesz się tak popularna, że będziesz musiała zostać aktorką; a wówczas twoja rodzina przestanie się sprzeciwiać naszemu ślubowi.

Usiedliśmy razem w cieniu, z dala od pozostałych.

- Generale Geraldzie, wprawdzie pańskie towarzystwo jest ekscytujące, ale wystarczy, że w domu muszę się bawić w szarady - powiedziała Armida. - Nigdy nie chciałam zostać aktorką.

- Nawet dramatyczną?

- To poniżej mej godności. Proszę, Perry, nie drażnij, mnie. - Odwróciła się ode mnie.

- Nie musisz się poniżać. Ja dorównam tobie... Ale czy aktorka to coś złego?

Utalentowana La Singla jest wysokiego rodu.

- Ojciec mi mówił, że to chłopska córka, która straciła honor jako bardzo młoda dziewczyna.

Zaśmiałem się.

- Tak, o jej pochodzeniu krążą różne opowieści. Wybrała karierę zamiast rzadko wietrzanej

posiadłości.

- Szczęśliwi ci, którzy mogą wybierać. - Jej twarz stała się nieprzenikniona.

- Wymknij się ze mną, gdy już skończymy. Na nowo odkrywamy tę pałacową kaplicę z paprociami. To nasza ostatnia szansa - wyszeptałem jej do ucha.

Uśmiechnęła się chłodno.

- Muszę wrócić do domu i przygotować się do podróży na wieś. Powinnam

przemyśleć jeszcze wiele spraw.

Spotkamy się w Juracji.

Mówiąc to, spojrzała na mnie z góry, zadzierając wspaniały nos. Jej oczy i wargi błyszczały. Poczułem, jak wzbiera we mnie pożądanie - jak za każdym razem, gdy odwracała się w moją stronę, a ja napotykałem te oczy, zarazem złote i ciemne, które bardziej przypominały oczy lwicy niż kobiety. Czulem, że spotkanie z nią, bez względu na miejsce, miało być najcudowniejsze na świecie.

Pracowaliśmy cały ranek. W końcu została nam do powtórzenia ostatnia scena.

Mendicula spotykał żonę i generała w różanym ogrodzie. Wspólnymi siłami twardogłowy Solly, Rhino, Bonihatch i Otto - kierowani przez Florę - zataszczyli zahnoskop do różanego ogrodu Chabrizzich. Zajęliśmy swoje miejsca. Bengtsohn załadował przezrocze i ustawił soczewkę.

Na pięć minut zastygliśmy bez ruchu, Mendicula przegrany, lecz daleki od rezygnacji, ja i Patrycja blisko siebie, ona spoglądająca z wyższością na swego księcia, ja wpatrzony w niebo, niepomny na szaleństwa ludzkiego losu.

- Wspaniale! - zawołał Bengtsohn zarzucając zasłonę na soczewkę. - Nasze dzieło skończone. Mam dla was dobre wieści. Rodzina Hoytolów zgodziła się, aby skromna tragedia *Księcia Mendiculi* została pokazana wszystkim na weselu Oriniego z de Lambantówną.

- Przed, czy po komedii *Fobio i Albrizzi*? - spytałem.

- Wszystko będzie dobrze, zobaczysz Perianie - odparł starzec. - Wszystko będzie dobrze... - Pokiwał głową i uśmiechnął się, pokazując pożółkłe resztki zębów.

- Nasza żywa komedia powinna mieć pierwszeństwo. Już została umówiona na drugi dzień uroczystości. *Mendicula* powinien zostać przedstawiony ostatniego dnia, na wypadek, gdyby nowość tej sztuki wzbudziła tak wielkie zainteresowanie, że goście nie chcieliby już oglądać nic innego.

- Jeszcze nic o tym nie wiem. Nie decyduję o planach. Nie decyduję o niczym. Jestem zwykłym sługą, który musi się podporządkować innym.

- Na wszystko przyjdzie kolej.

Po skończonej pracy wraz z żoną odciągnęli mnie na bok. Pomocnicy zaczęli składać zahnoskop i mocować go za wózkiem.

- Mistrzu Perianie, nie utrudniamy ci drogi do sukcesu. Zrób co w twojej mocy, aby pomóc naszemu dziełu. Tylko o to prosimy. To skromna prośba. Jeśli moje przedsięwzięcie odniesie sukces, może uda się nam osiągnąć jeszcze więcej.

- Przecież nie stoję tobie na drodze, Otto.

- Nie, ale myślisz tylko o własnych korzyściach.

Flora, żona Bengtsohna, miała zwisające kluski zamiast policzków i większe zwisające kluchy zamiast piersi i pośladków.

- Mistrzu Perianie, chcielibyśmy zaliczyć cię do tych, którzy stoją za Sprawą. Jesteś popularny wśród młodzieży Malacji. - Uśmiechnęła się i rozejrzała wokół, aby sprawdzić, czy nikt nas nie słucha. - Ci, którzy w naszym państwie sprawują władzę, nie chcą się nią dzielić.

Dlatego trzeba im ją zabrać. Zanim jednak dojdzie do rewolucji, należy przygotować sprzyjający zmianom grunt. Jest to konieczne dla dobra wszystkich. Mój mąż i ja jesteśmy już starzy, ale mimo to wytrwale pracujemy w imię przemian, tak jak robiliśmy to w Tolkhormie.

Nie możemy dopuścić do tego, by *Mendicula* przeszedł niezauważony, ponieważ musi on prowadzić do lepszych rzeczy. Zapomnij o osobistej dumie i pomóż nam, tak jak my ci pomagamy.

Po raz pierwszy żona Bengtsohna wygłosiła do mnie tak długą przemowę. Przyszło mi do głowy, że ci, którzy sprawowali władzę, byli zwykle uprzejmi i weseli, natomiast ludzie pragnący zmian, tacy jak Bonihatch, wydawali się agresywni, niezadowoleni i za wszelką cenę szukali kłopotów. Krytykując moją dumę, Flora dowiodła, że sama jest nie mniej dumna.

- *Mendicula* na pewno da sobie radę - powiedziałem. - Ale wielu nie uzna tej niemądrej historii o zdradzonej miłości za sztukę. Jej jedyną zaletą jest nowa metoda przedstawienia. Jakim cudem miałyby ona prowadzić do lepszych rzeczy?

- Właśnie *metoda* jest ważna - powiedział Bengtsohn. - Posłuchaj mnie uważnie, gdy już zasada merkuryzacji zostanie zaakceptowana, dzięki niej wiele będzie można dokonać.

Najważniejsza jest sama *merkuryzacja*. Nowości należy w tym państwie wprowadzać z wielką ostrożnością. Jeśli Rada nie wyda zakazu merkuryzacji, będziemy mogli wykorzystać wynalazek dla dobra społecznego.

- Prawdziwy z ciebie intrygant, Otto. Nie wyjdzie ci to na dobre.

Nie mogłem się uwolnić od tej pary, a Armida już machała wszystkim na pożegnanie.

Gdy wsiadała do powozu, pokazała ładną kostkę. W środku czekała na nią opiekunka z kwaśną miną.

- Sam widziałeś, jak latają moje balony - powiedział

Bengtsohn. - Wyobraź sobie zmodyfikowany zahnoskop uniesiony przez podobny

balon. Moglibyśmy merkuryzować obrazy ziemi z góry. Gdy następnym razem turecka armia rozłoży obóz pod murami naszego miasta, utrwalimy na szkle rozmieszczenie wojsk. Pomyśl tylko o korzyściach militarnych!

- I nie chodzi tylko o Turków - wtrąciła Flora biorąc mnie za rękę. - W obrębie murów mamy gorszych wrogów niż za nimi. Moglibyśmy potajemnie merkuryzować z balonu widok Placu Fetter, Pałacu Renardo oraz wielkich labiryntów Pałacu Biskupa Elekta. Te piekielne miejsca będą wówczas miały przed nami mniej tajemnic, a nasze rewolucyjne rady na pewno wykorzystają to jako skuteczną broń.

- Bo merkuryzacja jest *bronią* - dorzucił Bengtsohn.

- Uważaj, co mówisz mistrzowi Perianowi. Teraz posiada on konia - powiedział

Bonihatch zbliżając się do nas. - Ma nadzieję galopem dotrzeć do uprzywilejowanego łoża, a kiedy już tam trafi, wszystko co mu teraz mówimy może dojść do niepowołanych uszu.

Wystarczy, że wspomni o czymś w zwykłej rozmowie kochanków, zanim przystąpi do kolejnego szturm.

Odwrociłem się ze złością, ale starzec powstrzymał nas obu.

- Trzymaj język na wodzy, Bonny. Nie chcemy mieć wrogów we własnym gronie. Ale rozumiem twoje ostrzeżenie. Perianie, postępuj mądrze. A mądrze postępuje tylko mądry człowiek. - Pokiwał głową i odszedł. Żona podążyła za nim.

- Szukasz kłopotów, co? - zaczepiłem Bonihatcha. Potarł dłońmi ramiona i pokręcił głową.

- Zgadzam się z Ottonem i Florą. Chcę, abyś się przekonał, po czyjej stronie leży prawda. Jesteś jedną z ofiar, podobnie jak on i ja.

- Ale zamierzam stać się jednym ze zwycięzców. Zostawiłem go i poszedłem do stajni zabrać stamtąd Kaprysa. Z przygnębieniem pomyślałem, że plan sztuki o Mendiculi, do którego przystąpiłem z lekkim sercem, kończył się dla mnie ponuro. Armida powinna była na mnie poczekać.

- Na kości, reformacja sprawia, że człowiek zupełnie zapomina o niefrasobliwości - powiedziałem do siebie półgłosem.

W cieniu, w głębi stajni, za przeżuwającym siano Kaprysem, stała Letycja. Na mój widok uśmiechnęła się i podeszła wyciągając do mnie ręce.

Ująłem jedną z nich i ścisnąłem. Postanowiłem traktować ją oficjalnie, ale jej uśmiech ucieszył mnie.

- No cóż, Letycjo, to już koniec naszej sztuki. Musisz teraz wrócić do szycia koszul i obrusów. Ja dość już mam nędznego losu, więc wybieram się w góry polować na

diabłoszczęki i inne groźne prazwierzęta.

Cofnęła dłoń i opuściła głowę, próbując ukryć rumieniec, który ubarwił jej policzki.

- Jestem dla ciebie nędznym losem? Tak właśnie o mnie myślisz...

- Och, nie to chciałem powiedzieć. Wy jesteście tacy drażliwi!

- Rzeczywiście, wy! - Wciąż zarumieniona podniosła głowę i spojrzała na mnie

surowo, niemal władczo. - To prawda, Perianie, że nie mam powodów do dumy. Ale pomyślałam, że zaczekam tutaj, z dala od innych, aby się z tobą pożegnać, ponieważ już się nie spotkamy. Chciałam ci powiedzieć, że choć ten mały drań Solly się z ciebie naśmiewał, mnie się podobałeś na koniu.

- Kochana Letycjo, nie zasłużyłem sobie na takie dobre traktowanie z twojej strony.

Czasami naprawdę zachowuję się jak kurczowąż!

Po raz pierwszy słyszałem, by śmiała się tak swobodnie.

- Ja sama nigdy konno nie jechałam i nie wiem, czy kiedyś tego spróbuję.

- Pewnego dnia przewiozę cię na Kaprysie. Trochę kuleje, ale wspaniałe z niego zwierzę, prawda Kapri, mój druhu? Czas już na mnie. Muszę wykupić parę butów z lombardu.

Położyła dłoń na uździe wałacha i spojrzała na mnie niepewnie.

- Miło było z tobą pracować, Perry. Mówię ci to śmiało. Jesteś pierwszym aktorem, z jakim miałam okazję rozmawiać - to znaczy rozmawiać naprawdę, nie o interesach, bo wcześniej zdarzało mi się szyć kostiumy dla aktorów z uniwersyteckiej trupy. Takiego życia można pozazdrościć.

- Niektórzy tak właśnie sądzą. Inni tym życiem pogardzają.

- Decydując się na nie, mogłabym poprawić moją sytuację i pomóc rodzinie bardziej niż w tej chwili... Sam tak mówiłeś. Czy ty... Sądziś, że mogłabym zostać zawodową aktorką? To znaczy... - pośpieszyła z wyjaśnieniem, jakby obawiała się mojej odpowiedzi -

wiem oczywiście, że trzeba mieć talent i urodę większą niż moja. Już nigdy pewnie nie zagrałabym Lady Jemimy, ale może mogłabym grywać role komediowe, jak sądzisz? Istnieje jakaś szansa, by

maestro Kemperer przyjął mnie do swojej trupy?

Ująłem jej wężę dłonie. Oboje stanęliśmy tuż obok konia patrząc na siebie.

- To naprawdę trudne życie, zwłaszcza dla dziewczyny.

- Jestem przyzwyczajona do trudów.

- Jeśli myślisz o tym poważnie, być może mógłbym szepnąć słowo Kempererowi. Ale obecnie nie jestem z nim w najlepszych stosunkach.

- Tylko nie możesz zdradzić Armidzie tego, co ci powiedziałam.

- Nikomu nie powiem, niemądra dziewczyno - tym bardziej Armidzie. Ale jak to przyjmie twój wuj Joze?

Letycja spuściła wzrok.

- Pozwoli mi odejść, jeśli matka i ja go przekonamy. On jest jednym z powodów, dla których chcę się stamtąd wydostać.

Otoczyłem ją ramionami. Jej głowa oparła się o moją pierś.

- Letycjo, tyle w tobie sprzeczności.

- Nie więcej niż w tobie - odparła nieco radośniej, patrząc na mnie błyszczącymi niebieskimi oczami i uśmiechając się nieśmiało. - Czy kochasz się z każdą kobietą, z którą grasz, Perianie?

- Dlaczego tak myślisz? Objęła mnie rękami za szyję.

- Bo to mnie trochę frapuje.

- Sądziłem, że chciałaś być wyjątkiem od tej reguły, Letty - powiedziałem, przyciągając ją bliżej.

Jej włosy, choć przyprószone tanim pudrem, miały zapach poddasza. Przycisnąłem policzek do jej twarzy i wsunąłem rękę pod jej stanik. Dłonią objąłem małą, ciepłą pierś, gładką jak jajo miecznika i miękką jak futro łani.

- Pojedź ze mną na Kaprysie do mego mieszkania. Wspólnie uczymy pożegnanie

Generała Geralda i Lady Jemimy. Za zamkniętymi drzwiami pozwolimy im zrobić to, co tylko udawali przed zahnoskopem.

Wałach potrząsnął głową, tak jakby się ze mną zgadzał.

Kiedy zacząłem ją całować, odsunęła twarz.

- Gdybyś namówił maestra Kemperera, by obejrzał *Tragedię Mendiculi*, może spodobałaby mu się moja rola.

- Och, jestem pewien, że spodobasz mu się w każdej roli, moja kochana. Ale o tym pomówimy później... A teraz, skoro ja nie próżnuję, ty też czymś się zajmij. Opuść swoją rączkę, o tutaj i sama się przekonaj, jaki niezwykle masz na mnie wpływ i jaka płonąca pochodnia przyświecałaby ci w drodze do łóżka...

Pod palcami miałem wilgotne wgłębienie, w którym z przyjemnością zagasiłbym ową pochodnię. Rozchylając wargi wydała z siebie głośne westchnienie. Nie wiem, czy powodem jej podniecenia było to, co sama czuła, czy też to, czego ja dotykałem. Może jedno i drugie.

Zadrżała wybornie. Wsunąłem jej język między zęby. Ona swoim badała wnętrze mego policzka. Jej natychmiastowa gotowość i rozkosz wywołały w moim ciele wibracje. Ogarnęło nas to samo, błogie drżenie. Chwiejnie wsparliśmy się o bok Kaprysa. W stajni panował

półmrok.

- O... o... och... Perry...

- Och Letty! - Byłem zadowolony pomimo stanu mojego odzienia. Dygotałem.

Oparłem się o drewnianą ścianę stajni. - Jesteś tak cudownie gotowa! Chodźmy do mnie i nasyćmy się naszym zachwytem w mniej szalonym tempie.

Poprawiła suknię śmiejąc się i szlochając na przemian. Kryła przede mną twarz w typowy dla dziewcząt sposób.

- Och, to takie nieobyčajne, takie nieprzyzwoite! - Roześmiała się. - Widzisz, potrafię się bawić, tak jak każda szlachetnie urodzona panna. Tak, pragnę byś mnie wziął tak, jak teraz stoję, w kostiumie. Udawaj, że naprawdę jestem Lady Jemimą!

Rzuciła się ku mnie z płonąca twarzą.

- Perry, daję ci wszystko. Mogę ci zaufać? Och, tak bardzo cię pragnę - gdybym tylko mogła mówić, gdybym mogła ci powiedzieć...

- Wierz mi, mówisz całkiem do rzeczy. Usłyszałem jakieś hałasy przed stajnią. Jej ramiona znowu otoczyły moją szyję.

- To ty, ty sprawiasz, że staję się taka bezwstydną! Och Perry, pomożesz mi zostać aktorką? Obiecałeś.

- Później o tym pomówimy. - Na zewnątrz ludzkie głosy mruczały coś niezrozumiale.

Nie przejmując się rozpiętą bluzą, rozejrzałem się za jakąś bronią. Nieopodal stały grabie do siana. Chwyciłem je w chwili, gdy ktoś kopnięciem otworzył drzwi.

Letycja krzyknęła i skryła się za mnie. W wejściu stał Bonihatch z wysuniętą bojowo szczęką. Wywijał solidną pałką. Przy nim zobaczyłem podobnie uzbrojonego Solly'ego. Z

tyłu stał Otto z Florą i jeszcze dwóch pomocników. Wszyscy z gniewem i niepokojem wpatrywali się w mrok.

- Tym razem przyłapaliśmy cię na twych sztuczkach, ty kundlu - powiedział

Bonihatch. - Zaraz dostaniesz nauczkę. Zbiję cię na miazgę.

- Tak, zbijemy cię na miazgę - powtórzył Solly.

- Wyjdź stamtąd Letycjo - zawołał Bonihatch. Dziewczyna nie ruszyła się z miejsca.

Stałem twarzą w twarz z nimi. Było ich czworo, jeśli nie liczyć pary pomocników.

- Ty kanalio - odezwał się Bengtsohn. - Wykorzystałeś tę młodą dziewczynę, którą wuj powierzył naszej opiece.

Starzec pchnął Bonihatcha w przód.

- Nic ci nie jest, Letycjo? - zawołała Flora. - Czy przybyliśmy za późno?

- Jestem bezpieczna - powiedziała Letycja niewyraźnie. - Pozwólcie nam wyjść.

Nim przebrzmiały jej słowa, rzuciłem się z grabiami do przodu, tak jakby to była pika.

Uderzyłem Bonihatcha w pierś. Nie tracąc pędu, rzuciłem grabie i walnąłem Solly'ego pięścią w twarz. Korzystając z chwili zamieszania, odwróciłem Kaprysa przodem do wyjścia, wskoczyłem na siodło, tak jakbym to ćwiczył od lat i mocno wbiłem ostrogi w boki konia.

Ruszyliśmy gwałtownie.

Moi napastnicy krzyczeli coś za mną. Próbując się wydostać przycisnąłem Solly'ego do słupa. Bengtsohn zachował dość zimnej krwi, by zamierzyć się na mnie kijem. Kopnąłem w jego stronę, zawadzając o bok jego czaszki. Klnąc upadł na fałdy swojej żony. Ona także, drąc się wniebogłosy, przewróciła się na pomocników zaplątując ich w brudne spódnice.

Ugięli się pod jej ciężarem i padli na ziemię.

Galopem wypadliśmy na dziedziniec. Krzyczałem z radości i podniecenia.

Przemknąłem obok załadowanego wozu, minąłem zahnoskop. Słudzy Chabrizzich

rozpierschli się na boki. Kłusem zmierzając ku bramie, obejrzałem się za siebie. Czwórka napastników leżała na kupie, z której wystawały machające się ramiona, blade nogi i zaczerwienione twarze. Domyślałem się, że Bonihatch i Solly próbowali dojść do siebie w stajni. Tylko Letycja stała wyprostowana i machała do mnie. Odwzajemniłem jej gest i niemal wypadłem z siodła. Mocno chwytając się szyi Kaprysa wyobraziłem sobie, jak w sercu podziwiała mnie i to, jak dałem sobie radę.

Wróciłem Ulicą Drewnianych Rzeźb do siebie. Kaprysa zostawiłem w stajni i

wypiłem kielich wina. Tego mi było trzeba. Mój puls wrócił do normy.

Gdy wchodziłem po nagich, drewnianych schodach, poczułem zapach siarki, ale nie przejąłem się tym. Myślałem o dobrych chwilach, jakie już minęły i o dobrych chwilach, które miały dopiero nadejść. Nie chciałem się martwić. Zamierzałem spakować rzeczy i wyjechać do Juracji na polowanie.

Stałem na szczycie schodów i otworzyłem drzwi do izby. Amulet zsunął mi się z ramienia. Chwyciłem go, ale ześliznął się po moim przedramieniu jak wąż. Nie usłyszałem jak z klekotem uderza w deski podłogi, bo upadł na kępę traw.

We mgle dostrzegłem sześć czekających na mnie postaci. Stały blisko siebie w

niewyraźnym prześwicie między kołyszącymi się dębami i sosnami. Na rozszczepionej gałęzi siedziała sowa, której oblicze zwrócone było ku mnie, tak jak twarze pozostałych. Coś pośredniego między oparami a muzyką zawładnęło moimi zmysłami.

Dwie najważniejsze postaci były wyznawcami Religii Naturalnej. Wskazywały na to ich niezgrabne szaty ozdobione tajemniczymi znakami. Mężczyzna, na przedzie był

olbrzymiego wzrostu; miał bujną, rudobrazową brodę. Na czaszkę, porośniętą zmierzwionymi lokami, włożył płaską lnianą czapkę, zwiniętą jak naleśnik. Pod zewnętrzną szatą przytrzymywał gigantycznego fallusa, znak posłuszeństwa Szatanowi.

Pozostali członkowie wielobarwnej grupy wyglądali równie okropnie, ale brakowało im władczości rudobrodego. Ich pojawienie się tak mnie przeraziło, że dopiero po chwili spostrzegłem, że znajdował się wśród nich małpolud ubrany w ludzką odzież. Wszyscy stali wokół wielkiego, cylindrycznego ołtarza. Spomiędzy kruszących się kamieni wystawały rzeźbione głowy Minerwy i Diabła. Z popiołów unosił się siarczany dym.

Wszystkie siedem oblicz, zwierzęcych, ptasich i ludzkich, odwróciło się w moją stronę. Wszystkie patrzyły na mnie wrogo. Strach przeniknął mnie do kości.

Wśród zjaw była kobieta. Kucała pokornie przed magiem trzymającym spuchniętego fallusa, jej nagie plecy opierały się o ołtarz. Miała na sobie tylko pobrudzoną, białą koszulę.

Bezwstydnie pozwalała pełnym piersiom zwisać. Nie osłaniała ich. W dłoniach zaciskała powyginany talerz z brązu.

Ze wszystkich istot ona ostatnia zdała sobie sprawę z mojej obecności. Powoli, z rozpaczą, uniosła głowę i spojrzała na mnie wzrokiem tak pełnym udręki, że cofnąłbym się, gdybym mógł się poruszyć.

Nie ja jeden trwałem bez ruchu. Nie poruszało się nic prócz gryzącego dymu powoli dryfującego przed twarzami o znieruchomiłych powiekach.

Stałem tak całą wieczność, a przynajmniej tak mi się zdawało. Wiedziałem, że dla tych istot czas nie istniał; całunu mgły przesłaniającego drzewa, nigdy nie rozpraszały promienie zwyczajnego słońca.

W końcu poruszył się drugi mag. Przypominał niezgrabną i ciężką rzeźbę człowieka o grubo ciosanych rysach, brwiach jak martwe liście paproci i czaszce pozbawionej włosów.

Podszedł do mnie bokiem i powoli uniósł ku mnie rękę. Szerzej rozwarł stale rozchylone wargi, obnażając kły, tak jakby chciał coś powiedzieć. Potem znikł bez śladu.

Wszyscy rozplłynęli się w powietrzu, a towarzyszyło temu brzęczenie podobne do odgłosu, jaki wydaje rój pszczół. Znikła kobieta i ołtarz, i cała reszta. Stałem w znajomej izbie i trząsałem się ze strachu.

Czar prysł. Powoli pochylilem się i podniosłem z podłogi amulet. Z trudem wsunąłem go z powrotem na ramię, bo jak zawsze pasował ciasno.

Usiadłem na łóżku.

Ktoś rzucił przeciw mnie zaklęcie - dość typowe, z mglistymi postaciami i niemal bez dźwięku. Mimo to, owa wizja sprawiała wrażenie nadržeczywistej. Moje przerażenie potęgowała tajemniczość sceny. Czy to miało być ostrzeżenie?

Przez długą chwilę siedziałem pogrążony w niepokojących rozmyślaniach. Na

sumieniu nic mi nie ciążyło. No, może niewiele. Przyrzeczenia złożonego Armidzie nie złamałem. Letycja odrobinę je naruszyła, ale to się stało z jej winy, nie z mojej. Wprawdzie proponowałem jej, by do mnie przyszła, ale nie zrobiła tego, a w sprawach małżeńskich należało się przeciw kierować faktami, a nie przypuszczeniami. Spakowałem rzeczy i w ponurym nastroju ruszyłem do Juracji.

Posiadłości Hoytolów były wielkie pod każdym względem. Kręta, piaszczysta droga prowadziła do nich na północ od Malacji. Wiła się ku żyznej i zalesionej dolinie. Właśnie w niej rozłożyła się gościnna osada Juracji, za którą znajdowały się dobra Hoytolów. Jakże zachęcająco wyglądała cała okolica! Kaprys okulał po dziesięciu kilometrach. Musiałem go prowadzić. Mijające mnie karety, powozy i jeźdźcy zasypali mnie białym kurzem. Bolały mnie nogi, byłem zgrzany, brudny i spragniony.

Na teren posiadłości wszedłem nie budząc niczyjzego zainteresowania. Wkrótce od służących się dowiedziałem, że wszyscy przybyli z koniuszymi albo lokajami. Zuchwalcy potraktowali mnie tak, jakbym się zaliczał do służby. Wściekły, zrobiłem w przydzielonej mi komnacie jak największy

nieporządek, otrzepując odzież z kurzu na wszystkie sprzęty, aby im pokazać, kto był panem.

Po długiej gorącej kąpieli w rzymskiej łaźni - której jedynymi, poza mną, gośćmi byli dwaj pijani, otyli mężczyźni śpiewający ballady - poczułem się lepiej. Ubrałem się i wyruszyłem na poszukiwanie jedzenia, wina, towarzystwa i Armidy.

Na górnym piętrze znajdowały się wyłącznie małe sypialnie, a w końcu korytarza, pokój modlitewny. Z półpiętra wchodziło się na długi balkon i prowadzące w dół schody. Z

balkonu podziwiać można było pierwszą z trzech sal przygotowaną dla gości Hoytolów.

Podawano tu parujące posiłki oraz zimne i gorące napoje serwowane przez armię służących w liberiach. Kelnerzy krążyli między trzema salami nosząc tace, pocąc się i bezustannie się uśmiechając. Goście bawili się już w najlepsze. W środkowej sali, która sąsiadowała z kuchniami, ustawiono solidne stoły i ławy. Ostatnia z trzech hal przypominała komnatę wypoczynkową. Zobaczyłem tam książki, organy, parę tytanicznych posagów i obite suknom meble. Ściany wszystkich pomieszczeń udekorowano zdobyczami z polowań, włóczniami, bronią palną, porożami i czaszkami imponującej ilości rozmaitych zwierząt, między innymi trundli, diaboszczeków, slobbergobów, sideroweli i tyrantów. Każda sala miała własny zespół

muzyków i każdą wypełniał tłum ludzi, głównie mężczyzn, odzianych w tradycyjne myśliwskie stroje z nabijanej ćwiekami skóry, futer i tkaniny o grubym splocie. Wszyscy wyglądali strasznie. Okryci skórą szarpaków, często mieli miny o wiele groźniejsze od tych zwierząt.

Ponieważ się spóźniłem, nikogo nie poznałem i nikomu mnie nie przedstawiono.

Zamierzałem później to naprawić. Znalazłem jedzenie, wino i wesołą kompanię; brakowało tylko Armidy, ale wiedziałem, że na nią warto czekać. Zanurkowałem w tłum i chwyciłem z mijającej mnie tacy owinięty skórą srebrny kufel z grzany piwem korzennym. Łapczywie przytknąłem do niego usta.

Hoytola zaprosił do siebie gości w różnym wieku. Byli wśród nich młodzieńcy o

gładkich twarzach i siwi, pomarszczeni wiekiem starcy. Wszyscy poruszali się z pychą zrodzoną z pewności, że świat został stworzony właśnie dla nich. Już wcześniej nauczyłem się swobodnie naśladować takie zachowanie. Sądziłem, że wielu spośród otaczających mnie ludzi wykształciło je w sobie dla ochrony, a nie dlatego, że wynikało z ich natury. Kilka obecnych na sali kobiet wystroiło się stosownie do okazji. Miały wysoko upięte włosy albo trójganiaste kapelusze do konnej jazdy, a wszystko po to, by dodać sobie wzrostu. Część z nich ubrała się w męskie kaftany i kamizele; niemal wszystkie nosiły łuski, futra i klejnoty.

Domyślałem się, że przy takich okazjach miłość traktowano jak sport, ale nie dostrzegłem żadnej kobiety, która przypadłaby mi do gustu. Prócz wielu wad, których nie chcę wymieniać, miały rybi wzrok. Starsze panie barwiły sobie zęby bielą ołowiową.

Czy w takim miejscu można się było nudzić? Miałem ochotę obejrzeć posiadłość z zewnątrz w

światle dnia (zapadł już zmrok) i zapuścić się w dziką puszcze na koniu (jeśli zdołałbym jakiegoś pożyczyć, by zastąpić Kaprysa). Zamierzałem zachowywać się z galanterią odpowiednią do kompanii.

Przez pół godziny przechadzałem się między gośćmi nie rozmawiając z nikim. Raz tylko zamieniłem kilka słów z myśliwym o interesującym obliczu, który rozpoznał we mnie bohatera podniebnej podróży i chciał koniecznie wiedzieć, co czułem podczas lotu. Pomimo dostatku potraw i napojów, nie wszyscy byli zadowoleni. Wielu narzekało na brak zwierzyny i niskie standardy gościnności Hoytoli. Słyszałem, jak jeden z nich powiedział, że gospodarz nie ma pojęcia, co naprawdę oznacza życie z klasą. Poczułem wstyd. Pomyślałem, że jeśli kiedyś będę miał coś do powiedzenia w tej sprawie, dopilnuję, aby podwojono ilość potraw i wina oraz sprowadzono więcej łownych zwierząt. Jednocześnie jednak gardziłem

narzekającym mężczyzną.

Poczęstowałem się mięsem zawiniętym w pierogowe ciasto.

- Mamy hojnego gospodarza - powiedziałem do młodego mężczyzny. Okazało się, że to Julius, krewny męża mojej siostry. Był wesołym kompanem, choć pochodził z

Manteganów.

- Tu tutaj, Perianie? - Położył mi rękę na ramieniu.

- Nie dziw się tak bardzo - powiedziałem rozlewając piwo. - Nie zawsze jestem

przykuty do desek sceny. Od czasu do czasu, tak jak inni mężczyźni, muszę zapolować na waliroga.

- To się nazywa hart duchai Z jaką jesteś kompanią?

- Obecnie z żadną. - Już miałem wspomnieć imię Armidy, ale rozsądek nakazał mi ostrożność. - Jeden z moich przyjaciół jest wśród muzyków - powiedziałem tylko.

Julius uśmiechnął się z wielką zyczliwością.

- Powinienem cię uprzedzić, że etykieta podczas takich uroczystości jest bardzo surowa - powiedział przyciszonym głosem. - Goście traktują muzyków z wyższością, a służba im nie ufa. W rezultacie - lub w konsekwencji - muzycy nie powinni rozmawiać ze służącymi, a goście nie powinni się odzywać do muzyków.

- Jaki jest cel tej zasady?

- Muzycy więcej grają, a mniej flirtują i piją. Ale co tam, Perianie, nie sądziłem, że ciebie tu zobaczę. My, Manteganowie, przybyliśmy w sile. Powinieneś z nami tu przyjechać.

Przykro mi, że twoja siostra nie chciała nam towarzyszyć Wspaniała z niej kobieta i darzę ją wielkim szacunkiem. Czy jest tu twój ojciec?

- O nie, jest zbyt zajęty pracą nad książką. Szkoda, że nie zobaczę się tu z Katie.

Mnie... mnie zaprosiła Armida Hoytola. Widziałeś ją może?

Uniósł brwi. Spojrzał na mnie zdumiony, jak mężczyzna, który po raz pierwszy złowił fangla.

- Nie! Mój drogi Perianie, najwyraźniej jeszcze nie zwiedziłeś okolicy, bo

wiedziałbyś, że są dwie myśliwskie posiadłości. Większa znajduje się głębiej w parku. Tam spotkasz pannę, której szukasz. Są tam Hoytolowie, rodzina Diuków Renardo, arystokracja z Tuscadii i co bogatsze rody, które mogą się gospodarzom przysłużyć. Dom, w którym się znajdujemy, jest nieco skromniejszy i znajdziesz tu jedynie zubożałych możnych - takich jak Chabrizzi i Manteganowie. Usiądźmy gdzieś razem i napijmy się.

Zwołał kilku swoich krewnych. Wesoła z nich była gromada. Rozmawiali głównie o dalekim ujściu rzeki, w pobliżu którego mieszkała większość z nich. Wiele czasu spędzali na łodziach, polując na pradawnych mieszkańców głębin, na fangle, krąży, nakrapiane szablopyski, goddy i wiele innych. Czasem strzelali do nocków łydkowłosych, które przelatywały im nad głowami. Słuchając ich opowieści można było pomyśleć, że czas dzielili między ziemię i morze, wino i niebezpieczeństwa.

- Nieokrzesa z nas zgraja. Nie znamy się na sztuce i religii, tak jak wy, Malacjanie -

przyznał Julius. - A Volpato z nas najgorszy. Twoja siostra warta jest lepszego. Pocieszam się, że ma takiego brata, jak ty. Przynajmniej ty możesz o nią zadbać.

Opowiedział, że do Juracji przybyli poprzedniego wieczoru i od razu wybrali się na łowy. Natknęli się na kilka rączych yatterhobów. Dopadli je po długiej gonitwie. Niestety, w tym roku zwierza nie było wiele. Za często polowano na wielkich przodków, na tyranty i diablo szczęki, a przede wszystkim na powolne hełmozbroje.

- Za pięć lat nie zostanie już żaden - powiedział Julius. - Wtedy będziemy tu

przyjeżdżali już tylko po to, by się napić, albo nie przyjedziemy wcale. Lepiej wybrać się na łowy na Morze Środkowe.

Rozstaliśmy się z szacunkiem. Wyszedłem na zewnątrz i ruszyłem obsadzoną

topolami i oświetloną pochodniami drogą do drugiej posiadłości, o której wspomniał Julius.

Rzeczywiście wyglądała okazalej niż pierwsza, choć wzniesiono ją na identycznym planie, dość powszechnym w tych okolicach. Ściany sal przesłonięte tu gobelinami. Komnaty ogrzewano wspaniałymi piecami z porcelanowych kafli - o tej porze roku nie używanymi. W

każdym kącie stał jakiś posąg lub inny skarb, a belki pod sufitem na czas polowania ozdobiono świeżymi, zielonymi gałęziami. Także muzyka była tu wspanialsza. Muzykanci mieli na sobie

oryginalne, stare dworskie stroje.

Przygotowano najbardziej wykwintne potrawy. Na roznach obracano młode trundle, pod którymi syczały gałązki ziół. Stoły uginały się od zwierzyny i ptactwa, przybranego jak do łowów, a nie do jedzenia. Leżały wśród nich w krezach głowy yatterhobów -

prawdopodobnie tych, które ubili Manteganowie - ryby z kłami równie groźnymi jak zębiska diabloszczęków, młode kłodołapy w sosie i spaghetti. Wino roznoszono w szklanych pucharach. Szkło obejmowały srebrne buglewingi z obsydianowymi oczami. Także meble przyozdobiono odpowiednimi do okazji symbolami: stylizowane liście pięły się po nogach i poręczach, a spośród nich wyglądali wojownicy i wielkie gady.

Ale to wszystko w niczym nie dorównywało świetności dwunożnych uczestników

biesiady: uprzywilejowanych istot, które na trzy dni zamieszkały w tej siedzibie. Mężczyźni byli ciemniejsi, a kobiety bledsze niż w pierwszym myśliwskim domu. Wszyscy nosili stroje bogatsze, sztywniejsze, gęściej wyszywane złotem, bardziej izolujące swoich właścicieli od otoczenia. Zdobila je większa ilość rogów, dziobów, krez i piór, słowem ludzie wyglądali bardziej makabrycznie. Klejnoty wyrastały na tunikach jak brodawki. Szmaragdy lśniły jak oczy, a rubiny czerwieniły się jak krew. Tutaj goście byli wyżsi. Wiele kobiet włożyło buty na koturnach, które upodabniały ich stopy do szponów. Za paniami i panami chodzili malutcy paziowie lub karły. Wszyscy przechadzali się dumnie. Mężczyźni wyglądali według mnie jak zbóje, a kobiety jak dziwki. Ich miniaturowi słudzy przypominali pokryte piórami płody. W

tym tłumie jedynymi osobami niskiego stanu byli niewolnicy - głównie czarne kobiety, których dostrzegłem kilkanaście. Ich właściciele przyprowadzili je nagie, ze zdobionymi łuską bransoletami na kostkach i ramionach i z kwiatami w kręconych włosach.

Przedzierałem się przez ów kolorowy tłum jak przez dżunglę, kierując się w stronę muzyków. Grano wybrane fragmenty opery buffo, a ogromny mężczyzna o policzkach jak jaja trundli, przekrzykując zgiełk, wyśpiewywał popularne melodie.

Między szczyty górskie czasami wędruję,

Gdzie lśniący strumień krętą drogę toruje

Gdzie każdy szlak nawołuje

I zaprasza: „Chodź tędy, a nie pożałujesz”,

Gdzie dzielny myśliwy spotyka czasami

Pancernego zwierza z onyksów ślepiami,

Wówczas oszczepem ciska

I lot jego śledzi oczami...

Wśród muzyków przytłoczonych potężnym tenorem, de Lambant szarpał struny lutni.

Wokół szyi miał krezę podobną do kołnierzy yatterhobów. Przeciskając się ku niemu, zawołałem go po imieniu. Podszedł do mnie, gdy pieśń się skończyła. Nie przypominał w niczym wesołka, jakim był zazwyczaj.

- De Chirolo, przyjacielu, cóż to za okropne miejsce rozpusty! Muzykom nie wolno rozmawiać ze służbą ani gościom z muzykami.

- Jako gość mogę rozmawiać z moimi przyjaciółmi, gdy przyjdzie mi na to ochota.

De Lambant wytarł pot z czoła.

- Prostack, ten człowiek to prostak, najbardziej prymitywny typ na tym świecie. Chyba jesteś jedynym przyzwoitym osobnikiem w tej cizbie! Czy zauważyłeś - tylko się nie przyglądaj zbyt natarczywie - że te niewolnice brać może każdy mężczyzna? Tutaj, na stojąco, nie przerywając rozmowy z przyjaciółmi? Na święte kości, tego się nie spodziewałem!

- Nie jesteśmy w Malacji.

- To miejsce bardziej przypomina gniazdo kurczowęży.

- Czyżbyś wyhodował w sobie moralność, de Lambant? Sądziłem, że interesuje cię jedynie dekadencja!

- Nie znałem prawdziwego znaczenia tego słowa, dopóki nie przyjechałem tutaj.

Powinieneś był widzieć, jak wczorajszego wieczoru się zabawiali...

- Gdzie są Armida i Bedalara?

Posmutniał.

- Bedalary tu nie ma. Caylus spadł z konia między byki i został mocno poturbowany.

Szaleniec. Wszyscy Nortolini zostali w Malacji, zwariowana rodzina. Bedalara nie może więc dziś spocząć w ramionach kochanka... Ale byłbym idiotą, gdybym przez trzy dni nie znalazł

sobie rozrywki w takim miejscu... Kwatery muzyków - słowa tego używam jako eufemizmu, bo to zwykła obora - sąsiadują z kwaterami niewolnic... Pamiętajmy, że życie szybko mija, prawda młody de Chirolo? Armidę widziałem, ale ponieważ służba nie może rozmawiać z muzykami, a muzycy nie mogą...

- Musi gdzieś być w tym kotle. Pewnie mnie szuka.

- Twoja prosta wiara w ten świat daleko cię zaprowadzi. Jeśli jej nie znajdziesz, Perry...

- Tak?

- To przyjrzyj się raz jeszcze tym czarnym dziewczętom. Niczego im nie brakuje...

Skinąłem mu przyjaźnie głową i wstąpiłem w tłum, po drodze zaopatrując się w wino.

Hałas, gorąco, słodko-kwaśny zapach i ciągle ocieranie się ciał w końcu na mnie podziały. Podobnie jak wino. Krążąc po sali rzucałem śmiało spojrzenia kobietom, których wiele, w zwykłych okolicznościach, nie raczyłyby na mnie spojrzeć. Rozpoczęły się tańce. W

odległym krańcu pomieszczenia występowała grupa akrobatów.

Zauważyłem, że trzy główne sale otaczało wiele mniejszych komnat. Służące

wchodziły i wychodziły przez drzwi i zasłony, więc mogłem zajrzeć do ich środka. Były to pokoje prywatne. Działy się w nich nieobyczajne sceny. W jednej, satyr zabawiał się niewolnicą ku uciechu przyglądających się im dżentelmenów i dam. W innej, do której swobodnie weszła pokojówka, trzech nadzy mężczyźni i trzy rudowłose kobiety... zresztą, mniejsza o to, co tam robili, na szczęście widziałem ich tylko przez chwilę. Gdy wypłem trochę wina dla uspokojenia nerwów, zajrzałem do trzeciej komnaty i dostrzegłem tam gospodarza, Andrusa Hoytolę w towarzystwie innych mężczyzn. Bez zastanowienia

wszedłem tam, by się z nim przywitać i podziękować za zaproszenie. Zamierzałem dać się poznać od najlepszej strony.

Hoytola siedział przy rzeźbionym, dębowym stole. Nie ubrał się po myśliwsku, jak większość towarzystwa, lecz tak jak zwykle, w przesadnie ozdobnym stylu. Miał na sobie krótką, białą pelerynę z wysokim kołnierzem, spiętą z tyłu klamrą, i purpurowe jedwabne spodnie. Palcami bębnił po blacie. Większość jego towarzyszy, podobnie jak on, siedziała plecami do wejścia. Wśród nich zauważyłem Diuka Renardo ubranego w lekką zbroję. Jego złote loki lśniły. W komnacie znajdowały się dwie kobiety. Madame Hoytola, matka Armidy spojrzała na mnie spokojnie. Drugą kobietą była kurtyzana. Od razu ją rozpoznałem. Była to wymalowana dziewczyna z mandoliną, którą widziałem w ogrodach pałacu Renardo. Ta sama, z którą zabawiał się Caylus. Tego wieczoru miała jeszcze cięższy makijaż.

Pomimo obecności pań, rozmawiano o interesach.

- Przypominam ci, Hoytola, że obrona nie jest głównym celem Malacji - odezwał się z cienia mężczyzna w długim, szarym płaszczu, o wydłużonej czaszce pokrytej równie szarymi włosami.

- Bezbronna Malacja przestanie istnieć - odparł Hoytola.

- Istnieją pradawne metody obronne. Najskuteczniejsza jest Pierwotna Klątwa, która chroni nas przed zmianami. Naszym głównym obowiązkiem jest zachowanie istniejącego stanu rzeczy poprzez ślepą wierność prastaremu wyrokowi. Nie zapominajcie o świętym celu wszystkiego, nawet tych łowów: „Wyruszamy, by spożywać ciała naszych Ojców...”

Nieznajomy umilkł i spojrzał na mnie zimnymi oczami. Powoli wszyscy zebrani,

jeden po drugim, odwracali się, by mi się przyjrzeć. Hoytola pokazał jedynie profil i jedno oko ponad wysokim białym kołnierzem. Błysnął ku mnie żrenicą i kłamrą peleryny. Tylko diuk powitał mnie jak nakazywał zwyczaj.

- Oto i nasz przyjaciel z balonu - powiedział. - Widzę, że wciąż ci dopisuje zdrowie.

Co cię tu sprowadza, de Chirolo?

- Zwykła przyjemność, sir. - Uniosłem kielich. - Piję za wasze zdrowie, panowie!

- To prywatne spotkanie - zauważył Hoytola.

- Nie zamierzałem wam przeszkadzać. Już odchodzę.

- Jeśli szukasz Armidy, nie możemy ci pomóc - powiedział diuk wesoło.

Twarz Hoytoli przybrała barwę popiołu. Próbując to ukryć, pochylił się nad stołem. W tej chwili zrozumiałem, kogo wybrał na męża dla swojej córki.

Chwyciłem za klamkę z zamiarem odejścia, ale powstrzymał mnie czyjś głęboki głos.

- Ty!

Poczułem zapach perfum kurtyzany - lekka woń mięty tak drażniąco przypominała mi Armidę. Panna cofnęła się nieznacznie w głąb komnaty. Spojrzałem w tamtą stronę. W cieniu stał mężczyzna, który mnie zawołał. Rozpoznałem ciemne oblicze członka Najwyższej Rady, którego kiedyś widziałem w galerii Hoytoli. Od jego osoby promieniował chłód. Tym razem także miał na sobie niemodną czarną opończę z przepastnymi kieszeniami.

- Połączyłeś się z Bengtsohnem - odezwał się znowu. Każde słowo dobyło się z jego gardła oddzielnie.

Kurtyzana stanęła obok niego. Nie zwrócił na nią uwagi. Stał bez ruchu, pewien, że mu odpowiem.

Dlaczego tak mnie przerażał? Może dlatego, że we wszystkich obecnych potrafił

zasiać strach przed Szatanem.

- Pokłóciłem się z Bengtsohnem, panie - odparłem. Wszyscy zebrani siedzieli bez ruchu, czekając aż będą mogli wrócić do omawiania interesów. Hoytoli rozmowa nie sprawiała przyjemności - jeśli sądzić po jego minie. Znalazłem się w tej komnacie przypadkiem, ale wiedziałem, że zajmowali się sprawami, które dotyczyć mogły również mnie. Moja odpowiedź dotarła do członka Rady. Odezwał się po raz trzeci głosem dobywającym się z lodowatych głębin ziemi.

- Chcesz zabić Bengtsohna.

Młody diuk podrapał się w czuprynę. Spojrzałem na niego, odwracając wzrok od czarnej postaci w końcu pomieszczenia.

- Nie życzę mu źle, nigdy mnie nie skrzywdził. Nikomu źle nie życzę - powiedziałem.

Z trudem odzyskując sprawność w nogach, zdołałem opuścić komnatę i zamknąć za sobą drzwi. Słowa, które padły w środku nie dawały mi spokoju. Bezustannie powtarzałem je w myślach. Przeklinałem siebie i marną odpowiedź, jakiej udzieliłem nieznanemu.

Zabrzmiała jak błaganie o litość. Dokończyłem wino i odrzuciłem puchar. Palcami sprawdziłem, czy amulet jest na swoim miejscu. To spotkanie przypomniało mi o wizji, jakiej doświadczyłem we własnej izbie.

Nie pozostało mi nic innego jak zniknąć, albo zostać i się upić. Obok mnie przeszła dziewczyna z tacą. Chwyciłem czarę z herbowym znakiem wypełnioną grzanym winem i zabrałem ją w kąt sali, między tańczące i wymachujące rękami pary. Ryk rozmów był tak wielki, że ledwo słyszałem muzykę. Tłum otoczył podest, na którym jakiś barbarzyńca zmuszał dwa żółte hauberki do walki na śmierć i życie.

Nie chciałem patrzeć na płynącą krew. Wychyliłem wino i rzuciłem się w wir

krających wokół ludzi. Chwyciłem młodą kobietę, której mowy nie rozumiałem. Gadaliśmy do siebie bez przerwy, gestykulując przy tym, śmiejąc się, wykrzywając, a raz nawet całując.

Może mówiła w obcym języku? Nigdy się nie tego dowiedziałem. Nie wiem też, czy rozumiała, co do niej powiedziałem. Liczył się tylko taniec, taniec i radość. Gdy wreszcie wykręciłem się z jej objęć, dostrzegłem Armidę. Z rumieńcem na twarzy szła gdzieś z inną młodą dziewczyną.

Chwyciłem ją bezceremonialnie i zawirowaliśmy w tańcu. Po chwili skierowałem nas najbliższym wyjściem na werandę. Wiał chłodny, nocny wiatr. Przytuliłem ją do siebie, zasypując czułymi słowami, z których wiele przed chwilą mówiłem innej - no cóż, ze słowników nie da się czerpać bez końca coraz to nowych wyrazów.

- Kochana ptaszyno, zanurz się wraz ze mną w powódź nocy. Jesteś moim księżycem w tym strasznym miejscu. Moim słońcem. Wszystko tu jest takie okropne. Sądziłem, że cię tu nie znajdę, że wyjechałaś albo poddałaś się jednemu z tych brzuchatych...

- Cii, chyba oszalałaś! Zamachałem rękami.

- Szaleństwo i terror są piękne. Wystarczy posłuchać Religii Naturalnej. Czego jeszcze mogę się spodziewać w tym strasznym przybytku?

- Nie, nie, Perry, nic tu nie jest straszne. Uspokój się, proszę. Wokół tyle wspaniałości, tyle zabawy,

i ludzie są tacy cudowni, i tacy znakomici...

- Nie ma w nich nic znakomitego, to zwykle bestie opanowane przez żądze. Za to ty i ja - och szalona muzyko, czy nie słyszysz prawdziwych dźwięków tego wszystkiego?

- A jutro - słuchasz mnie? - jutro odbędą się wyścigi rydwanów i parada koni, i inne atrakcje. A późnym popołudniem - przestań! - późnym popołudniem...

- Jak ja nie cierpię słowa „popołudnie”! Pozostańmy przy rozpalonym południu albo przy północy, moja kochana, masz usta jak miód! Popołudnia są dobre dla dzieci. Popatrz tylko na monstrualne rozmiary sklepienia nad nami. Ciężko zmierza ku środkowi nocy i nie ma tam nic, *nic*, tylko ciemność i nieznanne nam światy. Jak z nimi walczyć? Nasza broń jest mizerna - ja mam biedną wyobraźnię, ty białe uda...

Dłońmi badałem jej cudowne ciało. Otaczała nas wibrująca ciemność.

- Nie mieszaj do tego moich ud. Późnym popołudniem rozpocznie się polowanie na prazwierza. Myśliwi staną naprzeciwko jednego z najstraszniejszych stworów Szatana. Na pewno będzie to ekscytujące, przypuszczam, że ktoś zginie... Co z tobą? Przestań. Już się upiłeś? Wykorzystujesz mnie.

- A czym jest twój widok, jeśli nie upojeniem? Czym jest życie, jeśli nie odurzeniem?

Czym jest trzeźwość, jeśli nie nędzą, w jaką wpędza się mój ojciec? Ja wiem, co wolę. Ciebie, kochana, ciebie. Może już się odrobinę tobą upoiłem, ale jeszcze nie dość...

- Jestem pewna, że bardziej ci w tym pomogło wino mego ojca. Wszystkie wina

pochodzą z naszych winnic. Mamy najbardziej słoneczne pagórki. Posiadłości ciągną się przez setki kilometrów.

- Twoje pagórki i wąwozy, twoje doliny... Wyglądasz dziś cudownie! - Rzeczywiście tak było. Miała na sobie przepiękną purpurową suknię z jedwabiu i pasujący do niej turban na głowie, spod którego wymykały się jej ciemne loki. Na suknię narzuciła pelerynę zrobioną z długich piór reptopinów. Suknia sięgała ziemi i rozplywała się po niej falami. Przypominała odświętnie przystrojony okręt.

- Armido, jesteś moją najcudniejszą dziewczyną. Uwielbiam cię tak, jak sowy wielbią noc. Pragnę wszem i wobec ogłosić nasze zaręczyny. Zawsze będę tobie wierny. Tylko tobie.

Już nawet nie rozumiem, co mówią do mnie inne kobiety. Zaśmiała się.

- Ambicji ci nie brak, nie wątpię. Nic w tym złego. Ale nie zapominaj, że nasze zaręczyny to tylko sekretna zabawa. Czy wiesz, że w tym roku przeznaczylimy w Juracji pod uprawę jeszcze pięćdziesiąt hektarów - głównie pod winorośl - bez szkody dla terenów łownych? Czy to nie wspaniałe gospodarowanie?

- Jestem pewien, że znakomite. Ktoś musiał nad tym ciężko się napracować.

- Och, ojciec sam bardzo się natrudził.

- Ale ziemia się dla mnie nie liczy. Tylko ty, ty sama, Armido, poczuj to, co ja czuję...

- Jesteś pijany, nie słuchasz mnie wcale. Czasem nie pojmujesz, co jest naprawdę ważne. Ojciec ma ambicję zostać największym właścicielem winnic w tej okolicy. Choć wieśniacy są leniwi, ziemia jest płodna.

- Wszyscy jesteśmy płodni - Przycisnąłem ją mocniej. - Czuję, jak moje serce zakwita!

Losy szybują w górę, jak balony, pod niebo blasku, nadziei i spełnienia! Gdy ty jesteś moją muzą, Armido, czuję, że mógłbym dokonać wszystkiego! Mógłbym uprawiać winorośl - nie, nie chcę - zostałbym raczej kapitanem kawalerii - nie, nie mam ochoty tkwić w regimencie -

kupiłbym statek i sprowadzał ze Wschodu fantastyczne przedmioty - nie, po co komu wyruszać w morze? - zrobiłbym dla ciebie wszystko, niemal wszystko. Nie muszę nadal pracować jako aktor. Mam w sobie tyle wspaniałych mocy, które ujawniają się nocą. Wczoraj byłem na dole. Dziś jestem na górze. Może mógłbym nawet zająć bardzo daleko, zasiadać w Radzie i służyć Malacji - bo ci, którzy teraz w niej zasiadają, nie dbają o nasze dobro.

- Jesteś słodki, Perianie. Zapominasz tylko, że trzeba być dobrze urodzonym lub wyjątkowo inteligentnym, jak mój ojciec, aby zbliżyć się do Rady. Masz radość w sercu, ale...

Pokiwałem ostrzegawczo palcem.

- Uważasz, że jestem frywolny. A czy nie zgodziłem się wziąć udziału w tym małym, powietrznym przedsięwzięciu, które twój ojciec i ty zaplanowaliście dla mnie? Czy nie wyszedłem z tego zwycięsko? Czy nie przysięgałem dochować ci wierności? Pod beztroską miną kryje się powaga. Jeśli tak ci na tym zależy, mogę wszystkim pokazywać surowe oblicze.

Kiedy zademonstrowałem jej odpowiednią minę, wybuchła ślicznym śmiechem, zakrywając usta końcami palców.

- Masz do tego zbyt przystojną twarz! Mój ojciec powiada...

- W takim razie ucałuj ją, skoro sądzisz, że jest przystojna. A mnie pozwól w zamian całować cię całą, nie tylko ten piękny nosek - cmok! - i ten cudny policzek - cmok! - ale także

te słodkie ramiona - cmok! - i niebiańską pierś - cmok! - i pozwól, bym jak Arab wśliznął się pod twój purpurowy namiot i odkrył tajemnicze skarby, które w nim kryjesz...

Przypadliśmy do siebie. Mimo chłodu, skóra pod palcami promieniowała ciepłem.

Właśnie wtedy, gdy staliśmy zanurzeni w ciemności między jasnymi prostokątami okien, przyjrzałem się naszej miłości i lepiej zrozumiałem, wszystkie trudności, jakie doskwierały mojej Armidzie: dostatni dom, z którego niegodni zaufania moźni próbowali wycisnąć ile się dało, konwenanse, które

zmuszały ją do posłuszeństwa i ojciec kierujący jej życiem.

Potrzebowała prostszych rzeczy. Bengtsohn miał rację mówiąc, że pieniądze psuły bogatych.

Mogłem ją od tego ocalić, gdyby się ośmieliła ze mną wyjechać.

Skoczyłem na równe nogi.

- Wyjedźmy natychmiast - powiedziałem. - Możemy wziąć twój powóz. Nie

zważajmy na wróżby. Ten pijany tłum przez wiele godzin nie zauważy naszego zniknięcia.

Możni Malacji są wszyscy zepsuci i należy się ich pozbyć.

- Co? Chyba się upiłeś, wariacie! A gdzie by się podziało bogactwo państwa bez możnych?

- Wyjedźmy stąd razem. Możemy się udać do Tuscadii. Mam tam przyjaciela,

kapitana kawalerii. Moglibyśmy tam żyć zwyczajnie i uczciwie, w niewielkim domku przy drodze, z psem i śpiewającymi ptakami w klatce zawieszanej przy oknie. Z okien sypialni patrzylibyśmy na wzgórze.

- Zaraziłeś się rewolucyjnymi poglądami od Bengtsohna. Mój ojciec tak mówi. Ten człowiek jest niebezpieczny. Muszę cię ostrzec, że ci, którzy z nim przestają także się narażają.

- Ale ja mówię prawdę. Ucieknijmy teraz. Do Tuscadii, albo do chatki przy ujściu rzeki, gdzie mieszkają moi krewni.

- Dlaczego nie słuchasz moich ostrzeżeń?

- Dlaczego mówisz o Bengtsohnie? Nie dalej jak wczoraj rzucił się na mnie z kijem. -

Nie zamierzałem wyjaśniać tego zajścia, więc nie czekałem, aż mnie spyta o powód. -

Niczym nie sprowokowany, wierz mi. Ale na pewno się zmieni, gdy *Mendicula* zostanie pokazany światu. Choć opowieść jest śmiesznie niemądra, jej przedstawienie jest nową formą sztuki. Sukces na pewno go zmieni.

- Możliwe, że nikt nigdy nie zobaczy tej sztuki, więc o niej nie wspominaj, Perianie.

Lepiej idź teraz do łóżka i prześpij się.

- Pójdę, pod warunkiem, że ty pójdziesz ze mną i tym samym odbierzesz mi

pragnienie snu.

- Nie mogę. Zauważyliby moją nieobecność i naraziłabym się na kompromitację.

- Więc ze mną wyjedź. Tupnęła nogą.

- Jesteś niemożliwy. Dlaczego chcesz wyjeżdżać, skoro dopiero przyjechałeś?

Najpierw się zabaw.

- Próbuję! Tylko pomyśl o tym, co się tutaj dzieje. Goście są zupełnie pijani. Za kilka godzin będą sobie wskakiwali do łóżek i parzyli się jak króliki! Wyprzedźmy ich w tym. Nikt się nie dowie i nikogo to nie obejdzie. Założę się, że twoja wspaniała opiekunka już się ugina pod brudnym, lubieżnym, odzianym w skórę parobkiem w jakimś stogu siana.

- Jesteś taki wulgarny. Dlaczego jednocześnie myślisz o nich i o nas? Co z tego, że mogą rzeczywiście to robić?

- Yolaria powinna być wdzięczna losowi za taką okazję.

Armida odsunęła się ode mnie ze złością i zrozumiałem, że pozwoliłem sobie na zbyt wielką szczerłość.

- Starszym ludziom już tak bardzo na tych sprawach nie zależy - powiedziała.

- Przeciwnie, myślą o tym do ostatniego dnia - tak mi powiedział kiedyś mój ojciec, a on jest uczonym. Stary Papież Lacrimus II robił to na łożu śmierci w wieku

dziewięćdziesięciu dziewięciu lat.

- Cieszę się, że mój rodzic nie opowiada mi podobnych rzeczy. *Naprawdę* to robił?

- Tak. Z czternastoletnią dziewczicą przywiezioną mu ze wsi. Taki stosunek ma podobno moc uleczenia. Nazywają to gerokomią.

Gdy tak rozmawialiśmy, wiatr wiał coraz mocniej. Nad nami okiennice zaczęły uderzać w mury. W oddali szczekały psy.

- Perry znasz takie zabawne historie. Czy to o papieżu Lacrimusie to prawda?

- Chodź ze mną do łóżka, a będę cię zabawiał aż do świtu.

Zarzuciła mi ręce na szyję.

- Nie mogę. Naprawdę nie mogę. Muszę się zająć gośćmi. Mój ojciec świętuje dziś udany rok. Postaraj się przyjemnie spędzić czas - znajdź sobie inną dziewczynę. Jest tutaj mnóstwo ładniejszych ode mnie.

- A gdybym rzeczywiście tak postąpił? Czy winiłabyś mnie potem? - spytałem,

drocząc się z nią.

- Och, nawet mi o tym nie mów! Byłabym okropnie zazdrosna - znenawidziłabym cię już na zawsze! Dałeś mi słowo, więc jesteś mój i tylko mój. Niech ci takie obrzydlistwa nie chodzą po głowie.

- A kto o tym wspomniał? Ja tylko tak powiedziałem, aby się przekonać, co na to powiesz. Cieszę się, że się złościysz, bo wiem teraz, że mnie kochasz.

Pokręciła głową.

- Zawiść i zazdrość nie mają nic do miłości. Przypomnij sobie rolę Geralda - on nie kochał księżnej, po prostu zazdrościł Mendiculi jego małżeństwa. Nie bądź taki, proszę. Nie zazdrość tego co mam, kochaj to, kim jestem. Uważasz, że jestem trudna. Wiem o tym. No cóż, jestem w trudnym położeniu. Najważniejsze jest to, co kryje serce. Kochaj mnie cierpliwie i nie bądź niemiły.

Zimny wiatr, który wiał tamtej nocy, przyniósł marną pogodę następnego dnia -

niestety, nie dość marną, aby osłabić histeryczny pęd za przyjemnością, za którą w Juracji tak zacięcie goniono. Po południu deszcz lał się z nieba, na którym po jego najdalsze krańce, piętrzyły się chmury. Złote lato dawało pierwszy znak, że nie może rządzić wiecznie.

Zastanawiałem się, czy nie kochałem Armidy bardziej niż chciała być kochana. Może każdego należało kochać inaczej. Przez cały dzień myślałem tylko o moim kochaniu.

Julius i klan Manteganów bardzo mi pomogli. Główny koniuszy stajni Hoytoli orzekł

przed polowaniem, że na Kapryście jechać się nie da. Zasugerował, aby go posiekać i przeznaczyć na przynętę dla mięsożernych bestii. Julius znalazł mi małego, czarnego konika, silną bestię o imieniu Jeżyn. Jeżyn miał cyniczne oko. Podejrzliwie powąchał owies w mojej dłoni, a dopiero potem dał na siebie wsiąść i się poprowadzić.

Pogoda okazała się tak nieprzyjazna, że liczni goście, którzy jeszcze poprzedniego popołudnia polowali, tego dnia zupełnie zrezygnowali z łowów. Zebrała się zaledwie pięćdziesiątka. Na zachodzie chmury zaczęły się odrobinę rozjaśniać. Z broni pozwolono nam zabrać tylko kusze na bełty i na wszelki wypadek także krótkie miecze. Wszyscy włożyli kirysy. Pożyczyłem jeden od Manteganów. Za nami, pieszo szli rzędem chłopci z kijami, nasi naganiacze, oraz oddział osobistej straży Hoytoli. Strażnicy nieśli ładowane od lufy muszkiety.

Najwspanialej prezentował się szereg tradycyjnych łowców, którzy dosiadali

prazwierząt. Renardo upodobał sobie wiklińce, możni z Tuscadii dosiadali grobonurków; inne potężne rody, między nimi Diosowie, mieli i jedne, i drugie. Wiklińce prezentowały się okazalej, niektóre miały aż siedem metrów wysokości - naprawdę imponujący widok. Oczy chroniono im specjalnymi osłonami. Zwierzęta szły wyprostowane, na szponiastych, trójpalczastych stopach, ciągnąc za sobą masywne ogony. Ich przednie łapy wiązano uprzężą, by nikogo nie zraniły uzbrojonymi w rogi palcami. Każdy zwierz niósł barwy rodu, pod którym służył. Wszystkie prezentowały się dumnie - powolne, ale niestrudzone.

Grobonurki - przez lud zwane kaczodziobami - były niemal równie wysokie, ale miały lżejszą budowę. Podobnie jak wiklińce, żywiły się roślinami. Jeźdźcy zakładali na nie siodła nieco wyżej, aby podczas szybkich gonitw zwierzęta nie zaczęły w biegu podpierać się wszystkimi czterema kończynami. Nie wszystkie grobonurki wyglądały jednakowo; niektóre miały dziwacznych kształtów grzebienie, dodatkowo udziwniane herbami ich właścicieli.

Większości dokładnie zasłanianio z boku oczy i zakładano solidne uzdy, często z dodatkowym prętem przebijającym nozdrza, bowiem przedstawiciele tego gatunku, zwietrywszy obecność mięsożerców takich jak tyranty albo diabloszczęki, stawali się ogromnie nerwowi. Mimo to, grobonurki cieszyły się większą popularnością niż wiklińce, ponieważ potrafiły błyskawicznie przeprawiać się przez rzeki.

Nic dziwnego, że zwierzęta te, tak cenione podczas polowań, przydawały się także w czasie wojen.

Gondale IX na dowód swego poparcia dla tradycji łowów, przysłał dwa marshbagi, obwieszane proporcami na całej swojej dwudziestosześcioletniej długości. Te workowce o pomarszczonej skórze stąpające ciężko na czterech łapach, nie nadawały się do polowań, ale za to dodawały splendoru każdej uroczystości. Ich czysto reprezentacyjną funkcję - bo tylko ich rozmiary budziły respekt - podkreślała dodatkowo tradycyjna świta ośmiu karlich jeźdźców. Na każdym z marshbagów pierwszy karzeł siedział na samym końcu długiej szyi, tuż za czaszką, drugi - uzbrojony w oścień - zajmował miejsce u nasady ogona, natomiast sześciu pozostałych siedziało lub urzędowało akrobatyczne popisy na drewnianym siodle przymocowanym do grzbietu zwierza. Zgodnie z tradycją, marshbagom towarzyszył dobosz.

Olbrzymy reagowały na regularne uderzenia w bęben i ponuro stąpały w ich rytmie.

Wszystkie zwierzęta i ludzie uroczyście szli przez łąki ku lasom. Deszcz ustał, gdy trąby dały znak do rozpoczęcia gonitwy.

Co za podniecające przeżycie! Wszystko jedno, co miało się zdarzyć później,

wiedziałem, że nigdy nie zapomnę tego dnia. Żałowałem, że - ojciec nie widzi mnie jak odważnie, w bojowym rynsztunku ruszam polować na prazwierza. W wyobraźni już

obmyślałem bardziej efektowne sposoby zagrania Albrizziego.

Hoytola posiadał znakomite tereny łowieckie. W przeważającej części były

pagórkowate, z pojedynczymi skałami rzuconymi to tu, to tam, gęsto zalesione wysokimi dębami, akacjami i kasztanowcami. W cieniu drzew rosły paprocie wielkie jak ludzie. Kryła się w nich mniejsza zwierzyna, która padała łupem drapieżników. Wzgórza rodziły strumienie, a na otwartych przestrzeniach panoszyły się rozległe mokradła i stojąca woda, z siedzibami kaczek i rozmaitego ptactwa, które, gdy tylko ktoś zakłócał im spokój, natychmiast wzbijało się w powietrze.

W całej okolicy rzadko spotykało się samotnych strażników lasu, leśników albo

węglarzy. Gatunki większych zwierząt były na wymarciu; dlatego zwykle zostawiano je w spokoju - poza tą jedną jedyną okazją w roku. Gajowi Hoytoli hodowali młode diabloszczęki, tyranty i walirogi opiekując się nimi od chwili, gdy wykluwały się z jaj, a wszystko po to, by sztucznie zwiększyć ich liczbę.

Weszliśmy głębiej w las. Cisza zgęstniała. Od wielu lat nie zdarzyło mi się tak bardzo oddalić się od innych ludzi, by nawet ich nie słyszeć. Szeptem gadałem do Jeżyna i klepałem go po karku. Od czasu do czasu migał mi jakiś myśliwy z prawej lub z lewej strony, ale ukształtowanie terenu nie pozwalało mi stale ich widzieć.

Krajobraz stawał się coraz surowszy, ścieżka bardziej kamienista. Jeżyn trafił na stare koryto rzeczne. Drzewa po obu jego stronach tworzyły zwarte ściany. Przesmyk nieba nade mną z każdą chwilą się zwężał. Na początku zdarzało mi się od czasu do czasu widzieć szybującego skórodzioba. Potem zieleń otoczyła nas zupełnie, a wielkie konary splotły się nad naszymi głowami. Jeszcze przez jakiś czas szliśmy lasem.

Wyszliśmy na skalisty wzgórek porośnięty ostem. Zmusiłem Jeżyna do marszu przez poszycie i zauważyłem, że po jednej stronie wzniesienie kończyło się stromą ścianą, pod którą znajdowała się nisza, a może nawet jaskinia. W takim miejscu gady mogły sobie urządzić legowisko. Zsiadłem z konia, ale mocno zacisnąłem w dłoni uzdę. Podeszedłem do krawędzi urwiska i spojrzałem w dół. Strąciłem stopą kamyk. W dole nic się nie poruszyło. Z

oddali dobiegły mnie stłumione krzyki. Ktoś natrafił na zwierza. Przez chwilę stałem nasłuchując. Wołanie się nie powtórzyło. W lesie ponownie zapadła cisza.

Dosiadłem Jeżyna i zawróciłem do miejsca, gdzie mogliśmy w miarę bezpiecznie

zejść w dół zbocza i zbadać jamę. Okrążyliśmy jej wylot szerokim łukiem, wiedziałem jak szybkie potrafią być drapieżne gady.

Tak jak podejrzewałem, była tam jaskinia. Wejście do niej zasłaniały krzewiaste zarośla. Poszycie zostało zdeptane, ale nigdzie nie dostrzegłem kości. Nakazałem Jeżynowi postąpić do przodu.

Ze swego miejsca nie mogłem widzieć, jak głęboko sięgała. Gdy znaleźliśmy się tuż przy jej wylocie, wyskoczyły z niej dwa stwory i z rechoczącym wrzaskiem rzuciły się ku nam. Choć trzymałem kuszę w gotowości, dałem się zaskoczyć. Zdołałem jedynie skulić się w siodle.

Zwierzęta miały wielkość chartów i grube, gadzie ogony, które podnosiły wysoko, biegnąc na tylnych łapach. Ich grzbiety znaczyły zielone i brązowe cętki. Jedno z nich, gwałtownie skręcając, na chwilę pokazało żółty brzuch. Mogły to być jerki, kłaperdyle albo inne podobne gady. Jak na małe leśne stworzenia przystało, umiały szybko uciekać. Biegły z otwartymi pyskami, demonstrując ofiarom jadownicze zielone podniebienia.

Oczywiście, ja nie zaliczałem się do ich zdobyczy. Przerażone śmignęły obok nas -

każde po innej stronie - i znikły w krzakach. Wystraszyły się tak samo jak ja i Jeżyn, który szarpnął

się gwałtownie, zawrócił i galopem pognął między drzewa.

Przez chwile nie wiedziałem, co robić. Krzewy, gałęzie, paprocie zwały się w zieloną smugę. Z głową przyciśniętą do szyi konia, wrzasnąłem, aby się zatrzymał. Jakoś zdołałem się opanować. Gorączkowo przypominałem sobie wszystko, co wiedziałem o konnej jeździe i próbowałem go wstrzymać. Ale Jeżyn mknął dalej. Stał dopiero gdy dotarliśmy nad strumień na wpół ukryty za kępami bambusów. Zahamował tak gwałtownie, że mało

brakowało, a ześliznąłbym się po jego szyi. Koń zajął się przeżuwaniami trawy.

Nie wypuszczając uzdy z rąk, zsiadłem z niego. Dyszałem ciężko i dygotałem.

- Nie ma się czego bać, stary druhu - powiedziałem rozglądając się nerwowo dookoła.

Zniżyłem głos do szeptu.

Nad lasem wisiał brązowy cień. Gałęzie zwisały smętnie i nieruchomo, tak jakby zamarły w trakcie jakiejś ponurej dysputy. Krople wody kapały na ziemię. Nie było nic, czego moglibyśmy się obawiać, a mimo to strach mnie nie opuszczał.

Poprowadziłem Jeżyna brzegiem strumienia, bez zastanowienia podążając z jego

biegiem i nasłuchując głosów innych myśliwych.

- Powinienem był dostać jednego kłaperdyla, Jeżynku - powiedziałem do konia. -

Przepuściłem taką okazję. Możemy już dziś nie wyjść na żadne zwierzę.

Strumień miał sześć metrów szerokości i był płytki. Łagodnie szemrał, płynąc między korzeniami drzew i norami, które szczury wydłubały w jego mulistych brzegach. Bambusowe zarośla zgęstniały tak bardzo, że musieliśmy się oddalić od jego koryta. Nadal jednak uparcie kierowałem konia ku wodzie; strumień przynajmniej wyznaczał jakiś kierunek, którego mogłem się trzymać, bo straciłem orientację w terenie. Raz krzyknąłem głośno; wołanie, na które nikt nie odpowiedział, nie wpłynęło na mnie kojąco.

Po krótkim objeździe znaleźliśmy się znowu nad strumieniem. W tej części był

jeszcze szerszy i płytszy. Z jednej strony drogę zagradzał nam jeżynowy gąszcz, przeplatany ciasno rosnącymi sosnami. Aby posuwać się do przodu musieliśmy wejść w wodę. Szlak przed nami stawał się coraz bardziej mroczny. Znajdowaliśmy się w pierwotnej puszczy, która dawniej porastała cały świat.

Wciąż prowadząc Jeżyna, precyzyjnie przeszedłem się między sękatymi pniami czarnego bzu.

Najeżoną naroślami korę porastał mech. Strumień bardziej hałasował płynąc po kamieniach.

To mnie zachęciło do szybszego marszu. Sądziłem, że wkraczamy na nowy teren i może uda nam się

dołączyć do pozostałych myśliwych, a przynajmniej znaleźć jakiś charakterystyczny punkt krajobrazu, który naprowadziłby nas na właściwą drogę.

Tymczasem potok znikł nam z oczu. Przedarłem się przez kolejny gąszcz czarnego bzu, którego gałęzie uginały się od fioletowych jagód i stanąłem tak gwałtownie, że Jeżyn uderzył mnie głową w plecy, niemal spychając mnie do wody. Przed nami piął się klif. Skała miała barwę równie ciemną, co twarz strażnika więziennego. Rosochate sosny zwisały nad kamiennym czołem, jak rozczochrane włosy. Nasz strumień kończył się niewielkim ujściem u stóp skały i znikał pod nią w mrocznej szczelinie.

Klif stanowił część większego wąwozu, który ciągnął się w obu kierunkach,

uniemożliwiając nam dalszą podróż. Przez chwilę się zastanawiałem, czy nie dotarłem do końca Malacji, za którym zaczynał się kraj zupełnie innego despotyzmu; wrażenie to potęgowała zmiana w roślinności, bowiem drzewa o lekkich liściach, zrzucające szatę na zimę, wymarły przy skalnej ścianie ustępując miejsca sosnom i świerkom, których rzędy ciągnęły się jak okiem sięgnąć, pnąc się w górę ku krawędzi klifu.

Ich zieleń kontrastowała z brązową poświatą na niebie. Zmierzch nadchodził

szybkimi krokami.

Zauważyłem, że obserwuje mnie brodaty mężczyzna. Nie zważając na ryzyko, stał na samej krawędzi klifu, w najwyższym jego punkcie, wysoko ponad gardzielą, w której znikał strumień.

- Którędy do Juracji? - zawołałem.

Żadnej odpowiedzi. Nie widziałem obcego dokładnie. Wydawało mi się, że miał nagi tors i ubrany był jedynie w parę znoszonych spodni. Jego bezruch mnie zaniepokoił. Nie podobał mi się sposób, w jaki nieznajomy mi się przyglądał.

- Zapomniałeś języka w gębie, człowieku?

Znowu nic. To nie był człowiek tylko posąg i to posąg przedstawiający satyra, a nie ludzką istotę. Od lędźwi w górę przypominał mężczyznę; ale poniżej był kozłem, a w rozczochranej czuprynie gnieździła się para małych, kozich rogów.

Poczułem rozczarowanie, ale i ulgę. Może wolałem, by ignorował mnie posąg, nie żywy człowiek.

Czułem obok siebie spokojny oddech konia. Jeżyn od czasu do czasu trącał mnie

nosem w ramię. Zapadał zmrok. Uznałem, że powinniśmy przejść przez strumień.

Przeciwny brzeg wyglądał na mniej zarośnięty.

Nadal prowadząc Jeżyna za uzdę, wszedłem w wodę, śledzony kamiennym wzrokiem

satyra i wspiąłem się na drugi brzeg. Już miałem wsiąść na konia, gdy poczułem swąd spalenizny. Woń ta zapanowała nad moimi zmysłami i poprowadziła mnie jak po sznurku.

Czułem jak kieruje moje stopy i ciągnie za ubranie. Wokół mnie, dziwna poświata barwy sepia zgęstniała, przenikając powietrze i wszystkie formy. Zrozumiałem nagle, że były one w zмовie od chwili ich poczęcia, a zrodziły się z samej istoty Zła. Potworny, wszechwładny zapach i przyćmione światło, potęgowały wrażenie, jakbym poruszał się przez materię przybierającą tylko pozorne kształty - urojenia zrodzone z oddechu Władcy Ciemności i Chaosu.

Odrobinę tej ciemności widziałem przed sobą, a w jej wirującym jądrze dostrzegłem język ognia. Krępi satyrowie, których postacie ledwo mogłem odróżnić od pni drzew, szli obok mnie. Ich kozi zapach mieszał się z wonią dymu. Użyłem słowa „szli”, ale ruch, podobnie jak materia, ograniczony został tylko do złudzenia. Wszyscy staliśmy się śladami pociągnięć piekielnego pędzla, cienistymi kopiami wspanialszych wymiarów, a rzeczywiste pozostały tylko pęk płomienia i otaczająca nas noc.

Czułem, jakbym się zapadał - dla mego ducha ruch ten był wyjątkowo realny - tak jakbym powoli zatapiał się w skałę i bezbożne przestrzenie pod ziemią. Towarzyszyło temu dręczące uczucie bez nazwy. Mogła to być intuicja: przecucie równie zwodnicze, co wijące się serpentyny dymu przede mną; wrażenie, że trafiamy na scenę życia w cielesnej formie z przyczyn, których nie potrafimy pojąć - bo rzeczy tak przesiąkniętych złem nie da się zrozumieć. Ich poznanie pociągnęłoby za sobą całkowite zniszczenie. Przecucie to przepełniło mnie czymś trwalszym od strachu - przypomnieniem. Pradawne zło wokół stało się częścią mnie, tak jak ja stałem się częścią tego zła. Zakrzusiłem się zakurczonym kęsem wskrzeszonej pamięci. W niczym się nie różniłem od satyrów o kozich wargach.

W tajemniczy sposób amulet ześliznął mi się z ramienia i spadł na leśne poszycie, gdzie zaczął się wić jak ranne zwierzę.

Pierwotny ogień płonął na ołtarzu ozdobionym wystającymi z kamienia, rzeźbionymi głowami. Wokół stało sześć monstualnych postaci. Przyglądały mi się. Ponad ich pochylonymi ramionami przysiadła sowa, której oblicze zdawało się nie mniej nie ludzkie od twarzy pozostałych. Siedziała na nisko zwieszonym konarze, rozpościerając skrzydła, jakby za chwilę miała rzucić się ku moim oczom. Znowu odniosłem wrażenie, że już ją widziałem.

Spośród sześciu okrutnych postaci, tylko dwie widziałem wyraźnie. Pozostałych

zasłaniał wielki, cylindryczny ołtarz. Dwie istoty z przodu miały na sobie sztywne szaty, ozdobione symbolami oznaczającymi - w co nie wątpiłem - przynależność do Religii Naturalnej. Wyglądały obrzydliwie, tak jakby dawno temu wyciosano je z niekształtnych brył

ziemi. Główny mag sprawiał wrażenie okrutnego i złego. Nos i usta ponad gęstą, rudobrazową brodą, wykrzywiał mu szydrczy grymas. Na głowie nosił śmieszny płaski kapelusz, a pod fałdami szat zaciskał dłoń na ogromnym fallusie. W jego cieniu przykucnęła kobieta.

Jej nagie plecy opierały się o szatańskie oblicze zdobiące ołtarz. Nagie piersi zwisały smętnie.

Były pełne i lekko wydłużone od własnego ciężaru. Odebrano jej cześć. U jej stóp leżały strzępy odzienia. Miała na sobie tylko koszulę, której biel poplamiały brud i krew. Jej widok przepełnił mnie głębokim smutkiem.

Przyglądając się złym istotom, zauważyłem, że jedna z nich była małpą ubraną w ludzkie szaty i przyjętą przez pozostałych, jako podobną człowiekowi. W gronie znajdował

się też jaszczurzy mężczyzna z twarzą o krótkiej szczęce i z bezwłosą czaszką. Wpatrywał się we mnie poprzez smrodliwy dym unoszący się z ofiarnego kamienia. Pozostali trwali nieruchomo, tak jak on.

Pierwsza przemówiła kobieta. Powoli uniosła głowę, patrząc na mnie spod jasnych brwi. Nie była stara. Zachowała jeszcze ślady urody. Jej czoło zrosił pot, a wargi krwawiły.

- Pomóż mi - poprosiła. Uśmiechy splamiły usta magów.

- Pomóż mi - powtórzyła. Z wysiłkiem oparła się na rękach i usiadła. - Oni twierdzą, że jestem Carycą Teodora, wdową po Teofilusie, albo jej wcieleniem. To wszystko kłamstwa.

Nigdy nikogo nie skrzywdziłam. Regimenty Teodory jak wilki opadły przodków tych tutaj...

diabłów, podążając za nimi w dzikie puszcze, rozdzierając ich, jak dzikie zwierzęta, topiąc lub paląc całe setki tysięcy tych stworów... Nie moja w tym wina. Pomóż mi! - Wyciągnęła ku mnie rękę.

Znieruchomiały z przerażenia nie sądziłem, bym zdołał pomóc jej albo sobie.

- Z jakiej chwili pochodzicie, nieistotne byty? - odezwał się główny czarodziej. - Jakże ma znaczenie, za kogo się uważacie? - Jego pytania miały potworną moc unicestwiania. -

Dopóki nie pojmiecie swej natury, wasze błędy, takie jak błędy historii, wciąż się powtarzają w niekończącej się fikcji. Tylko taka wiedza jest wam dostępna.

Bez świadomości, że mówię, powiedziałem coś w obronie kobiety.

Wówczas odezwał się drugi mag. Sztywno pochylił się do przodu, jakby przebijał się przez płótno obrazu. Jego krzaczaste brwi poruszyły się, gdy wyciągnął ku mnie rękę i wskazał mnie palcem.

- Jesteś równie nietknięty, co zdeptane przypadkiem źdźbło trawy.

Jego usta otworzyły się, ale gdy mówił nie układały się w kształt słów. Spomiędzy warg sączył mu się dziwny, siarczany swąd.

- Pierwotna Klątwa, która pęta Malację, wiąże także ciebie, mój chłopcze, więc się strzeż!

- Co mam robić? - spytałem.

Mój głos dobiegł mnie z oddali, z innego miejsca lub czasu. Wiek cały trwało zanim słowa przebyły swą drogę, a gdy mnie opuściły, mogłem już tylko patrzeć, jak siedmiu satyrów - wśród których dostrzegłem dwie samice z obwisłymi wymionami - podbiegło galopem i pochwyciło nieszczęsną kobietę oskarżoną o to, że była wcieleniem Teodory.

Oprawcy przykuli ją do ziemi, przepychając się, by zająć jak najlepsze miejsce wokół niej.

Kobieta krzyczała. Jedna z kozich samic ugryzła ją między udami, ale natychmiast została odciągnięta i spotkała ją za to kara. Pozostali satyrowie zwalili się jedni na drugich tak, że po chwili powstało obrzydliwe kłębowisko, z którego wystawały wierzgające kopyta, podskakujące zady i machające ogony. Podnosząc ciężką szatę, pierwszy mag ruszył ku nim, by się przyłączyć do zwierzęcej zabawy. W diabelskim uśmiechu odsłonił kły.

To wszystko stało się w oka mgnieniu, bo oto już drugi czarodziej odpowiadał na moje pytanie - choć później nie wiedziałem, czy mam wierzyć jego słowom.

- Musisz mieć nadzieję i cierpieć, nawracać się i grzeszyć, triumfować i odnosić porażki. Jak inaczej żyć w pokorze wobec dwoistości ducha? Poznasz teraz przekleństwo wiedzy - dzięki niej nie zyskasz mądrości - sprawi ona jedynie, że wszystko, czym się dotąd cieszyłeś dzięki niewiedzy, stanie się bardziej bolesne.

- O jakiej wiedzy mówisz?

- Jedynej, jaka istnieje - o wiedzy, która postarza. Nie potrafię wyjaśnić, w jaki sposób nagle znalazłem się naprzeciwko gadziego oblicza po drugiej stronie dymiącego ołtarza i słuchałem słów jaszczurzego maga.

- Zgodnie z naszą dwoistą naturą, każda nagroda niesie ze sobą karę, a każda kara, nagrodę. Skoro już masz doświadczyć ciężaru wiedzy, wolno ci wyrazić jedno życzenie, które zostanie natychmiast spełnione, o ile będzie to w naszej mocy.

- W takim razie, chciałbym zaimponować Armidzie Hoytoli czymś wspaniałym -

powiedziałem bez zastanowienia, bo w takiej chwili nie mogłem myśleć. - Chciałbym ocalić ją przed wielkim niebezpieczeństwem, aby mogła...

Mój głos zadrżał i umilkł. Nie ze strachu, lecz z innej niezrozumiałej przyczyny -

może to owa potworna wiedza już działała - poczułem bowiem, że nigdy nie mogłbym być szczęśliwy z kobietą, którą wiązałoby ze mną jakieś zaklęcie lub przymus.

Stałem z otwartymi ustami patrząc na wirujący wokół dym. Ciemność gęstniała, a krzyki kobiety słabły. Wargi maga, odsłaniając kły, wyszeptały coś na kształt: „Twoje życzenie zostało spełnione!”

Między nami wyrósł płomień. Czarodziej uniósł ręce w poszarpanych rękawach ponad głowę. Przypominały skrzydła skórozęba.

- Idź precz, młody fantomie! - zawołał.

Gdy jego słowa przebrzmiały, poczułem jak okrutne zimno szczypie mnie w oczy. Nie widziałem wyraźnie. Potworna gromada na ziemi zlała się z leśnym poszyciem. Rząd ponurych figur, ludzkich, zwierzęcych i ptasich, zbladł, wtapiając się między pnie drzew.

Nawet wielki kamień stał się cieniem, którego nie potrafiłem odróżnić od ścieżki. Tylko płomień na ołtarzu, pnąc się ku górze, niczym język węża, pozostał wyraźny, a tylko się oddalił ode mnie. Upadłem na ziemię.

Byłem sam w dalekim, szarym świecie starych drzew. Odzyskałem świadomość

nędnego istnienia. Znowu usłyszałem szmer strumienia za mną. Znowu poczułem, że śmierć nie była siłą rządzącą światem.

Zaczęło padać. Najpierw tylko w górnych partiach koron drzew, potem krople

dosięgły mojej skóry, przypominając mi delikatnie, że każda pogoda, tak jak pory roku, przychodziła i przemijała. Powoli dochodziłem do siebie.

Dane mi było zajrzeć między przekłete tajemnice istnienia. Odwróciłem się, aby sprawdzić jak czuł się Jeżyn. Biedak, nie miał ani krztyny ludzkiej odporności. Jego uzda wisiała na szkielecie - idealnym szkielecie konia. Każda kość lśniła, jakby wciąż jeszcze pozostała na niej wilgoć ciała, z którego tak gwałtownie ją odarto. Na moich oczach szkielet rozsypał się w bezładną kupę kości, w której nikt nie rozpoznałby konia. Spomiędzy nich wydobyłem przytroczoną do siodła kuszę. Wciąż jeszcze mogły na mnie czyhać w lesie niebezpieczeństwa.

Na ciemnej, zdeptanej trawie coś błysnęło - mój amulet. Ledwo zdołałem go podnieść, taki był gorący.

Obmyłem twarz wodą ze strumienia i jakoś zdołałem zapanować nad drżeniem rąk i nóg.

Skoro już dostąpiłem szatańskiego oświecenia, musiałem zadać sobie pytanie, czym była owa wiedza, którą mnie obarczono. Czy w wizji wiernej obrazom Religii Naturalnej kryło się religijne objawienie w pełni zgodne z dogmatami Wysokiej Wiary?

Czy przytrafiło się to wszystkim, tylko - co oczywiste - nie chcieli o tym mówić?

Przemilczanie tak zadziwiającego zdarzenia, wznosiło mur między człowiekiem i jego przyjaciółmi. Ale jak można było opisać słowami coś tak dalece wykraczającego poza zwykłe poznanie? Posępnie zastanawiałem się, czy nie dlatego właśnie starzy ludzie - za młodu byli przecież weseli i towarzyscy - chodzili z kwaśnymi minami, trzymając się z dala od innych, tak jakby nie ufali przyjaźni.

Jedno wiedziałem. Odpychający mag spełnił moje życzenie. Musiałem zachować ostrożność. Pomyślałem o Desporcie.

Powiadano, że kiedy wielki założyciel naszego państwa po raz pierwszy przeprawił się przez rzekę Toi i stanął na ziemi, na której później wzniesiono domy Starego Mostu, w środku dnia stała się północ, a Desportowi pokazał się wielki mag - Pierwszy Mag.

Czarodziej dał mu jedno życzenie, a ten zapragnął, by miasto, które wraz z ledwie człowieczymi zwolennikami wznosił w hołdzie dwóm religiom, na zawsze miało pozostać takie same, wierne jego planom. Właśnie to życzenie ludzie nazywali Pierwotną Klątwą. Jak głosiła legenda, od tamtej pory miasto zastygło w niezmienności. Choć czas i zmiany nie są jednym i tym samym, w losach rodzaju ludzkiego nie sposób ich rozdzielić.

Miałem pewność, że smród, który wraz z satyrami zawiódł mnie w przeklęte miejsce, był wonią czasu.

Złowieszczy bezruch lasu obudził mnie z transu. Noc chyłkiem przemykała pomiędzy splątanymi drzewami. Zastygłem w kucki na brzegu strumienia. Z mojej wizji pozostało jedynie odległe światelko, przypominające węzowy język płomienia z ołtarza.

Przez wiele minut stałem w miejscu, zastanawiając się, co to za błysk. Dopiero po jakimś czasie zrozumiałem, że nie wymażę obrazu ołtarza z wyobraźni, dopóki nie sprawdzę, skąd pochodziło światło. Jeśli niosło ze sobą towarzystwo ludzi, tym lepiej dla mnie.

Omijając kości biednego Jezyna, ruszyłem w stronę migającego płomyka. Porę zmięszu myśliwi polujący na prazwierzę uważali za najbardziej pomyślną. Zwierzęta, duże i małe pod wieczór traciły siły i wracały do swoich legowisk. Ostatnie chowały się giganty, przed snem żerując. W mroku stawały się łatwiejszym łupem; ale ponieważ szedłem pieszo i miałem tylko lekką broń, nie chciałem stanąć żadnej z bestii na drodze do jej sypialni.

Trzymając kuszę w gotowości, wspiałem się pod górę, między pnie drzew, których liście tworzyły nade mną bezładny dach. W oddali widziałem scenę zupełnie odmienną od przerażających obrazów, których niedawno byłem świadkiem. Mimo to, pora i miejsce nakazywały mi ostrożność nawet wobec ludzi. Mój szlak przecinała piaszczysta droga. W

rowie przy niej stał przechylony powóz, po którego bokach wisały dwie latarnie. Nieopodal płonąła pochodnia, której blask zwabił mnie do tego miejsca; zapach smoły przyjemnie drażnił nozdrza. Te trzy źródła światła tworzyły w ciemnościach nocy jasny trójkąt.

Pochodnię wbito w miękką ziemię tak, że oświetlała młodego mężczyznę klęczącego plecami do mnie przy przednich kołach powozu. Przyjrzałem się jemu i towarzyszącej mu dziewczynie, ostrożnie kryjąc się za dębem z grzywą bluszczu.

Mężczyzna bezskutecznie próbował podważyć koło powozu. Na przemian to ciągnął je, to pchał, a czasem, na wszelki wypadek, wymierzał szybkiego kopniaka. Koń, którego oczy błyskały czerwono odbitym światłem, niespokojnie szarpał się w zaprzęgu. Gdy cicho zarżał, mężczyzna zaklął.

Młoda dama stała pośrodku drogi. Wprawdzie nie klęła i nie rżała, ale za to okazywała zniecierpliwienie chodząc po niewielkim kręgu światła pochodni, szarpiąc spódnicę i wymachując rękami.

Nie ma nic dziwnego w tym, że powozy czasem zjeżdżają do rowu, ani w tym, że takie wypadki denerwują młode damy. A jednak scena ta ogromnie mnie zaciekała -

wypierając z mej głowy myśli o niedawnych zdarzeniach - bo młodą damą okazała się Armida Hoytola.

Choć z natury jestem impulsywny, nie pobiegłem do niej od razu. Zdumienie nakazało mi zostać w ukryciu. Zresztą, powstrzymało mnie nie tylko zdumienie. Scena wydała mi się dość pikantna; poza tym, zawsze uważałem, że warto przypatrzeć się młodej pannie, gdy ona o tym nie wie.

Armida była tak zła, że nie mogła spokojnie mówić. Z każdego jej ruchu biła pogarda.

Lekceważąco otrzepując suknię złościła się na piaszczystą drogę, na noc i na nieszczęśnika, który klęczał w rowie. Ledwo go widziałem pod powozem. Dostrzegalem tylko jego poruszające się ramię. Nagle zapragnąłem, aby moja ukochana znalazła się w

niebezpieczeństwie. Mógłbym wtedy wyskoczyć z ukrycia i uratować ją ku naszej obopólnej korzyści.

Ledwie zdołałem o tym pomyśleć, gdy w zaroślach po przeciwnej stronie drogi, gdzie cienie i drzewa tworzyły zwartą zasłonę, rozległ się potężny trzask. Armida, słysząc hałas, zatrzymała się i z zachwycającym niepokojem spojrzała w stronę, z której dobiegł. Nawet La Singla nie zagrałaby tej sceny piękniej.

- Guy! - zawołała.

Mężczyzna w rowie wy dostał się spod powozu. Nawet na niego nie spojrzałem.

Patrzyłem w tę samą stronę, co Armida - ku pobliskiej gęstwinie, którą coś gwałtownie rozdarło.

Podobno leopardy i tygrysy Orientu natura obdarzyła sprytem równym chytrłości

człowieka. Umiały śledzić upatrzoną ofiarę i zniecka ją zaatakować. Miały wielką siłę, zwinność większą od siły, a spryt większy od zwinności. Tymczasem prastare drapieżne giganty miały tylko potężną siłę.

Diabloszczęki oraz ich dalecy kuzyni, rozplątнице i tyranty, przypominały prymitywne maszyny. Gdy diabloszczęki - a raczej archwental, bo tak brzmiała prawdziwa nazwa tego gatunku - zwietrzył ofiarę, kierował się wprost na nią, nie przejmując się przeszkodami na drodze i nie zważając na hałas, jaki powodował. W przeciwieństwie do leoparda, nie potrzebował ani sprytu, ani zwinności, wystarczył mu gigantyczny korpus i szaleńcze tempo marszu. W pełnym cwale dopadał wszystkiego, co sobie

upatrzył. Niemal nic nie mogło powstrzymać siedmiotonowej bestii biegnącej ku swej zdobyczy.

Jeszcze przez chwilę cienie po przeciwnej stronie drogi były martwe jak maska.

Moment później rozdarła je długa jak canoe głowa. Osadzone nad gładkim ryjem oczy ginęły w głębokich oczodołach. Obciągnięta skórą czaszka przechodziła w potwornie gruby kark, upstrzony naroślami i fałdami skórnymi. Głowa obróciła się raz w lewo i raz w prawo, po czym rozwarła się ukazując rzędy zębów i dobywając z płuc gniewny grzmot.

Zupełnie zagłuszył on wrzask Armidy.

Nie zatrzymując się ani na chwilę, diabloszczek parł do przodu. Betsy, niewielka klacz Armidy, zabębniła podkowami o powóz, rzucając się między drzewcami zaprzęgu i próbując się uwolnić.

Krzyk ukochanej sprawił, że błyskawicznie wyskoczyłem na polanę z gotową do

strzału kuszą. Armida pospiesznie ruszyła ku mnie. Zawołałem, aby skryła się w powozie.

Klęknąłem na jedno kolano i wycelowałem. Uderzył mnie smród zgnilizny bijący od gada.

W obliczu niebezpieczeństwa, w mgnieniu oka dostrzega się wszystkie szczegóły i mózg błyskawicznie nakazuje ciało działanie, ponieważ wolny jest od zwykłych hamulców myśli. Dopiero po wszystkim przychodzi czas na analizę. Stojąc naprzeciwko diabloszczęka dostrzegłem, że kiedyś został ranny, prawdopodobnie podczas poprzedniego polowania. W

twardej skórze na kolanie widniała wielka, ropiejąca szrama. Być może właśnie dzięki niej jeszcze żyłem.

Potwór obrócił się stając na wprost przede mną. Oczy błysnęły mu spod

zrogowaciałych brwi. Nie spuszczać ze mnie wzroku, wyszedł zza leśnej zasłony. Po chwili znalazł się tuż przy nie. Stał dęba na potężnych, tylnych nogach. Był trzy razy wyższy ode mnie.

Ogarnięty gorączką działania, widziałem przed sobą tylko wbite w ziemię pazury, olbrzymi, sterczący brzuch i szczęki kłapiące mi nad głową. Zauważyłem drgające mięśnie i liście przyklejone do skóry bestii. Wystrzeliłem bełt w falujące podgardle stwora, upadłem, zrobiłem przewrót i jak szalony rzuciłem się do ucieczki, szukając schronienia za najbliższym drzewem. Biegając dobyłem miecza.

Gdy zdyszany znalazłem się za pnem, odwróciłem się, aby sprawdzić, jak blisko był

potwór.

Diabloszczek wydał z siebie ryk podobny do trzasku rozdieranej sosny. Z gardzieli tryskała mu krew. Sięgając ku niej krótszymi, przednimi łapami, dziko szarpał tkwiący w ranie bełt. Potem wpadł w szal.

Na leśnej drodze miał niewiele miejsca. Potężnym ogonem wyrwał z korzeniami

krzewy rosnące na skraju. Roztrzaskując pnie młodych drzew, potwór zatoczył krąg i rzucił

się przed siebie z wysuniętą do przodu głową. W ataku przypominał gigantycznego węża.

Rozpędzony trafił wprost na powóz. Roztrzaskał go w drzazgi. Armida! Kucyk uwolnił się i uciekł.

Prawie bez zatrzymania, zwierz wpadł między drzewa tak blisko mnie, że poczułem na twarzy uderzenia kamieni lecących spod jego łap. Z taką siłą natarł na wielki dąb, że ziemia wokół zdrząła.

Gdy nagle zabrakło jego tytanicznej siły, rozpraszającej szarawe resztki światła, las wydał mi się dwa razy mroczniejszy.

Złapałem drugi oddech. Wiedziałem, że raniłem wielkiego prazwierza; nie musiałem się go już tak bardzo obawiać. Wskoczyłem z ukrycia, wyrwałem pochodnię z ziemi i ruszyłem na poszukiwania. Podążałem drogą, jaką utorował sobie diabloszczek, mając nadzieję, że nie był już niebezpieczny i wystarczy zwykły *coup de grace*, aby go dobić.

Zamierzałem to uczynić, aby nikt nie miał wątpliwości co do mego zwycięstwa.

Niestety, diabloszczęki są chyba zbyt głupie, by poddać się śmierci. Potwór przestał

panować nad ruchami, a mimo to wciąż trzymał się na nogach i wściekle się miotał.

Płomiennie pomarańczowa pręga biegła wzdłuż całego kręgosłupa, od pyska po koniec ogona. Wiła się po jego ciele, jak lina unoszona spienionymi falami morza. Bijąc wokół

ogonem, diabloszczek zdołał się oswobodzić z plątaniny konarów - nagle przed sobą ujrzałem absurdalny wzór z liści, gadzich łusek i gałązek tańczących w ciemnościach. Ruchliwy ogon uniemożliwiał mi podejście, ale jakiś ułamek szaleństwa bestii udzielił się także mnie.

Zaczekałem na odpowiedni moment i rzuciłem się ku niemu, zatapiając miecz w brzuchu stwora.

W uderzenie to włożyłem całą siłę. Ostrze przedarło się przez łuski i zatopiło w żywym ciele. Uderzyłem po raz drugi i trzeci, aż z ran trysnęła krew i wysuwały się wnętrzności.

Poruszając się w ciemnościach, ledwo widziałem, co robię. Odskokczyłem, gdy bestią szarpnęły konwulsje. Nad sobą miałem jej głowę. Diabloszczek spojrzał na mnie. Może to noc i cień sprawiły, że nagle jego oczy wydały mi się pełne łagodnej mądrości i żalu - nie dostrzegłem w nich nic dzikiego, choć kiedyś ktoś mi mówił, że właśnie dzikość mają we wzroku te potwory.

Jeszcze jeden wstrząs i zwierz wyzionął ducha. Nadal trwał w na wpół zawieszonyj pozycji, zaplątany w konary. Gdy po śmierci jego mięśnie zaczęły się powoli rozluźniać, a nogi się ugięły, opadł na ziemię. Głowa uderzyła o grunt.

Zabiłem mego prazwierza.

Chwiejnie wróciłem na drogę, gdzie znalazłem pobladłą Armidę i trzęsącego się de Lambanta. Dziewczyna za bardzo się bała wejść do powozu, tak jak jej nakazałem i dzięki temu przeżyła. Wspierała się o Guya. Kilka kroków dalej Betsy szczypała trawę, jakby nic się nie wydarzyło.

Przez chwilę żadne z nas nie było w stanie powiedzieć ani słowa.

- Co tu robisz? - spytałem w końcu Armidę.

Tak bardzo trzęsa się ze zdenerwowania, że nie mogła mi odpowiedzieć.

- Dowiedzieliśmy się, że Bedalara jest we wsi niedaleko Juracji - powiedział de Lambant schrypniętym głosem. - Armida poprosiła mnie, bym towarzyszył jej podczas wizyty. Wprowadzono nas w błąd. Pojechaliśmy na próżno. Właśnie wracaliśmy, gdy kamień dostał się pod koło i wpadliśmy do rowu.

- Weźcie klacz - powiedziałem. - Posadzimy na niej Armidę. Ty usiądź za nią i

dopilnuj, żeby bezpiecznie wróciła do ojca.

Nie spierał się ze mną. Wspólnie przyprowadziliśmy Betsy i nakłoniliśmy Armidę by jej dosiadła. Dziewczyna płakała.

- Nic mi nie jest, Perry. Nic mi nie jest - powtarzała w kółko. Nie wiem, czy chciała mnie w ten sposób uspokoić. Grunt kołysał się mi pod stopami.

- Ja pójdę za wami pieszo. Zajmij się nią - teraz jest pod twoją opieką.

- Nic mi nie jest, Perry.

- Przyślę tu strażników.

- Powierzam ci ją, Guy.

Podniósł rękę i zdobył się na nikły uśmiech.

- Ze mną będzie bezpieczna - powiedział. Zostałem sam z dogasającą pochodnią i martwym zwierzem leżącym nieopodal.

Oślałem. Zmysły straciły ostrość. Całe ubranie zabarwiła mi krew, zwierza i moja.

Lewe ramię i bark krwawiły mocno. Zawróciłem, chwając się jak pijak i zobaczyłem, że cała okolica skąpana była w krwi diabloszczęka. W rośliny i piach pod stopami wsiąkły całe jej litry.

Poczułem mdłości. Zrozumiałem, że zostałem ciężko ranny. Nie pamiętałem nawet, w którym momencie zwierz mnie zranił. Upadłem między połamane drzewa, ale jakoś zdołałem doczołgać się do wielkiej, koguciej łapy stwora. Usiadłem wsparty o nią. Chciałem wyglądać jak najdostojniej, gdy przybędą mi na ratunek.

Musiałem długo czekać i przebyć daleką drogę rzeką bólu, zanim usłyszałem odgłosy nadchodzących ludzi i ich pochodnie mignęły mi przed oczami.

KSIĘGA TRZECIA

Wnętrze zamku i pokutnicy

Komnata, w której leżałem, znajdowała się w jednej z wież Zamku Manteganów. Jej okna wychodziły na dachy wewnętrznego dziedzińca, codziennie na nowo zalewanego powodzią słońca. Wyglądałem przez jedno z nich. Było wysoko nad ziemią, ale wiciokrzew i tak zdołał się wspiąć do parapetu i jeszcze wyżej, czepiając się spoin między kamieniami.

Przez całą rekonwalescencję towarzyszyło mi bzyczenie pszczół spijających nektar z kwiatów późnego lata.

Pod opieką siostry leczyłem się z ran. Być może to jej obecność sprawiła, że w gorączce cofnąłem się do czasów dzieciństwa. Wydawało mi się, że wróciłem w jedno z tych niezwykłych popołudni, kiedy to zaraz po obiedzie zaczynała się wieczność i trwała jeszcze długo po zmierzchu w zapachu kwiatów i w senności komnat.

Katarina opiekowała się mną na zmianę z jej osobistą służącą, Peggy. Większość czasu spędzaliśmy razem sami, tak jak za dawnych lat. Ojca za bardzo pochłaniały studia, więc mnie nie odwiedzał, ale przysłał list. W odpowiedzi, z dumą przesłałem mu jeden z zębów diabloszczęka, które przywieziono mi z Juracji. Julius Mantegan i jego krewniacy dopilnowali, bym otrzymał trofea, które należały mi się jako myśliwemu.

Ojciec odpowiedział mi krótką notą z podziękowaniem za prezent. Wzruszyłem się czytając ją, choć byłem jeszcze bardzo słaby.

Masz już zęby. Jesteś dorosłym mężczyzną. Moje życie skończone, a raczej

skończyłoby się, gdyby moje bóleści mnie pokonały. Tyle pożytku mam z wiedzy. Są między nami różnice. Powinienem ci powiedzieć, że swoimi narodzinami sprawiłeś wielką radość swojej matce i mnie. Byliśmy razem szczęśliwi. Czasy się zmieniły. Ząb leży przy mnie, gdy piszę ten list. Wybacz niewyraźne pismo. Zostań kimś w życiu.

Twój kochający ojciec

Z gości najczęściej odwiedzał mnie Portinari. Wpadał na chwilę codziennie rano, zanim wyruszał z dostawami ojca. Zawsze przynosił mi pyszny *pate en croute*, jeszcze gorący i pachnący, prosto z pieca. Nigdy nie zostawał na tyle długo, aby zobaczyć, jak go zjadam.

Raz przyszedł Caylus wpierając się na kulach i pochłonał przyniesiony tego dnia pasztet.

Przyprowadził ze sobą Bedalarę, która czule się uśmiechała i robiła bratu wymówki, gdy ten stroił sobie żarty z opłakanego stanu zamku. De Lambant zajrzał tylko raz. Ogromnie chwalił

moje bohaterstwo. Tego dnia byłem słaby, mogłem jedynie leżeć i cieszyć się z jego pochlebstw.

Co wieczór przychodził Mandaro, by się ze mną modlić. Tylko jemu opowiedziałem o zdarzeniu w lesie. To ono stało się przyczyną mojej walki z diabłoszczękiem, a przeraziło mnie o wiele bardziej niż samo starcie ze zwierzem. Nie mogłem zapomnieć o tym doświadczeniu, ciążyło mi jak kamień żółciowy.

Od Andrusa Hoytoli nie dostałem żadnego listu z podziękowaniami ani z gratulacjami.

Tylko jego żona przysłała krótką notę, życząc mi szybkiego powrotu do zdrowia. Za to Armida odwiedziła mnie trzykrotnie. Trzymała mnie za rękę, gdy bredziłem w gorączce i przemawiała do mnie łagodnie. Yolaria dyskretnie siedziała w kącie. Łagodny zapach mięty pozostał w komnacie jeszcze długo po wyjściu mojej ukochanej.

Bez względu na to, kto mnie odwiedzał w mojej wieży, Posejdon, największy z

pałacowych kotów, siedział niewzruszony w oknie, przysłuchując się wszystkiemu i niczego nie osądzając. Okazał się doskonałym towarzyszem w chorobie. Wszyscy mężczyźni powinni być tacy jak on - myślałem - nie gonić bez przerwy za zyskiem, żądzą lub awansem, ale zadowalać się wspaniałością istnienia. Był to utopijny sen rekonwalescenta.

W miarę, jak odzyskiwałem zdrowie, powracały zwyczajne marzenia i niepokoje, a świat na powrót przybierał zwykły wymiar. Gdy Armida ponownie przysłała do mnie i usiadła na krawędzi mego łoża, czułem się dość dobrze, aby porozmawiać z nią o tym, co mnie trapiło.

- Naprawiono już twój powóz? - Wołałem zacząć od pośredniego pytania, zamiast od razu mówić wprost.

- Właśnie budują mi inny, lepszy od starego. Daumondowie mają mi zrobić

prawdziwy miejski powozik, lakierowany siedemnaście razy. Ma mieć tapicerkę z białego i niebieskiego jedwabiu pekińskiego, a drzwi, dach i żaluzje od środka zostaną obite takim samym materiałem. Ojciec mówi, że Daumondowie robią najpiękniejsze powozy w całej Malacji.

Armida wyglądała piękniej niż kiedykolwiek przedtem. Jak zawsze zdumiewało mnie połączenie lśniących włosów i oczu lwicy.

Zanim ponownie się odezwałem, wahałem się przez chwilę.

- Przykro mi, że twój urodzinowy powóz odbył już ostatnią podróż. Dokąd jechaliście wtedy z de Lambantem?

- Sądziłam, że ci powiedział.

- Może i tak ale zapomniałem. Yolaria ci wtedy nie towarzyszyła?

- Nie starczyłoby dla niej miejsca. A ciebie nie obchodziło, co robiłam. Byłeś zajęty innymi

sprawami.

- Armido, obchodzi mnie wszystko, co robisz. Przecież wiesz dlaczego.

Wstała i podeszła do okna. Stała na tle światła. W zamyśleniu pogładziła Posejdoną.

Yolara spojrzała na nią. Pomyślałem, że stara opiekunka musi bardzo kochać swoją podopieczną. Armida odwróciła się i zaczęła niespokojnie krążyć po komnacie.

- Interesujesz się wieloma sprawami, o których mi nie mówisz. Mam zbyt łagodną naturę, by się dopytywać, ale co mi powiesz o tej dziwce bez grosza - dobrze wiesz o kim mówię, o Postępówce, Letycji Złotoróg? Pewnie udasz, że nic was nie łączy?

- Letycja Złotoróg? Och daj spokój, Armido, już ledwo pamiętam to imię. Ona nic dla mnie nie znaczy, za to ty jesteś wszystkim.

W złotych oczach zawrzał sztorm. Twarz Armidy zastygła w grymasie. Zadzierając nos spojrzała na mnie dziko. Przez chwilę wyglądała jak drapieżny ptak.

- Ja - wszystkim? Ona - niczym? Jesteś zupełnie pozbawiony czci i wiary. Tylko w to mogłabym teraz uwierzyć.

- Nieprawda. Gdy poznałem twoje uczucia, zmieniłem się. Zobaczyłem cię taką, jaka jesteś naprawdę, dostrzegłem twoje prawdziwe potrzeby. Już nie spojrzę na Letycję. Masz rację mówiąc, że jest bez grosza, ale nie jest dziwką, po prostu do wielu rzeczy zmusza ją bieda...

Armida odwróciła się i skinęła na Yolarię.

- Nie zamierzam tu zostawać, skoro chcesz bronić tej żalösnej dziewczyny. Czasami naprawdę jesteś niemożliwy!

Sięgnąłem po jej rękę.

- To ty wspomniałaś o Letycji, nie ja. Przecież powiedziałem, że niemal o niej zapomniałem. Dlaczego zawsze ty mnie atakujesz, a ja ciebie nigdy?

- Och, jak ty wszystko potrafisz przekręcić! To potworne! Sam sobie pozwalasz na te wszystkie insynuacje... Sugerowałaś, że coś mnie łączy z Guyem. To nie twoja sprawa - i tak już za dużo ci powiedziałam. Mam zbyt szczerą i łagodną naturę.

Zacząła płakać. Choć byłem na nią zły, nie mogłem patrzeć, jak cierpi. Wstałem z łóżka, objąłem ją zdrowym ramieniem i próbowałem pocieszyć najlepiej jak umiałem.

- Posłuchaj, Armido, nie kłóćmy się. Przecież o całym ci życie i myśl o tym zawsze mnie będzie uszczęśliwiała, więc...

- Właśnie! - krzyknęła. - Pewnie będziesz mi o tym przypominał do końca swoich dni!

- Ale ja nie mówię o tym po to, by...

- Nie sądz, że nie jestem ci wdzięczna, albo że moi rodzice tego nie doceniają, ale proszę, nie mówmy już o twojej odwadze. Gdybyś ty mnie nie ocalił, zrobiłby to Guy.

- Na kości... Armido, nie kłóćmy się, ale bądź dla mnie sprawiedliwa, proszę. Oboje jesteśmy żywi i bezpieczni. Kocham cię. Cofnijmy się w czasie i bądźmy tacy, jak na początku naszej znajomości, bez zazdrości, dobrze?

- Już nigdy nie będzie tak, jak na początku - powiedziała pociągając nosem.

Jej słowa zabolaly! Nie kłula prawda, jaką w sobie kryty - o ile były prawdziwe - lecz obojętność. Armida nie dbała o to czy nasze stosunki się poprawią, czy nie.

- Moje ramię wkrótce się zagoi, a wtedy się przekonasz. Zaczekaj jeszcze tydzień, a znowu będziemy się sobą cieszyć. Przysięgam, że jesteś dla mnie jedyną.

- Tutaj nie masz raczej okazji, by się źle sprawować, prawda?

- Jesteś dla mnie niesprawiedliwa. Nie rozumiem dlaczego. Przecież powiedziałem, że się poprawię i mówiłem szczerze. Co wieczór rozmawiam o tym z poczciwym Mandaro.

Powinnaś mnie wspierać, a nie robić mi wymówki.

Starałem się mówić lekko, ale w sercu czułem coraz większy ciężar. Jej słowa i gesty świadczyły, że już mnie nie pragnęła. Nie chciała też powiedzieć wprost, że mnie kocha; tylko powtarzała, że przecież sam wiem o jej uczuciu do mnie i że już wcześniej mnie o nim zapewniała. Ani razu nie powiedziała, że kocha mnie teraz!

- Musisz zrozumieć Armido, że nie chcę cię skrzywdzić. Miałem w sobie nadmiar

miłości, która skapywała także na inne. Wiem, że nie powinienem był tak postępować, widząc, jak bardzo cię to rani. Ty mnie skrzywdziłaś, bo sama czułaś się skrzywdzona. Ale wierz mi, że nie pragnąłem cię wykorzystać. Wierzę, że jesteś więźniem w swoim domu, i że powinnaś się cieszyć większą wolnością, że miłość powinna być wolna. Spojrzała na mnie z zaciekawieniem.

- Wolna miłość? Nie rozumiem o czym mówisz.

- Miłość przyjmowana i dawana z wolnej woli... Czy to nie szlachetna idea? Jestem zazdrosny, więc może masz prawo gniewać się na mnie. Zazdrość to poniżające uczucie, które jako takie należy traktować i nie dopuszczać go do głosu. Przyznaję, że gdy zastałem was razem, byłem zazdrosny i podejrzliwy wobec ciebie i Guya. To mój dobry przyjaciel i powinienem darzyć go zaufaniem. A ponieważ ciebie kocham, chcę także ci ufać - i tak jest.

Cieszę się, że ty i on zostaliście przyjaciółmi. Przecież będziemy go często widywać, gdy już weźmiemy ślub. Dlatego wybac mi mój gniew i bądź jego przyjaciółką.

Moja mowa zrobiła na niej wrażenie. Uśmiechnęła się, ale nie wzięła mnie za rękę.

- To bardzo miło z twojej strony.

Poczułem się bardziej szlachetny. Powiedziałem prawdę i bardzo chciałem umieć w nią uwierzyć. Ale gdy spojrzałem na Armidę, ponownie ogarnęły mnie wątpliwości.

Przypomniałem sobie, jak nieodpowiedzialnie de Lambant postępował z kobietami.

Mimo to, był przecież moim przyjacielem i na pewno uszanowałby więź łączącą mnie z Armidą. Znowu pomyślałem, że podejrzewanie go jest podłe. Odwiedził mnie tylko raz, bo wyczuł, że mu nie ufam. Aby odegnać wątpliwości raz jeszcze zapewniłem moją ukochaną, że pragnę wyłącznie jej szczęścia. Wyjaśniłem szlachetne aspiracje, jakimi się kierowałem.

Stała, słuchając z powagą i wyglądając przez okno.

- Takiego cię nie znałam - powiedziała w końcu. - Jesteś bardzo wyrozumiały.

Tyle musiało mi wystarczyć.

Jak już wspominałem, co wieczór odwiedzał mnie Mandaro. Szczelnie otulał się

surowym, szarym habitem dla ochrony przed jesiennymi wiatrami, które wiały już niezmiennie o wszystkich porach dnia.

Właśnie jemu zwierzyłem się z obaw, gdy poczułem się silniejszy.

- Wszelkie lęki są oznaką poczucia winy - powiedział. - Dotąd zawsze, gdy tylko miałeś ochotę, czerpałeś z życia wszelkie przyjemności. Teraz sprzeciwiasz się takiej postawie, bo twoja ukochana być może postępuje podobnie. To nie ona cię rani, lecz twoja podwójna moralność.

Pokręciłem głową. Mandaro stale mówił o winie. Taki miał fach.

- Nie, ojczy! Moje romanse z innymi kobietami sprawiały, że czułem się lekko i niefrasobliwie. Nigdy nie kochałem się z dziewczyną, której bym nie kochał, ale żadnej nie kochałem głęboko. Zawsze się przed tym wzbraniałem. Ale one zaczęły trącać we mnie głębsze struny, sprawiały, że moja miłość stawała się głębsza. Właśnie teraz daję ją Armidzie.

Moja kochana przysparza mi zmartwień, ale to nie zmienia uczucia, jakim ją darzę. Torturuję się wyobrażając sobie, że jest inna niż ja i inaczej traktuje kochanie. Możliwe, że gdy zakocha się w kimś innym - nawet w de Lambancie - może przestać kochać mnie. Tego bym nie zniósł. Wystarczy, że spojrzy na mnie chłodniej, a już cierpię.

- Czy zatem mądrze postąpiłeś zachęcając ją, aby nadal się przyjaźniła się z de Lambantem? Może raczej powinieneś dać jej do zrozumienia, że nie cieszy cię ten związek.

Ona wypomniała ci romanse z innymi dziewczętami.

- Nie, widzi ojciec... - Jak miałem mu wyjaśnić tak doczesne sprawy? - Jeśli dam jej do zrozumienia, że jej ufam i pragnę, by pielęgnowała nową przyjaźń, stworzę między nami zaufanie. A w takiej sytuacji nie pójdą razem do łóżka. Ale gdybym na nich krzyczał i ich przeklinał, mogliby to zrobić. Wówczas wpędziłbym ich w poczucie winy, przez które trzymałyby swój związek w tajemnicy, a to tylko potęgowałoby u nich wyrzuty sumienia. Czy to nie tak jest? Chyba ma to sens. Poza tym, mówiąc szczerze, Armida nie ma zbyt wielu przyjaciół. Jak mogłaby ich mieć, w takim domu? Skoro więc Guy jest dla niej dobry, cieszę się jej szczęściem i nie chcę niczego popsuć. Chyba rozumię słusznie.

- Nie jestem pewien, czy w takich okolicznościach należy ufać rozumowi.

- Rozumowi i honorowi. Przecież mężczyzna musi w coś wierzyć. Wierzę w rozum i honor, i ufam Armidzie, i... Och, muszę wreszcie wstać z tego łóża!

- Perry, nie przyszedłem tu tylko po to, by rozmawiać o romansach.

- Jak to? Chce ojciec powiedzieć, że oni naprawdę się kochają za moimi plecami? Nie chcę tego słuchać!

- Ja nic nie powiedziałem. Przemówiła twoja zazdrość.

- Racja. Jak nisko upadłem. Kiedyś miałem o sobie tak dobre mniemanie, ale teraz wszystko na nic. Odważne czyny, jakich dokonałem, już się nie liczą.

- Człowiek potrafi żyć bez pochwał. Tak jest lepiej dla naszej pokory i tak być powinno.

- Aktorzy i artyści nie potrafią bez nich przetrwać. Muszą wtedy sami chwalić siebie, bo tylko tak zdołają pokonać przeciwności losu.

- Ale tobie los nie jest przeciwny. Wiele w życiu osiągnąłeś. Powinieneś raczej skupić się na sprawach większej wagi - pokora ci w tym pomoże.

- Oddaję się w twoje ręce, ojcze.

- O nie. Moje ręce są równie słabe, jak twoje. W nieustającej walce między Dobrem a Złem, człowiek jest tylko armatnim mięsem. Możemy jedynie decydować, w jakie działo pozwolimy się wepchnąć. Ta decyzja nie jest niezmienna; w istocie, trzeba ją podejmować każdego dnia na nowo.

- Nienawidzę decyzji. Chciałbym, aby miłość była wieczna, ale jestem tak słaby.

- Nie doceniasz siebie. Potrzebujesz odwagi, ale ona sama się znajdzie, jeśli

podejmiesz wyzwanie. Pokonałeś archwenta, a to dowodzi, że stać cię na męstwo i żaden mężczyzna nie może już patrzeć na ciebie z góry.

- Pocieszasz mnie, ojcze. Ale by stawić czoła Armidzie, potrzebuję odwagi innego rodzaju.

- Gdy wrócisz do zdrowia i odzyskasz dawnego ducha, uznasz, że odwaga wcale nie jest ci do tego potrzebna.

Miał rację co do jednego. Straciłem pogodę ducha. Niegdyś unosił się w powietrzu, jak puch, teraz ciężko stąpał po ziemi. Co noc obawy o wierność Armidy nie dawały mi zasnąć.

Ramię i bark się goiły. Katarina, moja droga siostra, godzinami siedziała przy moim łóżku. Odpływałem w królestwo snów tylko po to, by z przyjemnością się budzić i widzieć ją przy sobie. Haftowała i czekała, aż wrócą mi siły. Później siadywała przy oknie i pieściła Posejdona albo tkła gobeliny.

Moja siostra nie była wielką pięknoscią. Przypominała ojca, z bladą cerą i wysuniętym podbródkiem. Za to uwielbiałem wyraz jej oczu, kształt głowy i łagodny, pieszczotliwy sposób, w jaki często mówiła. Piękne, ciemne włosy wiązała haftowaną wstążką z tyłu, tak że ciężki ogon opadał na suknię koloru gołębiej szarości.

Katie siedziała spokojnie w zalanym słońcem oknie, ja leżałem w cieniu. Wspólnie wymienialiśmy wspomnienia o starych czasach na drobne rozmowy. Nigdy nie

opowiedziałem jej o obawach dotyczących Armidy.

- Jestem ci wdzięczny za opiekę, Katie. Zima. blisko, postarajmy się widywać częściej niż ostatnio.

- Cieszę się, że też tego pragniesz, bo mnie szczerze na tym zależy. Czasem jednak jakieś tajemne siły potrafią rozdzielać ludzi bez względu na to, czego sobie sami życzą. - Jak zawsze mówiła z powagą.

- Postaramy się nie martwić i zapomnieć o trudnościach.

Mówienie o niefrasobliwości przychodziło mi bez trudu; gdy była przy mnie Katarina, naprawdę wierzyłem, że uda mi się umknąć zmartwień.

Zapadło milczenie, zakłócanie jedynie bzyczeniem pracowitych pszczół wokół okna.

Gdy którejs zdarzało się spaść na parapet z ciężarem pyłku na tylnych odnóżach, Posejdon szybkim ruchem łapy przywoływał ją do porządku. Po czystym, popołudniowym niebie, ptaki szybowały nie ruszając skrzydłami, ani najmniejszym nawet piórkiem.

Katarina wskazała je dłonią.

- Wspaniali lotnicy o rozwidlonych ogonach znowu zbierają się wokół naszych wież.

Przed odlotem na dalekie południe muszą odchowić pisklęta. Zawsze jest mi smutno, gdy odlatują - pozbawiają nas swego towarzystwa i uświadamiają mi, że oto mija kolejny rok. Ale co roku wracają ze swych sekretnych siedzib. Nigdy nie siadają na ziemi. Gdyby tak się stało, już nigdy nie wzbiłyby się w powietrze. To dlatego, że nie mają nóg, tak powiadają Arystoteles i Tarsanius.

- Nazywają je brykasami. Ojciec mi kiedyś mówił, że przybywają tu z lodowego

kontynentu na południu, którego nie widział żaden człowiek.

- Skąd więc o nim wie, jeśli wolno mi spytać?

- Pewnie od jakichś prastarych mędrców.

Siostra wyjęła mały, biały grzebyk i zaczęła nim czesać lśniące, piaskowe futro Posejdona. Kot wyprężył się i zamruczał tak głośno, że zagłuszył bzyczenie pszczół. Ani razu nie otworzył oczu.

- Właśnie próbowałam wyobrazić sobie krainę, której nie widział żaden człowiek -

powiedziała po chwili Katarina śmiejąc się cicho.

- To nie takie trudne. Sami w takiej żyjemy. Wszystko tu jest nieznane i tajemnicze, wcale nie trzeba się wybierać daleko.

- Perry, mówisz takie dziwne rzeczy! To na pewno kwestia z jakiejś sztuki.

- Zawsze gdy powiem coś poważniejszego - lub choćby tylko bardziej sensownego -

zaraz ktoś mówi, że ukradłem te słowa z dramatu. Sztuki są często pisane przez aktorów. Jak wiesz, jesteśmy inteligentni. Nie pamiętasz, że w dzieciństwie w lot wszystko pojmowałem?

- Pamiętam, że udawałeś żywe posagi, a my musieliśmy zgadywać, kogo

przedstawiasz. Kiedyś o mało co nie utonałeś w lagunie udając Trytona, Zniszczyłam sobie nową sukienkę pomagając cię ratować.

- Warto było ryzykować dla sztuki. Ty zawsze szybko potrafiłaś zgadnąć, kogo

miałem na myśli!

- Andri też nie zajęłoby to wiele czasu, gdyby żyła. Kilka nocy temu śniła mi się, ale i we śnie zabrała ją zaraza, tak jak w życiu. Nienawidzę sennych marzeń, które kończą się równie źle, jak rzeczywistość.

Podniosła grzebień pełen włosów, wyciągnęła ich kłębek spomiędzy rogowych zębów i zdmuchnęła z dłoni. Kępka po kępce, wyczesywała futro Posejdona i puszczała kłaczki w strumieniu ciepłego powietrza za oknem.

- Ja mam przyjemne sny, gdy nie męczy mnie gorączka.

- Possy, niemądry kocie, spójrz tylko, ile gubisz sierści! Życie byłoby puste bez marzeń. Chyba bym oszalała.

Wypuściła z dłoni za okno kolejną kępkę futerka. Podszedłem do niej, oparłem się o framugę okna i połaskotałem kota za uszami.

- Przyjemnie jest oszaleć dla czegoś, chyba tylko tak można zachować zdrowy

rozsądek - powiedziałem.

Katarina spojrzała na mnie.

- Nie bądź takim lekkoduchem - odparła z wyrzutem. - Sądysz, że wszystko zostało stworzone, abyś mógł się bawić?

- Nie ma żadnych niezbitych dowodów na to, że tak nie jest, choć ostatnio raczej nie jest mi do śmiechu. Ty też kiedyś byłaś bardziej radosna. Czy Volpato nie jest ci wierny? Biję cię? Dlaczego tak często zostawia cię samą w Mantegan?

Przyjrzała się swoim palcom.

- Od czasów dzieciństwa fascynował mnie Volpato i cały ród Manteganów. Wydawali mi się tacy dzicy w swoich starych zamkach, tutaj i nad Środkowym Morzem. Gdy

skończyłam osiem lat Seemley Moleskin powiedział mi, że gdy dorosnę poślubię Mantegana.

Tak zrobiłam i nadal go kocham.

- Zabrakło ci własnej woli, Katie? Ci przekłęci magowie potrafią człowieka zamknąć w brudnej garści, jeśli się ich nie ignoruje.

- Nie dokuczaj mi! Widzę, że już ci lepiej. Ręka ci nie odpadnie. Jutro możesz się zabierać z zamku, jeśli taka twoja woła. I pewnie zobaczę cię znowu dopiero, gdy wpadniesz w kolejne tarapaty.

Ucałowałem jej dłoń.

- Nie gniewaj się na mnie! Jesteś cudowną osobą i wspaniale się czułem pod twoją opieką, słodka siostrzyczko. Pouczę Armidę, aby starała się ciebie naśladować - i już jutro opuszczę zamek, by jej o tym powiedzieć!

Roześmiała się. Burza między nami została zażegnana. Posejdon zaczął mruczeć

jeszcze głośniej.

Okno, przy którym wszyscy odpoczywaliśmy, było głęboko osadzone w murze.

Katarina i kot mogli wygodnie siedzieć na szerokim parapecie, obserwując świat na zewnątrz.

Nawet mężczyzna mógłby swobodnie stanąć w okiennej wnęce i wypalić z muszkietu w stronę dziedzińca. Drewniana framuga z liniami słońca przypominała pomarszczone czoło wieśniaka. Może właśnie taka myśl przysłała do głowy dawnemu poecie, który ozdobił sześć prostych wersów na jednej z ołowianych szybek:

Na dwa światy okiem, co nie widzi patrzę:

Na zewnątrz arkady nieba błękitnego,

A wewnątrz maleńki ludzi teatrzyk.

Barierą jestem pomiędzy człowieczego

rodzaju ambicją, a niebiańską łaską -

Tym, co mija, a tym co pokroju wiecznego.

Posejdon leżał brzuchem do góry na kolanach mojej siostry. Małe kępki sierści

ulatywały z wiatrem. Popołudnie zmieniło dziedziniec w naczynie ciepłego powietrza przelewającego się przez brzegi i tryskającego w górę, wraz z kłakami kociego futra. Ani jeden nie opadł na bruk. Kłębki sierści wirowały między naszą wieżą, stajniami z poddaszem, niewielką wieżyczką po przeciwnej stronie i wysokimi, poskręcanyimi przez wiatry sosnami, które rosły przy murze tuż przy strażnicy. Powietrze na poziomie naszego okna, ograniczone z wszystkich czterech stron ścianami, pełne było puchu krążącego w zaczarowanym wirze.

Gdy pokazałem to Katarinie, krzyknęła zachwycona.

Brykasy nie próżnowały. Sześć par, a może więcej, nurkowało w dół ze swych

kryjówek pod okapami, rozdzierając puszysty wir i porywając kępki, aby wyścielić nimi gniazda. Staliśmy przy oknie, przyglądając się temu spektaklowi. Ptaki tak zapamiętały się w swym zajęciu, że często nieostrożnie obniżały lot tuż przy naszym oknie. Kocia sierść unosiła się majestatycznie, a brykasy co chwila zanurzały się w jej falę, to znów wyskakiwały z niej.

- Kiedy wyklują się pisklęta, ptaki będą ci wdzięczne, Posejdonie - powiedziała Katarina. - Będą się wychowywały w luksusie!

- Może będzie to pierwsze pokolenie ptaków lubiących koty. Zmiany docierają pod dachy Malaccji!

Gdy zesliśmy na dół, sierść wciąż wirowała w powietrzu, a ptaki nadal pracowicie ją darły i nosiły do gniazd.

- Zagrajmy dziś wieczorem w karty... Ptaki są takie niemądre, stale muszą coś robić -

nie potrafią usiedzieć nawet chwili w jednym miejscu. Mnie czas nigdy się nie dłuży, a tobie, Perry?

- Uwielbiam bezczynność - to najwspanialsze zajęcie. Ale dziwię się, że ty nie nudzisz się sama w zamku.

Uśmiechnęła się wymijająco kładąc rękę na moim rękawie.

- Może rozerwą cię odwiedziny u Nicholasa Fatembera, naszego czarodzieja od

fresków. Całkowicie pochłania go tylko jedno - jego sztuka. On i jego żona ostatnio poddają się melancholii, ale on jest świetnym rozmówcą, o ile zdołasz go nakłonić do otwarcia ust.

- To Fatember wciąż tu jest? Gdy widziałem go ostatnim razem groził, że nazajutrz odchodzi! To prawdziwy geniusz naszego pokolenia, choć niewielu zna jego dzieła. Tak twierdzi Kemperer.

Dotarliśmy do komnat Katariny. Ładna, czarna pokojówka podbiegła, by otworzyć przed nami drzwi.

- Fatember stale grozi opuszczeniem zamku. Prędzej uwierzyłabym mu, gdyby zagroził, że wreszcie skończy freski!

- Sądzisz, że kiedyś je ukończy? Czy Volpato mu płaci? Roześmiała się.

- Nie bądź niemądry. Z czego? Przecież właśnie dlatego Fatember wciąż tu mieszka.

Snuje plany, ale nigdy niczego nie kończy. Przynajmniej on i jego rodzina mają dach nad głową. Familia wciąż mu się powiększa... Och, sam idź i z nim porozmawiaj. Spotkamy się wieczorem w kaplicy.

Jej rezygnacja zasmucała mnie.

Zawsze lubiłem chodzić po zamku Volpato. W niczym nie przypominał innych

znanych mi budowli. Zaimprovizowane półpiętra, komnaty w zupełnie niespodziewanych miejscach, mnóstwo poziomów, niekończące się schody, wielkie aspiracje i nieudane pomysły, łączenie kamienia z drewnem, wspaniałe marmury i odpadające tynki, piękne posagi i ruina. Oryginalność zamku biła na głowę nawet Pałac Chabrizzich.

Żyjący Manteganowie nie pamiętali czasów świetności rodu. Mój szwagier był

ostatnim prawdziwym Manteganem. Juliusa i pozostałych uważano jedynie za dalekich kuzynów, zresztą równie biednych.

O Volpato krążyły różne opowieści. Mówiono, że otruił starszego brata i siostrę, Claudia i Sapristę, bo chciał sam kontrolować to, co zostało z rodzinnego majątku. Claudiowi rzekomo posmarował siodło żrącym kwasem, tak że śmiertelna posoka powędrowała przez jego odbyty do serca. Potem podobno zanurzył w aurypigmentcie figurkę Minerwy, którą Saprista miała zwyczaj całować podczas modlitw i jad wsączył się przez jej wargi.

Volpato nigdy nie potwierdził tych opowieści, ani im nie zaprzeczył. Jego postać obrastała w mroczne legendy, ale moją siostrę traktował znośnie i na szczęście miał zwyczaj na długo wyjeżdżać. Szukał fortuny na dzikich łądach północnego świata.

Tymczasem zamek na brzegach Toi popadał w ruinę, a najmłodsza pani Mantegan nie została matką.

Uwielbiałem jednak to miejsce i moją siostrę, która tak dobrze wyszła za mąż - jako jedyna z rodu de Chirollo weszła w kręgi dworskie.

Droga do kwater Nicholasa Fatembera prowadziła przez galerię, w której Volpato zgromadził resztki swych skarbów. Nie było tego wiele. Przez cienisty budynek przemykały szczury. Wiele przedmiotów nie miało wartości, ale znajdowały się tam także przepiękne gliniane naczynia glazurowane na niebiesko, przywiezione z krainy Orinoko; ozdoby z kości szczeciniastego słonia, wyrzeźbione przez ostatnią antropoidalną cywilizację dla królewskiego rodu z Itssobeshiauetzilaha; pergaminy ocalone przez przodka Manteganów ze wspaniałych aleksandryjskich zbiorów (wśród nich dwa napisane przez założyciela słynnej biblioteki, Ptolemeusza Sotera) i malowane na jedwabiu portrety siedmiu Aleksandryjskich Plejad; skrzynia pełna kartagińskich ozdób; klejnoty wykonane przez mistrzów kowalstwa z Atlantydy; berło, które podobno należało do Birszy, króla Gomory oraz korona Króla Bery, władcy Sodomy; figurka kapłana niosącego latarnię, pochodząca z dworu Caerleona-on-Uska; ostrogi, w których perski Bahram, gubernator Medii - wspaniały myśliwy - dosiadał swego ulubionego ogiera; gobeliny z Zety, Raski oraz z pałaców pierwszych Nemanijasów wraz z szatami skrojonymi dla Milutina; lira, kielich i inne przedmioty z okresu chankriańskiego; ulubiony przeze mnie piękny dębowy parawan z rzeźbionymi postaciami dzieci i zwierząt, podobno sprowadzony z odległej krainy Lyonesse, którą później pochłonęło morze; paznokiec z kciuka założyciela, Desporta, w srebrnym relikwiarzu, a prócz tego wiele innych, interesujących przedmiotów. Wszystko, co miało większą wartość sprzedano już dawno temu, aby rodzina miała co jeść i pić, a kustosza zwolniono.

Idąc wśród staroci przystanąłem na chwilę i na chybił trafił otworzyłem kufer z żelaznymi okuciami. Znalazłem w nim księgi w okładkach z cielecej skóry. Jedna z nich miała bogatszą oprawę przypominającą niewielką skrzynkę obitą haftowaną materią i wysadzaną rubinami i topazami.

Zabrałem ją do okna i otworzyłem. Księga nie miała tytułu. Był to zbiór ręcznie pisanych poematów, większość najprawdopodobniej autorstwa samego poety. Wiersze wydały mi się potwornie nudne. Znalazłem pośród nich ody do Stabilizacji oraz smętny utwór na cześć Łowów, zapisany po apostrofach o Zarazie i Prozodii. Gdy od niechcienia przerzucałem kartki, uwagę moją zwrócił krótszy poemat z trzywierszowych strof.

Składał się z czterech zwrotek - pierwsze dwie brzmiały identycznie jak te, którymi ozdobiono okno mojej sypialni! Tytuł poematu wspominał o symbolicznym zwierzu, którego wizerunek widniał ponad główną bramą prowadzącą na zamek: „Kamienny cerber u wrót przemówił”. Ten, kto wyrzył pół wiersza na oknie, pomysłowo przypisał mu inne znaczenie.

Czytelnikowi przychodziła na myśl szyba, a nie psi stróż. Przeczytałem dwie końcowe strofy.

Wszak nawet niebiańskie sprawy postępują

A ludzie wolni wszyscy są niewolnikami,

Co do potrzeb serca sami się przykują.

Bowiem to, czego pragnie rozum, jak sami

Wiecie, wpierv go uwalnia, potem zasypuje

W grobach Wolnej Woli pod mogił głazami.

Niestety, Prozodia nie udzieliła odpowiedzi na postawione jej pytania. Czulem jednak, że opisane w wierszu uczucia mogły być prawdziwe - zwykle zgadzałem się z prawdą w moralizatorskich poematach. Poezja niezmiernie rzadko kłamała. Po zastanowieniu, wydarłem kartkę z woluminu i wsunąłem ją pod kubrak. Księgę włożyłem z powrotem do kufra, między inne starocie.

Za galerią znajdowała się okrągła strażnica ze spiralnymi schodami prowadzącymi na mury. Niegdyś stanowiła odrębny budynek, ale z czasem wrosła w objęcia zamku i niczym żywy organizm wypuściła pędy przejść, skrzydeł i dodatkowych dziedzińców. Z każdym stuleciem zamek, rozrastając się, wchłaniał kolejne domy i budynki. Strażnica zachowała jednak odrębny charakter. Para brykasów desperacko miotła się wewnątrz jej skorupy.

Dobrowolnie trafiły do tego więzienia, gdy przypadkowo wleciały przez szparę w zasłoniętych deskami, wąskich oknach strzelniczych. Na podłodze u moich stóp leżał kłębek sierści Posejdon, którą przerażone ptaki wypuściły z dziobów.

Za strażnicą charakter zamku ponownie się zmieniał. Znajdowały się tu stare stajnie, przerobione później na kwatery dla rodziny artysty, który na stałe zamieszkał u Manteganów.

Na poddaszu Nicholas Fatember urządził sobie pracownię. Jego dzieci bawiły się hałaśliwie na kamieniach, którymi wyłożono posadzki w pomieszczeniach dawnej rymarni.

Zawołałem Fatembera po imieniu. Po chwili w małym okienku pojawiła się jego

głowa. Pomachał mi ręką i ruszył w dół po drabinie. Zaczął mówić jeszcze zanim stanął na podłodze.

- Ach, mistrzu Perianie, to już chyba minął rok. Sporo czasu nie widzieliśmy cię w Mantegan. Bóg mi świadkiem, że to niegościnne miejsce - puste, ponure, zimne, zrujnowane i pełne wszędobylskich szczurów! Co cię tu sprowadza? Jestem pewien, że nie przyjemności.

Wyjaśniłem mu, że chorowałem, i że nazajutrz zamierzałem już opuścić zamek.

Wrodzona skromność nie pozwoliła mi wspomnieć o diabloszczęku.

Fatember położył mi na ramieniu ciężką dłoń, a drugą podrapał się pod pachą. Był

ociężałym, dużym mężczyzną o grubej twarzy, porośniętej długą, kręconą brodą,

przypominającą grzyb na pniu martwego drzewa. Tylko w jego oczach lśniło coś, co nie pasowało do ogólnego wrażenia ruiny.

- Mantegan to dobre miejsce na chorobę. Ale zaraza nigdy tu nie dotarła. Zaraza lubi soki i życie, a

tego tu nie uświadczysz - nawet karaluchy unikają tego miejsca - za wiele tu przeciągów. Za to zimnica - tak, tak, tej nie brakuje. Ale z dwojga złego lepsza taka skaza niż zaraza.

Z upodobaniem powtórzył ostatnie zdanie robiąc przy tym minę, jakby gryzł kość, po czym ponuro spojrzął na swoje liczne potomstwo, które dokuczało zapędzonemu w kąt staremu chartowi. Dzieci wyglądały na niedożywione, a ich ubrania były połatane i wystrzępione. Kości sterczały im pod skórą, tak jak biednemu psu.

Sam Fatember był mocnej budowy, jak przystało na artystę, który wiele czasu

poświęcał na krojenie i drobiazgowo studia ludzi, koni i pradawnych zwierząt. Ale z każdym rokiem jego szerokie ramiona coraz bardziej pochylały się ku ziemi i okalały coraz dłuższą grzywą siwych włosów. Od naszego ostatniego spotkania, wiek i gorycz zdołały dokonać kolejnych zniszczeń w tym człowieku, ale jego niezwykle, ciemne oczy zachowały moc, podkreślone wspaniałą linią czarnych brwi. Z wszystkich ludzi, właśnie jego darzyłem największym szacunkiem. Jeśli tak wyglądała klęska, podziwiałem ją i byłem dumny z tego, że mogłem poznać ją z bliska.

- Przyszedłem zobaczyć, jak ci idzie praca nad freskami, Nicholasiu.

- Chciałbym móc ci powiedzieć, że właśnie je ukończyłem. Niestety, równie daleko mi do końca, co przed przedostatnim Świętem Buglewinga, gdy razem z aktorami grałeś na wielkiej sali. Bóg nie pozwala mi malować szczęścia książąt, gdy moja rodzina głoduje -

moje przeklęte zasady zakłócają rytm pociągnięć pędzla. Nic spod niego nie wychodzi.

Więcej pracować bez zapłaty nie mogę - choć nie chcę się przed tobą skarżyć na twego szwagra. Milord Volpato powinien zaprowadzić porządek na swoich ziemiach zamiast żądać ode mnie, bym go przedstawił większym, niż jest w rzeczywistości. Wszystko zawsze sprowadza się do ziemi. Traktuj ją dobrze, a twoje życie się spełni, marnuj jej siłę, a twoje życie także pójdzie na marne. Oczywiście my, nieszczęśnicy, którzy nigdy nie mieliśmy nawet własnego strąka fasoli, bez trudu dostrzegamy te fundamentalne prawa. Ale wystarczy, że ktoś otrzyma w spadku tuzin farm, a prawda mu umyka. Dzieje się nam tak źle, że musiałem zwolnić chłopaka, który malował mi niebo.

Nie przerywając mowy, Fatember prowadził mnie bocznym wyjściem przez

dzielnice, na który nigdy nie docierało słońce. Należał do najwspanialszych malarzy tego stulecia, ale już dekadę zmarnował u mego szwagra - a wyglądało na to, że zadomowił się tu na zawsze. Stale pracował albo nie pracował nad freskami Manteganów i wciąż

eksperymentował z tuzinem innych sztuk. Jego geniusz był z rodzaju tych trudnych, które same tworzyły przeszkody na drodze do powodzenia.

- Jeśli dobrze się ożenię, dopilnuję, abyś otrzymał pieniądze.

- To „jeśli”, które mi obiecujesz, jest jedną z najbardziej niszczycielskich broni Czasu.

Nie mów jak Volpato... I nie żeń się dobrze. Żaden mąż nie chce się stać przedmiotem kpin i

zazdrości. Los choć tego mi oszczędził.

Weszliśmy na salę bankietową z beczułkowym sklepieniem i przepięknym

witrażowym oknem ze wspaniale rzeźbioną framugą. Roztaczał się z niego widok na rzekę Toi, po której pływało mnóstwo łodzi. Właśnie to okno stało się inspiracją dla niedokończonych fresków Fatembera, które prócz kolorystyki, czerpały z niego także światło.

Tematem tych słynnych malowideł były czyny człowieka rozdartego między

niszczącym Złem, a budującym Dobrem. Tylko jedna z idyllicznych scen i obrazów polowań została ukończona; w pozostałych wiele samotnych postaci lub szczegółów tła wyróżniało się na wielkiej płaszczyźnie nagiej ściany za rusztowaniem. Na wysokim stole leżały arkusze papieru pokryte śmiałymi rysunkami Fatembera. Idealne dzieło zyskało zarysy, ale nadal czekało na urzeczywistnienie.

Sam wielki artysta stał bez ruchu, opierając ciężką dłoń na moim słabym ramieniu i rozglądał się wokół, tak jakby nigdy dotąd nie widział tego miejsca. Potem zostawił mnie i w zadumie podszedł do okna. Wszedł na niewielki podest pod ścianą i spojrzał na mnie surowo.

W cichej, wielkiej sali rozległ się delikatny pisk. Brązowa mysz zeskoczyła ze stołu i popędziła w kąt.

- Czas ma też innych przemyślnych dręczycieli. - Fatember podjął przerwany wywód.

- Czasem w wyobraźni widzę pigment. Tak prawdziwy, że mógłbym go niemal wydrzeć ze źrenicy. Cały tydzień mieszam barwniki, a on okazuje się zupełnie inny, niż sobie wyobrażałem, a co gorsza, jakość barwy, którą widziałem w myślach znika, tak jakby ktoś ją stamtąd wymazał.

- Nic w realnym świecie nie jest takie, jak w naszej wyobraźni, Nicholasie.

Gwałtownie tupnął obutą w sandał stopą, wzbijając z desek tuman kurzu.

- Lepiej w ogóle nic nie mów, jeśli nie masz do powiedzenia nic bardziej

prawdziwego! Dlaczego wizja nie miałaby się stać rzeczywistością? Dlaczego nie? Po co dano nam zdolność widzenia w wyobraźni, jeśli nie jesteśmy tego w stanie urzeczywistnić?

- Wizje same w sobie mogą być urzeczywistnieniem. Mogą się okazać prawdziwe.

Właśnie niedawno przeżyłem...

- Bzdura. Co ty o tym wiesz? Moje wyobrażenie scen, które mają się znaleźć na tych murach, nadal jest doskonałe. Wiem, że ty i Volpato, i twoja siostra, i połowa przeklętej Malacji, za skarby nie możecie pojąć, dlaczego nic nie tworzę - czemu nie rodzę piękna, jak zakwitająca co roku łąka. Z jakiej przyczyny nie dam się zaprzęgnąć do pług mego geniuszu i ciągnąć go dopóki dzieło nie zostanie skończone, a wizja spełniona. Po pierwsze, jeśli jestem łąką, rosnę na jałowej glebie, zbyt

wiele wydała już ona zbiorów, a nikt jej nie nawoził. A jeśli jestem wołem, za długo chodziłem w zaprzęgu i już nie chcę czuć ucisku jarzma na barkach. Ale jeśli jestem tylko głupcem, to co innego! Niewykluczone, że wolę pozostawić wizję w całej wspaniałości tam, gdzie może pozostać wspaniała, w mojej wielkiej i twardej jak drewno głowie. - Uderzył się w czaszkę. - Tam nie dostaną jej ani myszy, ani kupcy. Mam ją przelać na gips i nie mieć już nic, co by człowiekowi rozjaśniło stare lata? I co potem? Takie wizje jak moja, przychodzą tylko raz w życiu, Perianie. Spróbuj to zrozumieć.

Gniewnie chodził w kółko, zadowolony, że ma publiczność.

- Mam nadzieję, że nie uznasz moich słów za impertynenckie, ale sądzę, że wszyscy stalibyśmy się lepsi, gdybyśmy mogli poznać twoją wizję.

- Lepsi? Czy człowiek staje się bardziej moralny po zjedzeniu obiadu z ośmiu dań?

Sztuką nie osiągniesz tego samego, co puszczeniem krwi. Najwięksi artyści byli łajdakami, właśnie tak, i protektorzy też, jeśli nie liczyć kilku świętoszkowatych wyjątków. O nie, możesz pragnąć mojej wizji, możesz myśleć, że na nią zasłużyłeś, ale prawda jest taka, że gdy maluję nie dbam o żadne pragnienia prócz swoich i boskich.

Przemaszerował przez salę wypełniając ją echem słów i stukaniem sandałów o

posadzkę. Rozgrzewała go myśl o wizji. Niemal materializowała się w powietrzu, gdy wyjaśniał, co zamierza zrobić wbrew światu.

Potem zamilkł ponuro, drapiąc się pod pachą i zagryzając wargę.

- Nowe horyzonty... Nowe perspektywy upadku... - wymruczał.

Stałem, przyglądając się wielkiej scenie zaślubin. Istniała w pełnej formie jako mniejszy rysunek i jej zarysy zostały już przeniesione w wielkiej skali na ścianę, z zaznaczonymi blokami podstawowych barw. Upamiętniała ona małżeństwo dawnego

Mantegana i Beatrice z Bergonii.

Szczupła Beatrice siedziała w powozie o kształcie łabędzia i wyciągała dłoń do przystojnego, młodego męża, który przysiadł obok niej. W całej kompozycji postać kobiety była najbliższej ukończenia. Reszta na razie wyglądała jak duch obrazu. Światło padało na postać młodej żony, ożywiając ją intymnym blaskiem. Podobną jasność nadawało

chorągwiom i orszakowi w oddali. Katedra z gotyckimi krużgankami została narysowana śmiałą kreską na delikatnym szkicu linii konstrukcyjnych. Za nią ciągnęły się równiny i góry.

Rysunek ten dowodził, jak świetnie Fatember radził sobie z perspektywą. Od razu wiedziałem, że gdy - lub jeśli - scena ta zostanie ukończona - będzie symbolizowała ideał

wszystkich małżeństw.

Artysta wzruszył ramionami i przeszedł do niemal ukończonego obrazu. Był to wąski panel doskonale mieszczący się między drzwiami i wykuszowym oknem; przedstawiał

żołnierzy na tle namiotów. Strzelali do buglewingów na ciemnym niebie. Nieopodal stał mały chłopiec i przyglądał się im. Na głowie miał wielki hełm i ugiął się pod ciężarem tarczy. W tle wyrastało fantastyczne miasto, jasno malowane blaskiem słońca.

- Ten chłopiec... to doskonała komiczna figurka - powiedziałem.

- To ja. Tęskniący za dolą żołnierza, ale bez możliwości poznania, co to walka.

- Nie bądź taki ponury, Nicholasie, choć wiem, jak bardzo lubisz ten stan! Sama wirtuozeria tego obrazu...

Odwrócił się do mnie z gniewem.

- Nie obrażaj mnie mówiąc o tym, co sam uważasz za wirtuozerię! Być może

wystarcza ona na scenie, gdzie musisz olśniewać publiczność zaledwie przez godzinę. Tu nie ma dla niej miejsca. Liczy się tylko ład. Wirtuoz może uśmiercić sztukę. Od czasów Albrechta tradycja ginęła przez pozerów, którzy zabijają konieczną, stopniową progresję...

Może masz rację, jestem zbyt ponury - w Malacji liczy się *status quo*, a nie progresja.

- Znasz Ottona Bengtsohna? On także wierzy, że Malacja powinna się rozwijać.

Spojrzał na mnie spod krzaczastych brwi.

- Jestem samotnikiem. Nie mogę pomóc Bengtsohnowi, ani on mnie. Mimo to,

szanuję jego poglądy. W końcu sprowadzą na niego śmierć, tak jak moje uśmiercą mnie...

Nie, nie, Perianie, wiesz dobrze, że nie chcę narzekać na mój marny los, ale prawdą jest, że nie mogę nic zdziałać. Nic! Na zewnątrz, za tymi murami pokrytymi pleśnią i pobrudzonymi mysimi odchodami, istnieje wielki, płomienny świat triumfów i zaszczytów, a tymczasem ja tkwię tu unieruchomiony. Tylko poprzez *sztukę*, przez *malowanie*, można poznać ów świat i jego tajemnice! Nie wystarczy zobaczyć - bo nie sposób czegoś ujrzeć, dopóki się tego nie *skopiuje*, dopóki nie odzwierciedli się wiernie wszystkiego... *wszystkiego*... a zwłaszcza boskiego światła we wszelkiej jego różnorodności, bo bez niego nic nie istnieje.

- Gdybyś kontynuował swoje dzieło, osiągnąłbyś więcej niż zwykle

odzwierciedlenie...

- Nie schlebiaj mi, Perianie, bo pošlę cię do stu diabłów, tak jak pošłałem innych.

Pochlebstwo to zła cecha i nienawidzę jej. Wolę pieniądze. Minerwa świadkiem, że przyjmę zapłatę, ale nie kadzenie. Tylko Bóg zasługuje na pochwały, Bóg i Diabeł. Piękno istnieje jedynie tam, gdzie stworzy je Bóg. Widzisz włosy tego żołnierza, rumieniec na policzku chłopca, pióra ptaka, który trzepocze skrzydłami umierając od cięcia mieczem - czy dokładnie to wszystko oddałem? Nie! To marne *imitacje*! Patrząc na obraz nie zdaje ci się przecież, że nie ma tu ściany, prawda? Mur jest murem, a moja ambicja może jedynie sprawić, że przestanie nim być tylko odrobinę. Szukasz ruchu i światła - ja ci daję tylko kurz i nieruchomość! To bluźnierstwo - życie oddane śmierci! Winna jest próżność. Dziwisz się, dlaczego tak zwlekam, skoro tak bardzo nie cierpię próżności?

Stał bez ruchu, z pogardą wpatrując się w fantastyczne miasto.

W końcu się odwrócił.

- Tylko Bóg zasługuje na pochwały - powiedział tak, jakby zaczynał rozmowę na

zupełnie nowy temat. - To on daje nam wszystkie rzeczy materialne oraz wiele podarunków, których nie jesteśmy w stanie przyjąć. Porażeni jego hojnością, miotamy się i krzyczymy w gniewie. Malacja wkracza w nową erę, mistrzu Perianie: mężczyzna, o którym wspomniałeś, człowiek z północy o rewolucyjnych poglądach, jest tylko jednym tego znakiem. Czuję wokół

mnie nowy wiek, choć tkwię zamknięty na tej przeżartej przez szczury kupie. Wreszcie - po raz pierwszy od stu tysięcy lat - ludzie otwierają oczy i rozglądają się wokół. Po raz pierwszy budują silniki, aby uzupełniły siłę ich mięśni i udają się do bibliotek, aby wspomóc skromną moc swoich mózgów - może nie tutaj, lecz gdzie indziej. I co tam znajdują? Odkrywają potężną, daną przez Boga, ciągłość świata!

Na chwilę przerwał, jakby chciał się zastanowić nad tym, co powiedział. Właśnie miałem mu opowiedzieć o magach, którzy odwiedzili mnie w lesie, gdy on znowu zaczął

mówić.

- Wiele lat - całe moje życie - uczyłem się, kopiowałem, opisywałem. Nie mów mi więc, że nic nie robię... Ale wciąż nie umiem osiągnąć tego, co potrafi dokonać jeden promień światła. Chodź ze mną, przyjacielu! Tylko na chwilę. Pokażę ci jak wielką przewagę ma jedna sekunda boskiej pracy nad wiekiem moich wysiłków!

Impulsywnie chwycił moją tunikę i pociągnął mnie za sobą. Wyszliśmy z sali

bankietowej, drzwi zatrzasnęły się za nami. Poganiani echem tego trzaśnięcia, pospiesznie przemierzaliśmy dziedziniec.

- Po co w ogóle ozdabiać to śmietnisko? Temu, co już martwe, powinno się pozwolić odejść na wieki...

Chwytając moje ramię poprowadził mnie - a raczej popchnął - z powrotem do stajni, które zajmował wraz z rodziną. W środku siedziały jego małe dzieci pochłonięte zabawą. Na jego widok zaczęły głośno wołać. Fatember odsunął je od siebie. Wspiął się po drabinie na strych, ciągle popychając

mnie przed sobą. Maluchy krzyczały wesoło, prosząc, aby się z nimi pobawił. Artysta uciszył je.

Na strychu mieściła się przestronna pracownia. Fatember odgrodził jej część ścianą z desek. Resztę przestrzeni zajmowały stoły i rozmaite rzeczy: niezliczone naczynia, pędzle różnych rozmiarów, nierówne sterty arkuszy papieru, mnóstwo dziwnych instrumentów, przybory geometryczne i cały śmietnik innych przedmiotów wskazujących na szerokie intelektualne zainteresowania ich właściciela: kopyto łosia, kiel waliroga, czaszki szarpaków i psów, stosy kości, kapelusz pleciony z kory, kokos, szyszki, muszle, kolonie koralowców, martwe owady, fragmenty zbroi przypominające rozczłonkowane ciała, kawałki skał i książki mówiące o fortyfikacjach oraz innych zagadnieniach.

Fatember precyzyjnie przeszedł przez te legiony swego nieożywionego potomstwa i odchylił zasłonę w głębi pracowni.

- Tutaj możesz wleźć Bogu do kieszeni bryczesów i popatrzeć sobie na wszechświat! -

zawołał wzywając mnie gestem. - Zobacz tylko, co może namalować światłem ręka jedyne prawdziwego Mistrza!

Weszliśmy do dusznej, ciemnej alkowy. Pośrodku stał stół. Na nim dostrzegłem zdumiewający obraz namalowany różnymi kolorami, tak żywymi, że rozjaśniały pomieszczenie. Wystarczyło mi jedno spojrzenie, aby dostrzec, że Fatember wymyślił jakąś cudowną technikę, o wiele bardziej zaawansowaną od procesu merkuryzacji Bengtsohna.

Stawiała go ona daleko przed pozostałymi artystami, tak jak człowiek stał ponad innymi zwierzętami.

W obrazie coś się poruszyło.

Zdumiony podszedłem bliżej. Z rozczarowaniem stwierdziłem, że mieliśmy przed

sobą zwykłą *camera obscura*. Nad nami znajdował się otwór, przez który światło, naprowadzone soczewką, świeciło z małej wieżyczki zamontowanej na dachu stajni.

Fatember z zadowoleniem zatarł dłonie. - Czy nasza sztuka potrafi podrobić obraz równie doskonały, jak ten? A wszystko to za sprawą jednego, i marnego promienia światła!

Po co więc człowiek ma konkurować z Naturą? Co go do tego nakłania? Jestem niewolnikiem mojej nierealnej wizji!

Słuchając jego narzekań, przyjrzałem się scenie na stole. Z perspektywy dachów patrzyliśmy na fragment drogi za zamkiem, gdzie płynęła rzeka Toi zamknięta w

piaszczystych brzegach. Prowadząca pod górę droga rozwidlała się, jedna odnoga wiodła na stary cmentarz, druga wiała się ku bramie zamku. Przy brzegu rzeki, na głazach odpoczywała grupa podróżnych równie zakurzonych, jak szlak, którym przyszli. Obok stały przywiązane muły. Widziałem

zmniejszoną postać starszego mężczyzny wycierającego spocone czoło chustką, wdowę i w czerni wachlującą twarz kapeluszem i innych. Pomyślałem, że to pokutnicy, którzy wybrali się na pielgrzymkę, aby utrudnić sobie życie. Każdy najdrobniejszy szczegół był idealny.

- Widzisz, jak zostali zmniejszeni, przyjacielu - odezwał się Fatember. - Widzimy ich okiem Boga. Wierzmy, że są prawdziwi, choć przecież przyglądamy się znaczkom na stole, ulotnym impresjom, po których nie zostaje nawet ślad! Patrz, oto idzie moja żona, z trudem pnie się pod górę - ale przecież to nie ona, tylko maleńka plamka, w której rozpoznaję żonę.

Jak ją odnieść do prawdziwej postaci?

- Nawet nie wiesz, jak bardzo moje niedawne doświadczenia każą mi bać się takich słów, Nicholasiu.

Wskazał dłonią stół nie zwracając na mnie uwagi.

- Namalował ją mistrz, który używa jedynie światła. Tutaj światło, a tam ciało. Tam rzeczywistość, tutaj ideał.

- Dlaczego wierzysz, że to tam jest prawdziwe?

- Przecież potrafię rozpoznać własną żonę. Patrzyłem jak postać wspinająca się ku bramie zamku pokonała centymetr lub dwa na blacie stołu.

- Może zejdziemy i przywitamy się z nią?

- Ona i tak nie ma nic do powiedzenia. Nie ma też nic do jedzenia, bidula! - Cofnął się i przekręcił korbę, przesuwając soczewkę. W jednej chwili powoli wspinająca się kobieta i pielgrzymi zniknęli. W zaczarowanym kręgu pojawiły się dachy domów, a potem

wewnętrzny dziedziniec zamkowy.

Niezwykła perspektywa i zadziwiająca jasność sceny nadały budynkowi tak inny

wygląd, że zaskoczony krzyknąłem, gdy rozpoznałem widok.

W poprzek wyświetlonego na stole obrazu śmigały maleńkie ptaki. Były to brykasy, na które przed godziną patrzyłem razem z siostrą. Dostrzegałem nawet mgiełkę kociej sierści, przypominającą pajęczynę poruszaną ciepłym oddechem powietrza. Odszukałem okno mojej sypialni. Tak, było tam, a na parapecie wciąż siedział Posejdon, patrząc, jak mali lotnicy bez przeszkód zbierają wyrzucone strzepy jego futerka. Choć cały otwór okienny ze spieczoną słońcem, drewnianą framugą nie miał wielkości nawet połowy mego paznokcia, każdy szczegół okna i kota widziałem doskonale.

Nagle widok zaczął znikać, zasłonięty przez ptaka.

Miałem wrażenie, że jego cień wypływa z głębi stołu i całkowicie przesłania scenę.

Nad nami rozległo się skrobanie i po chwili brykas sfrunął między mnie i Fatembera.

- Przeklęte stwory, skrzydlate szczury! - zawołał Fatember, obracając się i celując w ptaka a przy okazji szturchając mnie. - Już nie pierwszy raz wpada tu taki i wszędzie robi bałagan. Odsuń się, żebym mógł go zabić!

Rzucił się dziko na ptaka.

- Nicholasie, muszę ci się zwierzyć - powiedziałem, cofając się. - Przeżyłem

najbardziej odmieniające doświadczenie w życiu. Byłem w lesie...

- Dostanę cię, ty szkodniku! - Przemknął obok mnie, chwytając duży trójkąt kreślarski i machając nim dziko przed przerażonym ptakiem. Oskoczyłem na bok.

- Nicholasie, w lesie przeżyłem coś, co mną głęboko wstrząsnęło.

- Tak jak ten przeklęty ptak! - Fatember zapędził go w kąt, ale brykas ponownie mu się wymknął przelatując tuż obok mojej głowy. - Ty niszczycielu, ani mi się waż!

- Mówiąc w skrócie, wydarzenie, o którym mówię, przekonało mnie, że być może

nigdy nie zdołamy zrozumieć rzeczywistości. Niewykluczone, iż dzieje się tak za sprawą błogosławionych granic naszych poznawczych możliwości.

- Mniejsza o zrozumienie - ważniejsza jest penetracja! - wykrzyknął wściekle

uderzając trójkątem w ścianę z taką siłą, że przyrząd się złamał. Fatember rzucił się na ptaka z gołymi pięściami. - Tutaj nie ma dla ciebie miejsca. To sanktuarium sztuki, ty opierzony stolcu!

- Poświęcasz swoje życie na kopiowanie tego, co wydaje ci się prawdziwe. Obawiam się jednak, że to, co uważamy za rzeczywiste, samo jest także kopią nakreśloną przez Moce, które są dla nas niepojęte, tak jak my pozostajemy niezrozumiali dla tego nieszczęsnego ptaka. Zdaje mi się, że są chwile przypominające pentimento na malarskim płótnie, gdy jedna warstwa przenika przez drugą. Życie i sztuka, fakty i fikcja stają się wzajemnymi kopiami, których nie sposób rozdzielić...

- Tutaj mam jedno życie, bez którego świetnie bym się obył! Już prawie go miałem!

- Wszystkie dziedziny sztuki są próbą przełamania... narzuconej nam halucynacji, którą nazywamy...

Fatember wyminął mnie.

- Zaraz się z nim porachuję! Zabiję stwora zanim zrujnuje mi pracownię! Och, chyba dosięgła mnie klątwa. Sam widzisz, z czym muszę się borykać. Z drogi, Perianie. Na szatana, usuń się, człowieku! - Ponownie rzucił się z furją do przodu, celując w ptaka drewnianą pałką i niemal trafiając mnie. Kipiał z wściekłości przeklinając ptaka, który pisał z przerażenia.

Zanurkowałem pod opadającym ramieniem artysty i uciekłem w dół po drabinie.

W surowej izbie nędznie ubrane dzieci Fatembera wydały z siebie pisk zachwytu, gdy ich matka weszła drzwiami od ulicy. Zmaterializowała się niemal w tym samym momencie, co brykas. Otoczona przez małe figurki, na chwilę oparła się o wejście próbując złapać oddech. Jej wspaniałe, złożone skrzydła zaszeleściły o drewnianą framugę. Powitała mnie zmęczonym głosem i usiadła, aby odpocząć. Dzieci natychmiast zaczęły się wdrapywać jej na kolana.

Znaliśmy się z przeszłości. Miała dość ciężką figurę, choć nie pozbawioną wdzięku.

Jej zwiędła twarz straciła wiele z dawnej urody, ale wciąż kryło się w niej piękno, zwłaszcza wokół ust. Ludzie nazywali ją Hojną.

Prawa, którymi kierowali się lotni były surowe. Ale Hojna jako dziecko i później, jako młoda dziewczyna zachwycała wszystkich. Stała się jedną z kilkorga wybranych, którzy mogli przebywać na szczycie dzwonnicy katedry St Marco i w dni świąteczne urządzać pokazy dla Biskupa Elekta. Pamiętałem, jak matka pokazywała mi - wówczas małemu chłopcu - jak Hojna przelatuje nad Areną wraz z siostrami. Wyglądały pięknie, ale wiele dzieci opowiadało o nich sprośne żarty, bo lotni gardzili odzieniem.

Potrafiła złożyć białe i szare lotki ciasno na plecach. Pozowała Fetemberowi, który nie dawał jej spokoju, dopóki nie zgodziła się za niego wyjść. Po tym, jak mu się oddała, już nigdy więcej nie wzbiła się w powietrze. Zresztą i tak byłaby teraz na to za stara.

Gdy trochę odpoczęła, podniosła się i wyciągnęła do mnie rękę na powitanie. Dzieci szarpały za jej suknię tak gwałtownie, że raz jeszcze musiała usiąść. Dopiero potem naląła mi kielich czerwonego wina. Wziąłem go z chęcią. Nicholas był zbyt zaprzątnięty swoimi sprawami, aby mi cokolwiek zaproponować. Trunek miał lekko gorzki posmak: domyśliłem się, że pochodził z winnic w Heyst.

- Mieliśmy nadzieję, że przyjdiesz nas odwiedzić, mistrzu Perianie. Nicholas bardzo lubi twoje towarzystwo. A pozwolę sobie dodać, że niewielu darzy sympatią. Twoja siostra mówiła mi, że twoje rany już się zagoiły.

- Nigdy nie zapomniałbym o zajrzeniu do ciebie i Nicholasa, skoro jestem u

Manteganów. Ogromnie podziwiam pracę twego męża.

- Jaki ci się wydał?

- Jak zwykle genialny i pełen pomysłów!

- I jak zawsze nieznośny? I wiecznie niezadowolony?

- Może to skutek melancholii...

- I wciąż niezdolny do zamalowania choćby metra kwadratowego ściany?

Biorąc na ręce dwójkę dzieci podeszła do cebra z wodą, zanurzyła w nim chochlę i napiła się. Dzieci także zaczęły się domagać tego samego. Dała się napić każdemu z nich, po kolei, najpierw chłopcom, a potem dziewczynkom.

- Nicholas jest zbyt ambitny i sam widzisz, jakie są tego rezultaty - powiedziała starając się przekrzyczeć wrzawę. - Bieda, głód, brud... Właśnie robiłam pranie dla bogatej rodziny, żeby zarobić pieniądze na chleb dla nas wszystkich. Nie wiem, jak sobie damy radę, gdy przyjdzie zima...

- Geniusz rzadko martwi się zarabianiem na chleb.

- On wierzy, że za dwieście lat będzie sławny. - Wyrzuciła w górę ramiona. Jej skrzydła zaszeleściły. - Dwieście lat! Co to da jego biednym dzieciom? Sama nie wiem, co robić. Chodź, muszę im znaleźć coś do jedzenia. Nie powinnam narzekać, mistrzu Perianie, przynajmniej mamy dach nad głową.

- To dobrze - powiedziałem. Ze strychu dobiegł nas triumfalny okrzyk; los brykasa się dopełnił.

- Różnica między życiem artysty i żony artysty jest ogromna.

Oparłem się o ścianę i popijając wino patrzyłem, jak, Hojna pracuje i jednocześnie sprytnie zabawia dzieci. Zastanawiałem się, czy pamiętała wspaniałe widoki Malacji z powietrza, którymi cieszyła oczy jako młoda dziewczyna -jak czarujące musiały się jej wydawać ulice zanim zaczęła nimi chodzić! Choć było mi jej żal, niechętnie słuchałem, jak krytykuje męża.

Fatember najwyraźniej o mnie zapomniał. Usłyszałem jak krąży po pracowni na górze i mamrocze coś do siebie.

Obszarpane dzieciaki obskoczyły mnie prosząc o łyk wina. Niektóre z nich

odziedziczyły szczątkowe skrzydła po matce, ale żadne nie mogło latać.

Oddałem Hojnej pusty kielich.

- Powiniennem już iść - powiedziałem. Powiedz Nicholasowi, że wkrótce postaram się znowu go odwiedzić. Poproszę też Katarinę, żeby porozmawiała z Volpato... - Złączyłem kciuk i palec wskazujący w wymownym geście.

Machnęła ręką podobnie, jak jej mąż.

- Lepiej to zostawić. Nasz los nie jest jeszcze tak zły, by nie mógł się stać gorszy.

Może o tym nie wiesz, ale Volpato zagroził, że nas wyrzuci, jeśli jeszcze raz ktoś przyjdzie do niego po pieniądze. To nic, że freski nie są ukończone.

- Jak sobie życzysz.

- Nie jest to moje życzenie, tylko przymus. - Powiedziała to ze stanowczością, która także

przypomniała mi Nicholasa.

- Gdy twój mąż skończy freski, będzie mógł bez trudu otrzymać nowe zlecenia.

Powoli pokręciła głową.

Podszedłem do drzwi. Hojna ukręciła długie, szare pióro ze swego skrzydła i pochyliła się, aby dać je najmłodszemu dziecku do zabawy. Wyszedłem zanim się wyprostowała.

Popołudnie powoli ustępowało wieczorowi. Cienie wspinały się po okalających

dziejziniec murach. Chłód wracał do miasta, od strony którego napływały odległe dźwięki dzwonów. Gdy wracałem do komnat siostry, zauważyłem, że brykasy znikły z nieba.

Wysoko, nade mną, okno mojej sypialni na moment pochwyciło swym okiem słońce, ale Posejdon już wycofał się ze swego posterunku. Wszystko trwało w bezruchu. Kępki kociej sierści w końcu opadły na ziemię; poskręcany kłak przetoczył się wraz z kurzem w poprzek kamiennych płyt, po których szedłem. Już tylko światłocień wypełniał senne powietrze.

Znowu poczułem się dobrze; minął okres spokoju. Nazajutrz miałem opuścić zamek i wyruszyć w świat, który Fatember nazywał wielkim i płomiennym.

Weselne hulanki

Kiedy wspaniały Desport zakładał nasze miasto-państwo, postanowił, że ma to być szczęśliwe miejsce. Wydany przez niego dekret honorowano przez stulecia. Ale, jak powiedział kiedyś pewien filozof, każda łódź wypływająca w morze musi mieć kil. Szczęście ma swoją ciemniejszą stronę, niewidoczną na powierzchni, przeciwstawiającą się morskim prądom i przyciągającą zgniliznę i zepsucie, które w końcu mogą je zniszczyć.

Mimo to, w Malacji goniono za szczęściem na wszelkie sposoby. Wielu wyznawców

takiej filozofii zebrało się na ślubie Smarany de Lambant z Traytorem Orinim z Vamonal. Ich wesele miało być wyłącznie radosnym wydarzeniem. Zaproszonym artystom dano trzy dni na przedstawienie wszystkich zaplanowanych i niezaplanowanych atrakcji. Zakładano, że pod koniec uroczystości wszyscy goście powinni w trzech czwartych umierać z rozkoszy dostarczonej im we wszelkich formach.

Rankiem pierwszego dnia weselnych uroczystości, Pozzi Kemperer zwołał całą

kompanię na próbę komedii *Fabio i Albrizzi*. Chciał mieć pewność, że i my, i nasze kostiumy prezentowaliśmy się doskonale. Graliśmy z zapałem. La Singla stworzyła na scenie cudowną postać. Każdym gestem uwodziła i oczarowywała widzów. Na ślubnych przyjęciach przesada była jak najbardziej wskazana, więc Kemperer, sprowadził chudego mężczyznę z panterami.

Efekt okazał się całkiem znośny.

Mój kostium - wzorowany na stroju z obrazu wiszącego w pawilonie diuka Renardo -

był wspaniały. Problem zapłaty krawcowi postanowiłem odłożyć na później, dużo później.

Do pracy przy kamizeli zatrudnił pomoc. Dwa delikatne, haftowane krajobrazy wyszły spod palców Złotorogów; wszyscy podziwiali ich kunszt. Miałem też nowy, biały kołnier, ciasno przylegający do szyi i eleganckie rajtuzy z wiązaniami na wysokości kolan, doskonale podkreślające kształt moich nóg. Zielony surdut okazał się arcydziełem!

Był długi, dopasowany w pasie i miał spore kieszenie z ogromnymi patkami,

dokładnie tak, jak na obrazie. Zgodnie z zamówieniem, miał srebrne guzy, a białe mankiety ozdobiono srebrną wstążką. Wyglądał znakomicie, więc postanowiłem nie zdejmować go przez całe wesele. Był zbyt elegancki, by służyć wyłącznie Albrizziemu.

Po próbie, gdy każdy zajął się swoimi sprawami, boska La Singla podbiegła do mnie i pocałowała mnie w usta.

- Piękny z ciebie chłopiec, Albrizzi. Tęskniłam za tobą. Doszły nas słuchy, że odniosłeś poważną ranę w walce z diabloszczykiem. Dziś wieczorem, gdy zaczną się tańce, a Pozzi się upije, wymknijmy się gdzieś razem. Zabawię się w medyka i zbadam, czy wszystkie części twego ciała

funkcjonują prawidłowo.

- Najdroższa La Singlo, często o tobie myślałem, gdy umierający leżałem na zamku Manteganów. Szybko się otrząsnęłaś po stracie wspaniałego kapitana Johna z ciężkiej kawalerii Tuscadii.

Eleganckim gestem kiwnęła dłonią przed twarzą.

- Taki był z niego wspaniały mężczyzna... Ale nie ma sensu rozpaczać, gdy świat nam się sprzeciwia, bo musielibyśmy przez cały czas płakać. Dziś wieczorem pocieszymy się nawzajem w naszym smutku.

Ociągałem się z odpowiedzią.

- Po raz pierwszy słyszę tak wspaniałą propozycję. Ale zmądrzałem. Otrzymałem dar wiedzy, do której jeszcze nie przywykłem... Złożyłem przyrzeczenie Armidzie Hoytoli i muszę się ćwiczyć w wierności. Tak jak w słowach pieśni: „Skończyły się dla mnie czasy romansów”.

Przycisnęła do mnie słodkie biodra i piersi.

- Jesteś zabawny, kochany. Bohaterski, a zarazem szalony! Poćwiczysz się w tej roli za tydzień.

Pocałowałem ją w szyję.

- Nie kuś mnie. Mój horoskop mnie ostrzega, Seemley Moleskin mnie ostrzega,

Arnolda mnie ostrzega-jeśli nie będę uważał, czekają mnie złe chwile.

- Och, mój cudowny kapitan miał taki przerażający horoskop. Gdyby nie to, na pewno uciekłabym z nim do Tuscadii. A ile przeszedł w życiu! Wiesz, że kiedyś cudem uniknął

śmierci? Turecka kula armatnia zabiła pod nim wierzchowca. Mówił mi, że leciała bardzo wolno i widział, jak przebija konia i wylatuje drugą stroną, cała czerwona, jak ogromna malina. Ale jemu nic się nie stało.

- Żołnierze są nieustraszonymi łgarzami, słodka, niewinna Singlo.

Zamyśliła się na moment.

- Wszystko mi jedno, co on teraz robi. U nas, dla niektórych, dzisiejsza noc jest poślubną. Jesteś wieprzem, ale wiele nas łączy. Znam cię. Jeśli moje słowa cię nie przekonują, posłuchaj przesłania, jakie niesie muzyka.

Muzykanci grali już od jakiegoś czasu. Wtórowały im słodkie głosy śpiewaków.

Podobały mi się zwłaszcza trzy dziewczęta ubrane w falujące szaty, podobne tym, jakie noszono w Peryklejskich Atenach. Śpiewały weselną pieśń ułożoną specjalnie na tę okazję.

Przypominała jeden z utworów Pinarda:

Złata lira, skarb największy Apolla,

Lekkości stopom dodaje

Do tańca wszystkich woła

I wokół radość się staje:

Preludium nocy na strunach grane

Piękne jak młodość

Gdy dwoje zakochanych

Łączy dwa życia w jedno.

Harmonia jest pogodą małżeństwa.

On wstrzymuje pragnienie

Mądrością i męstwem

W jej jasnych oczach jego spełnienie.

Po każdej zwrotce śpiewano refren, którego weselni goście zdążyli się już nauczyć.

Życie jest jak melodia krótka

Chodź, tańcz i na trawie się kocha

Baw się i hulaj,

Nie żałuj, nie szlochaj!

Słyszac na zewnątrz kroki, La Singla i ja odsunęliśmy się od siebie. To był tylko de Lambant.

- Guy, nie miałem okazji zamienić z tobą nawet słowa, prócz naszych kwestii w sztuce. Masz wspaniały kostium. A tobie podoba się mój?

Stanął przede mną i przesłonił dłonią oczy w teatralnym geście.

- Jest wyjątkowo piękny, de Chirolo, ale zdaje mi się, że wyglądasz w nim grubo.

Widzę, że już całkiem zaleczyłeś rany, co?

- Tak, o wszystkim już zapomniałem. Kości się zrosły. Patrzysz na mnie tak, jakbym był trupem, drogi przyjacielu!

- Nie, nie, to nic takiego. Zastanawiałem się tylko, czy nie zgubiłeś trochę włosów z przerażenia.

- Chyba się nie mylę twierdząc, że widok diabloszczęka mniej przeraził mnie, niż pozostałych obecnych.

Po przyjacielsku uściśnął mi rękę, tak jak dawniej, j i zaśmiał się głośno.

- Byłeś okrutnie odważny, de Chirolo, i jestem pewien, że nigdy nie dasz nam o tym zapomnieć, ale ja musiałem zostać przy Armidzie i ją ochraniać. Gdyby schowała się w powozie, tak jak jej radziłeś, już by nie żyła. Nie ma co do tego wątpliwości.

- Nie drażnij mnie, Guy. Dotąd nie rozumiem, co wy dwoje robiliście wtedy w lesie.

Odwracając się do La Singli, złożył jej wyszukany ukłon. Stała z boku przyglądając się nam obu z miną, której nie potrafiłem odczytać.

- Pomimo kilku kryształowych zalet de Chirolo jest okropny, prawda Singlo? Przecież już ci wszystko wyjaśniłem, Perianie. Zazdrość jest poniżej twojej godności. Wciąż ciepło i z podziwem - a czasem z czkawką - wspominam twoje słowa, że zazdrość jest poniżająca, a przyjaciele powinni dawać i przyjmować miłość z wolnej woli. Słyszając moje własne opinie skierowane przeciw mnie, poczułem się tak, jakbym zobaczył innego mężczyznę w moim najlepszym ubraniu.

- Zastanawiałem się nad sensem tej myśli - oraz wielu innych. Śmiałyś się, gdybym ci powiedział, że ostatnio zmagam się z głębokimi przemianami... - Spojrzałem na niego i na La Single. - Rzeczywiście mówiłem, że zazdrość jest poniżająca. To prawda. Nikt nie jest od niej wolny. Armida jest zaborcza - i ty także, jak sądzę. Nie mam racji?

Zaśmiał się.

- Nic lepszego nie potrafisz wymyślić, słysząc, jak ktoś cytuje twoje własne słowa o tym szlachetnym uczuciu? Chyba samotne leżenie w łóżku nie wyszło ci na dobre. Chodźmy lepiej się napić.

Wbrew sobie poczułem, jak wzbiera we mnie gniew.

- Guy, jeśli szczerze wierzysz, że miłość między przyjaciółmi powinna być dawana i przyjmowana z wolnej woli, to muszą o tym pamiętać wszystkie strony albo żadna. Mam swoje ideały, nawet jeśli czasem nie potrafię im dorównać; tymczasem ty stale kpisz ze wszystkiego...

De Lambant odwrócił się do La Singli parodiując rozpacz.

- On ma monopol na mądrość. Czy możemy mu dorównać?

La Singla była osobą obdarzoną zdrowym rozsądkiem. Objęła nas obu i zaśpiewała wers piosenki.

- „Harmonia jest pogodą małżeństwa...” Postąpicie strasznie, wywołując burzę właśnie dziś. W taki dzień! Pamiętaj, że to zaślubiny twojej siostry, drogi Guyu. Obaj jesteście zmęczeni. Napijcie się lepiej i zabawcie.

De Lambant zdobył się na najbardziej uroczy z uśmiechów wobec mnie, La Singli i jeszcze dwóch aktorów, którzy akurat weszli do komnaty.

- To rzeczywiście byłoby straszne. Chodź, Perry, przyjacielu. Pokażę ci prezenty ślubne mojej siostry.

Cieszyłem się, że przestaliśmy się kłócić, ale nie pozbyłem się niepokoju. Słów o miłości dawanej i przyjmowanej z wolnej woli użyłem tylko w rozmowie z Armidą. Czy powtórzyła wszystko de Lambantowi? Jeśli tak, to kto wie w jak komicznych

okolicznościach.

- Guy, nie miej do mnie żalu, ale wiesz, co czuję do Armidy, wiesz, że ogromnie ją kocham...

- Oczywiście - powiedział prowadząc nas korytarzem z kamienną posadzką. Tłoczyło się w nim sporo ludzi, wszyscy pięknie ubrani i wyperfumowani. - Nawet nie umiem wyrazić tego, jak bardzo wam obojgu zazdroszczę. Tworzycie świetną parę, jestem o tym przekonany.

Armida jest wspaniała i sam już w połowie się w niej zakochałem.

Co przez niego przemawiało? Niewinność, czy bezczelność? Strach chwycił mnie za serce, zanim zdołałem wydusić z siebie słowa, które zabrzmiały niemal jak zarzut.

- Guy, cieszę się, gdy widzę Armidę szczęśliwą - powiedziałem siląc się na swobodę -

ale mam nadzieję, że szanujesz moje uczucia do niej. Przyjaźń niesie ze sobą święte zobowiązania. Oboje bardzo sobie cenimy twoje braterstwo i ufam, że odpłacisz nam tym samym.

Raz jeszcze posłał mi szeroki uśmiech, choć ciemnobrązowymi oczami śledził otaczający nas tłum.

- Nie musisz nic więcej mówić. Ogromnie szanuję twoje dobre serce i bardzo ci

dziękuję za zaufanie. Wierz mi, ja również przejmuję się szczęściem Armidy... To już tutaj.

Weszliśmy do pomieszczenia pełnego weselnych gości. Wszyscy zachowywali się

szalenie uprzejmie i przekrzykiwali się w rozmowach. De Lambanta - znakomitego potomka rodziny - pozdrawiano z każdej strony. Wkrótce przepadł w ramionach czulej, choć trochę zbyt rostej ciotki. Nie widziała go od przeszło miesiąca i koniecznie musiała go wyściskać, tak jakby jej życie zależało od tego, czy zdoła go wcisnąć sobie między piersi.

Zostawiłem go z ulgą i poszedłem popatrzeć na ślubne prezenty.

Wśród nich stały przepiękne kielichy Bledlora. Dobrze pamiętałem jeszcze te

beztroskie chwile, gdy razem z Guyem poszliśmy je zamówić. Tamtego dnia mieliśmy spotkać dziewczęta na targu. Tak, wtedy czułem się naprawdę beztroski. Minąłem puchary zerkając na nie tylko przelotnie.

Może niesłusznie posądzałem Guya i Armidę? Jeśli był niewinny, mógł nie w pełni pojąć znaczenie moich słów. Nawet jeżeli Armida powtórzyła mu wszystko, co powiedziałem o „miłości dawanej i przyjmowanej z wolnej woli”, on przecież nie uznałby tego za pretekst do przywłaszczenia sobie tego, co do niego nie należało. W końcu była to złota myśl - i to wcale nie zaczerpnięta z żadnej starej sztuki - należało ją więc powtarzać. Pewnie tak właśnie postąpiła moja ukochana.

Patrzyłem na stosy przepięknych i bezużytecznych przedmiotów, od czasu do czasu kłaniając się ludziom, którzy mnie pozdrawiali. Czułem, jak narasta we mnie zwątpienie.

Zastanawiając się nad tym, co powiedział Guy, doszedłem do wniosku, że każdym słowem chciał wzbudzić we mnie niepokój. Nie potrafił nawet szczerze wyznać, jak bardzo zazdrościł

Armidzie i mnie. Zawiść była nieprzyjemnym uczuciem Obracała człowieka przeciwko jego przyjacielom. Czy de Lambant czuł do mnie tak wielką niechęć, że postanowił uwieść moją ukochaną?

Wyobraziłem sobie ohydną scenę - ona szeptała czułe słowa w jego obmierzłych

objęciach - ale natychmiast poczułem złość na samego siebie. Kochałem ją, a jemu ufałem jako przyjacielowi. niesprawiedliwie ich podejrzewałem. Dowodziło to mojej, nie ich, ułomności. Odetchnąłem głęboko i raz jeszcze postanowiłem zdobyć się na więcej wyrozumiałości i być mniej zazdrosnym.

Niestety, zdążyłem popsuć sobie humor. Z nerwów burczało mi w brzuchu.

Odszedłem w ustronne miejsce. Przycisnąłem dłonie do skroni i polałem głowę zimną, pachnącą wodą.

Zamknięty w niewielkiej, chłodnej łaźni, w której szemrała fontanna, usłyszałem czyjś śmiech. Śmiali się kłamcy, hipokryci, sekretni wrogowie, ludzie, których śmieszył mój dylemat, ci wszyscy, którzy zaprosiliby Guya i Armidę do swoich komnat i czekali, co się stanie dalej. Grano pieśń Pindaro:

On wstrzymuje pragnienie

Mądrością i męstwem

W jej jasnych oczach jego spełnienie

Ponownie oblałem twarz powtarzając sobie, że chyba oszalałem, że to nie zazdrość, lecz poczucie

winy, że czułem to samo, co wcześniej Armida, gdy odkryła moje potknięcia.

Do tej chwili jej nie rozumiałem.

Pospieszenie wróciłem na salę. Postanowiłem ją odnaleźć, błagać o wybaczenie, wziąć w ramiona, pokazać, że teraz jej potrzeba szczęścia przestała być dla mnie tylko fantazją.

Usłyszałem wołanie przyjaciół. Pozdrowiłem ich, ale nie przystanąłem. Starłem się wyglądać zwyczajnie, choć dręczył mnie wielki niepokój. Jakiś pijak z zaczerwienionymi oczami wpadł na mnie, mamrocząc coś bez sensu. Gdy go odepchnąłem, spostrzegłem, że to ojciec de Lambanta. Wydawało mi się, że mnie nie rozpoznał.

Rodzina panny młodej uznała własny dom za zbyt skromny na wesele córki, więc

wynajęła bardziej elegancką willę bogatych krewnych. Długi korytarz z posągami stojącymi wzdłuż ścian oddzielał część przeznaczoną na weselne uroczystości od prywatnych apartamentów. Najwspanialej prezentowały się atrium w stylu bizantyjskim, obszerna łazienka i perystyl, w którym fontanny tryskały na tle kolumnad. Właśnie tutaj, pod gołym niebem, miały się odbyć zaślubiny, potem przedstawienie naszej komedii, pokazy akrobatyczne i wreszcie sztuka o Mendiculi.

W końcu udało mi się odnaleźć Armidę. Siedziała z rodzicami w jednej z mniejszych sal bankietowych otoczona tłumem przyjaciół, wśród których nie widziałem nikogo znajomego. Młody diuk Renardo nie przybył; dowiedziałem się, że nie został zaproszony.

Po raz pierwszy od czasu polowania miałem okazję spotkać ojca Armidy. W kilku

protekcjonalnych słowach pochwalił moje szczęście w łowach, jednocześnie zażywając tabaki.

Armida siedziała obok niego, piękna jak uosobienie samej Urody. Nonszalancko

opierała przedramię o zdobioną brokatem poręcz fotela. Patrząc na nią poczułem się śmieiej i odważnie odezwałem się do Andrusa Hoytoli.

- Sir, dziękuję za komplementy. Wyruszyłem na polowanie, aby zabić prazwierza i dokonałem tego, choć sam o mało nie zginąłem. Ale bez ryzyka niczego by się nie osiągnęło.

- Nie wątpimy w prawdę tych słów. - Spojrzał na mnie podejrzliwie. - Ale nie tylko w lasach Juracji ryzykuje się życiem.

- Doszły mnie słuchy, że gdy leczyłem się z ran, historia o moim spotkaniu z

diabloszczękiem rozniosła się po Malacji, niejako czyniąc ze mnie bohatera. Nie jestem wojownikiem. Tak odważnego czynu mogłem dokonać tylko dlatego, że pańskiej córce, Armidzie, groziła śmierć. Jeśli wolno mi mówić śmiało, sir, uważam, że oddałem pańskiej znakomitej rodzinie przysługę.

- To wielka prawda, mistrzu de Chiolo - odparła matka Armidy, ale mąż natychmiast uciszył ją

gestem. Sama Armida, wrażliwe stworzenie, pojmując, jaką prośbę chce przedstawić jej rodzicom, na przemian to czerwieniła się, to bladła.

- Rzeczywiście, oddałeś nam pewną... przysługę - powiedział Hoytola drapiąc się w szczękę. Przez ten gest jego twarz wydała się jeszcze dłuższa, a wydłużenie sprawiało, że słowa płynęły wolniej. - Nie sądz mylnie, że jesteśmy niewdzięczni. Wszak przed owym - hm

- incydem w lesie, leciałeś wodorowym balonem. Jednakże...

- Ach, sir, nie wspomniałeś o naszej sztuce, o *Księciu Mendiculi* - przerwałem mu zuchwale. - O merkuryzowanym cudzie Bengtsohna, w którym pańska córka i ja mieliśmy swój udział. Jutro wieczorem zostanie ona po raz pierwszy pokazana. Nie zapominaj, sir, z jakim poświęceniem pracowałem przy tym ulubionym przez ciebie projekcie.

Mój głos się załamał. Widząc, jak Hoytola i jego żona sztywnieją, a ich przyjaciele szybko się rozchodzą, domyśliłem się, że wstąpiłem na niepewny grunt. Za wysokimi fotelami, w których siedzieli Hoytolowie, dostrzegłem dwóch służących. Miałem wrażenie, że obaj skrzywili się brzydko na wzmiankę o Bengtsohnie i jego merkuryzacji. Sam Hoytola, zwykle ozdabiający twarz miną człowieka, któremu ciągle coś śmierdziało, nagle zaczął mieć trudności z oddychaniem.

- Chyba należy cię powiadomić, że przedsięwzięcie zostało odwołane. Hm.

Urządzenie się zepsuło.

- Zepsuło...

- Tak właśnie powiedziałem. Mam ci tylko jeszcze jedno do powiedzenia i możesz odejść, sir. Otóż człowiek, o którym wspomniałeś, powrócił do rodzinnego miasta na północy.

Nie należy już nigdy wspominać jego imienia.

Cudem pokonałem ucisk w gardle.

- Ale nasza sztuka, sir, wszystkie przezrocza! - zdołałem wykrztusić. Na Armidę nie śmiałem spojrzeć. - Miały tu zostać pokazane - nigdy ich nie widzieliśmy - my...

- Zamilcz! Zapłacono ci. To wystarczy. Byłeś tylko wynajętym aktorem, nic poza tym.

Do lotu balonem także cię wynajęto. Wszystkie przezrocza tamtego człowieka zostały zniszczone. Nikt ich nie zobaczy. Okazał się Postępowcem. Moja galeria nie będzie miała nic wspólnego, absolutnie nic, z całą tą sprawą. Ani z tobą, jeśli powiesz jeszcze choć słowo.

Drżałem.

- Sir, nic z tego nie rozumiem. Przecież zakończyliśmy pracę nad sztuką. Przyznam, że wydała mi się bezsensowna, ale była nowością. Łączyłem z nią pewne nadzieje...

Bengtsohn także i sądziłem, że pan również. Myślałem...

- Dość, powiedziałem przecież! Milcz lub spadną na ciebie kłopoty. Jeśli ród

Hoytolów jest ci coś winien za uratowanie mojej córki, dopilnuję, aby ci zapłacono cekinami.

Poza tym, radzę ci, byś się trzymał od nas z dala, młody człowieku, w przeciwnym razie gorzko pożałujesz. Matka Armidy pochyliła się ku mnie.

- Jeśli darzysz sentymentem naszą... Hoytola uderzył w poręcz fotela.

- Jeśli w ogóle żywiłeś jakieś uczucia, zapomnij o nich. Zabierz je do swego teatru i pochowaj, zanim ktoś pochowa ciebie - powiedział pobladłymi wargami i wstał.

- Zawsze do usług, sir - powiedziałem cofając się. Gdyby to on był diabłoszczękiem, a ja gdybym miał kuszę...

Odchodząc zauważyłem smutną minę Armidy. Jej palce, zaciśnięte na poręczach

fotela, były równie białe, jak jej twarz. Zawładnęła mną chęć zamordowania jej ojca.

Wróciłem do chłodnej łaźni i jeszcze raz polałem głowę wodą. W miniaturowym

wodospadzie kropli ujrzałem oczyma wyobraźni jak zabijam Andrusa Hoytolę. Wizja miała potworną moc i wydawała się równie rzeczywista, jak postaci magów przy ich leśnym ołtarzu. Nienawidziłem tego człowieka i wszystkiego, co sobą reprezentował. Zrozumiałem, że było tak od samego początku, od naszego pierwszego spotkania w jego stajniach.

Zanurzając twarz w wodzie, poczułem solidny wstrząs w nadgarstku - mój miecz zazgrzytał o żebra Hoytoli i krew zalała jego nieskazitelną strój. Odślonił zęby, jak muł przeżuwiający siano. W jednej chwili stracił całą godność i runął u mych stóp.

Gdy zdusiłem w sobie morderczy impuls i powstrzymałem wymiotny odruch,

zacząłem się martwić o Armidę. Osuszyłem twarz i poszedłem na salę, gdzie tańczyli młodzi przyjaciele Smarany. Służący wnieśli owocowe napoje. Znalazłem sobie miejsce za bukietami kwiatów. Chciałem dojsć do siebie.

Do komnaty wszedł Guy w towarzystwie jakiejś dziewczyny. Zauważył mnie.

Przeprosił swoją towarzyszkę i podszedł do mnie.

- Perry, stary druhu, wyglądasz strasznie. Widziałeś tę dziewczynę? Czyżbyś się pokłócił z Armidą?

- Guy, nie kpj sobie ze mnie, proszę. - Zmusiłem go, by usiadł przy mnie. -

Rozmawiałem z Hoytolą. Cała tragedia Mendiculi zniszczona. Wszystkie przezrocza rozbite.

Potłukł wszystkie wizerunki Armidy. Cała nasza sztuka poszła na marne.

- Robota krytyków?

- Hoytolą powiedział tylko, że Otto Bengtsohn opuścił Malację.

- Dlaczego? Pokręciłem głową.

- Jak ja gardzę tym człowiekiem... Jeśli Otto i Flora wyjechali, musieli mieć ważny powód - ten sam co zawsze. Dekret Najwyższej Rady zabraniający wszelkich zmian. Jeśli Rada, tak jak Otto, widziała jakieś niebezpieczne możliwości zastosowania merkuryzacji, na pewno wywarła na Hoytolę nacisk. Pozwolono mu posłać balon w powietrze, ponieważ sytuacja była wyjątkowa. Ale tym surowiej trzymano się zakazu przy drugiej prośbie.

Merkuryzacja okazała się zbyt nowoczesnym procesem, więc orzeczono na jej niekorzyść.

Hoytola próbując ratować własną skórę, zamknął całe przedsięwzięcie, a Otto, zatwardziały Postępowiec, uciekł z Malacji.

- Co się stało z zahnoskopem?

- Rozbito go. Hoytola pewnie odkrył, że Otto popierał postęp. Założę się, że to on wydał staruszka władzy, żeby zdobyć przychylność Rady...

De Lambant pokręcił głową.

- Nieprawdopodobne. Jeśli to prawda, Perianie, to pod przyzwoitą, choć trochę

nadmiernie zmysłową powłoką twego życia, płynie ciemny i niebezpieczny strumień. Skoro cenisz sobie bezpieczeństwo, trzymaj się z dala od przewrotnych ludzi, takich jak Otto.

Przyjacielska rada podniosła mnie na duchu. Objąłem ramieniem barki de Lambanta.

- Zaczynam wierzyć, że Ottonowie tego świata doskonale o tym wiedzą.

Nawet Guy twierdził, że jest we mnie jakiś niebezpieczny nurt. De Lambant przestał

mnie niepokoić, ale za to zacząłem się martwić losem Ottona. Co naprawdę się wydarzyło?

Postanowiłem po zakończeniu weselnych uroczystości odszukać Bonihatcha i dowiedzieć się prawdy.

Oczyma wyobraźni ujrzałem jego twarz z musztardowymi bokobrodami. Nie

przysłużyłem mu się próbując uwieść Letycję, którą kochał. Ale był tylko przemądrzałym pomocnikiem. Sądziłem, że uda mi się jakoś z nim dogadać.

Największą zagadką pozostawała Armida. Nie szukała mnie. Być może nie zdołała

wymknąć się ojcu. On ranił ją bardziej niż ja. Była po prostu pionkiem w jego zimnej, skomplikowanej grze.

Stało się, uwierzyłem w bajkę. Kiedy w baśniach honorowy, choć biedny młodzieniec ratował życie pięknej córki króla, poślubiał ją i wszyscy w królestwie się radowali.

Wierzyłem, że moje fantazje tym bardziej się spełnią, bo ja nie byłem żebrakiem, a Hoytola był zwykłym kupcem - nawet w połowie nie wartym tyle, ile mój ojciec. Dlaczego tak się nie stało?

Gdy Guy odszedł, wstałem z miejsca. Wśród gości dostrzegłem Caylusa. Odrzuciwszy laskę, tańczył z piękną dziewczyną o ciemnej skórze. Nie miałem ochoty na zabawę. Jeden ze służących podszedł do mnie proponując mi wino. Uznałem, że pijanemu łatwiej niż trzeźwemu. Stosownie do uroczystej okazji, wszyscy słudzy nosili maski, niektórzy potworne, inni komiczne, jeszcze inni piękne. Ja wziąłem kielich z tacy trzymanej przez wielobarwną orchideę.

Wkrótce odzyskałem dobry nastrój, a przynajmniej starałem się sprawiać takie

wrażenie. Zawołali mnie Pozzi i La Singla. Kemperer się złościł, bo Diuk z Ragusy nie przyjeżdżał, więc nie mógł obejrzeć naszego przedstawienia.

- Ten stary głupiec przysłał list. Podobno słyszał, że w Malacji szykuje się rewolucja!

W Malacji! Pewnie wierzy też, że księżyc jest wielkim krowim plackiem! - grzmiał Pozzi. -

Popatrz tylko, de Chirollo, jaki krzyż musimy dźwigać my, artyści!

Wieczorem świętowano już w najlepsze. Udawałem dawnego siebie, siląc się na

beztroskę; jutro miało nadejść bez względu na wszystko i istniała szansa, że znajdę wyjście z obecnych kłopotów.

Służący z uporem przynosił mi wino, choć opróżniłem kielich dopiero do połowy.

Chciałem go odepchnąć, ale zagroził mi drogę więżąc mnie między kolumnami w atrium.

Na twarzy miał maskę w kształcie wspaniałego kwiatu. W samym środku błyszczały oczy.

- Nie jestem chryzantemą, de Chirollo, choć może tak właśnie mnie widzisz pijanym wzrokiem - powiedział służący. - Domyślam się, że poznajesz mój głos.

- Odejdź zanim złożę na ciebie skargę.

- Nie sądz, że jesteś tu bezpieczny. - Od tancerzy dzieliła nas zasłona. Na moment odsunął maskę. Pod nią ujrzałem twarz Bonihatcha.

- Co tu robisz? Rola Księcia Mendiculi pasowała ci bardziej niż to kwietne przebranie.

- Dziwisz się? My, zwykli robotnicy musimy brać każdą pracę, jaka się nadarza.. A co do tego dekadenceckiego tłumu... Wszyscy przepadną, gdy zwyciężą Postępowcy.

- Bonihatch, nie mówmy teraz o tym. Cieszę się, że cię widzę, wierz mi. Wiele nas różni, ale...

- Prawdę mówiąc, de Chirolo, powinienem spuścić ci lanie, ale potrafię stawiać interes ogółu przed osobistymi porachunkami. Tylko Założyciel wie czemu akurat ty stałeś się znanym bohaterem. Właśnie dlatego cię potrzebujemy. Wysłano mnie, bym się z tobą porozumiał. Wkrótce odbędzie się spotkanie, na którym chcielibyśmy cię zobaczyć.

- Posłuchaj, Jest tu Andrus Hoytola...

- Rada aresztowała Ottona. Może już nie żyje. Wielkie szczęście, że jego żona akurat była w odwiedzinach u krewnej, gdy po niego przyszli. To ona mnie ostrzegła. Teraz się ukrywa, podobnie jak ja. - Przeszliśmy obaj w ciemniejszy kąt. Jego oczy poruszały się niespokojnie w kwiatowej masce.

- Wyjdźmy na zewnątrz i porozmawiajmy spokojnie. Powiedziano mi, że Otto wyjechał do Tolkhormu.

- Nie mam czasu. Nie ufaj Hoytolom. Jeszcze się niczego nie domyśliłeś? Rada przyszła po Ottona w środku nocy. Roztrzaskali cały sprzęt, przezrocza, zahnoskop, wszystko... Hoytola go zdradził. Kto wie, może Otto jest już martwy, a może torturują go w brudnych lochach. Przecież nie brak ci odwagi. Zdecyduj, po której jesteś stronie.

- Kiedy... zupełnie nie wiem, co myśleć...

- Przyjdź na spotkanie. Rozjaśnimy ci umysł. Jutro, późnym wieczorem, po waszej sztuce. Zdejmij te strojne łańchy zanim się u nas stawisz. Ktoś skontaktuje się z tobą jutro i przekaże ci, gdzie się spotkamy.

- Mam zrezygnować z wszystkiego, o co dotąd zabiegałem? Bonihatch, ja...

Jego oczy błysnęły wśród płatków.

- Nie zabiegałeś o nic, co warto mieć. Do zobaczenia jutro.

Odszedł pospiesznie.

Przymierze z Bonihatchem i obszarpanymi pomocnikami... Na samą myśl o tym

pożałowałem, że nie wziąłem wina, które mi proponował. Imponowało mi jego oddanie sprawie, o którą walczył.

- Ha, tutaj się zaszyłeś, mój bohaterski przyjacielu! - zawołał znajomy głos, gdy ruszyłem wzdłuż kolumnady. Cudze ramię chwyciło mnie pod rękę i ujrzałem roześmiane oblicze Caylusa, a obok niej śmiałą i wyrazistą twarz jego kochanki. Caylus widać lubił

towarzystwo pań o różnych barwach.

- De Chirolo, nasz chwilowy bohaterze, pogromco smoków, wyglądasz tak, jakby życie nie miało dla ciebie wartości. Poznaj piękną Teresę Orini z Vamonal, która pragnie z tobą porozmawiać.

Teressa stanęła przede mną w uwodzicielskiej pozie i wyciągnęła do mnie upierścienioną dłoń.

- Caylus tak wiele mi o tobie opowiadał...

- Głupiec ze mnie, pogrzebałem własne szansę!

- Mówił mi, że w łóżu jesteś równie odważny, co w walce. - Uśmiechnęła się błyskając zębami.

- Co z niej za rozpustnica, zupełnie bezwstydna!

Widzisz, de Chirolo? Wstąpiłbyś do klasztoru, gdybyś poznał lubieżne sekrety, o których mi szeptała.

Panna klasnęła szczupłymi dłońmi. Przysunęła się bliżej, pochylając się ku mnie poufale.

- Caylus przesadza. W ciągu godziny zdążył mnie sprowadzić na złą drogę. Drogi de Chirolo, może do nas dołączysz, by mnie chronić?

Roześmieli się oboje. Rozmowa toczyła się między nimi gładko, bez wysiłku.

Jednocześnie od czasu do czasu spoglądali na siebie nieskromnie. Nie sposób było nie zarazić się ich wesołością.

- Perian nie może sobie pozwolić na ochranianie żadnej z dam, Teresso! Kompletny z niego rozpustnik. Pozwól, że ci opowiem, co kiedyś zrobił... - Otoczył usta dłońmi i szepnął

coś świszczące w ciemne loki przy jej uchu. Jej oczy zatańczyły. Wybuchła śmiechem i chwyciła mnie za ramię.

- Jak zdołam przetrwać tę noc z dwoma równie zepsutymi mężczyznami?

- Jeśli chcesz, de Chirolo i ja zaraz opiszemy ci ze szczegółami wszelkie atrakcje. -

Caylus mrugnął do mnie. - Chodźmy gdzieś, gdzie możemy usiąść. Najedźmy się, napijmy, a mój

bohaterski przyjaciel opowie nam dokładnie jak zabił smoka, którego pychę trzyma pewnie pod poduszką. Dobra na szczęście i potencję.

- Teraz jeszcze nie mogę do was dołączyć - powiedziałem, ale i tak z nimi ruszyłem, chwilowo zapominając o niepokojach.

Nieźródny Caylusie! W dobrych chwilach byłeś doskonałym przyjacielem. Nie

chciałem ci robić przykrości - poza tym spełnianie zachcianek Teresy Orini wydawało mi się ogromnie przyjemne. Ale zza leśnego ołtarza, z którego sączył się dym, patrzyło na mnie gadzie oblicze i wciąż słyszałem słowa maga: „Te same błędy wciąż się powtarzają w niekończącej się fikcji...” Czułem jak krew odpływa mi z serca. Drażył mnie rak wiedzy: za wszelką cenę musiałem poznać prawdę o tym, co się stało z Armidą i Ottonem - jak dziwne wydawało mi się łączenie tych tak różnych imion!

Zdołałem umknąć moim dobrze urodzonym przyjaciołom. Wolałem towarzystwo

skwaszonego, szarego Bonihatcha.

Zapalono kandelabry i wniesiono wysokie świece. Ich blask szybko wymiół resztki szarego światła dnia, które jeszcze chwilę wcześniej odbijało się w sadzawce.

Pojawili się słudzy w maskach dzików, przynosząc kosze z żarzącymi się węglami, by gościom nie dokuczał jesienny chłód. Wielu zamierzało spędzić tę noc na świeżym powietrzu.

Czerwonawa poświata padała na twarze tych, którzy już byli kochankami i tych, którzy mieli nimi zostać zanim minie noc. Już miałem odejść, gdy wśród weselnych gości, pod łukiem z marmuru, dostrzegłem jeszcze jednego dobrego znajomego - Portinarię. Jego ojciec zaopatrywał weselną kuchnię. Portinari zawołał mnie po imieniu, podszedł do mnie i poklepał

po plecach.

- Perianie, stary druhu i bohaterze! Przyszedłeś tu prosto z cmentarza, że masz taką grobową minę? Coś cię dręczy?

- Nie, nie. Nic mi nie jest, Gustavusie. Może tylko wypłem za dużo wina.

- Mnie to wygląda na coś poważniejszego, niż wina. Nie, nie musisz mi nic wyjaśniać.

Chciałem ci tylko powiedzieć - choć może nie znamy się dość dobrze...

Próbowałem go wyminąć.

- To prawda. Zresztą dotyczy wielu osób. Niestety, nie jestem w nastroju do rozmów.

Wybacz mi.

- Zanim odejdziesz, Perianie... Nie pomyśl tylko, że na zbyt wiele sobie pozwalam...

Otóż przypadkiem wiem, że Kemperer i La Singla właśnie się naradzają z Andrussem Hoytolą w sprawie jutrzejszych występów. Armida jest sama, odesłała Yolarię i czeka w umówionym miejscu. Jeśli ze mną pójdziesz - choć zdaję sobie sprawę, że to nie mój interes, ale w końcu jesteśmy przyjaciółmi - więc, jeśli ze mną pójdziesz, zaraz cię do niej zaprowadzę.

Klepnąłem go w ramię.

- Gustavusie, to miło z twojej strony. Przepraszam, nie jestem dziś sobą. Rzeczywiście muszę porozmawiać z Armidą.

Przeszliśmy przez zatłoczone sale. Portinari, nie przestając przeproszać, poprowadził

mnie w górę po schodach. Komnaty na górnym piętrze zajmowały jedynie część bryły willi, za to ze wszystkich czterech stron perystylu biegł balkon - miejsce sekretnych spotkań.

- Przepraszam, że się wtrącam, przyjacielu - powtarzał raz po raz Portinari.

Wskazał mi przesłonięte kotarą drzwi i odszedł. Od razu wszedłem do środka.

- Guy? - spytał czyjś głos. W komnacie znajdowała się sofa, stół do pisania i dwa fotele. Okna wychodziły na perystyl. W cieniu stała Armida. Ledwie ją dostrzegłem. Mrok rozjaśniało jedynie czerwone światło dochodzące z dołu.

- To nie Guy. To ja, Perian, twój narzeczony - powiedziałem podchodząc do niej.

- Och, Perianie, cieszę się, że mogę z tobą pomówić! Ta okropnie nudna scena dziś popołudniu...

- Była upokarzająca - dla ciebie i dla mnie. Ale później nie próbowałaś mnie odszukać.

- Ojciec potraktował cię surowo, ale uważał, że pozwalasz sobie na zbyt wiele.

Próbował postąpić sprawiedliwie wedle swojej miary.

- Ty też sądzisz, że pozwalałem sobie na zbyt wiele?

- Perianie, świat, w którym żyjesz jest niezwykły. Każdego obowiązują inne zasady. -

Podniosła się z miejsca i stanęła sztywno z dala ode mnie.

- Przełknąłem bez słowa wszystkie twoje wyrzuty i wątpliwości, a ty pozwalasz, by twój ojciec mi groził. Stoję tu i wszystkimi zmysłami czuję, że mnie nie pragniesz, nie chcesz mnie dotykać ani ze mną rozmawiać.

- Musimy przestrzegać pewnych reguł towarzyskich. Porozmawiamy innym razem.

Proszę, nie dokuczaj mi.

- Co to ma znaczyć, Armido? Dobrze, kochana, nie będę cię dotykał, ale spójrz na mnie i powiedz mi, że wciąż pamiętasz o naszych zaręczynach.

Zmusiła się do śmiechu.

- To była nasza niewinna, sekretna zabawa. Obawiałam się, że chciałeś o niej powiedzieć memu ojcu.

- Jak ty do mnie mówisz? Czy sądzisz, że nie rozumiem, o co ci chodzi? Armido, jak żalosny obrót przybrały sprawy między nami!

- Nie, nic się nie zmieniło. Ja nie jestem za zmianami. Wciąż jestem taka sama, to ty stałeś się inny.

- Tylko dlatego, że się niepokoję. I to ty jesteś źródłem moich obaw. Jeśli się mylę, błagam powiedz mi, że tak jest i między nami będzie znowu dobrze. Moje ciało i serce należą do ciebie. Powiedz mi, że twój ojciec nie czuje do mnie nienawiści.

- Dlaczego jesteś taki dramatyczny? Stale grasz, wciąż cierpisz. Przyznaję, że wolę bardziej powierzchownych mężczyzn. Co się z tobą dzieje? Czy ma to jakiś związek z Guyem?

- Z Guyem? Mówiłem o twoim ojcu. Po co mieszasz w to Guya? Kim on dla ciebie jest?

Nadal stała sztywno, tak jakby chciała znaleźć się ode mnie jak najdalej.

- Nie zamierzam z niego zrezygnować, jeśli o to ci chodzi.

- O nic mi nie chodzi. Ale tobie daję prawo do zakończenia tych spośród moich przyjaźni, których nie pochwalasz. Temu chyba nie zaprzeczysz.

- On daje mi za wiele przyjemności. Ani mi się śni z nim rozstawać.

Zaschło mi w gardle. Nie mogłem złapać tchu. Wszystkie moje obawy wróciły lawiną.

- Chcesz powiedzieć, że ty i Guy się kochacie? - Mój schrypnięty głos zabrzmiał tak, jakby dobiegał z daleka.

Zawahała się przez chwilę.

- Przecież wiesz, że tak, głuptasie! Co innego mielibyśmy robić? Rozmawiać o

botanice?

- Ale on jest moim przyjacielem. Sam nazywa siebie moim najlepszym przyjacielem...

Przekazujesz mi tak potworną wiadomość i nie przepraszasz? To niemożliwe, żadne z was nie mogłoby... - Miałem pustkę w głowie. Słowa - wsiąkły w piaski pustyni, a moja krew razem z nimi.

Armida stała dumnie i patrzyła na mnie wyzywająco.

- Jakie masz prawo tak do mnie mówić? Dobrze wiedziałeś co robimy - sam nas do tego zachęcałeś. Dlaczego miałabym cię przepraszać? Sam mówiłeś o „miłości dawanej i przyjmowanej z wolnej woli”. Powiedziałeś Guyowi, że pochwalasz jego postępowanie. To samo powtórzyłeś mu dzisiaj. Chciałeś, abym go kochała, życzyłeś sobie, by wszystko było uczciwe i takie było. Chciałeś, bym go kochała. - Armida stała teraz przede mną. Jej oczy płonęły.

- Armido, kochała, tak, ale nie cudzołożyła. Tak mówiłem, przyznaję. Zachęcałem cię, byś została przyjaciółką mego przyjaciela, ale tylko dlatego, żebyś się nie czuła winna...

- Winna? - Zaśmiała się pogardliwie. - Nie czuję się winna. Guy też nie. Wyobrażałeś sobie, że pojechaliśmy do lasu rozmawiać o kulturze w puszczy? Postępowaliśmy zupełnie naturalnie, zresztą, ty robiłeś to samo ze swoimi dziwkami.

- Ale już przestałem romansować. Prosiłaś mnie o to. Powiedziałem ci przecież.

Wiedziałaś. Przestałem, gdy zobaczyłem, jak bardzo cię to rani. Zrozumiałem, że w naszej miłości nie ma na to miejsca. A teraz ty - ty oszukałaś mnie tak okrutnie, ty, którą... -

Chwyciłem się za gardło. Miałem wrażenie, że się duszę. - Poza tym, przecież gardziłaś Guyem! Pamiętam, jak pewnego popołudnia wyśmiałaś jego głupie argumenty, i to z jaką pogardą!

- Narzekasz dopiero teraz, gdy ci coś nie odpowiada? Takimi jak ty, mogę tylko gardzić. Przedtem cię szanowałam, uważałam za hojnego i szlachetnego, bo potrafiłeś zrozumieć moje uczucia do Guya...

- Hojny! Szlachetny! Byłbym szalony, gdybym... gdybym cię komuś użyczył, gdybym dał wszystkim przyjaciołom po kawałku ciebie, jakbyś była weselnym tortem... Guy był

moim przyjacielem - on także mnie zdradził.

- Znowu tragizujesz. Jeśli sądzisz, że skończę ten romans tylko dlatego, że ty sobie tego życzysz, jesteś w błędzie. - Ze złością sięgnęła do kieszeni sukni i wyciągnęła wymiętą kartkę, którą rozprostowała pogardliwym gestem. Rzuciła ją we mnie. - Chyba nie zaprzeczysz, że to ty napisałeś?

Spojrzałem na papier. Nawet w przyćmionym świetle rozpoznałem frywolny

czterowiersz, który kiedyś stworzyłem.

Z wszystkich dziewcząt moich, Bedalaro,

Ty struny pragnień trącasz najmocniej

Falsz małżeństwa melodii twej obcy,

Lira twoja powinna brzmieć stale.

- To było wieki temu. Dawno skończone. Bedalara także mnie zdradziła!

- Nie bez powodu stale wspominasz o zdradzie. Sama znalazłam to w jej komnatach i zabrałam. Spałeś ze wszystkimi moimi przyjaciółkami, a mnie śmiesz wypominać jeden mały romans z Guyem. Nie zamierzam go rzucić ze względu na ciebie.

- Ale dlaczego wybrałaś Guya? Robiąc to z nim pozbawiasz się honoru. To tak, jakby na świecie nie istniało nic prócz fałszu.

- Ho, ho, jakich słów teraz używasz! Jakbyś był co najmniej diukiem! Dobrze wiem, że jest zdolny do zdrady, ale nie jestem o niego zazdrosna, tak jak o ciebie. Po prostu dobrze się bawimy. Lepiej nie mów już nic więcej, byś tego później nie żałował.

Ruszyła się, tak jakby chciała wyjść z komnaty, ale zatrzymałam ją. Odsunęła się ode mnie.

- Armido, teraz ty dramatyzujesz. Nie zamierzam cię o nic winić. Nie mogę, ponieważ sam się przyznałem do romansowania. Ale staję się lepszy, choć mnie w tym nie wspierasz.

Na pewno jednak dostrzegasz różnicę w tym, jak się teraz do siebie odnosimy...

- Jedną miarą mierzysz siebie, a inną mnie? Tak to widzisz?

Złapałem się za głowę. Czułem, jak z każdą minutą pograżam się coraz bardziej.

- Nie, wcale nie. Mamy jednak wobec siebie zobowiązania. Nasze zaręczyny, no i fakt, że ocaliłem ci życie...

- Och, wiedziałam, że o tym wspomnisz!

- Mamy wobec siebie zobowiązania, moja droga Armido. Zbyt lekko to traktowałem, przyznałem się i żałuję...

- Chyba raczej zostałeś przyłapany.

- Niech tak będzie, zostałem przyłapany. Przykro mi, że cię zraniłem. Postanowiłem się zmienić na lepsze i zawsze ci mówiłem, że kocham cię ogromnie...

Wyciągnęła otwartą dłoń.

- Och jakiś ty teraz szlachetny. Tylko spójrz na swoją głupią minę!

- Z twojej wyczytać mogę tylko niechęć. Powtórzę raz jeszcze, że gdy dowiedziałas się o moich romansach, szczerze żałowałem swej bezmyślności i próbowałem cię pocieszyć.

Teraz jednak sama się zdradziłaś nieostrożnymi słowami. Ty nie żałujesz. Nie próbujesz mnie pocieszyć i nie współczujesz mi w cierpieniu.

Ponownie się zaśmiała. W tej samej chwili dobiegł nas chóralny śmiech z dziedzińca, gdzie zaczęło się przedstawienie Pstrokatego Pete'a i jego *fantoccini*.

- Mam ci współczuć? Powinieneś być pamiętać o tym wielkim słowie, gdy mnie

zdradzałeś z Bedalarą. Teraz się boisz, bo dowiedziałeś się o mnie i o Guyu, i dlatego...

- Ach to tak? Twierdzisz, że „się dowiedziałem”? - Ponownie zbliżyłem się do niej. -

Zatem robiliście to w tajemnicy, gdy ja leczyłem się z ran. Doskonale wiedziałas, że nigdy nie chciałem, byś została czymś więcej niż przyjaciółką mego przyjaciela. Żaden mężczyzna nie jest aż takim głupcem! Zdawałaś sobie sprawę z tego, że nigdy nie powiedziałbym Guyowi

„Idź, uwiedź ją i zdeprawuj. Napelnij ją swym odrażającym nasieniem”.

Uderzyła mnie w twarz.

- Ty dziwkognoju! Sam zachęcałeś nas do tego na wszelkie sposoby, a teraz nagle stałeś się zazdrosny.

- Próbujesz kryć kłamstwo, więc kłamiesz ponownie! A skoro wspomniałaś o

zazdrości, czy jestem bardziej zazdrosny niż ty lub Guy? Ja przynajmniej próbowałem nienawidzić siebie za to uczucie. Na honor, czy nie mogłaś powściągnąć swego pożądania?

Odwróciła się ode mnie i zapatrzyła, na dziedziniec, na którym świętowali weselni goście.

- Za chwilę zaczniesz cytować kwestie przeklętego Generała Geralda. Sztuka została zniszczona, pamiętasz? Przerabialiśmy już dyshonor i współczucie. Teraz mówimy o honorze.

Ciekawe na jaką bezcenną cnotę powołasz się za chwilę.

- Miałem kiedyś honor, Armido. Miałem swój honor - powiedziałem, przysuwając się bliżej i zastanawiając się, dlaczego to ja się bronię, skoro ona zawiniła. - Ty mi go odebrałaś, a zrobiłaś to grając rolę Patrycji w życiu. Zapomnij o sztuce. Pytam cię tylko, czy żałujesz, że mnie zraniłaś. Ale nie, ty cieszysz się jak harpia i sycisz się swoją zdradą. Co mamy teraz zrobić?

- Sam się domyśl.

- Pytam cię raz jeszcze, czy żałujesz że mnie zraniłaś?

- Już ci mówiłam, że teraz cieszy mnie towarzystwo Guya.

Spojrzała na mnie zaciskając wargi i wysoko zadzierając nos. Poczułem mdły zapach mięty, od którego zrobiło mi się niedobrze. Zostałem upokorzony. Dalsza kłótnia nie miała sensu. Wciąż nie mogłem uwierzyć, że obawy, które wciąż od siebie odsuwałem, spełniły się.

Mimo to nie potrafiłem jej nienawidzić. Wykorzystała mnie, ale sam, jak głupiec, popychałem ją ku temu. Pokonany, odwróciłem się, by odejść.

Przede mną stał Guy. Domyśliłem się, że to z nim miała się tu spotkać; to jego imię wymówiła najpierw. Portinari pewnie przypadkiem o wszystkim się dowiedział. Guy słyszał

część naszej kłótni. Bał się.

Drżał. Jego oczy przypominały galaretę z czarnych jagód. Twarz miała kolor popiołu.

Gardziłem nim.

- Perianie, zaszła okropna pomyłka - powiedział. - Straszne nieporozumienie. Ciebie i Armidę łączy takie piękne uczucie - nawet nie potrafię wyrazić, jak bardzo wam zazdroszczę.

Byłem pewien, że o nas wiedziałeś. Przecież jeszcze dziś mówiłeś mi, jak bardzo cenisz to, co robię dla Armidy. Cieszyłeś się, że jej we wszystkim pomagam i chciałeś, by czuła się ze mną szczęśliwa. - Wyciągnął przed siebie rękę. - Twoje życzenie się spełniło. Ja tylko chciałem ci wyświadczyć przysługę, przyjacielu.

- Podły kłamco o gadzim języku! Przekręcasz moje słowa dla własnej korzyści. Kto oddałby swoją miłość innemu mężczyźnie? - Odtrąciłem jego dłoń.

- Jestem twoim najlepszym przyjacielem. Wszystko robiłem dla ciebie, aby utrzymać Armidę z dala od twoich rywali, tak jak mnie prosiłeś. Teraz zwracasz się przeciwko mnie.

- Dla mnie? Ty draniu! Sam jesteś moim rywalem! Uśmiechnął się niepewnie i

wykonał ręką dziwny gest. Armida podeszła do niego i wzięła go pod ramię.

- Miłość to nie zawody - powiedział próbując przyjąć wystudiowaną pozę. - Każdy z nas jest inny i ma co innego do zaoferowania. Wiesz to z własnego doświadczenia, całkiem zresztą sporego. Słyszałem, że użyczyłeś go także Bedalarze. Ja kierowałem się jedynie miłością do ciebie i do Armidy.

Jego bezczelność niemal odebrała mi zdolność mówienia.

- Jak śmiesz mówić mi to prosto w twarz? Dwukrotnie zbezczęściłeś słowo miłość.

- Daj spokój, staruszk, sam ciągle mówisz o miłości. Przecież znam ciebie i twoje zwyczaje. Zupełna dekadencja. Czy nie zabawiałeś po kolei wszystkich przyjaciółek Armidy?

Nasz romans jest inny. Ja ją szanuję.

- Wiem, że to prawda - wtrąciła Armida.

Sączył naraz jad i życzliwość. Nigdy nie zdołałbym opisać takiego połączenia. Jego twarz nadal miała barwę popiołu; jej stała się purpurowa. Guy co chwila powtarzał to samo zdanie, jak refren.

- Nie muszę się przed tobą tłumaczyć.

Zaraz potem sypały się usprawiedliwienia. Odważnie spojrzałem na Armidę.

- Posłuchaj tylko słów prawdziwego mężczyzny. Czy pojmujesz ten bełkot, który płynie z jego ust? Jak możesz kochać takiego człowieka?

Dumnie odrzuciła głowę.

- On potrafi mówić wspaniale, a jego słowa są prawdziwe i szlachetne.

Tym razem roześmiał się de Lambant. Jego głos drżał.

- Lepiej poważnie się zastanów nad swoim życiem, de Chirolo. Nam wszystkim

wyświadczysz przysługę. Nie zapominaj też, że nadal jestem twoim przyjacielem. Za kilka dni obaj będziemy się śmiali z tego incydentu u Truny.

- Czy ona tylko tyle dla ciebie znaczy?

- Przestań mierzyć siebie jedną miarą, a drugą przykładać do reszty ludzi.

- Ty szczeniaku, znieważasz ją. Oszukujesz i ją, i mnie.

Nagle poczułem jak w zamrożonych dotąd wnętrznościach wybucha dzikie gorąco.

Rzuciłem się na niego. Szybkim podwójnym ciosem uderzyłem go pięścią w twarz.

Zamierzyłem się na niego ponownie, ale się zasłonił. Krzyk Armidy tylko sprowokował mnie do dalszej walki. Upadłem, gdy walnął mnie w pierś, ale natychmiast się podniosłem i gdy mnie chwycił, zacząłem go okładać pięściami. Znaleźliśmy się przy balkonowej balustradzie.

Powoli zdołałem przycisnąć go do niej i odchylić mu głowę do tyłu. Gdybym mógł, zepchnąłbym go w dół. Czyjeś ręce chwyciły nas obu. Odciągnęły mnie na bok.

Twarc de Lambanta pociemniała od płynącej krwi i gniewu. Widziałem ją tylko przez chwilę, bo goście wyciągnęli mnie z komnaty. Zrzuciono mnie ze schodów.

Na dole pochwycili mnie inni, tym razem służący. Choć kopałem i wierzgałem, zanieśli mnie przez podwórze do wyjścia i wyrzucili na ulicę. Zatrzaśnięto za mną bramę.

Ukląknęłem podpierając się rękami i jęknąłem.

Chwilę po tym, jak wylądowałem na ulicy, znowu poczułem szarpiące mnie ręce.

Wokół wesela de Larnbantówny zrobiło się sporo szumu. Słudzy opowiadali, że w środku podawane są olbrzymie ilości potraw. To przyciągnęło pod wrota tłumy żebraków. Brali to, co im dawano - na początek mnie. Podnieśli mnie i przeszukali.

Brudne łapy wpychały mi się do kieszeni i szarpały za mój nowy strój. Skradziono mi kilka monet. Zabrano wszystkie ozdoby. Na bazarze można je było sprzedać za niezłą sumę.

Jakiś czas siedziałem w rynsztoku z twarzą ukrytą w dłoniach. Zdołałem się podnieść i zwymiotowałem przy murze, po czym znowu padłem na kolana. Dopiero po jakimś czasie pozbierałem się jakoś i ruszyłem w stronę Starego Mostu.

No cóż - myślałem - grałem już Generała. Teraz zagrałem Księcia. Ale on przynajmniej miał to szczęście, że zgiął. Życie okazało się nędzne, a wiedza zabójcza.

O północy, albo przed świtem, znalazłem się na moście. Przechyliłem się przez balustradę, aby spojrzeć w ciemną wodę. Otaczał mnie chłód tak czarny, jak mroczny nurt w moim wnętrzu. Gdybym mu się poddał, wtedy już nic nie miałyby znaczenia.

Do rzeczywistości przywróciło mnie przerywane skrzywienie: głuchy, posępny odgłos, który powtarzał się wielokrotnie, potem ustawał, by po chwili znowu zabrzmieć. Smród wypełnił moje nozdrza. Gongformrzy Malacji jak zawsze pracowali w nocy, opróżniając szamba.

Głosy, które ostatnio często mnie nawiedzały, znowu się pojawiły. Powtarzały uparcie, że nawet jeśli umrę, będzie to kolejny gest z desek sceny, daleki od prawdy i rzeczywistości. Mimo to czułem, że dłużej nie wytrzymam. Nie chodziło mi o to, że Armida była z innym mężczyzną, dając mu więcej - jak wywnioskowałem z jej słów - niż kiedyś dawała mi. Najbardziej bolało, że zdradził mnie człowiek, który nazywał siebie moim najlepszym przyjacielem. Kobieta zmieniła nas we wrogów.

Jakoś bym przeżył to, że de Lambant sypiał z Armidą i pogwałcił podstawowe prawo między przyjaciółmi. Ale ich występki były dziesięć razy - sto razy - gorszy ponieważ oboje udawali, że ich zdrada wcale nie była zdradą. Okrutniej postąpić nie mogli.

Ponure skrzywienie zbliżyło się. Miałem wrażenie, że cała ulica nagle wstała i ruszyła torem, jaki sama kreśliła na mapie. Nocny wóz z jedną latarnią z trzaskiem kolebał się po moście. Leżałem płasko na szerokiej balustradzie. Gongformrzy z zakapturzonymi głowami i z nosami wetkniętymi w

bukiety chroniące ich przed smrodem, nie zwrócili na mnie uwagi.

Oczywiście pozostawał jeszcze ten żenujący incydent z Bedalarą. Ale wtedy

postępowałem jak szaleniec, nie jak bohater. Poza tym, de Lambant nie traktował jej poważnie, tak jak ja Armidę. Nie zmienia to faktu, że według Armidy postąpiłem źle.

Szczerze żałowałem popełnionych błędów. Mój żal nie okazał się wystarczającym

zadośćuczynieniem. Znowu musiałem cierpieć - i to przez parę, która z przyjemnością popełniała ten sam grzech wielokrotnie. Jeśli jeden występki był grzechem, według jakiej matematyki popełniony dziesięć razy - czy tyle, ile to robili - przestawał nim być?

Nie wiem po co próbowałem policzyć, ile razy mogli być sam na sam. Jak często

rozmawiałem przyjaźnie z jednym lub drugim kilka chwil po tym, jak ich nagie ciała wtulały się w siebie? Jak często zarzucałem sobie hańbiącą podejrzliwość wobec nich?

Wóz zatrzymał się po drugiej stronie mostu. W starej beczce rozpalono ogień.

Poczułem kwaśny zapach dymu. Leżałem patrząc w mroczną toń.

Choć pragnąłem zwymiotować wszystkie wspomnienia o Armidzie i tym podłym

samcu - nadal ją kochałem. Jak mogłem ją potępiać za płytkość uczuć i błędy, skoro wcześniej sam taki byłem? I nie tylko ja. Podobnie postępowali niemal wszyscy, których znałem. Ocieżale próbowałem sobie przypomnieć innych znajomych. Tylko wspomnienie siostry sprawiło, że nieco się rozjaśniłem. Biedaczka tkwiła uwięziona na całe życie w gnijącym zamku. Klątwa dotykała wszystkich bez wyjątku.

Moje myśli były jak przeciągi w ciemnej komnacie. Echem rozlegały się w niej słowa tamtych dwojga, hańbiące mnie i ich samych. Gdyby tylko Armida okazała odrobinę skruchy...

Nie, nie mogłem żyć z taką zniewagą. Starąłem się być bardziej wyrozumiały,

chciałem, by miłość dawana i przyjmowana z wolnej woli nie stała się wyłącznie powodem kpin - a w zamian doznałem tylko diabelskich upokorzeń. Powiniennem zginąć. Otrzymałem obiecany mi przez magów dar: wiedzę, która postarza.

Dym przenikał przeze mnie. Znowu rozległo się ponure skrzypienie. Grupa

gongfermorów zbliżyła się do nabrzeża.

Zmarznięty, stanąłem na balustradzie mostu, aby rzucić się do rzeki. Nie wiedziałem, gdzie się znajdowałem. Woda wyglądała jak ścieki. Domyśliłem się, że płynęła od strony Wzgórza Założyciela, spod mrocznej bryły Pałacu Biskupa Elekta. Miałem nadzieję, że czarni i obojętni biskupi zlitują się nad moją duszą.

Coś płynęło z nurtem rzeki. Nieopodal mnie, w końcu alei, słabym blaskiem płonąła latarnia. W rzuconym przez nią świetle zobaczyłem unoszący się na wodzie konar w kształcie ludzkiej nogi. Zastygłem w bezruchu. Dziwna gałąź odpłynęła leniwie.

Raz jeszcze zebrałem się w sobie. Ciemny nurt niósł w głębi jeszcze jeden przedmiot, który płynął ku powierzchni obracając się wokół własnej osi. Ciągnął za sobą zielsko. Wbrew sobie, przykucnąłem i zamarłem. Przed sobą miałem ludzką głowę. Wodorosty były włosami.

Skóra miała blady kolor. Otwarte usta nie broniły dostępu rybom. W twarzy tej nie dostrzegłem bólu, a jedynie mrok, który czułem także w sobie. Głowa unosząc się ku górze wciąż się obracała. Wydęte wargi na moment przebiły powierzchnię wody.

Otto Bengtsohn spojrział na mnie. Nie mógł już nic powiedzieć, ale zastygł z krzykiem na ustach. Głowa płynęła samotnie nie przestając się kręcić. Za nią ciągnęły się zielska włosów. Jakiś wir porwał potworną maskę w cień. Jej kontury zamazały się, a w końcu zupełnie znikły mi z oczu.

Skuliłem się na szerokiej barierce. Gdzieś w oddali zahuczała sowa. Chwilę później usłyszała odpowiedź.

- Perianie, mój kochany, nareszcie cię znalazłam! - rozległ się współczujący kobiecy głos.

Otoczyła mnie ramionami. Nie mogłem oderwać wzroku od lśniącej toni. Nie chciałem nikogo.

- Och, Perry, kiedy usłyszałam, że cię wyrzucono, zaraz poszłam cię szukać. Biedaku, co tutaj robisz? Nie siedź tak. Zaprowadzę cię do domu.

Powoli się odwróciłem. Nie pragnąłem pocieszenia. Ale La Singla przytrzymała mnie w objęciach i przytuliła policzek do mojej twarzy, mruczając, że jestem zimny i szepcząc, że zabierze mnie do domu.

- Gdzie ja jestem?

- Jak to? Jesteś w Starym Moście, zaledwie kilka ulic od twego mieszkania. Tam czeka na ciebie łóżko cieplejsze niż ta brudna struga Różanej Wody.

- Kochanka zdradziła mnie z przyjacielem, nie potrafię się z tym pogodzić. Moje serce jest martwe, a reszta musi podążać za nim.

Łagodnie otoczyła moją szyję ramieniem, pocałowała mnie w skroń i roześmiała się.

- Nie miałam pojęcia, że jesteś taki nieżyciowy. Przecież takie rzeczy zdarzają się bez przerwy - całe życie się z nich składa. Sam wiesz, co ja wycierpiałam.

- Nie chcę o tym mówić. Życie jest takie nędzne. Cierpię właśnie dlatego, że jestem realistą. Z sytuacji, w jakiej się znalazłem, jest tylko jedno słuszne i życiowe wyjście. Ich zdrada wyszła na jaw - och, po co w ogóle o tym mówię?

- Musisz to z siebie wyrzucić.

- Wiesz, jak powinno być? Kobieta chwilę płacze i mówi, że nie chciała nikogo

skrzywdzić, a przyjaciel przeprosza za to, że zachował się jak świnia, ale, nie mógł się oprzeć urodzie kochanki i w ogóle. Potem oboje przyrzekają nie popełnić więcej podobnego błędu - a przynajmniej nie zrobić tego w ciągu pierwszego miesiąca... Ale tych dwoje zakichanych amatorów, Armida i ten gad de Lambant wszystko spartaczyli. Gdy ich zdrada wyszła na jaw, postąpili tak, by jeszcze bardziej mnie zranić. Siebie samych okryli hańbą... Och, mógłbym utonąć w jeziorze łez upokorzenia.

La Singla nie przestawała mnie pocieszająco gładzić.

- Przemawia przez ciebie żal. Nie sądź, że oni są zimni i płytki tylko dlatego, że sam jesteś wrażliwy i zdolny do miłości - bo taki właśnie jesteś pomimo wszystkich swoich aktorskich póż. Zmarzniesz tu. Chodź, nie powinieneś tak siedzieć...

Chwyając się jej, wstałem i rozejrzałem się wokół.

Gdzieś zapał kur. Bładość nieba na wschodzie rozciągała się ponad krzywymi

dachami. Już wiedziałem, dokąd trafiłem. Byłem tu kiedyś, nie tak dawno temu, podobnie martwej porze. Rozpoznałem magazyny śmierdzące zakamarki. Poprzednim razem

towarzyszył mi mój samozwańczy przyjaciel, de Lambant.

- Zabierz mnie do domu - poprosiłem.

La Singla poprowadziła mnie przez ruiny ulic. Po drodze myślałem, że jeśli zechce, bym się z nią kochał, nie zdołam. Stałem się niczym. Powinienem był wskoczyć do rzeki za biednym Ottonem.

Moja towarzyszka posiadała wielką życiową mądrość. Przez całą drogę nie

przestawała do mnie mówić. Podobno Pozzi znalazł jakąś dawną miłość wśród gości z Vamonal, więc nie musiała się obawiać, że zacznie za nią tęsknić. Niektórzy już się kochali, choć wybrali sobie nieodpowiednich partnerów, ale życie toczyło się dalej, bo miłość była przecież tylko grą.

- Uczuciami nie powinno się bawić.

- Drogi Perry, wiedziałeś chyba, że Guy i Armida sypiali ze sobą, musiałeś się tego domyślać, gdy leżałeś na zamku siostry, a nawet jeszcze wcześniej. Tak właśnie postępują ludzie. Ty zrobiłbyś to samo.

- Nawet jeśli wiedziałem, że mnie oszukują, tak bardzo chciałem im ufać, że zdusiłem w sobie tę świadomość. Czy nie powinniśmy się wstydzić ludzkiej natury i temu, że jej ulegamy? To wszystko jest takie... niehonorowe!

Roześmiała się.

- Za dużo mówisz o honorze. Armida ma pewnie dość takich rozmów w domu. Może właśnie dlatego wołała łotra.

- I ty też jesteś przeciwko mnie? Wiem, że sam ponoszę część winy za to, co się stało, ale o wiele bardziej winie de Lambanta.

- Nie sprzeciwiaj się własnej naturze, kochany. Ja swoją znam zbyt dobrze, by myśleć o zmianach, dlatego bawię się i pogodnie akceptuję cierpienia i smutki, jakie niesie życie.

- Po co nagle mówisz o szczerości wobec własnej natury?

- Wiem, że niczym się ode mnie nie różnisz. Oboje mamy aktorstwo we krwi.

Jesteśmy do siebie podobni, drogi Perianie. Stałeś się dla mnie niemal bratem - choć przyznam, że podobały mi się chwile naszej kazirodczej namiętności.

- Mówię ci, że się zmienię. Jesteś mi droga, ale jesteś też uczciwa wobec siebie. Inni się oszukują, przypisując sobie cechy, których nie posiadają, a jednocześnie szyczą z mego charakteru. Biedny Otto Bengtsohn miał rację! Malacja chyli się ku upadkowi. Czas na zmiany! Ja się zmienię, La Singlo, naprawdę!

- Dobrze, dobrze, ale najpierw musisz się przespać. Już jesteśmy u ciebie.

Weszliśmy na górę, odnajdując drogę w ciemnościach, wśród znajomych zapachów.

Na poddaszu, spod drzwi dobywało się światło. Powrócił strach. Wszyscy ludzie byli moimi wrogami. Może to chytry de Lambant przysłał dwóch osiłków, aby porachowali mi kości, tak jak kiedyś zrobił to Kemperer? Wprawdzie pół godziny wcześniej zastanawiałem się, czy nie utopić się w rzece, ale zostać pobitym, to zupełnie co innego.

A może to Armida wreszcie poczuła skruchę i postanowiła natychmiast uciec ze mną z Malacji? Wspomnienia cisnęły się do głowy nieproszone. Zobaczyłem ją tańczącą nago w kaplicy Pałacu Chabrizzich. To wtedy powiedziała, że chciałaby być dziką istotą.

- Kto tam jest? - zawołała La Singla.

- Przyjaciele de Chirolo - odpowiedział zza drzwi czyjś głos.

- Kto? - La Singla niepokoiła się. - Jak się nazywacie?

Drzwi się otworzyły. Za nimi stała dziewczyna z latarnią. Patrzyła na nas z lękiem.

Była to Letycja Złotoróg.

Weszliśmy z La Singla do izby. Bez słowa rzuciłem się na łóżko.

Obok Letycji stał Bonihatch. W dłoni wciąż trzymał maskę w kształcie kwiatu.

Spojrzał na mnie w zamyśleniu i pokręcił głową.

La Singla wszystkim się zajęła. Zaczęła zdejmować mi buty i rozbierać mnie,

jednocześnie próbując wyprosić dwoje niespodziewanych gości.

Bonihatch przeprosił za najście. Wyjaśnił, że on i Letycja usługiwali na weselu, aby zarobić. Skończyli już pracę. Wstąpili tu, by się ze mną zobaczyć ponieważ widzieli, jak biłem się z de Lambantem i jak potem mnie wyrzucono. Mieli nadzieję, że już się przekonałem, kto był moim prawdziwym przyjacielem, a kto wrogiem. Chcieli bym wstąpił

do Postępowców. Podobno powitano by mnie tam z otwartymi ramionami. Wszystko

docierało do mnie jak przez mgłę. Chciałem tylko, żeby zostawiono mnie samego, a jednocześnie się tego bałem, wiedząc, że natychmiast wróciłbym do żalosego wewnętrznego monologu.

- Ja nie mam przyjaciół, Bonihatch. Ty też jesteś tylko oportunistą.

- Przestań się nad sobą użalać.

- Idźcie sobie. Nie mam nic przeciwko wam, ale wiem, że Bengtsohn nie żyje. Policja dostanie i was.
- Opowiedziałem im o wszystkim, co widziałem.

- Pojmujesz dlaczego został zabity, prawda? - spytała Letycja.

- Nie męczcie go, jest zupełnie wyczerpany - powiedziała La Singla.

- Ty też powinnaś to zrozumieć - stwierdziła Letycja zwracając się do niej. -

Bengtsohn był tak sprytny, że niemal udało mu się przeciągnąć na swoją stronę Hoytolę.

Razem mogli wprowadzić w Malacji zmiany. Rada zaakceptowała jedną z nich, wodorowy balon, bo Turcy stali u naszych bram. Powietrzny zahnoskop także mógł się okazać wynalazkiem ułatwiającym ich działania, i mógł nam pomóc. Taki sam cel miała komedia *Książę Mendicula* - nie chodziło wyłącznie o to, że akceptacja mas mogła doprowadzić do powstania utworów o większym znaczeniu społecznym. *Mendicula* miał być jedynie prologiem. Bengtsohn zamierzał go przedstawić podczas jutrzejszej uczy, mówiąc o korupcji wśród możnych i upokarzaniu biednych.

- Próbując ocalić własną obmierzłą skórę, Hoytola wydal Ottona władzom. Zupełnie się go wyparł - wyjaśnił Bonihatch. - Komitet rewolucyjny może postanowić, że należy rozprawić się z Hoytolą dla przykładu. Czy byłbyś temu przeciwny, de Chirolo?

- Dziś nie potrafię myśleć. Malacji nie da się zmienić. Będę musiał pracować tylko nad sobą.

La Singla krzątała się w kącie kuchennym, parząc kawę, ale słysząc moje słowa, wysunęła stamtąd kształtną główkę.

- Klątwa pierwszego maga ciężąca na Malacji głosiła, że to miejsce nigdy się nie zmieni - zawołała.

- Większość ludzi uważa niezmiennosc za błogosławienstwo - stwierdziła Letycja. -

Tylko biedni i zdesperowani pragną zmian. - Dziś wieczorem zachowywała się wobec mnie obojętnie. Już nie miała ochoty się przytulać. Nawet Bonihatcha traktowała z dystansem.

- To beznadziejny absurd - krzyknął Bonihatch. - Nie istniała żadna pierwotna klątwa.

Wszystkie legendy o powstaniu Malacji i brednie o tym, że ludzie wywodzą się od zwierząt, to stek bzdur. Właśnie w ten sposób planowano utrzymać ciemnotę, bo tępymi łatwiej rządzić. Bengtsohn stale opowiadał mi, jak oświeceni byli mieszkańcy Tolkhormu. Tam nie zwracano uwagi na głupstwa, które tutaj wpaja się nam od dzieciństwa. Wszystko trzeba zmienić, spalić.

Przysłuchiwałem im się oszołomiony. Letycja tłumaczyła coś gorączkowo La Singli, tak jakby powtarzała z nią wyuczony na pamięć tekst.

- Oczywiście ludzie chętnie zaakceptowali brak zmian, godziło się na to pokolenie po pokoleniu. Niezmiennosc oznaczała spokój. W pozostałych częściach świata powszechnym instrumentem mającym na celu wprowadzenie zmian była wojna. Mój wuj powiedział mi, że właśnie dlatego Turcy nigdy nie zdołali podbić Malacji. Klątwa, albo wiara w nią, sprawia, że wojny i przemiany nie sięgają naszego kraju. Większość osób potrafi to zrozumieć na poziomie emocji.

- Jestem tylko aktorką. To nie moja sprawa. Zamierzam tylko dopilnować, by Perry się przespał. W przeciwieństwie do was, nie chcę żadnych wojen.

Bonihatch przerwał jej. Odrzucił maskę i pewnie spojrzał na La Single.

- Wojna stale towarzyszy ludzkości. W Malacji także się toczy, tylko na domową skalę. Właśnie przyprowadziła pani tutaj jedną z jej ofiar. Nie mamy tu wprawdzie armatnich salw ani szarż pikinierów, a St Marco nie jest miejscem gwałtów i rzezi. Podstępny oręż społeczeństwa działa potajemnie. W każdej rodzinie toczy się walka, znajdziesz tam wrogość, brak zaufania, zdradę i szpiegów, którzy w przebraniach trafiają między nogi kobiet.

W gardle poczułem coś na kształt łaskoczącego śmiechu. Armida, którą Bonihatch uważał za wroga klasowego, wypowiedziała kiedyś bardzo podobną opinię.

- Wiem o rozkładaniu nóg o wiele więcej niż ty, młodzieńcze - zbyła go La Singla. -

Proszę, zaparzyłam kawę. Jesteś taki sam, jak Perian. Musisz się nauczyć śmiać z życia i pozbyć się tych ponurych myśli! - Weszła do izby niosąc gliniane kubki z parującym napojem.

Uklękała przy mnie. Z wdzięcznością wziąłem kawę i pogładziłem ją po zaokrąglonym policzku.

- To już lepiej. Czulość jeszcze nikomu nie zaszkodziła. Zranić może tylko stosunek do niej. Za to buntowniczość sprawi, że wszyscy będą cierpieli - powiedziała.

- Ale najbardziej bogaci i obdarzeni przywilejami - odparł Bonihatch. - Już my tego dopilnujemy.

Ciepła kawa ożywiła mnie. Odzyskałem głos.

- Najbardziej nienawidzę arogancji bogatych - przyznałem. - Co chciał Bengtsohn powiedzieć we wstępie do merkuryzowanej historii *Mendiculi*?

- Przecież ty sam traktowałeś go arogancko, choć teraz twierdzisz, że właśnie takimi uczuciami gardzisz. Letycja i ja kochaliśmy go. Morał sztuki jest oczywisty, ale Otto chciał

go zasygnalizować już na początku. Ludzie tacy jak Mendicula i jego Generał Gerald są tak przyzwyczajeni do ignorowania uczuć tych, którzy im podlegają, że ich własne emocje kurczą się zastraszająco. Wówczas nawet ich miłość przesłonięta jest dążeniem do władzy. Uczucie staje się jedynie społeczną dźwignią, kolejną możliwością awansu na następny szczebel drabiny.

- A kobiety są pionkami, które każdy może wykorzystać i je zdobyć lub stracić, tak jak się to dzieje z fortunami - powiedziała Letycja. - Próbowaleś mnie wykorzystać, Perianie, czyżbyś już o tym zapomniał?

Chwyciłem się za głowę.

- Na kości, ty też na mnie napadasz? Sama byłaś gotowa mnie wykorzystać. Teraz widzę, jak bardzo wszyscy się mylicie. Kobiety nie są pionkami. Potrafią wyrządzić tyle samo szkód, co mężczyźni.

- Jeśli chodzi ci o Armidę, jest ona pionkiem w grze swojej klasy - odparła Letycja. -

Niestety, nie da się jej ocalić. Wykorzystuje innych, ponieważ sama jest wykorzystywana.

Przez nią wyszedłeś na głupca, bo ta dziewczyna nigdy nie odnajdzie szczerych uczuć w społeczności kierującej się fałszem.

- Dość tego gadania - przerwała La Singla. - Armida jest miłą, młodą dziewczyną i całkiem niezłą aktorką.

- Zawsze byłaś o nią zazdrosna, Letycjo - dodałem.

- Przez nią stałeś się lokajem bogaczy - powiedziała Letycja ostro.

- Zostawcie Periana w spokoju. Przeżył wielki wstrząs.

- Przyniosę ci część naszych materiałów, de Chirolo. Jesteśmy silniejsi niż sądzisz -

powiedział Bonihatch.

- Na litość boską, idź stąd. Nie chcę słyszeć ani słowa więcej. Jutro się z wami zobaczę. A teraz zostawcie mnie oboje. Muszę dojść do siebie.

Wreszcie wyszli. Wyciągnąłem się na łóżku. La Singla położyła się obok mnie.

- Wplącesz się w kłopoty - powiedziała przyglądając mi się poważnie. Potem

wybuchła śmiechem. Stwierdziłem, że też potrafię się już śmiać.

- Ja zawsze wpadam w kłopoty.

- Ci dwoje są równie szaleni, jak ty, tylko inaczej. Nie możesz się jutro z nimi spotkać.

Wystawiamy *Albriziego*.

- La Singlo, mój słowiczku, przyznaj, że jest coś w ich sposobie postrzegania

społeczeństwa. Nie przeczę, że w moim romansie z Armidą element społeczny nie był bez znaczenia, ale przede wszystkim bardzo ją kochałem. Czy jestem zepsuty? Czy właśnie dlatego tak cierpię?

- Powinniśmy się przespać. Za kilka minut nad Malacją wzejdzie słońce. Musisz

nauczyć się odróżniać sztukę od życia. I sztukę od sztuczek. Jestem od ciebie o cały rok starsza, więc wiem.

- Co wcale nie chroni cię przed popełnianiem głupstw! Objąłem ją ramieniem i bez zastanowienia przełożyłem nogę nad jej nogami.

- Pójdę jutro na spotkanie z Bonihatchem. Już postanowiłem. Muszę zacząć pełniej żyć. Tymczasem mogłabyś za mnie wyjść, La Singlo.

- Dopiero wtedy znalazłbyś się w prawdziwych tarapatach!

- Po raz pierwszy widziałem cię w roli anioła miłosierdzia.

- Nie żartuj sobie. Ja także potrzebuję pokrzepienia, a opieka nad tobą podnosi mnie na duchu.

Położyła głowę na poduszce obok mojej głowy i zamknęła oczy. Leżałem

przyglądając się jej nieskazitelnie pięknej twarzy. Znajdowała się tuż przy mojej. Blask świecy, rozpraszany już odrobinę wkradającą się przez okno szarością dnia, zmieniał łuki jej brwi, powieki, policzki i brodę w zaczarowany krajobraz. Objąłem ją ramieniem i zasnąłem.